

**LATO**  
**KARL OVE KNAUSGÅRD**  
z obrazami Anselma Kiefera



**LATO**  
**KARL OVE KNAUSGÅRD**  
z obrazami Anselma Kiefera

Z norweskiego przełożyła  
Milena Skoczko

WYDAWNICTWO LITERACKIE

# CZERWIEC



## Zraszacze ogrodowe

Fakt, że mam własny zraszacz ogrodowy, nigdy właściwie do mnie nie dotarł; to był po prostu jeden z wielu przedmiotów, w których posiadanie wszedłem, kupując ten dom – tak jak kosiarka do trawy, sekator, grabie i inne narzędzia ogrodnicze. Niezliczoną ilość razy przykręcałem wąż ogrodowy do kranu w korytarzu letniego domku. Słyszałem, jak woda najpierw syczy, a potem szumi, i widziałem, jak jej cienkie strużki podnoszą się na wysokość około pięciu metrów, często połyskując w świetle słońca, i falują powoli, by opaść na jedną stronę, wznieść się i opaść na drugą stronę, w tym ruchu, który zawsze wydawał mi się podobny do machania dłonią. Nigdy jednak nie kojarzyłem zraszacza ze sobą ani z tym, co moje, jakby to, co sobą reprezentuję, nie reprezentowało mnie lub – innymi słowy – jakby życie, które tutaj wiodę, w rzeczywistości nie było moje, lecz stanowiło coś, w czym przez przypadek znajduję się właśnie teraz. Wysnuwanie tak ważnego wniosku na podstawie czegoś równie nieistotnego jak metalowa obręcz pełna dziur, przez które tryska woda, może wydawać się czymś naciągany, ale ze wszystkich przedmiotów, które pamiętam z letnich miesięcy w czasach dorastania, zraszacz ogrodowy jest tym najbardziej symbolicznym, tą pojedynczą rzeczą, wokół której gromadzi się w pamięci najwięcej nastrojów i epizodów i która budzi najwięcej skojarzeń. Wszystkie gospodarstwa domowe na naszym osiedlu miały zraszacze ogrodowe, i to tego samego rodzaju, dzięki czemu połyskujący łuk cienkich strużek wody w letnie dni, gdy świeciło słońce, stanowił częsty widok. Trawniki, na których stały zraszacze, były nierzadko zupełnie opustoszałe, jakby wiodły własny, niezależny żywot, jak pewnego rodzaju duże, przyjazne wodne stworzenia. Kiedy woda lądowała na trawie, dźwięk był niemal niesłyszalny, lekki, subtelny szmer, nic więcej, łatwy do zagłuszenia przez szum wydobywający się z węża lub niedokręconego kranu, ale natężenie owego dźwięku mogło wzrosnąć i przypominać szelest, a nawet trzeszczenie, jeśli zraszacz ustawiono tak, że woda trafiała w liście drzew lub krzewów. Te dźwięki, które narastały i cichły, metodycznie i cierpliwie, jak odgłos wykonywanej pracy, i które przyczyniały się do wyobrażenia, że łuk wody jest odrębną istotą, mogły trwać, niczym niezakłócone, przez cały dzień aż do wieczora, czasem nawet przez całą noc, choć rzadko – z jakiegoś powodu podlewanie ogrodu nocą uważano za coś niewłaściwego. W naszym domu zraszaczem rządził ojciec, nie pamiętam, by matka kiedykolwiek go przestawiała, odkręcała lub zakręcała wodę, chociaż nie wiem dlaczego. Kran zamontowany był w pralni w piwnicy, a wąż ogrodowy przeciągało się przez wąskie prostokątne piwniczne okienko umieszczone bardzo wysoko, tuż pod sufitem, natomiast na zewnątrz znajdujące się bardzo nisko, tuż

nad ziemią. To, że okna nie dało się zamknąć, dopóki tata podlewał, budziło we mnie delikatne, bolesne odczucie, a różne umiejscowienie okna wewnątrz i na zewnątrz wydawało mi się czymś magicznym i pociągającym. Łuk wody i wszystkie jego aspekty, zarówno wizualny i dźwiękowy, jak ten związany z korzyścią, jaką przynosił ogrodowi, reprezentowały coś bezwarunkowo dobrego. I dlatego fakt, że teraz ja sam jestem panem zraszacza, odkręcam go i przestawiam we własnym ogrodzie, powinien coś dla mnie znaczyć, jeśli nie wiele, to chociaż trochę, skoro tamto życie, które w dzieciństwie jedynie obserwowałem – życie dorosłych mężczyzn i kobiet – teraz stało się moim udziałem, czymś, czemu nie przyglądam się już tylko z zewnątrz, lecz co wypełniam od wewnątrz. Ale tak nie jest, nie znajduję żadnej szczególnej radości w odkręcaniu zraszacza, w każdym razie nie jest ona większa niż przy przygotowywaniu kanapki czy zdejmowaniu butów po przyjściu do domu. Teraz obserwuję z zewnątrz świat dziecka, a jaki obraz tej życiowej asymetrii pasuje tutaj lepiej niż widok okna piwnicznego, które znajduje się wysoko pod sufitem i jednocześnie tuż nad ziemią?

## Kasztanowce

W naszym ogrodzie, w rogu między dwoma domami, rośnie kasztanowiec. Wznosi się na wysokość ponad dwudziestu metrów, może nawet dwudziestu pięciu. Najdłuższe gałęzie mają z pewnością dziesięć metrów; jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiłem, gdy się tutaj przeprowadziliśmy, było ścięcie tych rosnących najniżej, bo niektóre z nich częściowo zagradzały przejście między budynkami, a inne opierały się o dach. Ale chociaż nasz kasztanowiec jest tak ogromny – z pewnej odległości to właśnie on najpierw rzuca się w oczy, nie dachy domów – i chociaż wspinałem się na niego i przyciąłem go, nigdy nie zwracałem na niego uwagi, nigdy o nim nie myślałem. Zupełnie jakby nie istniał. Teraz nie mogę pojąć, że przez pięć lat żyłem tak blisko tego wielkiego tworu natury, w ogóle go nie dostrzegając. Cóż to za zjawisko: patrzeć i nie widzieć? Prawdopodobnie to, co widzimy, nie zapada nam w pamięć. Ale jak to się dzieje, że coś w nią zapada? Mówimy, że coś ma znaczenie, jakby sens był czymś, co dana rzecz otrzymała w prezencie, ale wydaje mi się, że w rzeczywistości jest odwrotnie: to my nadajemy znaczenie temu, co widzimy. I ja temu kasztanowcowi, na który spoglądam, kiedy to piszę, nie nadałem żadnego znaczenia. Po prostu tam był, wiedziałem o tym – nie zdarzyło się przecież, żebym wpadł na niego, idąc między domami – ale nie był dla mnie ważny, a tym samym nie istniał w sensie realnym.

I nagle tej wiosny i tego lata pracowałem z obrazami malarza Edvarda Muncha. W kółko oglądałem reprodukcje ich wszystkich i z większością zdążyłem się zżyć. Munch namalował wiele obrazów przedstawiających kasztanowce, a w mojej pamięci utkwiał szczególnie jeden z nich. Widnieje na nim kasztanowiec rosnący w mieście, przy ulicy, namalowany w stylu niemal impresjonistycznym, w tym sensie, że wszystkie powierzchnie wyłaniają się bardziej jako barwy niż solidne obiekty, są bardziej dla oka niż dla dłoni, bardziej dla chwili niż dla wieczności. Kasztanowiec kwitnie, jego białe kwiaty są jak małe słupki wśród zieleni, w której świecą jak latarenki. Kiedy spoglądam na kasztanowiec rosnący przed moim oknem, widzę, że jego kwiaty w niczym nie przypominają tych, które wyszły spod pędzla Muncha – nie wyglądają jak pionowe kreski, lecz jak małe obłoczki ułożone w cztery lub pięć pięt, i nie są śnieżnobiałe, mają w sobie odrobinę beżu i brązu. A mimo to właśnie obraz Muncha sprawił, że gdy pod koniec maja drzewo zaczęło kwitnąć, po raz pierwszy zrozumiałem, iż mam do czynienia z kasztanowcem. To samo dotyczyło drzew rosnących przy drodze do centrum Ystad, która biegnie wzdłuż torów kolejowych przy basenie portowym, gdzie cumują potężne promy kursujące do Polski i na Bornholm. Przecież to kasztanowce, pomyślałem, gdy zakwitły. I nie nazwa była tu istotna, nie chodziło o to, że teraz potrafiłem powiedzieć, iż mam przed sobą kasztanowce, bo wcześniej

również to umiałem, przez cały czas doskonale wiedziałem, jaki to gatunek drzew. Chodziło o coś innego, o to, że teraz zajęły one poczesne miejsce w mojej świadomości. I wydaje mi się, że właśnie to mamy na myśli, kiedy mówimy o autentyczności, ponieważ znosi ona radykalnie dystans, który dominuje we wszystkich ubiegłowiecznych teoriach dotyczących alienacji i który jest nadal obecny w naszych tęsknotach za tym, co namacalne, bliższe rzeczywistości. Biegunów nie stanowią modernizm i antymodernizm, postęp i uwstecznienie; istotne są konsekwencje równowagi między zażyłością i nie-zażyłością, a to z kolei zależy od tego, czego potrzebujemy i co chcemy osiągnąć w życiu. Czy chcemy zrozumieć kasztanowiec, zobaczyć go i pozwolić, by zajął w nas miejsce, czy chcemy czuć jego obecność za każdym razem, gdy go mijamy, poznać jego szczególną rolę w rzeczywistości? To, co kasztanowiec artykułuje, co wyraża, jest nim samym. I może to samo dotyczy nas: to, co artykułujemy, co wyrażamy, czy to my sami? Określona obecność w określonym miejscu w określonym czasie? Coraz częściej skłaniam się ku przekonaniu, że myśli są jedynie czymś, co przeze mnie przepływa, że uczucia są jedynie czymś, co przeze mnie przepływa, i że równie dobrze mógłbym być kimś innym; że nie jest istotne to, kim jestem, lecz to, że jestem. I że to samo dotyczy kasztanowca, którego widzę właśnie teraz za oknem, wznoszącego się milcząco, w wirze zielonych liści i białych kwiatów.

## Krótkie spodenki

Mam na sobie dzisiaj krótkie spodenki, są w kolorze mchu, sięgają mi tuż nad kolana i chociaż w upale są wygodniejsze od długich spodni, kojarzą mi się trochę nieprzyjemnie; mam wrażenie, że mnie pomniejszają, że jestem na nie za stary. Już sama nazwa: krótkie spodenki, ma w sobie coś infantylnego; mogła zostać wymyślona przez dziecko, tak jak smoczek, jeździdełko, śliniak, chodzik. Jeśli zamiast tego napiszę, że chodzę dzisiaj w szortach, zabrzmi to odrobinę mniej dziecinnie, a jeśli dodam, że są w kolorze wojskowej zieleni, zniknie wyobrażenie, że mam na sobie element garderoby dziesięciolatka, a pojawi się obraz młodego, dwudziestoparoletniego mężczyzny wybierającego się na festiwal muzyczny.

W połowie lat dziewięćdziesiątych przeczytałem powieść, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie i nadała kształt kilku trendom i obszarom we mnie, do tej pory niezdefiniowanym. Chodzi o *Dziecko w czasie* brytyjskiego pisarza Iana McEwana. Główny wątek odnosi się do największego, jakie można sobie wyobrazić, przerażenia wywołanego zniknięciem dziecka, ale najbardziej zapadł mi w pamięć jeden z wątków równoległych, dotyczący regresji i infantylności: mężczyzna, jeśli dobrze pamiętam – parlamentarzysta, cofa się do czasów dzieciństwa, ubiera się w krótkie spodenki, zaczyna wspinać się po drzewach, buduje na nich domki, bawi się tak jak wtedy, gdy był dzieckiem. Wydało mi się to groteskowe, ponieważ jego upadek był całkowicie odarty z godności, w zupełnie innym stopniu i w całkowicie inny sposób niż staczanie się w alkoholizm czy narkomanię. Jednocześnie czułem, że mnie to pociąga, ponieważ przepelniała mnie silna nostalgia za wszystkim, co miało związek z moim dzieciństwem. Zapach topniejącego śniegu i widok białych lodowych krawędzi, z których woda wypływała na drogę, pod spowitym mgłą niebem, mógł na przykład wzbudzić we mnie tęsknotę za powrotem do czasów, gdy przeżywałem to samo jako dziecko, tęsknotę tak silną, że aż sprawia ból. Tęskniłem także za tym, by ktoś się mną opiekował, tak jak wtedy. Nie bezpośrednio, nawet nie w sposób dający się nazwać, do czasu aż przeczytałem powieść McEwana i te wszystkie nieokreślone, nieprzeżyte uczucia przybrały kształt, tak że mogłem przyjrzeć im się z zewnątrz, jak czemuś istniejącemu obiektywnie w świecie. To, co groteskowe, również stało się wyraźne. Dorosły, który chce być dzieckiem, jest jeszcze bardziej groteskowy od starca, który chce być młody. Wykorzystałem to przekonanie, pisząc swoją pierwszą powieść, w której tęsknota za tym, by stać się dzieckiem, została przetransformowana w tęsknotę za dzieckiem – pamiętam te intensywne uczucia, którymi wypełniły mnie pierwsze zauroczenia, gdy chodziłem jeszcze do podstawówki, i pozwoliłem głównemu bohaterowi wejść w to i zakochać się w dziecku. Teraz te wszystkie tęsknoty i uczucia wydają mi się dziwne, a gdy dziś



rano włożyłem krótkie spodenki, ponieważ zapowiadał się ciepły dzień, poczułem delikatną niechęć wywołaną tą formą, jakby zaprzeczeniem życia poprzez oglądanie się wstecz, i musiałem wytłumaczyć samemu sobie, że to tylko kawałek materiału, pozwalający na to, by łydki pozostały nagie. Ale choć nostalgia zniknęła lub znacznie osłabła, wiem, że istnieją we mnie inne, nieświadomione trendy i wzorce – na przykład przez całe dorosłe życie wchodziłem w relacje przypominające te, które tworzyłem w okresie dorastania. Osoba, którą kochałem, przyjmowała tę samą pozycję co niegdyś mój ojciec: kogoś, kogo starałem się udobruchać, zadowolić, a jednocześnie kogo się bałem i kto potrafił rzucić na mnie urok. Być może stawanie się dorosłym polega przede wszystkim na uwolnieniu się od tych wzorców przez uświadomienie ich sobie, przyznanie się do nich, tak by móc żyć w zgodzie z tym, kim się jest lub kim chce się być, a nie z tym, kim się było lub chciało być. Korzyścią z podtrzymywania starych wzorców zachowań jest poczucie bezpieczeństwa, bez względu na to, jak bardzo były bolesne lub destrukcyjne.

Wolność wywołuje niepewność, w wolności może wydarzyć się wszystko, a jeden z paradoksów życia, w każdym razie mojego życia, polega na tym, że teraz, będąc w drodze do tego, co wolne i otwarte na oścież, już tego nie potrzebuję; potrzebowałem i mogłem czerpać z tego radość w pierwszej połowie swojego życia, zanim dobiłem do czterdziestki, gdy wszystko było jeszcze możliwe. Bo na co mężczyźni w średnim wieku, ubranemu w krótkie spodenki, wolność?

## Koty

Wczoraj po południu na trawniku pod kasztanowcem leżała głowa zająca. Bez oczu, z pokiereszowanym pyszczkiem, więc mogłem zidentyfikować go jedynie po długich uszach. To była sprawka kota i drugi już zajac w ciągu dwóch dni, który padł jego ofiarą. Ten sam modus operandi: oderwana głowa bez oczu, z zakrwawionym futrem, pozostawiona w ogrodzie. Gdy to piszę, kot siedzi na parapecie i zagląda do pokoju, czekając, aż ktoś z domowników wstanie, zauważy go i wpuści do środka.

To kot syberyjski, z długim szaroczarnym futrem i puszystym ogonem. Poprzednia właścicielka nadała mu imię Amaga i tak już zostało. Amaga lubi spać w środku czegoś lub na dnie zagłębienia, wydaje się, że im ciaśniejsze, tym lepsze: w skrzynkach, pudełkach, walizkach, wózkach dla lalek, ale kładzie się także na parapetach, schodach, łóżkach, kanapach i krzesłach. Zachowuje się jak lokator: przychodzi i wychodzi, kiedy chce, je karmę w wyznaczonym miejscu, przesypia całe dni i znika na całe noce. Czasem odwiedzają ją znajomi, widzę, jak siedzą w ogrodzie i czekają, aż wyjdzie z domu. Z charakterystyki rasy można wyczytać, że koty syberyjskie są uczuciowe i żywiołowe, i chociaż opis jest zbyt antropomorficzny, w dużym stopniu pokrywa się z moim doświadczeniem. Gdy dorastałem, mieliśmy kilka kotów, o przeróżnych osobowościach, od ostrożnej i łagodnej Sofi, szarego, długowłosego norweskiego kota leśnego, przez jej córkę Mefisto, również długowłosą, całkiem czarną, bardziej elegancką i oddaną niż matka, aż do jej syna Lassego, impulsywnego, nieokiełznanego i o wiele głupszego od swojej rodzicielki. Zaczynał mruzczyć, gdy tylko człowiek na niego spojrzał, zdarzało mu się załatwiać potrzeby poza kuwetą i uwielbiał być głaskany. Pieszczoty zdawały się stanowić sens jego życia, usiłował uczynić z nich prawdziwe orgie, ciekło mu z nosa, łapy z wysuniętymi pazurami podnosiły się i opadały, kładł się na grzbiecie, rozstawiał nogi, ocierał się o wszystko, o co tylko mógł. Nie miał za grosz godności ani honoru i gdy zaczął przeganiać Mefisto, żeby przejąć kontrolę nad domem, został w końcu zawieszony do weterynarza, gdzie spotkał się ze swoim przeznaczeniem.

Amaga to przeciwieństwo Lassego, jej godność jest totalna, i choć jest równie ostrożna jak Sofi, nie ma w sobie ani odrobiny jej łagodności. Ostry charakter widać nawet wtedy, gdy poddaje się pieszczotom, bo choć mruczy i zamyka oczy, kiedy jest głaskana, nigdy nie traci czujności; w dowolnym momencie może się odwrócić, wstać, zeskoczyć na ziemię i oddalić się. Gdy dwa lata temu dostaliśmy psa, pierwsze, co zrobiła, to przystąpiła do ataku: podrapała go tuż przy oku, i to tak mocno, że poląła się krew; od tego czasu pies panicznie się jej bał, robił, co chciała. Na naszą córkę, która przyszła na świat rok wcześniej,

Amaga na początku w ogóle nie zwracała uwagi, ale gdy dziewczynka zaczęła stawiać pierwsze kroki i dreptać za nią, kotka zniżala się, szorując brzuchem po podłodze niczym żółw, i uciekała, co zawsze robi, kiedy wyczuwa zagrożenie. *Takken*<sup>[1]</sup>, *takken!* – wołała córeczka (tak nazywała kota i to było urocze, bo wtedy mogłem wskazać na niego i powtórzyć za każdym razem, gdy go widziałem: „to jest *takken*”), usiłując złapać go za ogon. Zwykle jej się to nie udawało, Amaga była od niej dużo szybsza i dawała drapaka, a jeśli spała i nie zdążyliśmy zainterweniować, syczała na dziewczynkę; gdy jej to nie odstraszyło, używała pazurów. Tak się zdarzyło dwa razy i teraz córka czuje respekt przed *takken*: nie rzuca niczym w kota, nie ciągnie go za ogon, za to chętnie go głaszcze, na co jej pozwalamy, choć nie sądzę, by kot miał z tego jakąś przyjemność, bo leży spięty, czujnym wzrokiem śledząc ruchy małej dziecięcej rączki, która gładzi jej miękkie, często zmierzwione futro. Ta samokontrola jest godna podziwu, biorąc pod uwagę, do czego Amaga może się posunąć, podążając za swoim instynktem: do odrywania głów, obżerania się oczami i opijania krwią.

Żyjąc razem z kotami, zacząłem się zastanawiać, czym naprawdę są instynkty. Wcześniej sądziłem, że chodzi o pewnego rodzaju automatyczne działania, o zaprogramowaną stałą cechę zwierząt, oddzieloną od nielicznych myśli i uczuć, i że osvajanie polega na wdrukowywaniu w zwierzęta innego systemu, równie automatycznego, który powstrzymuje ich instynkty lub kieruje je w inną stronę. Uważałem, że instynkty są silniejsze u dużych drapieżników, takich jak lwy czy tygrysy, i łatwiej przebijają się przez tę ścianę, którą wznosi osvajanie, dlatego zwierzęta te bez ostrzeżenia potrafią zaatakować i rozerwać na strzępy tych, którzy je oswajali, karmili i troszczyli się o nie. Możemy to nazwać instynktem, zewem krwi, prawdziwą naturą zwierząt. Ale kiedy w ogrodzie zoologicznym widzę lwa lub tygrysa, nigdy nie mam wrażenia, że steruje nim to, co nazywamy instynktami, że instynkty trzymają go w szachu, że zwierzęta są niejako zamknięte w garstce możliwych reakcji. Chodzi bardziej o to, że robią, co chcą, nigdy nie oceniają ani nie osądzają żadnego działania, po prostu działają. Decydująca różnica między nami a nimi nie polega na tym, że my myślimy, a one nie, lecz na tym, że my mamy system moralny, a one nie. Jestem pewny, że Amaga taksuje nas wzrokiem, że wie, kim jesteśmy, my, sześcioro członków rodziny mieszkających w jej domu. Jestem również przekonany, że postrzega nas jako duże, głupie koty, powolne i tępe, i nawet jeśli nie myśli, że ma nad nami przewagę, jestem pewny, że czuje to całą sobą.

## Pola kempingowe

Pole kempingowe jest wyodrębnionym miejscem przeznaczonym na nocleg, najczęściej znajduje się na obrzeżach miasta lub miejscowości turystycznej, nierzadko w pobliżu plaży lub innego terenu rekreacyjnego, gdzie podróżujący, za opłatą, mogą spędzić noc w swoim namiocie, kamperze lub przyczepie kempingowej. Poza małym, liczącym kilka metrów kwadratowych skrawkiem ziemi, którym – po opłaceniu pobytu – właściciele namiotu lub przyczepy mogą dysponować, kemping udostępnia również toalety, prysznice, kiosk zaopatrzone we wszystkie najpotrzebniejsze artykuły, często plac zabaw dla dzieci, a jeśli jest dobrze wyposażony – także basen. Pole kempingowe jest rodzajem hotelu, on również oferuje podróżnym noclegi, ale podczas gdy hotel wymaga, aby gość porzucił własne mieszkanie i przez pewien czas wiódł życie w nieznanym pokoju – wypełnionym setkami lub tysiącami ludzi, którzy podporządkowywali się tym czterem ścianom i pozwalali wciskać się w ramy ich obcości – pole kempingowe wychodzi naprzeciw podróżującym i ich niezależności, pozwalając im rozstawić własne, przywiezione ze sobą domy i w ten sposób stworzyć strefę bezpieczeństwa i swobody w samym środku tego, co obce. Można by sądzić, że ta możliwość niezależności powinna zostać uznana za nadrzędną w stosunku do ograniczeń w hotelu, że w dobie tak zwanego społeczeństwa indywidualistycznego bardziej docenimy wolność pola kempingowego niż krępujące ramy hotelu, a tymczasem status kempingu jest niski i od dziesięciu lat wciąż się obniża. Powód jest prosty, lecz sekretny, a może nawet celowo utrzymywany w tajemnicy: pieniądze i wolność stoją w opozycji do siebie. Coraz niższy status kempingu zbiegł się w czasie z liberalizmem gospodarczym i rozwojem prywatyzacji; pieniądze stwarzają różnice między rzeczami, klasyfikują i wyznaczają granice, tworząc zamknięty świat, a to, czego nie można oszacować, znajduje się poza nim i staje się bezwartościowe. Wolność wędrowca, człowieka, który zmierza, dokąd chce, i śpi, gdzie się trafi okazja, jest już tylko udziałem bezdomnego włóczęgi, który zajmuje najniższe miejsce w hierarchii społecznej, a podróżowanie z własnym lokum i jedzeniem, które w pewnym sensie otwiera świat i zawiera w sobie reminiscencję wolności, również nie jest uważane za atrakcyjne. Wystarczy wspomnieć Romów i ich status społeczny. Istnieje zatem skala – od bezdomnego, który sypia na ławkach i w bramach, w parkach i lasach na obrzeżach miast, do człowieka żyjącego w ogromnym mieszkaniu lub domu, z systemem alarmowym i strażnikiem przy wejściu. I dlatego trudno sobie wyobrazić, żeby taki ktoś jak Kjell Inge Røkke, pochodzący z klasy robotniczej, a obecnie jeden z najbogatszych ludzi w kraju, mógł się wybrać na kemping, choć w dzieciństwie prawdopodobnie właśnie tak spędzał wakacje z rodziną, a jeśli tak, to zna dobrze zapach wilgotnego

od rosy płótna namiotowego o zmierzchu i owo poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie ekscytacji podczas zasypiania przy dźwięku ściszonych głosów dobiegających z innych namiotów, gdzie kobiety i mężczyźni siedzą na krzeselkach kempingowych i rozmawiają w zapadającej letniej ciemności; zna radość z bycia w drodze, bo następnego dnia wszystko jest pakowane, bagaż znowu ładuje w samochodzie i jedzie się dalej, na następne pole kempingowe, gdzie kto wie, co nas czeka. Czy tam będzie basen? Czy będą sprzedawać lody włoskie? Czy będą dzieci w podobnym wieku? Czy będą tam trampoliny? Czy będzie blisko morza, z piaszczystą plażą? Czy przy rzece, obok lasu, blisko gór, w pobliżu pola, gdzie będą się pasły straszne byki? Wciąż pamiętam tę ekscytację z wypraw, w których uczestniczyłem w dzieciństwie, w latach siedemdziesiątych, gdy kemping stanowił najpopularniejszą formę spędzania wakacji i wszędzie widziało się załadowane po brzegi samochody stojące przy drogach, obok rozstawionych stołów kempingowych i toreb termoizolacyjnych, w czasach gdy konsumowanie przywiezionego przez siebie jedzenia nie było niczym wstydliwym (a co ma się tak samo do restauracji jak namiot do hotelu) z tego prostego powodu, że ludzie mieli mniej pieniędzy. Pola kempingowe nadal istnieją, ale ludzie są teraz zamożniejsi, więc nastąpiło to co jedynie logiczne: mobilne namioty i przyczepy stawały się powoli coraz mniej mobilne, powstały wokół nich ogrody, naszpikowano je wygodami i ozdobami, telewizorami i komputerami, lodówkami i suszarkami do ubrań, przez co zaczęły coraz bardziej przypominać zwykłe mieszkania, a teraz całkowicie się do nich upodobniły i obecnie pola kempingowe są miejscem, gdzie ludzie mieszkają na stałe przez połowę roku, ogrodzeni, odgradzeni i nietykalni, a jedyną rzeczą przywołującą na myśl wędrówkę i ruchliwość są koła ogromnych przyczep, które nie oznaczają już wolności, lecz są jedynie jej symbolem. Te pola kempingowe stanowią ucieleśnienie skostniałej tęsknoty, podobnie jak poza poety, który siedzi zamknięty w swojej wieży i pisze o tym, co otwarte i wolne.

## Letnia noc

Pewnej nocy siedziałem na hotelowym tarasie z tą, którą kochałem. Właśnie wróciliśmy z restauracji w centrum miasta – byłem tam zamknięty w sobie i udręczony, próbowała mnie z tego wyciągnąć, ale w końcu dała sobie spokój, tak że oboje milczeliśmy i tylko od czasu do czasu mówiliśmy cokolwiek, żeby przerwać kłopotliwą ciszę. Siedzieliśmy na zewnątrz; na dziedzińcu, wokół ogrodu, rosły krzewy róż, kwiaty były duże i krwistoczerwone, dachy domów wokół nas błyszcząły miedzianozłoto w świetle słońca. Przy innych stolikach panował pogodny nastrój, wielu gości skończyło posiłek, teraz siedzieli zrelaksowani, z wyciągniętymi przed siebie nogami, i pili kawę lub wino, rozmawiając i obracając w palcach coś, co leżało na stole: opakowanie wykałaczek, kieliszek do koniaku, filiżankę kawy. Zapłaciliśmy, kelner zamówił nam taksówkę, to był mikrobus, i gdy tak mknął ulicami, oddalając się od centrum miasteczka, miałem wrażenie, że my, to, co było nami, zniknęliśmy między rzędami siedzeń. Hotel znajdował się na końcu długiej alei, na małym wzgórzu nad cieśniną. Nasz pokój, w którym spędziliśmy zaledwie kilkanaście minut, ponieważ zameldowaliśmy się tego samego dnia późnym popołudniem, był biały, urządony w stylu marynistycznym, z widokiem na morze. Napuściła wodę do wanny, tak szerokiej, że swobodnie mogły się w niej zmieścić dwie osoby. Zgasiliśmy światła i położyliśmy się w ciepłej wodzie. Słońce zaszło, ale niebo było wciąż jasne i unosiło się nad ciemną taflą morza. Duże drzewo stało czarne i nieruchome, a nad nim błyskała samotna gwiazda. To musi być planeta, powiedziałem. Tak, chyba tak, zgodziła się. Między nami zgoda? – spytałem. Oczywiście, że tak, odparła. Kochaliśmy się w sypialni, ubraliśmy się i zeszliśmy do hotelowej restauracji. Drzwi na taras były otwarte na oścież, restauracja świeciła pustką, barman sprzątał przy dźwiękach muzyki jazzowej płynącej z odtwarzacza. Wyszliśmy na zewnątrz i usiedliśmy przy stoliku. Wody cieśniny były zupełnie nieruchome. Na jasnym niebie pojawiło się więcej gwiazd, a za trzema starymi liściastymi drzewami, które z naszej perspektywy wyglądały jak jedno, wschodził księżyc. Widziałem jedynie błyszczącą żółtą kolumnę w ciemnej wodzie między liśćmi, ale wiedziałem, że jest w pełni. W powietrzu zatrzepotał nietoperz. Poza cichą muzyką płynącą z wnętrza restauracji nie dolatywał znikąd żaden dźwięk. Wszyscy spali. Nad wodą kilka razy zakwakała kaczka. Po drugiej stronie cieśniny, gdzie las rósł aż do linii brzegowej, odezwał się inny ptak, wydając długi gwizd. I znowu zapadła cisza. Odwróciłem głowę i spojrzałem w stronę miasteczka, w którym niedawno byliśmy. Jego światła lśniły i migotały, spowite ciemnością, pod jasnym niebem. To była magiczna noc. Po chwili wstaliśmy i udaliśmy się ścieżką nad wodę, ostatni fragment pokonaliśmy po stromych schodach. Na końcu drewnianego pomostu stała ławka,

na której usiedliśmy. Siedzieliśmy w milczeniu, nie potrzebujemy nic mówić, pomyślałem, słowa zniszczyłyby wszystko, bo cisza była jak sklepienie nad krajobrazem. Stąd widzieliśmy księżyc wiszący wysoko nad lasem, idealnie okrągły. Nie mając konkurencji ze strony gór czy miast, panował niepodzielnie nad niebem. Chociaż woda wokół nas była gładka i cicha, miałem wrażenie, że się unosi. Od czasu do czasu słychać było delikatny plusk – to ryby, które żerowały. Czy tu nie jest pięknie? – zagadnąłem. Tak, odparła. Bardzo pięknie. I wkrótce zacznie świtać, powiedziałem. Tak, potwierdziła. Tego, że to ostatnia wspólna noc, żadne z nas wówczas nie wiedziało, ale następane dwa dni wydobyły na wierzch wszystko to, co zbierało się między nami od dawna, i nie znaleźliśmy żadnego innego sposobu na rozwiązanie tej sytuacji poza rozstaniem. Myśl o tym nadal sprawia mi ból – że byliśmy razem tej nocy, najpiękniejszej w moim życiu, i że nie dzieliliśmy jej ze sobą, choć tak mi się wówczas wydawało. W tym „my”, które tak mocno czułem, byłem osamotniony.

## Letnie popołudnie

Wcześniej tego dnia, który miał się okazać naszym ostatnim, byliśmy w innym mieście. Przespacerowaliśmy się po miejscowym deptaku, obok ratusza w stylu renesansowym i wielkiego murowanego kościoła, weszliśmy do parku i położyliśmy się na trawie na samym jego środku. Oprócz kilku nastolatków siedzących na ławce w cieniu drzewa jakieś trzydzieści metrów od nas nie było tam nikogo. Zewsząd dolatywał śpiew ptaków. Zwykle nie zwracam na niego uwagi, wtedy nie słyszałem nic innego. Czy to nie dziwne, że te ptaki śpiewają w sposób, który uważamy za piękny? – spytałem. Przecież tak wcale nie musi być. Nie, zgodziła się. W ogrodzie moich rodziców mieszka kilka ptaków, które brzmią okropnie. Wydają ochryple, brzydkie dźwięki. I mewy. Najohydniejsze ptaki, jakie znam. Kiedy są duże, zachowują się jak dinozaury. To są dinozaury, powiedziałem. Wiem o tym, odparła. Ale nie wszystkie ptaki budzą takie skojarzenia. Te, które fruwać w tym parku, nie kojarzą się z dinozaurami. Nie, odrzekłem i pomyślałem o dinozaurach ćwierkających jak ptaszki. To by zmieniło całe nasze wyobrażenie o tych stworzeniach. Ale nie wspomniałem o tym; zamiast tego zapaliłem papierosa i położyłem się w trawie. Po błękitnym niebie przeplątało kilka śnieżnobiałych chmur. Drzewa szumiały na wietrze, który teraz przybrał na sile. Jesienią i zimą dzień chyli się ku końcowi po południu, napotykając ścianę ciemności; wiosną dzień się rozrzedza, natomiast w letnie popołudnie pogłębia się i gęstnieje. Światło staje się pełniejsze, błękit nieba bardziej nasycony, a ciepło słoneczne, które przez cały dzień ogrzewało krajobraz, wciąż się utrzymuje; w niektórych miejscach dochodzi do jego akumulacji, czego przykładem może być rozgrzany asfalt lub nagrzane powietrze na małych leśnych polanach. Bryza nad morza sprawia, że korony drzew kołyszą się powoli, jakby zbudzone ze snu, a liście szeleszczą, przywodząc na myśl szemrzący potok lub przeciągłe westchnienie rozkoszy. Spójrz tam, powiedziała, na drzewo, widzisz, jak połyskuje? Usiadłem i przeniosłem wzrok we wskazanym kierunku. Drzewo rośnie po drugiej stronie wąskiej rzeki przecinającej park. Jej lustro było zbyt głęboko, żebyśmy mogli dostrzec wodę. Refleks świetlny, kruchy i przezroczysty, który błędził po grubym pniu, wyglądał tak, jakby pochodził z samego drzewa. Siedzieliśmy oboje i patrzyliśmy na niego. Światło poruszało się jak woda, kołysząc się i ściekając. Pomyślałem wtedy: jak to możliwe, że można wejść do szkoły i zacząć strzelać na oślep, zabijając kogo popadnie, dzieci i dorosłych, kiedy świat jest tak spokojny i piękny, wypełniony śpiewem ptaków, płynących rzek i nieruchomych drzew. Powód musi być chyba taki, że to, co jest, i to, co się dzieje, podlega dwóm różnym obiegom: rzeczy niezmiennie i powtarzające się, zastój i odwieczne piękno świata są czymś, co ten drugi obieg, działań i popędów, w całej



swojej istocie przynależny ludziom, ledwo muska. Jeśli te obiegi nie pozostają otwarte, jasne i wolne, lecz zatykają się i ulegają zaciemnieniu, co w mniejszym lub większym stopniu dzieje się z nami wszystkimi, to właśnie one stają się ważne, to one stają się nami. A bycie jedynie człowiekiem, bez osadzenia w świecie, jest niebezpieczne. To zawsze było i będzie niebezpieczne. O tym myślałem, patrząc, jak światło odbijające się w wodzie prześlizguje się po pniu drzewa tego letniego popołudnia, wiedząc, że nigdy o nim nie zapomnę, ponieważ przyglądałem mu się razem z nią.

## Inteligencja

Inteligencją określamy zdolność rozumienia kontekstów. Wszyscy ludzie posiadają tę umiejętność, którą charakteryzuje przede wszystkim jej ograniczoność: każdy coś rozumie, nikt nie rozumie wszystkiego. Granice zrozumienia są różnie ustawione i ostateczne w każdym z nas. To, że traumatyczne przeżycia lub wyjątkowa wrażliwość na czynniki zewnętrzne mogą obniżać próg rozumienia, a duży wysiłek woli może go podwyższać, nie oznacza, że inteligencja jest wielkością względną, lecz potencjalną – w tym znaczeniu, że może być maksymalnie wykorzystywana lub nie. Pojęcie inteligencji jest ze swej natury komparatywne, bo gdyby zdolność rozumienia kontekstów była równa dla wszystkich – tak jak umiejętność drapania się jest równa dla wszystkich, niemożliwa do zróżnicowania – pojęcie inteligencji byłoby bezsensowne. Człowiek jest inteligentny tylko wtedy, jeśli jest inteligentniejszy od innych. A ponieważ inteligencja również stanowi kontekst, który trzeba zrozumieć, korzystając z posiadanych zdolności, tych, którzy są zdolniejsi od nas, często trudno, a nawet nie sposób zauważyć. Osoba inteligentniejsza od nas widzi nas jasno i wyraźnie, wszystkie nasze myślowe ograniczenia są dla niej czytelne, natomiast my nie postrzegamy jej jako osoby inteligentniejszej, lecz widzimy jedynie tę część jej inteligencji, która ukazuje się w obrębie ograniczeń naszych myśli, trochę tak jak pies widzi we wszystkich psy. W społeczeństwach egalitarnych inteligencja jest jedną z najbardziej ambiwalentnych wielkości, ponieważ różnice, które reprezentuje, są nie do przewyciężenia, a różnice, których nie da się pokonać, są przecież fundamentalnie nieegalitarne. W tym ujęciu inteligencja przypomina urodę, również problematyczną dla egalitarnych społeczeństw. Rozwiązanie od zawsze polegało na tym, by udawać, że inteligencja nie istnieje lub że jest nieważna, ta gra zaczyna się już w szkole, gdzie zarówno inteligencja, jak i uroda przekazują podwójny komunikat: z jednej strony człowiek uczy się, że wygląd jest nieistotny, że liczy się wewnątrz i że wszyscy mają taką samą wartość, a z drugiej strony ta fundamentalna godność człowieka, z którą wszyscy się zgadzają i która przenika wszystkie poziomy wiedzy, jest stale podważana poprzez to, że ci ładni otrzymują zdecydowanie więcej uwagi i są lepiej traktowani niż ci brzydki, zarówno przez nauczycieli, innych dorosłych, jak i pozostałych uczniów.

Inteligencja również łamie umowę równości, choć w inny sposób, bo podczas gdy uroda nie stanowi zagrożenia – może dlatego, że jest absolutna i w pewnym sensie skończona – inteligencja jest zagrożeniem, ponieważ wszyscy potrafimy myśleć, wszyscy rozumiemy konteksty, a to, że niektórzy myślą sprawniej i rozumieją więcej kontekstów, i przychodzi im to łatwiej i szybciej, może być trudne do zaakceptowania. Zagrożenie jest stałe, ale wydaje się

przybierać ostrzejszą formę w latach nauki szkolnej, bo to jedna z niewielu faz, podczas których zdolności umysłowe i zdolność rozumienia są nie tylko ustawicznie testowane, lecz także oceniane, przez co wszystkie różnice intelektualne między ludźmi zostają obnażone. Wszyscy ci inteligentni, z którymi chodziłem do szkoły, starali się w pewnym momencie ukryć swoją inteligencję, stonować ją, ponieważ konsekwencją bycia inteligentnym były wykluczenie z grupy, brak szans na popularność, a w niektórych wypadkach również mobbing. Nigdy nie przytrafiło się to ładnym uczniom, z którymi miałem do czynienia, wręcz przeciwnie: wszyscy im nadskakiwali i zabiegali o ich względy.

Najinteligentniejszy uczeń w liceum miał na imię Gjermund; na jednej z przerw napisaliśmy na tablicy informacyjnej biegnącej wzdłuż całej ściany w klasie wielkimi czarnymi literami: „GJERMUND JEST BRZYDKI”. To miało być ironiczne, bo tak zachowywali się uczniowie w podstawówce, a my byliśmy licealistami, i to, co zrobiliśmy, parodiując dzieciaki z podstawówki, zmieniało w naszych oczach przekaz, czyniąc go czymś innym i zupełnie niegroźnym. Gjermund chyba jednak nie podzielał naszego zdania, bo gdy to zobaczył, zrobił się biały jak ściana, a do oczu napłynęły mu łzy. Mimo to udał, że nic się nie stało, i było po sprawie, w każdym razie dla nas. Ale nikt nie usunął tego napisu, więc dla niego prawdopodobnie sprawa się nie skończyła, bo każdego dnia przez resztę roku musiał patrzeć na to zdanie. Nie mam pojęcia, jak potoczyło się jego dalsze życie, ale wiem jedno: że stosunek do inteligencji w wymiarze społecznym zmienia się, kiedy człowiek staje się dorosły, bo nawet egalitarne społeczeństwo potrzebuje ludzi, którzy odznaczają się wyjątkową inteligencją, a głównym zadaniem szkoły nie jest wcale przekazywanie wiedzy, lecz przesiewanie, dzięki czemu ci inteligentni trafiają w odpowiednie miejsce, a wszyscy inni uczą się, że nie istnieją żadne różnice między ludźmi, co sprawia, że później pozwalają, by rządzili nimi ci inteligentni.



## Brzoza

W monochromatycznej potędze lasu, gdzie prawie wszystko jest zielone lub podchodzi pod zieleń, jak szarawa kora świerka, brzozy prezentują korę białą, przez co łatwo sobie wyobrazić, że należą do klasy wyższej, do drzewnej szlachty, proste i eleganckie, nerwowe i piękne. Ale zarówno uroda, jak i genealogia są pojęciami przynależnymi światu ludzi i nie mówią nic znaczącego ani o zwierzętach, ani o drzewach, więc kiedy myślimy, że świerk jest ponury i zamyślony, sosna dumna i kochająca wolność, osika bojaźliwa, dąb majestatyczny, a brzoza czuła i może w rzeczywistości bardziej podobna z natury do konia niż do drzewa, przerabiamy je na swoją modłę, wyciągamy na zewnątrz własne wnętrza. Ale chociaż wiem, że tak jest, że wszystko, co rośnie w lesie, jest obojętne wobec nas i naszego o nim wyobrażenia, wliczając w to teorię ewolucji Darwina oraz systematykę roślin i zwierząt Linneusza, widok kobierca zawilca gajowego zawsze budzi we mnie myśl, że zawilce są nie tylko ładne, ale i dobre, a widok brzozy, na przykład tej, która rośnie w naszym ogrodzie, tuż obok miejsca, gdzie parkuję samochód, za każdym razem kojarzy mi się z delikatnością. Dzieje się tak oczywiście dlatego, że brzoza wyróżnia się na tle innych drzew, a czerpiąc z doświadczeń ludzkich, jestem przyzwyczajony, że tych, którzy się wyróżniają, łatwo zranić. Gdy dorastałem, wiedziałem dokładnie, gdzie rosną wszystkie brzozy, to one definiowały miejsce, w którym się znajdowały, trochę jak przystanek autobusowy, wspornik mostu, występ skalny, moczary i głębia rzeki. Znałem również dobrze poszczególne formy występowania brzóz, wiedziałem, że zimą tracą objętość, prawie jak psy lub koty o puszystej sierści, kiedy są mokre, że wiosną gałązki pokrywają się bladozielonymi pąkami, które bez względu na to, jak stare to były drzewa – a niektóre z nich były prawdopodobnie równolatkami moich dziadków – sprawiały, że wyglądały one młodo i wstydliwie, że te drobne, podobne do cekinów listki zwisały latem w grubych wstęgach, dzięki czemu listowie przypominało suknię, i że w czasie wczesnojesiennych burz były podobne do statków z żaglami rozpostartymi na wietrze lub do łabędzi uderzających skrzydłami w chwili, gdy wzbijają się w górę ponad taflą wody. Brzoza należała do niewielu gatunków drzew, na które się nie wspinaliśmy; z powodu gładkiej kory trudno było znaleźć podporę dla stóp, a poza tym pień zwykle dzielił się na konary dość wysoko nad ziemią. Ale nie znaczyło to wcale, że brzozy były jedynie przyjemne dla oka – każdej wiosny odwiedzaliśmy je, nacinaliśmy jedną z gałęzi, nakładaliśmy na nią butelkę, przywiązywaliśmy ją i pozwalaliśmy, żeby wisiała tam do następnego dnia, napełniając się połyskującą zielonkawo ciecżą, którą wypijaliśmy – była słodka jak sok. Nie wiem, skąd się wziął ten zwyczaj, ale wszyscy go znali; to się działo w latach siedemdziesiątych, gdy ludzie zbierali

jagody nie tylko przy okazji spaceru po lesie, lecz także po to, by wspomóc domowy budżet – z tego samego powodu łowili ryby – i prace manualne były wplecione w życie dzieci: z gałązek wierzbowych i łodyg mniszka lekarskiego robiliśmy pieszczaki, z młodych drzew liściastych łuki i strzały, piliśmy sok z brzozy i budowaliśmy szałas z gałęzi świerkowych, a jednocześnie przesiadywaliśmy w naszych pokojach i słuchaliśmy Status Quo, Mud, Slade i Gary’ego Glittera. Niepojęty wiek różnych gatunków drzew nie interesował nas, tak jak nie przejmowaliśmy się niepojętym wiekiem naszego własnego rodu; dla nas wszystko rozgrywało się tu i teraz, wszystko istniało jednocześnie, brzoza, samochód, klasa, zagajnik, krzaczek czarnej jagody, muzyka, ryba, łódka. I w pewnym sensie tak właśnie było, bo – pomijając góry i morze – prawie wszystko, co nas otaczało, nie trwało dłużej niż życie ludzkie; dotyczy to również brzoź, które w rzadkich wypadkach mogą dożyć trzystu lat, ale zazwyczaj żyją około stu. Jednak choć muzyka, której słuchaliśmy, zmieniała się od brytyjskiego glam rocka do brytyjskiego punku i postpunku, a ubiór od dzwonów i dzierganych swetrów lat siedemdziesiątych do czarnych płaszczy i martensów typowych dla lat osiemdziesiątych, i chociaż wyprowadziliśmy się stamtąd, a dzieci, które po nas przyszły, nie ciągnęło już tak do lasu, brzozy stały tam jak zawsze, w pozach, które zostały wypróbowane miliony lat temu, w kredzie, gdy ich biało-czarne pnie i czyste zielone liście zaczęły pojawiać się w lasach, a ich charakterystyczny ruch na wietrze po raz pierwszy zaistniał na scenie świata.

## Piana

Wszystko dzieje się zgodnie z prawem. Powietrze porusza się, bo gdzieś powstała różnica ciśnień i wszystkie niewidzialne cząsteczki wpadają w wielkie kieszenie, by je wypełnić. Nacisk spowodowany przez ten ruch odpycha powierzchnię morza, ale ponieważ nie tworzą się żadne jamy, do których woda mogłaby wpłynąć, zamiast tego wypiętrzają się fale. Fale, poruszane wiatrem, rzucają się wciąż do przodu i za każdym razem, gdy uderzają o powierzchnię, ciągną ze sobą powietrze. Gdyby powietrze podlegało innym prawom niż woda, można by sobie wyobrazić, że ściągane przez fale w dół, zbierałoby się tam i istniało w postaci dużych podwodnych szybów, podobnych do grot powietrznych systemów, ale tak się nie dzieje, ponieważ powietrze jest lekkie, a woda ciężka, więc wypełnia ona natychmiast wszystkie wolne przestrzenie pod powierzchnią morza. Ruch jest mechaniczny, powietrze nie łączy się z wodą, tylko jest wpychane w coraz mniejsze kieszenie, które mają ten sam kształt: małych okrągłych baniek otoczonych dość cienkimi ściankami z wody. Systemy takich baniek tworzą w ciągu kilku sekund olbrzymie struktury wypychane przez fale w górę i do przodu, co możemy obserwować za każdym razem, kiedy na morzu wieje wiatr: białe spienione wierzchołki pojawiają się na szaroczarnej lub szarozielonej powierzchni wody i znikają z niej. Parskając, sycząc, szumiąc, rzucają się w przód niczym końskie łby, zanurzają się i znowu wynurzają. Żywot piany jest ekstremalnie krótki; kiedy fala zostanie rzucona do przodu i zniknie, piana unosi się na wodzie przez kilka sekund w postaci wijącego się welonu bieli, by po chwili rozpuścić się i zniknąć. Ten proces wydaje się stały, ciągle bowiem dzieje się to samo, w tej niepojętej obfitości powtórzeń, która charakteryzuje wszechświat. Jak nieskończenie wiele małych baniek powietrza tworzy się na powierzchni morza w wietrzny dzień! W tej eksplozji formacji, struktur, wzorów i form na niczym się nie oszczędza. Wybuch jest krótkotrwały – następnego dnia powierzchnia może być gładka jak stół, a po pianie nie będzie śladu – ale krótkotrwały jest tylko dla nas, trochę tak jak kosmiczna eksplozja formacji, struktur, wzorów i form jest dla nas długotrwała. Zamiast w ciągu ułamków sekund rozkładają się przez miliardy lat. Ale nietrudno wyobrazić sobie stworzenie, które miało inne poczucie czasu: jedna sekunda byłaby dla niego wiecznością, dzięki czemu morze i morska piana wydawałyby mu się nieruchome i krystaliczne. Jeśli pójdziemy dalej tym tropem i wyobrazimy sobie, że względne są i czas, i przestrzeń, cały wszechświat mógłby się zmieścić w jednej z baniek powietrza i wówczas dla tego stworzenia byłby wiecznie nieruchomy i podlegający prawom, które można obserwować i spisywać, lecz nie da się ich zrozumieć. Może to stworzenie zwróciłoby z czasem uwagę na fakt, że wszystkie ciała niebieskie zawieszono w nieskończonej przestrzeni

oddalają się, i wyciągnęłoby nieunikniony wniosek, że wszechświat jest entropijny i zmierza nieuchronnie do swojego końca? Że Wielki Wybuch był jak wystrzał korka od szampana, a kosmos – jak skupisko baniek, które uniosły się przez ciasną, zimną szyjkę butelki i wlały do czekających na nie mieniących się w świetle kieliszków, wzniesionych do toastu w jakimś mieszkaniu?



## Ślimaki

Wszystkie nazwy, które nadaliśmy małym, miękkim, obślizgłym i ciemnym zwierzętom, które czołgają się powoli wszędzie, gdzie panuje wilgoć – mięczaki, płucodyszne, rozdętkowate, ślinikowate, nagoskrzelne – mają w sobie coś wilgotnego i miękkiego, tak mi się zdaje, i za każdym razem, kiedy widzę ślimaka, uderza mnie to, jak odwraca pojęcia, które poza tym należą do tego, co intymnie ludzkie, i w tym kontekście wyrażają to, co najpiękniejsze – nagość jest bezbronnością, wilgoć podnieceniem, płuca oddechem życia – ponieważ nagość ślimaka, wilgoć ślimaka, płuca ślimaka są raczej odrażające, wyjątkowo niepożądane i obrzydliwe. To, że ślimaki z muszlą są mniej obleśne od tych nagich, tak jak żółw jest mniej obleśny od ropuchy, mogłoby wskazywać, że reagujemy tak na nagość samą w sobie – i brzmi to prawdopodobnie: czy najohydniejszą częścią szcúra nie jest jego nagi ogon? Jednocześnie istnieje wystarczająco dużo innych zwierząt, które nie mają wyraźnego rozgraniczenia między swoim wnętrzem a zewnątrz, na przykład meduza lub dżdżownica, i dlatego również powinny budzić odrazę. A może jest tak, ponieważ ślimaki są bardziej do nas podobne, stoją bliżej nas niż meduzy? Że właśnie to, iż mają płuca, serce, oczy, sprawia, że ich nagość jest wstrętna? Co prawda ich oczy są zupełnie innej, obcej naszym budowy, umieszczone na czubku czułek, których ślimaki posiadają dwie pary, te wyżej są do patrzenia, te niżej do wężania, jak pewnego rodzaju wypreparowany nos. Co widzimy, kiedy patrzymy, jak wychodzą po deszczowej nocy, czołgając się powoli z podniesioną głową? Przypominają sędziwych królów, władców runa leśnego, cesarzy zbutwiałych liści i wilgotnej ziemi. Ale ta godność, która jest uderzająca i która powinna skłaniać nas ku temu, by je wywyższać, trochę tak jak Egipcjanie wywyższali koty, a Hindusi krowy, znika zupełnie w tej odrazie, którą budzi ich nagość i śluzowata gładkość. Czy nie ma w nich przypadkiem czegoś niemal prowokacyjnego? Czegoś niezgodnego z naturą? Przypominają część wnętrza, organy ciała: płuca, wątroby, serca, gładkie, zaokrąglone i nagie, bez rozgraniczenia między wnętrzem i zewnątrz. Czy to dlatego są obrzydliwe, że wyglądają jak małe płuca, które pełzają, gdzie chcą, z oczami na szypułkach, jak małe wątroby lub małe serca? I dlatego zdają się niemal prowokować, że przeczą naturze, a pełzają sobie z taką oczywistością, jedzą, rozmnażają się, i to wszystko odbywa się tak cholernie powoli, wszystko dzieje się tak cholernie majestatycznie – co te pieprzone ślimaki sobie myślą, że kim niby są? Milimetr za milimetrem ślizgają się do przodu między wilgotnymi źdźbłami traw, mokrymi paprociami, po miękkim mchu, i wiodą życie w zgodzie ze swoimi zdolnościami i ograniczeniami, tak jak wszystkie organizmy żywe. Gdy dorastałem, ślimaki były czarne i pojawiały się po ulewie jakby z wnętrza ziemi, bo nagle były wszędzie, na

środku trawników, na ścieżkach, nawet na czarnych asfaltowych drogach naszego osiedla. Kiedy ktoś nadepnął na ślimaka, mówiło się, że będzie padał deszcz, więc starannie je omijaliśmy. Jednak zdarzało się to nam, czasem z nieuwagi, czasem celowo: chyba każde dziecko przynajmniej raz w życiu rozdeptało ślimaka i patrzyło, jak jego wilgotne wnętrze rozbryzguje się na asfalcie i jak czerń miesza się z pomarańczowym i białym. Od tamtego czasu Skandynawię opanował nowy gatunek ślimaka, tak zwany ślimak morderca<sup>[2]</sup>, duży, brązowy, przywleczony z Portugalii lub Hiszpanii, który rozmnaża się niesłychanie szybko i czyni ogromne szkody w ogrodach, pożerając wszystko, co napotka na drodze. Pewnego roku w naszym ogrodzie roiło się od nich, ślimaki były wszędzie, zupełnie jakby spadały z nieba jak deszcz. Moja teściowa zbierała dzieci i udawała się z nimi na polowanie. Wyposażeni w wiadro i ostre nożyce ogrodowe przeczesywali trawę, a kiedy znaleźli ślimaka, przecinali go na pół i wrzucali do wiadra. Nie mogłem na to patrzeć, nie mówiąc o tym, żebym miał wziąć w tym udział, to było zbyt okrutne. Ale taki rajd, podczas którego udawało się wyeliminować około dwudziestu ślimaków, mijał się z celem; kilka dni później było ich tyle samo. W końcu, jakiś czas po wyjeździe teściowej, sam wyszedłem do ogrodu z wiadrem i nożycami. Ukląłem przed jednym z brązowych najeźdźców. Był długości mojego środkowego palca, gruby jak parówka, z biegnącymi wzdłuż ciała rowkami i szeroką, przypominającą pasek beżową nogą. Gdy go podniosłem, zaczął się powoli wić, a gdy umieściłem go między ostrzami nożyc, czułki się poruszyły. Zbliżyłem do siebie uchwyty na palce i gdy ostrza wbiły się w ciało ślimaka, usłyszałem jego krzyk, cichy i przenikliwy.

## Porzeczki

Porzeczki to małe, okrągłe i gładkie jagody zwisające w gronach z gałęzi krzewu, zwykle od pięciu do piętnastu na każdej łodyżce. Chociaż łodyżka jest cienka i elastyczna, dość miękka, strukturą bliższa liściom niż gałęziom, jagody, które utrzymuje, są zaskakująco twarde. Przypominają kulki, a grona zwykle rosną tak gęsto, że w niektórych miejscach może zwisać obok siebie aż do stu jagód, niczym w torebkach pod gałęziami. Często są ukryte za ciemnozielonymi liśćmi i w tym tkwi jedna z największych przyjemności ich zbierania: trafić na taką żyłą jagód wśród góry liści. Porzeczki zbiera się, chwytając łodyżkę na samej górze, a wtedy to, co trzymamy w dłoni, może przypominać larwę: cienka zielona łodyżka to nogi, a rząd owoców to pulchne ciało. Najpopularniejsze są porzeczki czerwona i czarna, ale istnieją również odmiany żółtozielone i bladożółte. Niedojrzałe owoce czerwonej porzeczki są zielone, potem jasnoczerwone, czasem niemal pomarańczowe, dopiero pod koniec czerwca i na początku lipca przybierają dojrzałą, intensywnie czerwoną barwę, która później, jeśli jagody nie zostaną zebrane, przechodzi w ciemną czerwień. Jaskrawość koloru potęguje skórka porzeczki, jasna, gładka i błyszcząca; odbijając światło słoneczne, sprawia, że jagody przypominają szklane koraliki. Kiedy przegryzamy porzeczkę, najpierw rozlega się cichy trzask, spowodowany pęknięciem napiętej skórki, zanim zęby wgrzyzą się w miąższ, który jest soczysty – prawie jak miąższ melona, można by pomyśleć, gdyby nie to, że porzeczki są tak małe i ilość miąższu tak niewielka, iż porównanie z melonem wydaje się przesadzone – a jednocześnie kwaśny, tak że usta wykrzywają się automatycznie, gdy tylko wewnątrz porzeczki zetknie się z językiem. Kwaśny smak w połączeniu z niewielkim rozmiarem sprawia, że porzeczka ma w sobie coś ekskluzywnego i wyrafinowanego, nie jest łatwo dostępna i nie można jej spożyć zbyt dużo. Jednocześnie w naturze porzeczek lub w naszym stosunku do nich jest jakaś sprzeczność, ponieważ porzeczki, mimo że delikatne, występują w ogromnych, niemal niewyczerpanych ilościach. Gdybyśmy stwierdzili, że porzeczka jest księżniczką wśród jagód, i przenieśli to na nasz ludzki grunt, okazałoby się, że w każdym kraju mieszkają tysiące, ba! dziesiątki tysięcy księżniczek. Rozwiązaniem tego konfliktu między ekskluzywnym charakterem a niewyczerpaną ilością porzeczek jest zrobienie z nich musu, dodanie cukru i przygotowanie soku lub rozmaitych przetworów. W ten sposób porzeczki tracą swój elegancki, wyrafinowany charakter, już nie przypominają sznurów małych, błyszczących, czerwonych koralików wiszących wśród zielonych liści i nie wkluwają igieł cierpkości w to co świeże, lecz zamieniają się w przechowywaną w wekach w piwnicy słodką, lepkaż, którą w jesienne i zimowe miesiące smaruje się pieczywo (historia jego pochodzenia jest podobna: od żółtego ziarna na polu,

nasyconego ciepłem i światłem słońca, do suchej białej mąki i miękkiego, lekko wilgotnego chleba otoczonego twardą skórką), lub w czerwony, klarowny, skoncentrowany, słodki płyn, w okresie jesienno-zimowym przechowywany w butelkach, a latem wlewany do szklanki, mieszany z wodą i pity w kuchni na stojąco lub do posiłku podawanego na dworze, w cieniu jabłoni, niedaleko krzaków porzeczek, choć to nie z nimi się teraz kojarzy, lecz z butelką, w której był przechowywany, i z latem, w czasie którego był wypijany.

Wszystko, czym się otaczamy, odbywa taką podróż, coś w rodzaju miniatury kontynentalnej lub mikromiędzygwieżdnej wyprawy, a kiedy człowiek już to zrozumie, może przeżyć najbogatsze życie w domu z ogrodem, trawnikiem, kilkoma drzewami owocowymi i paroma krzakami porzeczek.

## Letni deszcz

Gdy tu siedziałem i pisałem, nagle zaczął padać deszcz, w środku dnia, dziesiątego czerwca 2016 roku; bez najmniejszego ostrzeżenia powietrze na zewnątrz zrobiło się prądkowane, jak to bywa, kiedy krople deszczu mkną z nieba. Krople nie były duże, nie bębniły o dach, lecz z cichym szelestem upadały miękko na wszystkie powierzchnie. Niebo nad drzewami w pobliżu cmentarza było błękitne, a chmury przepływające niejako tuż za drzewami – białe, niektóre z nich błyszczały w promieniach słońca. I dlatego deszcz miał w sobie coś nierzeczywistego. Przeczyło mu zarówno światło na niebie, jak i w ogrodzie, i może to jest właśnie definicja nierealności: obecność dwóch wzajemnie wykluczających się zjawisk. Ale letni deszcz nie budzi strachu, nie reprezentuje tej formy nierzeczywistości, którą przedstawiałby widok mojej córki idącej kamienną ścieżką, gdybym jednocześnie widział ją w kuchni – chodzi chyba bardziej o to, że nierealność letniego deszczu wyostrza zmysły i pozwala mu się ukazać w jego prawdziwej, unikatowej formie. Przez kilka minut lał się z nieba, tak szybko, że wyglądał jak krata srebrnych nici wisząca w powietrzu nad trawnikiem, po czym równie nagle zniknął, zostawiając krajobraz takim, jaki był przedtem, tylko bardziej mokrym. Kamienie na ścieżce były ciemne, trawa połyskiwała, kilka kropli spłynęło po liściach wierzby i spadło na ziemię jedna po drugiej. Tego samego dnia, parę godzin później, gdy wszystko wyschło, znowu zaczęło padać. Ten deszcz był inny, na początku cichy, kilka kropli, nic więcej, jakby badał grunt. Siedziałem na korytarzu z najmłodszą córką na kolanach i wkładałem jej sandały, drzwi były otwarte, tak że widziałem krople, tym razem duże, które rozbijały się o kamienne płyty. Powoli zwiększały liczebność i gdy mieliśmy wyjść do samochodu, lało jak z cebra. Ale odległości między kroplami były zaskakująco duże, a jednocześnie trawnik opromieniało słońce, i gdy szedłem za córeczką, która biegła co sił w nogach, wołając: pada deszcz! pada deszcz! – pomyślałem, że ten deszcz także był niezwykły. Jechałem do sklepu, a krople uderzały o przednią szybę, i chociaż wycieraczki natychmiast zmiatały je na bok, woda utworzyła na szkle coś w rodzaju błony. Przed sklepem, gdzie ludzie biegli do swoich samochodów lub z nich wybiegali, panował pogodny nastrój, były śmiech, uśmiechy i wesołe komentarze, jak to bywa, kiedy po kilku tygodniach słonecznej pogody nagle zaczyna padać deszcz i wszyscy wiedzą, że wkrótce przestanie, w przeciwieństwie do jesiennych i zimowych opadów, które we wspólnej przestrzeni społecznej wywołują atmosferę przygnębienia i rezygnacji. Gdy po jakimś czasie wyszliśmy ze sklepu, już nie padało. Na asfalcie utworzyły się kałuże, karoserie aut lśniły, część samochodów miała nadal włączone wycieraczki. Świeciło słońce, ale na północnym wschodzie, nad drzewami w alei, niebo było

niemal całkiem czarne. Postawiłem torby z zakupami na podłodze z tyłu auta, zapiąłem córkę w foteliku, usiadłem za kierownicą, wycofałem samochód i ruszyłem w stronę szarocznego nieba, na którego tle ciemnozielone korony drzew zdawały się świecić. W oddali rozległ się grzmot.

## Nietoperze

Nietoperze są tak nietypowe, że łatwo wziąć je za wybryk natury, relikw z czasów, gdy stworzenia różniły się radykalnie od żyjących obecnie, ale fakt jest taki, że istnieje tak wiele gatunków nietoperzy – jest nim co czwarty ssak – iż stanowią one raczej pewnego rodzaju centrum współczesnej biologii. To, że nie jesteśmy z nimi tak oswojeni jak z innymi zwierzętami, na przykład z myszami czy wronami, świnkami morskimi czy bażantami, wynika nie tylko z tego, że nietoperze latają i są płochliwymi zwierzętami nocnymi, bo to samo dotyczy również sów, lecz także z ich najgłębszej istoty, z tego, że żyją na tym świecie w tak specyficzny sposób, że uczyniły go swoim własnym i że to właśnie ten świat jest niewspółmierny do naszego. Z sówami dzielimy rzeczywistość, z nietoperzami nie. Jak na tak małe zwierzęta żyją zaskakująco długo, nawet do czterdziestu lat, a to oznacza, że mają zupełnie inne doświadczenie niż na przykład myszy, dożywające roku lub dwóch lat. A ponieważ nietoperze są ssakami, podczas gdy wszystkie inne latające stworzenia są ptakami lub owadami, niewykluczone, że dla nich latanie oznacza coś zupełnie innego, że lot nietoperza stanowi unikatowe przeżycie, jakiego nie doświadcza żaden inny gatunek na świecie. Poza tym ślepe stworzenia są raczej powolne i przywiązane do ziemi; środowiska, w których żyją, i tryb życia, jaki wiodą, dają czas i miejsce innym zmysłom, podczas gdy nietoperze dzięki echolokacji nawigują z gwałtowną prędkością w zmieniającej się, otwartej i zamkniętej przestrzeni, między domami w miastach lub drzewami w lasach. Również to, życie w ciemnej, sonarowej rzeczywistości, jest doświadczeniem, którego nietoperze nie dzielą z żadnymi innymi stworzeniami. Każdej wiosny, gdy mieszkaliśmy w Malmö, pewien nietoperz zaczął latać wieczorem tam i z powrotem między ścianami i dachami, obserwowałem go z balkonu na szóstym piętrze, gdy siedziałem tam i paliłem papierosa; od czasu do czasu przecinał powietrze zaledwie dwa metry ode mnie, w charakterystyczny dla nietoperzy nierówny, nieco spazmatyczny sposób. Może robił to od pięciu lat, a może od trzydziestu, nigdy się tego nie dowiem. Ani tego, czego doświadczył, jakie obrazy wypełniały jego mózg, gdy tak latał. Dźwięki, które z siebie wydawał, o częstotliwościach fal wykraczających poza zakres słyszalny dla człowieka, odbijały się od ścian i na podstawie ich długości wiedział, czy przestrzeń znajdująca się przed nim jest otwarta, czy zamknięta. Co wtedy widział? Nie widział ani muru z cegieł, ani cementu, ani komina, ani gzymsu, tylko coś, co trzeba ominąć, jakąś przeszkodę. Zmysł echolokacji u nietoperzy nie jest bowiem wcale prymitywny, wręcz przeciwnie: jest nieskończenie precyzyjny, umożliwia lokalizację w powietrzu nawet maleńkich owadów. Czy przypomina gęstą siatkę, w której świat ukazuje się w formie negatywu, prawie jak w tablicy szpilkowej

pełnej małych metalowych pręcików, w które można wsunąć twarz i zobaczyć, jak rysy wyłaniają się w postaci pustych przestrzeni? Nietoperze nie potrafią szybować jak ptaki, muszą machać skrzydłami, by utrzymać się w powietrzu, a to wymaga sporej ilości energii, ich serce bije z prędkością pięciuset uderzeń na minutę. Zimą, kiedy nie ma owadów, zapadają w stan hibernacji: procesy życiowe ulegają znacznemu spowolnieniu, a zwierzęta zbliżają się do granicy śmierci, bo ich serce bije wówczas tylko cztery razy na minutę. Czy kiedy nietoperz budzi się wiosną i jego serce zaczyna bić coraz szybciej, jest oswojony ze sobą i życiem, które na niego czeka? Czy czuje się tak jak my, kiedy wracamy do domu po dłuższych wakacjach i widzimy, że wszystko ma na sobie delikatny połysk obcości? Prawdopodobnie w ogóle nie zarejestrował swojej nieobecności w świecie, prawdopodobnie wpada w siebie i swoje życie w ułamku sekundy. Ale to może wystarczyć, by powstały w nim zadowalające, może nawet radosne odczucia: kolejny raz ma okazję rzucić się w wir sonarowych śladów i przelecieć przez labirynt we własnej głowie.



## Łódź

Wszystko, czemu potrzeba dyktuje formę, staje się szybko niezmiennie, wynik pierwszych eksperymentów przybiera niejako standardowy kształt – taki, jaki okazał się najbardziej funkcjonalny. Obecnie wszystkie okulary są połączone z cienkim prętem biegnącym wzdłuż skroni i zaginającym się za uszami. Takie odmiany jak monokl czy lorgnon już nie istnieją. Współcześnie wszystkie rowery mają dwa koła równej wielkości, ich odmiana, welocyped, z ogromnym kołem przednim i małym tylnym, szybko okazała się nietrafiona. Te same zasady dotyczą bardzo starych przedmiotów, których ludzie używali przez tysiące lat, a których forma szybko musiała zostać udoskonalona, by dana rzecz mogła przetrwać w niezmiennym kształcie, opierając się prądom czasu. Miska do przygotowywania i podawania jedzenia, dzban do przechowywania wody, nóż do krojenia mięsa, pług do orania pola, łódź do poruszania się po rzekach, jeziorach i morzach. Kształt łodzi, która zwięza się ku dziobowi, by możliwie najefektywniej przecinać taflę wody i pruć fale, i która jednocześnie, dla stabilizacji, zwięza się ku kilowi, jeśli łódź przekracza pewną wielkość, był taki sam bez względu na to, czy człowiek przemieszczał się, używając wiosła, pagajów czy żagla, czy łódź była mała, czy duża, czy przewoziła ludzi, czy towary, czy służyła do połowów, czy do celów wojennych. Silnik zrewolucjonizował wiele dziedzin życia, ale nie łódź, jej kształt już wtedy był idealny i silnik mógł co najwyżej się z nim zintegrować, choć wcale tak nie myślałem, gdy kupiliśmy naszą pierwszą łódkę, która pewnego wiosennego dnia została spuszczone ostrożnie na trawnik z ciężarówki holowniczej zaparkowanej na drodze przed żywopłotem. Tę łódź kupił mój ojciec. Mieszkaliśmy na wyspie i może ojciec uważał, że łódka wiąże się z życiem wyspiarza albo z jego życiem, tak jak je sobie wówczas wyobrażał. To była tak zwana łódź z Sørlandet, drewniana, z wbudowanym silnikiem marki Volvo Penta. Była dość szeroka i poruszała się powoli; przy normalnej prędkości silnik stukał uspokajająco, a przy maksymalnej trzeszczał dziko. Poznałem ją całkiem dobrze, bo tamtej pierwszej wiosny to mój brat i ja musieliśmy usunąć farbę i lakier trójkątną skrobaczką, a potem wypolerować łódkę papierem ściernym, później ojciec polakierował ją z zewnątrz i pociągnął farbą od środka. To była nudna i monotonna praca, poza tym przez cały czas słyszeliśmy głosy i krzyki innych dzieci, a zarazem ta szczególna radość towarzysząca wykonywaniu pradawnej pracy – przygotowywaniu drewna do kontaktu z wodą – była nam zupełnie obca: świat dziecka rozgrywa się tu i teraz i dlatego chcieliśmy zostawić to wszystko i bawić się jak rówieśnicy. Mimo to gdy ta sama ciężarówka holownicza zjawiała się któregoś dnia w czerwcu, zabrała łódkę z naszego ogrodu i chwilę później spuściła ją na wodę kilkaset metrów od domu, poczułem delikatną satysfakcję związaną

z naszą pracą, bo dobrze było wiedzieć, że drewno zostało zaimpregnowane i że woda nie wdrze się do środka, ale wkrótce o tym zapomniałem, łódź szybko stała się częścią codzienności, z kilkoma fantastycznymi przebłyskami, jak wtedy gdy sunęliśmy powoli przez wąskie cieśniny i zielonkawe dno morskie prześwitywało przez chłodną przejrzystą toń albo gdy u ujścia fiordu zobaczyliśmy, jak lśniące srebrzyście ryby wypływają z głębin i zaczynają brać, dzikie podrygiwanie wędki, gdy walczyły o życie, jak mocno trzeba było ścisnąć w dłoniach ich gładkie, napięte ciała, żeby uspokoić je na tyle, by móc wyjąć im z pyska haczyk, i jak wiotkie potrafiły się nagle zrobić. Mój ojciec palił wówczas fajkę i pamiętam, jak trzymał ją w ustach, siedząc na rufie przy sterze, gdy powoli pyrkaliśmy po wodach cieśniny. Pamiętam też, że coś mi się nie zgadzało, coś było nie tak: łódź płynęła za wolno jak na możliwości mojego ojca. Teraz sobie myślę, że to był sposób dziecka na zrozumienie jakiejś istotnej prawdy o nim. Że prędkość, którą miał w sobie, była większa od życia, jakie wiódł, i że było tylko kwestią czasu, kiedy siła tej asymetrii wyrzuci go z orbity wraz z łodzią, fajką, domem i dziećmi na inną, szybszą i bardziej dziką.

## Wilk

Jednym z dowodów na to, że rzeczywistość zmienia się radykalnie szybciej od języka, którym ją opisujemy, jest nasz stosunek do zwierząt. W latach siedemdziesiątych, gdy dorastałem, wilk był zaskakująco obecny w kulturze, chociaż w środowisku naturalnym, w każdym razie norweskim, już nie występował. Pamiętam, jak pewnego wieczoru siedziałem w kuchni i powiedziałem do mojej matki, że jestem *skrubbsulten*<sup>[3]</sup>, a ona spytała, czy wiem, że *skrubb* to inna nazwa wilka. Tego nie wiedziałem, za to o wilku wiedziałem sporo. „Samotny wilk” mówiło się o mężczyźnie, który chadzał własnymi drogami, jak Morgan Kane czy Jonah Hex. Dla nich bycie samotnym było czymś dobrym, a wilk stanowił obraz nie tyle samotności, ile woli. To było pocieszające, coś, do czego można było sięgać myślami. Ludzie nazywają go również szaronogim, szarołapym lub basiorem, dodała matka. Wiedziałem, że wilki polują w watachach i wyją do księżyca, że w baśniach wilk jest bezwzględny, lis przebiegły, a niedźwiedź dobroduszny i niezbyt mądry. Później dowiedziałem się, że w mitologii nordyckiej to wilk, w postaci budzącego postrach Fenrira, wieszczy zagładę, a z kolei wilkołak, pół człowiek, pół wilk, to demoniczne stworzenie, które ciągle pojawia się w kreskówkach, filmach i książkach. Natomiast z prawdziwymi wilkami nigdy nie miałem do czynienia, nigdy nie mieszkałem w pobliżu miejsc, w których występowały, więc gdy kilka lat temu, przejeżdżając przez równinę w pobliżu Tågarp w Österlen, tuż obok starego, nieczynnego dworca kolejowego zobaczyłem zwierzę poruszające się truchtem po ściernisku, pomyślałem w pierwszej chwili, że to lis, bo wiele ich się tutaj kręci, choć nie przypominał żadnego z lisów, które widziałem, biegł inaczej, był szary, długonogi i wychudzony. Chyba niemożliwe, żeby to był wilk? W tych dniach w gazetach pisano o wilku w Skanii, który prawdopodobnie pochodził ze Smalandii, można było prześledzić jego trasę, ponieważ w regularnych odstępach czasu zagryzał owce w okolicznych gospodarstwach, co skutkowało jednakowo brzmiącymi reportażami ze zdjęciami zmasakrowanych zwierząt i gospodarzy o zrezygnowanych, rozgniewanych lub zrozpaczonych twarzach. I dlatego gdy z daleka ujrzałem wężące zwierzę, domyśliłem się w końcu, że to jest właśnie ten wilk. Widziałem wcześniej wilki, ale wyłącznie w ogrodach zoologicznych. Móc patrzeć, jak jeden z nich biega na wolności, było czymś zupełnie innym, jak nawiązanie kontaktu z czasami, gdy lasy były głębokie, ludzi niewiele, a zwierząt zatręśienie. Wiele lat później na polach pod bladobłękitnym niebem w Österlen trudno to było skojarzyć z tym wynędzniałym, wychudzłym, długonogim zwierzęciem, które wykonując oszczędne ruchy, biegło po żółtobiałym polu. Tylko czy aby na pewno miałem do czynienia z wilkiem? Ten ze Skanii był

prawdopodobnie młody i niedoświadczony i wylądował tutaj – gdzie wilków nie widywano od dziewiętnastego wieku – ponieważ odłączył się od watahy lub został z niej przepędzony. W ten sposób zaczął wędrować, przemieszczając się coraz dalej, w miarę jak krajobraz otwierał się przed nim, a lasy znikwały, tym bardziej że nie brakowało tu zdobyczy, na które polował w niemal sennych, pozbawionych oporu ofiar seansach, kiedy ciepła krew wypływająca z przegryzionych gardel podniecała go coraz bardziej, a agresję potęgował fakt, że śmierć ofiary niczego nie kończyła, że to nie miało końca.

Jakiś czas później odebrałem rano telefon. Jedna z naszych córek nocowała u koleżanki ze szkoły, dzwoniła jej matka, która razem z mężem prowadziła największe gospodarstwo w okolicy. Prosiła, żebym odebrał naszą córkę, chociaż była dopiero ósma rano, ponieważ w nocy zakradł się do nich wilk i zagryzł owce. Mówiła podniesionym głosem, zrozumiałem, że jest wściekła, rozżalona i zrozpaczona. W drodze do domu moja córka, która siedziała w fotelu pasażera obok mnie, powiedziała, że ma nadzieję, że nie zastrzeli wilka, że to przecież nie była jego wina. Chyba nie podzieliłaś się z nimi tą uwagą? – spytałem. No coś ty, zwariowałaś! – odparła. W ten sposób my, przedstawiciel świata kultury i jego córka, żyjący tak daleko od zwierząt i środowiska naturalnego, jak to tylko możliwe, staliśmy się miłośnikami wilków, natomiast rolnicy, którzy całe życie hodują zwierzęta i uprawiają ziemię, stali się ich wrogami, sportretowanymi następnego dnia w gazecie, gdy stoją przed zmasakrowanymi szczątkami, a młody wilk kontynuował swój trucht przez otwarty krajobraz, zupełnie nieświadomy tego, co sobą reprezentuje, do czasu aż kilka tygodni później został zastrzelony.

## Łzy

Oczy, z ciałem szklistym i błonami, są stale nawilżane, przez cały czas pokrywa je cienki filtr wodny, który przeciwdziała ich wysychaniu i nie pozwala, by osiadł na nich kurz i brud. Ta woda pochodzi z małego, podobnego do naczynia tworzącego umieszczonego pod skórą w kącie oka i jest transportowana na stosunkowo dużą powierzchnię wąskimi kanalikami, a następnie rozprowadzana równo po całej gałce ocznej, prawie jak ścierką na szybie okiennej. Zresztą może lepiej byłoby to porównać do wycieraczek samochodowych, ponieważ wszystko dzieje się automatycznie, nie musimy tego planować ani o tym myśleć. Ilość wody reguluje podwzgórze, kontroluje ono funkcje autonomicznego układu nerwowego, te, które mają związek z temperaturą ciała, rytmem dobowym, głodem, pragnieniem i trawieniem. Zazwyczaj ilość wody na powierzchni oka jest tak mała, że nie tworzą się nawet krople, a ciecz znika niezauważona w mikroskopijnych otworkach pod okiem. Krople powstają dopiero wtedy, gdy dzieje się coś wyjątkowego: oko zostaje podrażnione bezpośrednio – przez dotyk, na przykład gałązką lub większym pyłkiem kurzu, albo mniej bezpośrednio, na przykład przez kontakt z gazem wydzielanym przez cebulę podczas jej krojenia albo kiedy kaszлемy, kichamy lub wymiotujemy. Wówczas oko jest natychmiast zalewane wodą, to się dzieje na zasadzie odruchu: nadmiar cieczy zbiera się w kącie oka i tak powstają krople, które spływają wzdłuż skrzydełka nosa i dalej po policzku lub – jeśli głowa jest pochylona – mniejsze krople łączą się, tworząc większe, a następnie spadają podobnie jak krople deszczu. Te krople, które różnią się od deszczu tym, że są słone, nazywamy łzami. Nasze myśli nie mają wpływu ani na ciągłe nawilżanie, oczyszczanie i zabezpieczanie oka wodą, ani na odruchowy wyrzut łez, wszystko to przebiega wyłącznie w tych częściach ciała, które są samosterujące i które nasze myśli mogą jedynie obserwować, nigdy nie mogą ingerować w nie ani ich zmieniać. Kiedy klęczymy przed muszlą klozetową i wymiotujemy, oczy zachodzą łzami – czy tego chcemy, czy nie. Ta odbywająca się poza świadomością dystrybucja cieczy do oka jest wspólną cechą wszystkich ssaków. Unikatowe dla człowieka jest to, że łzy mogą się tworzyć również pod wpływem silnych emocji, że proces może przebiegać poza tymi mechanicznymi pracami konserwatorskimi, co jest ewenementem w świecie ssaków. To, że nasze oczy wypełniają się słoną wodą, kiedy czujemy smutek, rozpacz czy bezsilność, i że nasze życie wewnętrzne jest w ten sposób uzewnętrzniane za pomocą pewnego rodzaju mowy wody, stanowi najpiękniejsze zjawisko naturalne, jakie mógłbym sobie wyobrazić. Ale właśnie dlatego że łzy „mówią”, zostały włączone w kulturę, podlegają regulacji i są podporządkowane systemowi wartości.

Jeśli na potrzeby tych rozważań wyobrazimy sobie człowieka natury –

kogoś, kogo Anglicy nazywają *a contradiction in terms*<sup>[4]</sup> – będzie płakał za każdym razem, kiedy poczuje taką potrzebę, w sposób jawny i niepoohamowany, i wszystkie drgania w jego życiu wewnętrznym, wszystkie reakcje emocjonalne będą czytelne jak u małego dziecka, dla którego najbardziej charakterystyczne jest to, że niczego nie ukrywa, że nie ma żadnych tajemnic. Ponieważ społeczeństwo i wszystko, co społeczne, jest zbudowane wokół dynamiki między tym, co otwarte i zamknięte, co sekretne i dostępne, gdzie to, czego się nie mówi, jest zawsze ważniejsze od tego, co się mówi – prawie tak jak rzeczy, z których się nie korzysta, lecz się je magazynuje, są zawsze ważniejsze od rzeczy zużywanych natychmiast – otwarcie płaczący człowiek, okazujący wszystkie emocje, będzie uchodził za osobę niecywilizowaną. Na Północy, gdzie dorastałem, niemówienie o uczuciach i nieokazywanie ich zawsze było ideałem, prawdopodobnie dlatego, że nic nie działa się momentalnie, wszystko trzeba było zaplanować, oszczędzić, niczym nie można się było delektować bezpośrednio, na wszystkim się oszczędzało i wszystko magazynowało. To, że nie przestałem płakać w sposób niepoohamowany jako małe dziecko, lecz nadal potrafiłem rozplakać się z byle powodu, uważano za błąd, pokazywało to bowiem, że nie umiem oszczędzać, odraczać w czasie, czekać, lecz szastam wszystkim naraz, a jednocześnie zdradzam tajemnice o sobie samym i okazuję słabość.

Łzy wywoływane przez uczucia są także mechaniczne i samosterujące, one również są wyzwalone automatycznie, więc jeśli ktoś chciałby umieć je powstrzymywać, powinien nauczyć się opanowywać uczucia, które po osiągnięciu pewnego pułapu intensywności automatycznie wywołują łzy, i trzymać się z dala od nich – prawie tak jak kiedyś człowiek musiał trzymać się z dala od ziarna siewnego, chociaż panował głód z powodu nieurodzaju.

Dopiero gdy nadeszła stosowna chwila i smutek był widoczny, jak na pogrzebie, można było pozwolić łzom płynąć swobodnie i niepoohamowanie, w tym nadmiarze uczuć mającym pewne cechy wspólne z obżarstwem, któremu ulegano w środku zimy – po wyjątkowo długim okresie oszczędzania – w Boże Narodzenie, w to cudowne odstępstwo od wszystkich zahamowań związanych z codziennym życiem.

## Miksery

Prawie wszystkie rzeczy stworzone przez człowieka w jakiś sposób przypominają coś istniejącego w naturze – pociąg przypomina larwę lub węża, samochód żuka, dom legowisko, śmigłowiec nasiona drzew liściastych, które późnym latem fruwać w powietrzu dzięki organicznym łopatom wirnika, odkurzacz trąbę słonia, muszla klozetowa garniec lodowcowy, a woda spływająca po gładkich ściankach – wodospad. A do czego jest podobny mikser? Nie do kolibra, chociaż podobnie jak on porusza się błyskawicznie, jednocześnie stojąc nieruchomo, ani do ptaka brodzącego, choć też ma długie, cienkie nogi – nie, mikser istnieje sam w sobie, to urządzenie służące do ucierania, wyrabiania i ubijania, z dwoma mieszakami tkwiącymi niczym śmigła na końcu dwóch prętów przymocowanych do kompaktowej maszyny w kształcie sześcianu, każdy w swoim otworze, które po włączeniu zaczynają wirować. Ruch przechodzi na mieszaki, wykonane z metalu i mające formę małych klatek lub globusów. Na grzbiecie maszyny znajduje się uchwyt, dzięki któremu możemy nią kierować. Chociaż mikser jest mały, nie większy od sroki, uruchomiony potrafi całkowicie zdominować kuchnię, a czasem również sąsiednie pomieszczenia, z powodu gniewnego, porywczego brzęczenia, które przez chwilę stanowi dźwiękowe centrum domu. Dla małego dziecka ten dźwięk może brzmieć przerażająco i nic w tym dziwnego: brzęczenie rozpoczyna się nagle, dobiega z wyglądającego niepozornie urządzenia i jest wzmacniane przez naczynie, o które uderzają śmigła; przeraźliwy dźwięk podobny do jazgotu powstaje, kiedy przyciskamy mieszaki do dna plastikowej miski, w dodatku dorośli, jeśli chcą coś powiedzieć, często podnoszą wówczas głos, żeby przekrzyczeć pracującą maszynę, czego dziecko prawdopodobnie nie rozumie. Nagle kuchnia zamienia się w piekło i maluch zaczyna płakać. Jednak z czasem przerażenie mija, zwłaszcza że dziecko zaczyna kojarzyć widok miksera z czymś dobrym: miksera używamy do ubijania śmietany do tortów i jagód, do wyrobienia ciasta na gofry lub naleśniki, więc chociaż wydaje on piekielne dźwięki, zawsze stanowi obietnicę czegoś przyjemnego. Ja sam przestałem używać miksera; kiedy piekę gofry, smażę naleśniki lub ubijam krem, używam zwykłej ręcznej trzepaczki, ponieważ wydaje mi się lepsza: prostsza i cichsza. A skoro rezultat jest ten sam – ciasto na gofry albo naleśniki staje się masą, którą można upiec lub usmażyć, a śmietana zamienia się w krem – to siłę mięśni można porównać do siły maszyny, w obu chodzi o zużycie energii, czyli o coś, czego nigdy tak naprawdę nie rozumiałem. Mikser lub el-trzepaczka, jak go również nazywamy, ten kuchenny koliber, jest połączony przewodem z gniazdkiem elektrycznym i prąd, który przez ten przewód przepływa, wprawia mieszaki w ruch. Można obliczyć, ile prądu potrzeba do ubicia śmietany. Prąd jest

wytwarzany przez turbiny wodne, elektrownie węglowe, wiatrowe i jądrowe, to znaczy powstaje dzięki sile płynącej wody, wiejącego wiatru, dzięki spalaniu węgla lub kontrolowanym reakcjom jądrowym, z czym raczej trudno porównać siłę ruchu mojej dłoni. Ale podczas gdy prąd trzeba wytworzyć lub pozyskać z czegoś innego, by móc z niego skorzystać, mój niewielki wysiłek nie polega ani na wytwarzaniu, ani pozyskiwaniu niczego, wszystko przebiega zupełnie niepostrzeżenie, jak jeden z wielu innych ruchów, i po zakończeniu tej czynności nie jestem ani wycieńczony, ani nawet zmęczony – może tylko moja ręka jest odrobinę zdrętwiała – i mogę dalej działać. To, że „działać”, robić coś, zawsze oznacza zużycie energii, spalanie mocy, odkryto dopiero wtedy, gdy wynaleziono maszyny; wówczas w pewnym sensie wynaleziono jednocześnie również nas: to, co robiliśmy, oddzielono od nas i obliczono, że wykonanie danej czynności wymaga tyle i tyle mocy, i w ten sposób jednostka – albo funkcja – została z nas wyodrębniona. To, że teraz pozwalamy, aby woda ubijała za nas śmietanę, węgiel mył nasze zęby, benzyna przenosiła nas z miejsca na miejsce, wiatr prał ubrania, a przemiany jąder atomowych odkurzały za nas dom, sprawia, że oszczędzamy na własnym ruchu, lecz ta zaoszczędzona moc nie czyni nas silniejszymi, wręcz przeciwnie: stajemy się słabsi i grubszy, więc żeby to zrekompensować, wychodzimy wieczorami z domu i zaczynamy biegać, choć jest to całkowicie bezcelowe trwonienie energii, moc po prostu z nas wypływa i nie przynosi nikomu ani niczemu żadnej korzyści, i można by podsumować to tak, że ludzie dali się zapędzić w kozie róg, lub skwitować zupełnie inaczej: że to jest właśnie ta wisienka na torcie, coś, co czyni z człowieka najbardziej suwerenne zwierzę ze wszystkich, stworzenie biegające bez celu.



## **Dziennik, czerwiec**



DAT ROSAMTEL APIBU

## ŚRODA, 1 CZERWCA 2016

Jest kilka minut po wpół do dziewiątej wieczorem. Słońce wciąż świeci na tle drzew nad cmentarzem, ich górne połowy dostrzegam ze swojego okna. Przez cały dzień wieje dość silny wiatr ze wschodu. Wszystkie gałęzie poruszają się nieprzerwanie, jakby poddawały się różnym rytmom, niektóre falują powoli, inne wykonują szarpane, nerwowe ruchy, jeszcze inne zakreślają koła, podczas gdy liście migoczą w promieniach słońca, a światło płynące z nieba za nimi przesącza się przez korony drzew w nierównych odstępach czasu i w różnych miejscach. To wygląda jak cała orkiestra ruchu, której część stanowią również drzewa w naszym ogrodzie: niska, zarośnięta wierzba – jej gałęzie są tak gęste i tak zwisające, że ma w sobie coś z cocker spaniela; gdy kilka dni temu przycinałem ją z jednej strony, pomyślałem, że nie zdziwiłbym się, gdyby pod tym gęstym jak sierść listowiem ukrywała się para oczu – i wyniosły kasztanowiec również przez cały dzień podrygiwały i rzucały się w przód i w tył, w górę i w dół, trochę jak łódź przycumowana do brzegu w burzową pogodę. Gdy po południu siedziałem w ogrodzie, myślałem o morzu, bo szum wiatru był tak głośny, że przypominał odgłos fal uderzających o ląd, a drzewa, zwłaszcza brzoza, były jak duże zielone żagle rozpostarte na wietrze. Podobała mi się ta myśl i podobał mi się ten szum, czułem się tak, jakby otaczała mnie potężna aktywność, jakby wokół mnie trwały zakrojone na szeroką skalę prace. I lubiłem to, że w środku tego wszystkiego słychać było śpiew ptaków, chociaż trochę wyciszony, jakby dolatywał z większej głębi niż zwykle.

Teraz śpisz. Przed chwilą byłem w sypialni po książkę, zacząłem ją czytać wczoraj, *Dziennik snów* Swedenborga, i gdy przechodziłem obok Ciebie, Twoją twarz przykrywała książeczka, którą ostatnio bardzo polubiłaś: *Nocnik Maksa*. Zabrałem ją, a Ty otworzyłaś oczy i spojrzałaś na mnie, chociaż nie było w nich najmniejszego śladu, że mnie rozpoznajesz, i już w następnej chwili spałaś z zamkniętymi powiekami, oddychając spokojnie.

Miałem dzisiaj pisać, plan był taki, że dokończę tekst o cynizmie i napiszę jeszcze jeden, może o ślimakach, ale zadzwonili z przedszkola i powiedzieli, że masz gorączkę i skarżysz się na ból brzucha. Twoja mama była właśnie w drodze do Kopenhagi, gdzie miała zjeść lunch ze swoim agentem, więc nie było innego wyjścia: wsiadłem do samochodu i pojechałem po Ciebie. Uwielbiasz jeździć autem, więc nie miałem żadnego problemu z namówieniem Cię do powrotu do domu, a poza tym lubisz wypowiadać się na swój temat, więc kiedy dzieje się coś nowego, cieszysz się, że możesz o tym opowiedzieć. Anne chora, jedzie z tatą do domu, powiedziałaś, i Anne boli brzuszek, jedzie autem i siedzi na miejscu Anne.

Wczoraj wieczorem stałaś i patrzyłaś, jak zwijam śpiwory Twoich sióstr,

które wyjechały dzisiaj na zieloną szkołę, i śmiałaś się: tata zwija! tata zwija! A wczoraj rano, gdy spadła ulewa i gdzieś w pobliżu uderzył piorun, a po chwili przez dom przetoczył się grzmot, i na korytarzu, gdy mieliśmy jechać do szkoły, panował euforyczny nastrój, zawołałaś: księżyc! księżyc! – i stanęłaś na schodach, skąd mogłaś dostrzec niebo przez małe okienko. Rozumiałaś, że błyskawice i grzmoty pochodzą z nieba, a ponieważ niebo kojarzyło Ci się z księżycem, najwyraźniej uznałaś, że to, co się dzieje, to jego sprawka.

Okazało się, że nie jesteś bardzo chora, gorączka nie była wysoka i nie wystąpiły żadne inne objawy. Przyniosłem do salonu laptop, włączyłem Ci *Lilla spöket Laban*<sup>[5]</sup> na Netfliksie i próbowałem czytać scenariusz dla swojego przyjaciela, ale lekko nie było, chciałaś siedzieć na moich kolanach, a ja byłem zbyt zmęczony, żeby skupić się na pracy. Zdrzemnąłem się na pół godziny z Tobą na kolanach, a kiedy kładłem Cię do łóżka na piętrze i sam położyłem się w głębi pokoju, żeby czytać, mnie też zmorzył sen. Spaliśmy dwie i pół godziny. Gdy się ocknąłem, musiałem Cię obudzić, żebyśmy zdążyli odebrać ze szkoły Twojego brata. Zdjąłem Ci pieluszkę, włożyłem majtki i czyste ubranie – małą spódniczkę w kwiatki, którą kilka dni temu kupiłem w Simrishamn, i biały sweterek – wsadziłem Cię do samochodu i pojechaliśmy do Ystad. Tam zaprowadziliśmy Twojego brata do fryzjera, kobieta miała kilka wolnych minut między umówionymi klientami i zgodziła się nim zająć. Ostrzygła go bardzo krótko, po bokach przejechała maszynką, a na końcu pofarbowała mu włosy na zielono, farbą, która schodzi po pierwszym myciu, chociaż Twój brat życzył sobie bardziej trwałego efektu. Bawiliście się przez jakiś czas na placu zabaw, kupiłem Ci żółtą czapkę z daszkiem i zanim wróciliśmy do domu, wstąpiliśmy na hamburgera. W domu czekała już na nas Twoja mama, więc przyszedłem tutaj, żeby odpowiedzieć na e-maile, których zebrało się całkiem sporo.

Dziennik Swedenborga zaczyna się w Ystad latem 1743 roku następującym podsumowaniem:

„21 lipca 1743 r. wyruszyłem ze Sztokholmu. Do Ystad przybyłem 27., mijając po drodze miasta: Tälje, Nyköping, Norrköping, Linköping, Gränna, Jönköping. W Ystad spotkałem hrabinę de la Gardie z jej 2 córkami i 2 młodymi hrabiami, hrabiego Fersena, majora Lantingshausena i magistra Klingenbergą. 31. przybył generał Stenflycht z synem i kapitan Schekta”<sup>[6]</sup>.

Ystad, w którym przez te letnie dni przebywał Swedenborg, zanim popłynął dalej, do Stralsundu na terenie obecnych Niemiec, nie mogło aż tak bardzo różnić się od miasta, po którym wędrowaliśmy dzisiaj. Większość domów w centrum pochodzi z piętnastego i szesnastego wieku, wiele z siedemnastego i osiemnastego, i chociaż doszedł asfalt, beton, pojawiły się samochody i łodzie motorowe, sama struktura miasta pozostała taka sama, z portem jako sceną i domami – fotelami w sali w głębi portu, wokół małych kieszonek utworzonych przez place i parki.

Zmieniła się prędkość: podróż ze Sztokholmu do Ystad zajęła Swedenborgowi sześć dni, ja zaś pokonuję tę odległość w siedem godzin. Krajobraz, który mijał, również był inny; w tamtych czasach Skanię pokrywały gęste lasy liściaste, a nie pola uprawne jak teraz. Zapiski w jego dzienniku są skrupulatne: krótkie notatki dotyczące tego, co robił, kogo spotkał, ile kościołów znajduje się w miasteczkach, przez które przejeżdżał w drodze na południe Europy. I nagle coś się dzieje. Sześć stron rękopisu zostaje wyrwanych i potem świat zewnętrzny znika zupełnie na korzyść świata wewnętrznego, wcześniej niekomentowanego, ujawniającego się poprzez płomienny i dziki opis jego snów, których znaczenie stara się odkryć.

Przeskok ze świata zewnętrznego do wewnętrznego jest tak nagły, a wnętrze tak pełne chaosu i ciężkie od znaczeń, że w pierwszej chwili trudno się w tym wszystkim połapać.

Co się w nim dzieje?

Gdy dzisiaj wieczorem czytałem jego dziennik, uderzyło mnie to, jak moje wnętrze, to, czym jestem sam dla siebie, zmieniło się w ciągu ostatnich lat, jak często ogarnia mnie uczucie, że jestem nikim, że jestem jedynie miejscem, przez które przepływają myśli i uczucia. Ostatni raz czułem się tak kilka tygodni temu w Buffalo, gdy szedłem długimi, wysokimi i zupełnie pustymi korytarzami dużego hotelu w stylu art déco, w drodze ze swojego pokoju na dół, na ulicę, by móc zapalić. Jak to wytłumaczyć? Że myśli i uczucia nie były moje, że prawie nie miałem żadnego ja, które mogłoby się do nich odwołać? To jest nieprzyjemne uczucie, również dlatego, że tak bardzo różni się od tego, czego doświadczyłem wcześniej w swoim życiu, gdy wszystko, co mnie spotykało i co przeżywałem, zwłaszcza w dzieciństwie i we wczesnej młodości, było dla mnie tak ważne, wszystkie relacje, które nawiązałem, miały ogromne znaczenie – ojciec, jego rola w moim życiu, matka, brat, dziadkowie, przyjaciele i znajomi. Że to co mi zrobili i powiedzieli, i to co ja im zrobiłem i powiedziałem, przylgnęło do mnie i że poprzez to rozumiałem samego siebie.

Teraz czuję się tak, jakby to całe olinowanie osłabło i te wcześniejsze, decydujące o życiu elementy nie były niczym więcej niż tylko tym: elementami, które we mnie istnieją, trochę jak brzoza karłowata rosnąca przy ścieżce lub leżąca obok niej gład morenowy porośnięty wrzosem, gdzie ani wrzos, ani gład, ani brzoza karłowata nie mówią nic o ścieżce, a ścieżka, gład i brzoza nie mówią nic o wrzose, po prostu tam są, obok siebie, i tożsamość tego miejsca, które tworzą i stanowią, jest równie wyraźna i unikatowa, co przypadkowa.

Odkąd tu siedzę i piszę, Twoja najstarsza siostra dzwoniła już dwa razy; chciała, żebym ją zabrał do domu. Za pierwszym razem powiedziała, że panuje lodowata atmosfera, a za drugim, że się boi. Wiedziała, że nie mogę po nią przyjechać, po prostu potrzebowała powiedzieć o tym komuś, kogo kojarzyła z domem, za którym tęskniła. Ma dwanaście lat i wszystko, co przeżywa, jest

intensywne i ważne, naładowane znaczeniem. Zaczęła się zastanawiać, kim jest, zaczęła widzieć siebie jako siebie, to sprawia ból i daje radość, przeraża i fascynuje; jest tak pełna życia i swojej dopiero co odkrytej jaźni, i znajduje się teraz tam, tak mi się wydaje, gdzie człowiek jest najbardziej podatny na zranienie.

Dziwnie się na to patrzy, ponieważ dobrze pamiętam, jak to było tam być, a jednocześnie nigdy nie znajdowałem się dalej od tego miejsca niż teraz. Może właśnie o to chodzi? Może to, co wiąże żywotne części rodziców, zaczyna murszeć i w końcu rozpada się mniej więcej w tym samym czasie, w którym jaźń dziecka zaczyna nabierać ciężaru i niejako przyciąga te żywotne części do siebie? Że znaczenie obniża się w jednym, jednocześnie wzrastając w drugim?

Pojutrze idę do lekarza. W dorosłym życiu byłem u lekarza tylko dwa razy, w obu wypadkach Twoja mama kazała mi tam pójść, teraz było podobnie. Gdy trzy tygodnie temu przeczytała poprzedni tom, *Wiosnę*, pierwszym, o czym chciała rozmawiać, była scena, w której wspominam o krwi w muszli klozetowej. Musisz to sprawdzić, powiedziała. O to samo poprosiła moja matka po przeczytaniu książki. Ta krew, zagadnęła. Wiesz, skąd się wzięła? Byłeś u lekarza? Nie, ale zdecydowałem się na wizytę, gdy byłem w Buffalo, bo podczas całego tournée, które zaczęło się w Buffalo i wiodło przez Nowy Jork, Santa Fé i Chicago, krew pojawiała się za każdym razem, gdy byłem w ubikacji, i chociaż prawdopodobnie powód jest najbardziej prozaiczny z prozaicznych, to znaczy hemoroidy, ta cała krew wpłynęła na mój nastrój, na korytarzach hotelowych, w samochodach w drodze do teatrów, na scenach, w restauracjach, na lotniskach odłączyła mnie skutecznie ode mnie samego i od otoczenia, w którym przebywałem.

Jest dziesięć po jedenastej, na dworze już całkiem ciemno. Z nieznanego mi powodu Twój brat śpi na materacu obok łóżka, dzisiaj położyła go spać Twoja mama. Ona też już śpi, w sypialni w głębi korytarza, dokąd wkrótce ja również się udam.

Twoje siostry leżą każda w swojej sali razem z koleżankami z klasy, wiele mil stąd, w lesie nad jeziorem.

Drzewa nad cmentarzem są ledwie widoczne, niczym głębsza ciemność na tle czarnego nieba, które na dole zlewa się z dachem domu, ścianą i trawnikiem, tak że jest nie do odróżnienia. Przez dwa okna w kuchni, gdzie wciąż jest włączona świetlówka pod okapem, nad kuchenką, sączy się nikłe światło, połyskując w środku tej czarnej góry, co sprawia, że jak zawsze kojarzą mi się z oczami spoglądającymi w ciemność równie żałośnie i milcząco jak okna kuchenne w domu, w którym dorastałem, bo właśnie to, ożywianie przedmiotów, pozostało mi z czasów dzieciństwa. Nadal wszystko, na co patrzę, ma twarz, nadal wszystko, co widzę, emanuje światłem, postrzegany przeze mnie jako jego dusza. Filizanka na stole przede mną, tak łagodna i serdeczna, paleta oparta dłuższym bokiem o regał na książki, poplamiona farbami, z otworem na kciuk przypominającym oko,

z wycięciem przywodzącym na myśl lekko rozdziawione usta, o rybopodobnym profilu.

## **CZWARTEK, 2 CZERWCA 2016**

Jest siedem minut po dwudziestej pierwszej i patrzę na dokładnie ten sam krajobraz, na który spoglądałem wczoraj wieczorem. Kolor nieba, bladobłękitny, nad horyzontem niemal biały, nieco wyżej szaroniebieski, jest taki sam, kolor drzew, krzewów i trawy jest taki sam, od ciemnej zieleni drzew cmentarnych do jasnej, matowej zieleni wierzby, i światło zachodzącego słońca, szarawe wzdłuż wzgórza, złotawe na czubkach drzew, jest takie samo. Jedyna różnica polega na tym, że wschodni wiatr osłabł i ruchy drzew stały się mniej zauważalne. Uwielbiam powtórzenia. Przekształcają czas w miejsce, dni w dom, gdzie powtórzeniami są ściany, podłoga i dach. Wewnątrz tej budowli, tego splotu rutynowych działań, czas zdaje się stać w miejscu, ponieważ każda pojedyncza czynność i ruch są powtórzeniem wcześniejszych i w pewnym sensie podtrzymują je. Dziwne jest to, że czas na zewnątrz biegnie jeszcze szybciej. Dopiero co była jesień, dopiero co była wiosna. Dopiero co miałem trzydzieści cztery lata, czterdzieści dwa, czterdzieści pięć. Gdy jadłem obiad z Twoimi siostrami, po tym jak zawiozłem je na próbę musicalu w Simrishamn i przywiozłem stamtąd, zobaczyłem fotografię wetkniętą w plik papierów na kredensie przy ścianie, wyjąłem ją, to było zdjęcie grupowe z przedszkola, Twoja najstarsza siostra, która uśmiechała się od ucha do ucha, musiała mieć cztery lata, starsza, siedząca rząd wyżej, dwa, prawie trzy. Pokazałem im to zdjęcie, wzięły je do ręki i przyglądały mu się badawczo, niemal chciwie. Spojrzałem na córki, dla mnie nie było prawie żadnej różnicy między tym, kim były wtedy i kim są teraz, doskonale pamiętałem rzeczy, w które były ubrane, zupełnie jakby chodziły w nich wczoraj. Dla nich fotografia przedstawiała dwie obce osoby, znane im jedynie z innych zdjęć. Jednak rutyna czyni to osuwisko dni i lat znośnym, bo jeśli człowiek robi to samo i podtrzymuje to miejsce w czasie, krąży po tym domu rutynowych działań, nigdy nie zostaje przez nie poruszonym do głębi, tak jakby się mieszkało na wzgórzu nad rzeką, jakby czas płynął na zewnątrz. I w pewnym sensie to doświadczenie czasu jest prawdziwe, a przynajmniej prawomocne, bo przecież dusza się nie starzeje, pozostaje niezmienną przez całe życie, podczas gdy ciało rośnie, zmienia się, słabnie, marszczy się, kurczy, garbi, wykrzywia. To ciało jest nadgryzane zębem czasu, to je zmienia osuwisko dni, dusza zaś jest tylko tego świadkiem – jak obserwowanie czegoś przez okno, jak rzeka, która powoli występuje z brzegów, a kiedy się cofa, pozostawia po sobie zupełnie inny krajobraz.

Zanim Swedenborgowi przyśniły się te gwałtowne sny, które wydają się niemal atakiem obcych mocy, interesował go stosunek duszy do ciała, ducha do

materii – podobnie jak wielu innych współczesnych mu filozofów, na przykład Kartezjusza. Swedenborg podszedł do tego zagadnienia nie z punktu widzenia filozofii, lecz biologii. W podróż ze Sztokholmu do Ystad i dalej do Stralsundu i Groeningen wyruszył po to, by zebrać materiały do wielkiego dzieła, nad którym pracował, zatytułowanego *Regnum animale* lub *Królestwo duszy*. Postawił sobie za cel zbadanie duszy pod kątem anatomii.

Sny przytłaczały go, a mimo to kontynuował prace nad dziełem dotyczącym materialności duszy, aż pewnego wiosennego dnia 1745 roku, gdy siedział sam w restauracji w Londynie, nagle dostrzegł mężczyznę przy stoliku w rogu sali. Nieznajomy powiedział: „Nie jedz za dużo”, Swedenborg przestraszył się i wybiegł na dwór. Tej samej nocy mężczyzna ukazał mu się we śnie, to był Bóg, chciał, żeby Swedenborg spisał prawdziwe znaczenie Pisma Świętego, i jak można się domyślić, życie uczonego zmieniło się na zawsze.

Dla mnie fascynujący jest jednak nie świat duchów i aniołów, do którego Swedenborg uzyskał dostęp podczas pobytu w Londynie, równoległa rzeczywistość, która się przed nim otworzyła i do której zajrzał ze swojej skądinąd codziennej egzystencji, lecz to, nad czym pracował wcześniej: materialność duszy, mechaniczny charakter ducha, fizyczne pochodzenie snów, ich umocowanie w ciele. To, że ręce można odciąć jak gałęzie i że nadal się je czuje. Że wszystko, co widzimy i czujemy, odbywa się poprzez wiązki przewodów, że krew płynie rurami, że obrazy przesuwają się drżąc przez nas, kiedy śpimy.

Nauka doby baroku, nie wyobrażam sobie bardziej dzikiego miejsca, do którego można by skierować myśli. Kartezjusz twierdzący, że widzi utrwalone obrazy w oczach byków poddawanych sekcji. Rembrandt, który przebywał w tym samym czasie w tym samym mieście co Kartezjusz, w Amsterdamie, jego obrazy przedstawiające lekcje anatomii, zwłaszcza ten, na którym asystent doktora trzyma w dłoni odciętą część czaszki, jakby to była miska.

Ubiegłego lata obserwowałem przebieg trzech operacji mózgu. Widziałem, jak odpinuje się sklepienie czaszki i jak asystent trzyma je w dłoni niczym filiżankę. Widziałem opony okrywające mózg, jakby przesiąknięte krwią od dołu, trochę jak ścierki, i błyszczącą powierzchnię mózgu, jak lekko pulsowała. Patrzyłem, jak lekarz, brytyjski neurochirurg Henry Marsh, wbija w mózg instrument podobny do drutu do robótek ręcznych, i gdy włączono prąd, zobaczyłem, jak ręka pacjenta podskoczyła w powietrze. Widziałem, jak na końcu chirurdzy przymocowali pokrywę czaszki metalowymi klipsami i jak następnego dnia jedna strona twarzy i ciała pacjenta była częściowo sparaliżowana, po tym jak usunęli mu niewielkie fragmenty mózgu.

Mózg przypomina małe zwierzę, ważące trochę ponad kilogram, złożone ze zwojów, zamknięte w ciasnej czaszce. Wiemy o nim więcej niż Swedenborg i jemu współcześni, a jednocześnie nie wiemy, ponieważ o samej zależności, którą



Swedenborg porównał do stosunku między tym, co nieskończone a tym, co skończone, to znaczy między duchem a materią, nie możemy nic powiedzieć. Duch jest aniołem w przestrzeni, życie jest zagadką. Potężne lasy dębowe, przez które przejeżdżał Swedenborg ze Sztokholmu do Ystad, fortyfikacje i port, które zobaczył w Stralsund, kościoły, które liczył w niemieckich miastach, szlachcice i szlachcianki, których spotkał na swojej drodze – to wszystko jest cudem. Trawa i gwiazdy, drzewa i ludzie, gałęzie i dłonie, kamienie i głowy, byki i ptaki, ogrodzenia i zęby.

Widziałaś dzisiaj to wszystko, wiesz? Gdy odwoziłem Twojego brata do szkoły, a Twoją mamę na pociąg, zostałaś z opiekunką, poszłyście na pobliski plac zabaw, siedziałaś w wózku i patrzyłaś na niebo, błękitne i ciepłe, na słońce i drzewa, konie i domy, a ja w tym czasie siedziałem tutaj i kończyłem tekst o cynizmie. Gdy to zrobiłem, posadziłem Cię w foteliku samochodowym, odebrałem Twoje siostry ze szkoły i pojechaliśmy na pole do minigolfa, zjedliśmy coś w barze szybkiej obsługi i zeszliśmy na plażę, gdzie usiadłaś razem ze swoją starszą siostrą i zjadłaś lody. Piasek suchy i złocisty, morze ciemnoniebieskie, łagodny wiatr wiejący w stronę lądu. Morze, powiedziałaś na widok wielkiej niebieskiej wody.

W drodze powrotnej Twoje siostry siedziały zmęczone szkolną wycieczką i trochę markotne, ale stwierdziły, że było nieźle, ja też tak sędzę, chociaż ciemność i samotność opanowały Twoją najstarszą siostrę i zmusiły ją, żeby zadzwoniła do domu.

Poczucie, że nie tworzę już jedności ze swoimi wspomnieniami i myślami, że przepływają przeze mnie, jakbym był jakąś stacją, nie musi mieć żadnego związku z wiekiem ani żadnego wymiaru egzystencjalnego. Przyszło mi to na myśl dzisiaj, gdy siedziałem w kawiarni, przy stoliku pod gołym niebem, i piłem kawę, podczas gdy Twoje siostry tańczyły i śpiewały w pobliskiej szkole. Zmarzłem trochę, siedząc w cieniu, bo chociaż było dwadzieścia pięć stopni, lato nie rozgościło się jeszcze na dobre, powietrze robi się zimne, gdy tylko zachodzi słońce, i w cieniu wciąż panuje chłód. Bardziej prawdopodobne, że ma to związek z tym, co robię, że spisałem swoje myśli i wspomnienia i inni je przeczytali, i teraz na wszystkich spotkaniach autorskich siedzę i opowiadam publiczności o swoich myślach i wspomnieniach. Poczucie, że one mnie nie dotyczą, jest adekwatne do okoliczności: oddałem je i nadal je oddaję. Czy w tym jest wolność, w tym poczuciu, że nie należę już do siebie ani nie posiadam prawa własności do własnego wnętrza, które z czasem przeobraziło się w miejsce, gdzie przepływają myśli i uczucia, a ja im się niejako przyglądam? Tak, w tym jest ogromna wolność. Przypomina tę, której szukam w pisaniu, polegającą na trwaniu w stanie pozbawionym „ja”, kiedy to, co przelewam na papier, nie dotyczy mnie osobiście, nie jest częścią mojej tożsamości, lecz jedynie jej produktem. Ale wszystkie

rodzaje wolności niosą w sobie także elementy destrukcji. Kiedy jest się wolnym we wspólnocie, to znaczy nieograniczonym przez innych, można być niedbałym wobec nich. A kiedy jest się wolnym w obrębie samego siebie, to znaczy nieograniczonym przez wewnętrzne wymagania, można być niedbałym wobec samego siebie. Lubię nonszalancję, dla mnie jest ona właśnie oznaką wolności, ale również obfitości.

Dlaczego Swedenborg stał się męczennikiem?

Bo właśnie nim się stał.

Był we władzy wewnętrznych obrazów, które opanowały go z ogromną siłą, a on oczywiście nie mógł ich zignorować, ich znaczenie było ewidentne. Nie to, co znaczyły, lecz że znaczyły.

Przez długi czas były definiowane jako sny, obrazy w jego wnętrzu, stworzone przez jego duszę lub ducha, lub – jak powiedzielibyśmy obecnie – przez jego podświadomość. Potem to się zmieniło, ponieważ obrazy zostały niejako oderwane od niego i stały się czymś, co przychodziło do niego z zewnątrz – tendencja, która rosła w siłę, aż on sam mógł pójść tam, skąd one pochodziły, z całego świata, z całego wszechświata, który istnieje równoległe do naszego i w którym wszystko ze sobą koresponduje.

Nietrudno to wytłumaczyć: to był sposób, w jaki Swedenborg radził sobie z olbrzymią presją, sposób na skanalizowanie jej i wydalenie do świata zewnętrznego. Widziałem ludzi w stanie psychozy i oni właśnie to robią: dokonują projekcji własnych konfliktów i obrazów na świat, z którym tak się komunikują, a w niektórych wypadkach poddają się również jego dyktatowi.

Ale co jeśli wtedy, w londyńskiej restauracji rzeczywiście ukazał mu się Bóg? I jeśli rzeczywiście istnieje równoległy wymiar, do którego wgląd mają tylko nieliczni?

Nic za tym nie przemawia. Ale też nic nie przemawia przeciwko temu.

W każdym razie mnie nic takiego nie przychodzi do głowy.

Na dworze panuje całkowita ciemność. Jest siedem minut po wpół do dwunastej i śpisz już od czterech godzin. Co przyśniło Ci się tej nocy, tego nikt się nigdy nie dowie. Nawet jeśli pamiętałabyś sen po przebudzeniu, nie potrafisz nam jeszcze o tym opowiedzieć, a poza tym nie wydaje mi się, żebyś rozumiała, czym są sny, przypuszczam, że są dla Ciebie czymś niezdefiniowanym, że Twoje myśli jeszcze tego nie wychwyciły i że z tego powodu sny znajdują się w tej niezwyklej strefie, gdzie ani istnieją, ani nie istnieją.

**PIĄTEK, 3 CZERWCA 2016**

Jest za jedenaście minut jedenasta w nocy. Gdy chwilę temu siedziałem w salonie obok Twojego brata – oglądał animowaną wersję *Gwiezdnych wojen* –

i czytałem książkę o poglądach i teoriach naukowych Swedenborga, która stała na regale od wielu lat, a po którą nigdy dotąd nie sięgnąłem, wydawało się, że na dworze jest ciemno. Gdy potem otworzyłem drzwi, żeby tu przyjść – kiedy Twój brat zniknął w łazience, aby umyć zęby – odkryłem, że światło wciąż żyło, bo niebo nade mną było nadal niebieskie, choć pociemniało i pojawiły się na nim pierwsze gwiazdy. W ogrodzie wokół mnie panował niezwykle nastrój: ani jasno, ani ciemno, albo raczej: jednocześnie i jasno, i ciemno. Korony drzew były ciemne, ale powietrze między nimi jasne, a kwiaty w koronach drzew błyszczały bielą. Trawa była ciemna, żywopłot również. I wszystko stało nieruchomo, nigdzie żadnego ruchu. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego światła, co musi oznaczać, że nigdy wcześniej nie przebywałem w ogrodzie między wpół do jedenastej a jedenastą w nocy, na początku czerwca, po dniu ze słońcem i jasnym niebem, bo zapamiętałbym ten nastrój.

Coś wtedy przeze mnie przemknęło. Może nie radość, ale strumień czegoś dobrego. Jakbym został nastrojony o ton wyżej.

Teraz ogród tonie w mroku, jedyne światło, jakie istnieje, jest na niebie, w błękitniejącym brzegu, który nieskończenie delikatnie przechodzi wyżej w ciemność. Rząd drzew nad dachem, obok cmentarza, tańczących na wietrze przez ostatnie dwa wieczory, zupełnie znieruchomiał. Widzę stąd siedem drzew. Stoją jak na warcie, czarne jak węgiel na tle odrobinę jaśniejszego nieba, które tu i ówdzie przedziera się również przez listowie.

Jakie życie wiodą – tak naprawdę? Dlaczego w ogóle żyją?

Śpisz. Przez cały dzień biegałaś w majtkach i byłaś w dobrym humorze, żadnej gorączki, tylko katar i trochę kaszlu. Powtarzałaś prawie każde słowo, którego wcześniej nie słyszałaś, jakby słowa stawały się Twoje, kiedy je wymówisz, jakby stawały się wtedy częścią Ciebie. Jakbyś je chwyciła. I Twój połów będzie trwał przez całe życie, a kiedy słowa już się tam znajdują, w Tobie, nigdy nie znikną. Ja także zwracam na nie uwagę, na wszystkie przeróżne słowa, które poruszają się w powietrzu między nami.

Kiedy ktoś się śmieje, Ty również się śmiejesz.

Dziś rano, gdy staliśmy na korytarzu i szykowaliśmy się do wyjścia, Twoja siostra spytała, jaka ma być dzisiaj temperatura. Ostatnio dzieci często o to pytają, żeby ustalić, czy mogą iść w krótkich spodenkach, czy nie, czy potrzebują kurtki, czy nie. Wyjąłem z kieszeni komórkę, wszedłem na yr.no, sprawdziłem prognozę pogody dla Glemminge i spojrzałem na córkę. Dwadzieścia pięć stopni, powiedziałem. Ach tak, odparła. Ach tak? – zdziwiłem się. Wczoraj było dwadzieścia sześć stopni, skwitowała.

Twoje rodzeństwo wsiadło do samochodu, dwoje z tyłu, jedno z przodu, podłączyłem telefon komórkowy do wieży stereo i puściłem listę pięćdziesięciu przebojów, których słuchamy od trzech miesięcy, *Hits for kids*, uruchomiłem silnik

i wyjechałem na drogę. Niebo było całkiem błękitne, płaski, wydłużony krajobraz, żółto-zielony, z przypominającym ciemniejszy pasek morzem na wschodzie. Fantastyczne formacje chmur, które latem pojawiają się na horyzoncie, olbrzymie, podobne do gór, jeszcze nie zaczęły się tworzyć. Ale i tak było na co popatrzeć. Ściany bzów, które właśnie teraz kwitną. Łagodne wzgórza na północy, przez ostatnie tygodnie rozświetlane białymi jabłoniąmi i czereśniami. Wiatraki, białe, zgrabne i widoczne z odległości wielu kilometrów. Wysepki gospodarstw, rzeczka, której istnienie odkryłem dopiero po dwóch latach od przeprowadzki, stado krów pasących się tam, gdzie krajobraz otwierał się ku morzu, jakieś sześćdziesiąt sztuk, żółto-beżowych jak wielbłądy.

Twoja najstarsza siostra opowiedziała o lekcji muzyki, na której słuchali artystów biorących dragi. Powiedziała coś o nauczycielu, że nie lubi Justina Biebera, ale właśnie ten utwór był jego zdaniem niezły. A może to ona tak uważała?

Co ona właściwie powiedziała?

Spojrzałem na nią, ale ponieważ potrafiła się zezłościć, kiedy proszono ją o powtórzenie czegoś, nie drążyłem tematu.

Nauczyciel puszczał im muzykę ludzi, którzy brali prochy? Taki był temat lekcji?

Chyba ją źle zrozumiałem?

Fajny kawałek, powiedziałem. Ja też tak uważam.

Słuchaliśmy *Love Yourself*, prosty temat gitarowy był wyjątkowo chwytliwy.

Wjechaliśmy do wąskiego lasu, który ciągnie się aż do Ystad.

Zgodziłem się na wyjazd do Los Angeles w październiku, powiedziałem do córki. Na pewno chcecie lecieć ze mną?

Tak, potwierdziła.

Jeszcze nic nie jest ustalone, wyjaśniłem. Ale postaram się to załatwić.

Zapadła cisza.

Może będziecie musieli jakoś na to zapracować, powiedziałem, ponieważ trochę się boję, że ich rozpieszczę.

Niby jak? – spytała.

Zawsze znajdzie się coś, w czym moglibyście pomóc, odparłem.

Dwa dni wcześniej powiedziała, że prędzej czy później każdy musi się upić, żeby zobaczyć, jak to jest.

Nagle weszła w wiek, kiedy dzieci mówią o takich rzeczach. Nagle zaczęła interesować się strojami, makijażem, muzyką pop.

Powiedziałem, że będę ją odbierał z każdej imprezy, na którą pójdzie, kiedy będzie starsza.

Pod koniec drogi rozmawialiśmy o Trumpie i o wyborach prezydenckich w USA, którymi również była zainteresowana, tymczasem jej rodzeństwo siedziało

w milczeniu na tylnej kanapie i patrzyło prosto przed siebie.

Wysadziłem ich na parkingu przed szkołą, zmieniłem muzykę i pojechałem dalej, do szpitala położonego kilkaset metrów od centrum Ystad, zaparkowałem, opuściłem szyby i zapaliłem papierosa, czekając, aż wybije dziewiąta, bo na tę godzinę byłem umówiony.

Ledwo usiadłem w poczekalni, a już zostałem wywołany i mogłem udać się na spotkanie z lekarzem, który czekał na mnie na korytarzu: był to drobny mężczyzna, o jakieś dziesięć lat starszy ode mnie, mówiący ze wschodnioeuropejskim akcentem.

Wejźmy do środka, powiedział, wskazując ręką uchylone drzwi gabinetu.

Proszę usiąść, dodał, gdy weszliśmy, i znowu machnął ręką, tym razem w kierunku krzesła.

Usiadłem, a wtedy spytał, od jak dawna mam krwawienia. Odpowiedziałem, że od półtora roku. Ale zdarzały się w dużych odstępach czasu. Ostatni raz krwawienie trwało pięć dni. Kiedy to było? – spytał. Miesiąc temu, odparłem. Westchnął. Powinien pan zjawić się od razu. No trudno. Nadal pan pali? Tak, potwierdziłem. Ile papierosów dziennie? Dwadzieścia, skłamałem, naprawdę bliżej mi było do czterdziestu, ale tego przecież nie musiał wiedzieć.

Rozebrałem się od pasa w górę i położyłem na kozetce, z białymi wałkami tłuszczu wylewającymi się zza pasa spodni. Zmierzył mi ciśnienie, było wzorcowe. Zbadał płuca stetoskopem, kazał nabrać i wypuścić powietrze, wstrzymać oddech. Wyniki książkowe.

Teraz proszę spuścić spodnie, powiedział. Do kolan.

Zrobiłem, jak mi polecił.

Majtki też? – spytałem.

Skinął głową, nie patrząc w moją stronę.

Proszę położyć się na plecach i podciągnąć kolana do klatki piersiowej.

Zrobiłem, co kazał. Wałki tłuszczu, spodnie na wysokości kolan, nie czułem się zbyt komfortowo.

Fiut wyglądał na maleńkiego, teraz kiedy spojrzałem na niego jego oczami.

Naprawdę jest taki mały? – zastanawiałem się, podczas gdy lekarz zaczął gniesć i uciskać mój brzuch.

O ileż lepiej czułbym się, gdybym miał wielkiego, wspaniałego fiuta.

Wszystko byłoby wtedy o niebo lepsze.

Boli? – spytał.

Nie, zaprzeczyłem.

I piękne zęby.

Te moje, brzydkie, tak bardzo mi dokuczają, że prawie nie jestem w stanie rozmawiać z ludźmi, cały czas myślę o zębach.

Okej, powiedział. Teraz niech się pan położy na boku. Z uniesionymi

kolanami.

W ten sposób? – spytałem, kładąc się na boku.

Tak, odparł. To nie będzie bolało, ale nie jest to również nic przyjemnego. Ani dla pana, ani dla mnie.

Zaśmiał się krótko.

Ja też się zaśmiałem.

Teraz pan to poczuje, uprzedził mnie. Posmarował odbył czymś wilgotnym i wsunął do środka palec.

To nie jest nic przyjemnego, powiedział.

Nie, potwierdziłem. Rzeczywiście nic przyjemnego.

Czy to boli?

Poruszał palcem w przód i w tył w moim odbycie.

Nie, odparłem.

Okej, powiedział, szybko wyjął palec i podał mi papier.

Może się pan wytrzeć.

Wytarłem się, wyrzuciłem papier do kosza na śmieci, podciągnąłem majtki i spodnie.

To wszystko? Mogę się ubrać?

Tak, może pan się ubrać. Pobierzemy panu jeszcze tylko krew, w innej sali.

Włożyłem koszulę i marynarkę.

Jest pan zupełnie zdrowy, powiedział. Żadnych hemoroidów, żadnych szczelin i żadnych guzów. O tyle, o ile jestem w stanie to ocenić. Ale i tak zrobimy panu rektoskopię. Skoro pańska matka chorowała na raka jelit. To nie jest dziedziczne, ale jedliście to samo i przebywaliście w tym samym środowisku. I dlatego to sprawdzimy.

Ale nic mi nie jest? – upewniłem się. W takim razie dlaczego leciała mi krew?

To tylko krwawienia. To się zdarza. Na przykład z powodu zbyt twardych stolców. Ale powinien pan przyjść z tym od razu. Wtedy mógłbym coś zobaczyć.

Ale wszystko jest w porządku?

Wszystko jest w porządku.

Na dworze założyłem okulary przeciwsłoneczne, rozpiąłem górny guzik koszuli i ruszyłem w stronę parkingu. Było już ponad dwadzieścia stopni. Pojechałem do miasta i odebrałem obraz, który zaniósłem do oprawy, szkic przysłany mi pocztą przez Annę Bjerger, po tym jak w Luizjanie przeprowadziłem z nią wywiad; to był jeden z obrazów, którymi zilustrowała *Wiosnę*, przedstawiający dziewczynkę w pomarańczowym swetrze. Bardzo się ucieszyłem, gdy go dostałem, i ucieszyłem się teraz, gdy znów go zobaczyłem. Poszedłem na kawę do Espresso House, siedziałem na tarasie i spoglądałem na cichy, zalany słońcem plac, na padające nań cienie budynków. Zadzwoiłem do Geira, żeby

porozmawiać o jego książce, którą przeczytałem po raz trzeci. Odczytał mi fragment tej, którą właśnie pisze, epizod z lotniska w Turcji, w drodze do Afganistanu. Gdy wsiadłem do samochodu, dostałem wiadomość od Twojej mamy, pytała, jak poszło, odpisałem jej, że nieźle i że nic mi nie dolega. Wyjeżdżając z miasta, zadzwoniłem do swojej matki, Twojej babci, wiedziałem, że się niepokoi, powiedziałem jej, że wszystko jest w porządku.

Gdy wróciłem, stałaś w drzwiach, przytuliłem Cię i opowiedziałem Twojej mamie trochę więcej o wizycie u lekarza; poszłyście na plac zabaw, a ja usiadłem przy biurku, żeby napisać tekst o ślimakach. Gdy dotarłem do połowy, odpowiedziałem na e-maile i poszedłem się zdrzemnąć, ale kiedy się kładłem, zadzwonił Eirik z Pelikanen, naszego wydawnictwa, brakowało mu dwadzieścia siedem tysięcy na cło, jeśli nie zapłacimy do niedzieli, nakłady trzech książek utkną na granicy. Wróciłem tutaj i uregulowałem rachunek. Potem uległem pokusie przejrzenia recenzji *Wiosny*, które dzisiaj przyszły. Pierwszy recenzent pisał, że dwa pierwsze tomy, *Jesień* i *Zima*, są nieciekawe jako całość, a drugi, że *Wiosna* przypomina poetycki blog świeżo upieczonej mamy.

Przez chwilę siedziałem nad tekstem, ale nie byłem w stanie się skupić, więc gdy przyszedł e-mail od Kari z Muzeum Muncha z uaktualnioną listą dzieł na wystawę, przez całą kolejną godzinę oglądałem obrazy, krążyłem po salach i zastanawiałem się, jakich zmian należałoby dokonać. Potem uciałem sobie półgodzinną drzemkę, a gdy wstałem, znowu pojechałem do Ystad po Twoją starszą siostrę i brata. Najstarsza miała przenocować u przyjaciółki. Planowaliśmy kupić Twojemu bratu nowy rower, ponieważ stary był już trochę za mały, ale gdy powiedziałem, że nie może zabrać laptopa do swojego kumpla, obraził się, a gdy zrozumiał, że nie jedziemy do małego sklepu rowerowego, gdzie kupiliśmy poprzedni rower, lecz do znacznie większego, podobnego do hali salonu sportowego, zaczął bojkotować zakupy, i wtedy ja się obraziłem, bo myślałem, że to będzie dla niego coś wielkiego, a tymczasem on mijał wszystkie rzędy rowerów z nadętą miną. Skończyło się na tym, że wróciliśmy bez roweru. Wysadziłem go przed domem kolegi; potem Twoja siostra i jej przyjaciółka bawiły się na trawniku w zacisznym, ciepłym ogrodzie, a ja kończyłem tekst o ślimakach. Przez chwilę byłaś tutaj, w moim gabinecie, jesteś zachwycona tym szalonym bałaganem, tym, że ledwo postawisz krok, a już coś, stos książek lub kartek, rozsypuje się po podłodze. Do tego te wszystkie śmieci walające się na niej! Butelki, kartony, pudełka, paczki papierosów, gazety, czasopisma, torebki foliowe, dzienniki. Pojechałem po Twojego brata i jego kolegę, a Twoją siostrę i jej przyjaciółkę odebrał jej ojciec, więc do obiadu usiedliśmy w piątkę. Zjedliśmy na dworze, na polanie za letnim domkiem, która jest niemal zupełnie zarośnięta, chociaż odchwaściliśmy ją w zeszłym roku. Powiedziałem Twojemu bratu, że w dzieciństwie nigdy nie zapraszałem kolegów do domu. Że nikt mnie nigdy nie odwiedził, zanim

skończyłem dwanaście lat. Był ciekawy dlaczego. Wyjaśniłem mu, że ojciec mi nie pozwalał. Dlaczego? – spytał znów Twój brat. Odpowiedziałem, że wydaje mi się, że ojciec nie życzył sobie bliskości innych ludzi. Dodałem, że ojciec był nauczycielem, przyzwyczajonym do obecności dzieci. Że tylko w domu się tak zachowywał. Powinien zostać pisarzem, bo wtedy mógłby całymi dniami siedzieć sam, skwitował Twój brat.

Masz rację, powiedziałem i uśmiechnąłem się.

To dlaczego nie został pisarzem? – spytał. Nie chciał?

Wydaje mi się, że chciał, ale nie potrafił, odparłem. Trudno jest być pisarzem.

Wtedy Twój brat się roześmiał. No coś ty, trudniej jest być nauczycielem! – zawołał.

Nie sądzę, odpowiedziałem.

Łatwo jest być pisarzem, upierał się.

Wcale nie, powiedziałem. Sęk w tym, że wszyscy dorośli, których znasz, są pisarzami. A w rzeczywistości nie jest ich wcale tak wielu. Ale za to mój ojciec był bardzo dobrym nauczycielem. Znam kogoś, kto twierdzi, że był najlepszym nauczycielem, jakiego miał.

Nie był surowy?

Owszem, przytaknąłem. Był surowy. Znam kogoś, kto uważa, że był straszny. Pewnego razu mój ojciec powiesił go na korytarzu na haku na ubrania.

Twój brat spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

To prawda, zapewniłem go. To było w latach siedemdziesiątych. Dawno temu.

Teraz tak nie wolno, zauważył.

Nie. Pod wieloma względami żyjecie w czasach wprost idealnych dla dzieci, lepszych niż kiedykolwiek.

Gdy odwieźliśmy jego kolegę do domu i Ty położyłaś się spać, Twój brat i ja siedzieliśmy w salonie i oglądaliśmy telewizję, a Twoja mama oglądała jakiś film na swoim laptopie w drugim końcu domu. To znaczy Twój brat oglądał telewizję, ja leżałem i przeglądałem prace naukowe Swedenborga. Twój brat położył swoje stopy na moich, ucieszyło mnie to, ponieważ wciąż miałem wyrzuty sumienia z powodu tej nieudanej wyprawy do sklepu rowerowego i tego, że potraktowałem go z góry. A książka była interesująca. Swedenborg publikował pisma z zakresu niemal wszystkich naukowych dyscyplin, jakie wówczas istniały. Matematyki, geometrii, fizyki, chemii, anatomii, biologii. Miał teorie na temat wszystkiego i sporządził wiele szkiców wynalazków, między innymi maszyny latającej. Opracował nowy system liczbowy, ośmiocyfrowy zamiast dziesięciocyfrowego, i przedstawił go królowi Karolowi XII. Ale jego główna teoria dotyczyła drgań, fal, które rozprzestrzeniają się w człowieku jak kręgi na



wodzie lub dźwięk w powietrzu – tego, że wszystkie ruchy ciała, wszystkie ruchy umysłu powstają dzięki takim falom, z systemu nerwowego do kończyn, ze świata do systemu nerwowego, jako swego rodzaju ciśnieniowo-mechaniczny system, w którym to, co fizyczne i duchowe, przenika się nawzajem. Gdy doświadczył kryzysu snu i porzucił to wszystko, zaczął pracować nad dziełem dotyczącym fizycznej formy duszy, tego, gdzie jest zlokalizowana i z czego się składa. Najdziwniejsze, że to co przez tak wiele lat stanowiło sens jego życia, co było całym jego życiem, powodem, dla którego budził się każdego ranka, w ciągu zaledwie kilku miesięcy straciło zupełnie znaczenie, przestało się liczyć, i że przez resztę życia Swedenborg pracował nad czymś, co – w każdym razie z zewnątrz – dotyczyło czegoś przeciwnego.

Znalazłem jeszcze jedną jego książkę, *Andlig Dag-bok*<sup>[7]</sup>, i gdy otworzyłem ją na przypadkowej stronie, zobaczyłem następujący nagłówek rozdziału: *W jaki sposób ci, którzy stawiają sobie za cel wielkość i prestiż w świecie, a także w niebie, dalej ci, których celem jest władza i zysk w świecie, i ci, których celem jest sława naukowa, nie mogą dostrzec ani odkryć niczego z Prawdy mieszkającej we wnętrzu Słowa*. Pisze tu o postaciach, które spotkał w świecie duchowym, a które sądziły, że będą błyszczały jak gwiazdy na niebie, skoro przestrzegały słowa bożego, a jednak gdy ich dusze zostały zbadane, okazało się, że czyniły to z miłości do samych siebie, dla własnej chwały. Nietrudno się domyślić, że pisze tu o sobie i że właśnie tego dotyczył jego kryzys życiowy. I że te dwie drogi, zewnętrzna i wewnętrzna droga prawdy, życie aktywne i kontemplatywne, nadal stanowią alternatywę, przed którą stoimy.

#### **SOBOTA, 4 CZERWCA 2016**

Gdy obudziłem się dziś rano, wyjątkowo późno, było po dziesiątej, odczuwałem palący wstyd z powodu tego, co napisałem wczorajszej nocy. Nigdy nie wstydzilem się własnych myśli ani tego, kim jestem wewnątrz siebie, lecz jedynie tego, co powiedziałem, zrobiłem lub napisałem, innymi słowy, tego we mnie, co stało się widoczne dla innych. To jest dziwne, coś jak podwójna moralność: wszystko jest okej, dopóki jest ukryte i nie ujrzy światła dziennego. Pisanie stanowi sposób na wyjście z ukrycia, polega bowiem na wyrażaniu wnętrza, co jest możliwe jedynie wówczas, gdy człowiek zapomni, że pisze, zapomni, że pisanie składa się z technik, zabiegów retorycznych, manipulacji i modulacji dźwięków, skoro to wszystko – to, co jest skierowane na innych – przynależy do komunikacji, a tym samym niezauważalnie otwiera wnętrze przed tym, kto patrzy, wywołując jednocześnie wstyd lub możliwość odczuwania wstydu. Jedynie zapominając o tym, że piszemy, możemy pisać i nadawać wnętrzu zewnętrzny wyraz, nie dopuszczając do tego, by wstyd nas zdominował lub

hamował, jak to zwykle czyni ze wszystkimi innymi zewnętrznymi ekspresjami.

To ciekawe, że można pozwolić sobie na jakąkolwiek z zakazanych myśli bez żadnych konsekwencji dla własnego obrazu samego siebie. Może jest tak, że wszystko, co myślimy, jest częścią tego, kim jesteśmy – trochę tak jak społeczeństwo składa się ze wszystkich ludzi, chociaż elita może gardzić głupimi, lekceważyć zwyczajnych i nienawidzić nieokrzesanych, wiedząc jednocześnie, że mają oni takie samo prawo, by należeć do społeczeństwa, skoro jego definicją jest zbiorowość, a nie jej część, i że obecność tych najmniejszych nie uwłacza całości, którą stanowi społeczeństwo, ani na nią nie wpływa. To, że w Norwegii mieszka jakiś idiota, nie czyni z Norwegii idiotycznego kraju.

Poza tym we wnętrzu panuje absolutna zażyłość między poszczególnymi elementami, nic nie jest obce, wszystko bywa traktowane z sympatią; głupia myśl jest jak młodszy brat, a złe wyobrażenie jak wujek, który w miłym towarzystwie mówi, co naprawdę myśli o imigrantach. Jeśli wewnątrz należy do człowieka, który jest wrogo nastawiony do imigrantów, tym wujkiem może być wyobrażenie, że musimy pomagać ludziom w potrzebie. We wnętrzu oni wszyscy są nami i chociaż nie możemy za wszystkimi stanąć murem, mamy dla nich zrozumienie. Tak, czasem wewnątrz przypomina zakład pracy chronionej produkujący rzeczy nikomu niepotrzebne, co jednak nie ma żadnego znaczenia, liczy się bowiem sama produkcja i wspólnota, którą taki zakład oferuje.

Czego tak bardzo się wstydzę, gdy obudziłem się dziś rano?

Tego, co napisałem o małym fiucie.

Naprawdę to napisałem? – taka była moja pierwsza myśl.

Dlaczego, ach! dlaczego?

Nie tylko napisałem – przecież mógłbym usunąć ten fragment i zapomnieć o wszystkim – lecz także wysłałem go do swojego redaktora, jak to robię ze wszystkimi gotowymi tekstami.

Co on sobie o mnie pomyśli?

Po co to napisałem?

Przecież on nie jest aż t a k mały?

Zdaje się, że jest przeciętnej wielkości?

Może nawet trochę większy?

Samo myślenie o tym, na mój własny użytek, jest niegroźne. Ale już pisanie o czymś takim nadaje mojemu myśleniu znaczenie. Nie dość, że dotyczy sfery prywatnej, więc jest nieodpowiednie, to jest także banalne, niegodne tekstu literackiego, a poza tym infantylne. Pisząc o tym, zdradzam, że nie tylko o tym myślę, lecz również przywiązuję do tego wagę. Że to część mojej tożsamości. A to czyni mnie małym człowiekiem. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Heidegger miał pisać o rozmiarach swojego penisa i zastanawiać się nad tym, w jaki sposób przyczynił się on do ukształtowania jego obrazu samego siebie, i żeby ciągle,

nawet wtedy gdy pisał tak nieskończenie powoli, tak nieskończenie spokojnie i nieskończenie szczegółowo o filozofii przedsokratejskiej, myślał o tym. Żeby nie mógł wejść do łaźni publicznej, nie spoglądając natychmiast na penisy innych mężczyzn, na to, jaką mają długość, i że gdyby zobaczył kogoś z członkiem dłuższym od własnego, zalałaby go zazdrość.

Bo ja tak robię.

Właśnie byłem w domu i położyłem spać Twojego brata – czytałem mu *Harry'ego Pottera*, zanim zasnął, i trochę rozczarowany odłożyłem książkę, bo ciekawiło mnie, co będzie dalej, a potem siedziałem na kanapie z Twoją starszą siostrą, zasypiała, oglądając *Przyjaciół*, widziałem, jak powieki jej opadają jak dwie małe bramy garażowe, i jak otwierają się gwałtownie, kiedy docierał do nich sygnał, że ich właścicielka zasypia, bo Twoja siostra nie chciała jeszcze spać – i gdy wyszedłem w mrok, myśl o tym, co napisałem, uderzyła we mnie z całą siłą – co ja wyrabiam, dlaczego zdręczam się pisaniem o moim penisie, wiedząc, że to jest tak niesamowicie głupie, tak okropnie dziecinne, tak niegodne, że aż jeży włosy na głowie?

Jest czternaście minut po dwudziestej trzeciej; leżysz na wznak i śpisz w ciemnościach na piętrze, po długim, pełnym wrażeń dniu, w każdym razie według Twoich standardów, bo nie odróżniasz jeszcze wielkich spraw od małych, nudnych od ciekawych, ważnych od nieważnych. Kilka dni temu zatrzymałaś się i pochyliłaś do przodu, gdy przechodziliśmy po asfaltowym placu – zauważyłaś mrówki i tak Cię to pochłonęło, że zupełnie zapomniałaś, że idziemy odebrać Twoje rodzeństwo ze szkoły.

Dzisiaj było jeszcze cieplej niż wczoraj, a prawie całą pierwszą połowę dnia spędziłem w samochodzie. Najpierw Twój brat, Twoja mama, Ty i ja wybraliśmy się do sklepu rowerowego, potem zawiozłem was do kawiarni w mieście i pojechałem do domu, w którym Twoja najstarsza siostra spędziła noc, następnie z powrotem do miasta po Twojego brata, odebrałem z nim rower, kupiliśmy go przed południem i mieli w nim zamontować lampki i zamek, potem wróciłem do miasta po was, odwoziłem was na plażę, a Twojego brata do kolegi w Glemminge, później z powrotem na plażę, gdzie Twoja siostra odkryła, że bikini, które kupiła, jest na nią za duże, więc zawiozłem ją do miasta, żeby mogła je wymienić, a gdy wróciliśmy na plażę, zadzwoniła Twoja starsza siostra – była na innej plaży z rodziną, u której nocowała – i chciała, żebym ją odebrał, co też zrobiłem, następnie zawiozłem przyjaciółkę Twojej najstarszej siostry do jej domu, ponieważ miała u nas nocować i musiała zabrać kilka rzeczy, ale nie miała kluczy, więc najpierw musieliśmy zahaczyć o hotel, gdzie jej ojciec już na nas czekał ze swoim rowerem z przyczepką, w której siedziała jego młodsza córka, następnie pojechaliśmy z powrotem do ich domu, potem na plażę po Ciebie i Twoją mamę, a gdy dotarliśmy do naszego domu, pojechałem od razu do Borrby razem z Twoją

starszą siostrą po pizzę i pozostałe produkty spożywcze. Gdy wróciliśmy z zakupami, pojechalśmy na rowerach po Twojego brata, który dzięki temu mógł wypróbować nowy rower, jadąc nim do domu, wzdłuż pól, pod wciąż błękitnym niebem, choć słońce chyliło się już ku zachodowi.

Pierwsza połowa tego dnia była upalna, a ja czułem rozdrażnienie i wstyd z powodu tekstu, który napisałem poprzedniego wieczoru. Wszędzie tasiemcowe korki, żadnych wolnych miejsc parkingowych, spacerówka do auta i z auta, rower na tylne siedzenie, tabuny dzieciaków i do tego ciągle musiałem powtarzać w myślach, gdzie jesteście – Ty tam, Twój brat tam, Twoje siostry tam i tam – bo cały czas towarzyszył mi paniczny lęk, że zapomnę pojechać po któreś z was, zwłaszcza po tym, jak pewnego popołudnia, w Twoje pierwsze w życiu lato, zostawiłem Cię w samochodzie, właśnie wchodziliśmy do restauracji i gdyby nie przyjaciel, który zapytał o Ciebie, mógłbym długo sobie o tym nie przypomnieć – a Ty siedziałabyś w aucie na parkingu, w słońcu...

Przez drugą część dnia padał deszcz, z oddali dobiegały grzmoty. Wieczorem się roz pogodziło, ale temperatura spadła o dziesięć stopni. Taki właśnie jest czerwiec: niezdecydowany i zmienny, na przemian ciepły i zimny, mokry i suchy.

Ale tak stresujący i rozczarowujący dzień jak ten może zrównoważyć proste, niewielkie zdarzenie, niepozorna chwila zwiększonego zagęszczenia, jak ta, gdy po obiedzie szedłem do pokoju Twojej najstarszej siostry, gdzie siedziała razem z młodszą siostrą i przyjaciółką. Tata idzie! – usłyszałem, jak mówi, a potem wszystkie wybuchnęły śmiechem. Stałem przed nimi, były w doskonałym humorze, domyśliłem się, że rozmawiają o chłopakach. Twoja starsza siostra od dwóch tygodni spotyka się z takim jednym, a Twoja najstarsza siostra jest zakochana w koleżce i ma nadzieję, że on w niej też. Były takie radosne!

Niczego dzisiaj nie przeczytałem, niczego nie napisałem i myślałem wyłącznie o praktycznych rzeczach. Za to coś zobaczyłem. Gdy stałem w korku, czekając, aż będę mógł wyjechać na główną drogę, mój wzrok padł na tablicę na kamiennym pomniku stojącym na skraju lasu, na której było napisane, że Sandskogen, ciągnący się przez całą drogę z Nybrostrand do Ystad, został posadzony z inicjatywy Karola Linneusza, o czym wiedziałem, ale nie znałem dokładnej daty. To było w 1749 roku, to znaczy zaledwie sześć lat po tym, jak był tu Swedenborg.

## **NIEDZIELA, 5 CZERWCA 2016**

Jest sześć minut po dwudziestej drugiej. Chociaż właśnie zaszło słońce, na dworze jest wciąż jasno. Od strony trampoliny ustawionej przed domkiem, w którym siedzę, dobiegają krzyki i nawoływania, piosenki i salwy śmiechu, to

Twoje siostry ćwiczą musical, w którym biorą udział, premiera będzie za miesiąc. Dziś rano zawiozłem je na próbę do Simrishamn – co robię każdego lata od 2014 roku – i odebrałem trzy godziny później. Resztę dnia przesiedziałem głównie na kamiennych płytach między domami, wrywając chwasty, nie licząc godziny w środku dnia, gdy pisałem tekst o rowerach, i jednej po południu, gdy spałem, oraz paru przejazdów samochodem – Twój brat został odwieziony do kolegi, ma u niego przenocować, a Twoja najstarsza siostra odwiedziła przyjaciółkę, do której ją zawiozłem i od której ją potem przywiozłem. Gdy tam jechałem, zobaczyłem bażanta, zająca i małe koźle sarny, na widok samochodu ruszyło w popłochu przez pole, najpierw w moją stronę, potem niespodziewanie zawróciło i pobiegło przed siebie, wzbijając tumany kurzu. Krajobraz, tak łagodny i żyzny, rozciągał się spokojnie we wszystkie strony, oświetlony promieniami nisko wiszącego pomarańczowego słońca. Było cicho i pięknie i wtedy przypomniało mi się coś, co Anna Bjerger powiedziała na temat piękna, gdy kilka tygodni temu przeprowadzałem z nią wywiad. To jedna z najbardziej oczywistych cech jej obrazów: są piękne. Ich piękno ma związek z barwami, ponieważ Bjerger jest kolorystką, to znaczy malarką, która potrafi ożywić swoje dzieło poprzez odpowiednie kombinacje kolorów, która jest jednocześnie odważna i pewna siebie, a odwaga i pewność siebie to dwie towarzyszkę intuicji. Spytałem ją, czy piękno jest dla niej ważne. Odpowiedziała, że uczono ją, by była nieufna wobec tego, co piękne, by miała się przed tym na baczności. Ja też to robię, to jeden z podstawowych aspektów naszej kultury, że piękno, w każdym razie to niepodważalne, rzucające się w oczy, pastoralne i idylliczne, ale także to, co dramatycznie piękne, jest w sztuce przejawem złego smaku, jest banalne i mniej wartościowe. Jedyne adekwatną reakcją na to była i jest ironia. Ironia oznacza dystans, przeciwieństwo empatii i bliskości. W obrazach Bjerger najbardziej uderza to, że wszystkie powstają na bazie fotografii, większości z nich nie zrobiła sama, lecz znalazła je w starych czasopiśmie, poradnikach i gazetach. Kąt widzenia należy zatem do kogoś innego, anonimowego, a zwykle właśnie poprzez kąt widzenia ujawnia się intencja osoby, która wykonała obraz, czy to będzie malarz, czy fotograf. To czyni jej obrazy w pewnym sensie bezosobowymi, jest w nich coś obcego, nieosobistego i ogólnego, prawie tak jakbyśmy patrzyli na coś przez pryzmat kultury lub epoki. To, co osobiste, obecność artysty, jest zawarte w kolorach i często tak wyraźnie zaznaczone – przez widoczne pociągnięcia pędzla lub spływającą farbę – że powinno się to klócić z realizmem dzieła, a jednak tak się nie dzieje – może z powodu tej dwoistości między fotograficznym realizmem, który jest bezosobowy, a realizmem malarskim, który świadczy o osobie stanowiącej źródło napięcia i jakości obrazu. Gdyby Bjerger zechciała namalować zachód słońca na tle sielskiego krajobrazu, zrobiłaby to na podstawie istniejącej fotografii, a my widzielibyśmy zarówno zachód słońca, jak i nasze spojrzenie nań,

doświadczylibyśmy piękna i jednocześnie podejrzliwości wobec niego.

Ale dlaczego właściwie mielibyśmy być nieufni wobec piękna? Czy to co piękne, nie jest dobre? Wydaje mi się, że piękno utożsamiamy z tym, co proste, nieodporne, powierzchowne, to znaczy powielane, z tym, co rozpoznajemy w zasadzie bez patrzenia, ponieważ spojrzenie na piękno zaistniało wcześniej, przed nami. A zadanie sztuki polega na widzeniu obiektu takim, jaki jest naprawdę, jakby był widziany po raz pierwszy. I jeśli to widzenie traktuje się poważnie, ten, kto patrzy, również staje się jego częścią, bo nie istnieje neutralne spojrzenie ani neutralny krajobraz, i jedno, i drugie jest zawsze czymś naładowane. Malowanie tego ładunku postawił sobie za cel Edvard Munch. W oderwaniu od reprezentacji lub przesunięciu akcentu szkic i to, co niedokończone, zostało docenione, a jednocześnie przykładano większą wagę do obrazu jako obiektu samego w sobie, do jego malarskości. W ten sposób Munch oddalił się od tej rzeczywistości, którą reprezentował – nigdy nie zerwał z ideą reprezentacji, zbyt głęboko była w nim zakorzeniona, zresztą nic w tym dziwnego: w końcu urodził się w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku – niektóre namalowane przezeń krajobrazy ledwo przypominały krajobraz, były raczej kilkoma pociągnięciami farby na płótnie, lecz jednocześnie dzięki temu Munch zbliżył się do innej rzeczywistości, którą można nazwać podniosłe rzeczywistością duszy w świecie. Od jego śmierci minęło ponad siedemdziesiąt lat i wiele się w tym czasie w sztuce wydarzyło, lecz nie tak wiele w ludziach, i dlatego wciąż istnieją tylko trzy sposoby podejścia do sztuki: do tego, co zewnętrzne, wewnętrzne i autonomiczne. To, że piękno zostało wyłączone jako kryterium, nie ma właściwie żadnego znaczenia, ponieważ jak tylko pojawi się wybitny artysta, i tak zrobi, co będzie chciał; jeśli zapragnie reprezentować piękno z całą jego pełnią i głębią, stanie się to w sposób oczywisty, jawny, suwerenny. Sztuka jest w zasadzie jedynie kwestią mocy, wszyscy artyści doskonale o tym wiedzą. I w ten sposób mamy trzy zdyskwalifikowane, wątpliwe, przestarzałe kategorie oceniania sztuki: moc, dusza i piękno. Dlaczego zostały zdyskwalifikowane? Ponieważ sztuka polega na zbliżaniu się. Przedzieraniu się przez wszystkie nasze systemy i wyobrażenia, postawy i przesady, przyzwyczajenia i rutynę. Tymczasem dusza, ze swoim dziewiętnastowiecznym pogłosem wywyższenia, szlachectwa i kultu geniuszu, stworzyła dystans, piękno, ze swoją konwencjonalną aparaturą, stworzyło dystans, a wyobrażenie mocy sprawiło, że akceptowalna stała się pogarda dla słabości, co stwarza dystans do prawdy, bo prawda o człowieku jest taka, że jest on słaby i łamliwy jak zamarznięta trzcina – i to jest piękne, jeśli uda się do tego zbliżyć, odrzucając to, co udaje, że jest czymś innym, czyli prawie wszystko, a to z kolei wymaga mocy, by móc się przebić...

Krajobraz, przez który jechałem o dziewiątej wieczorem, żeby odebrać Twoją najstarszą siostrę, był zatem piękny w głęboko nienowoczesny sposób:

słońce zachodziło tak samo, jak to czyni od setek tysięcy lat, hojnie barwiło powietrze i ozłacało tu i ówdzie podłużne bruzdy suchej jasnobrązowej ziemi, drzewa rosnące w kępach wokół domów i w szpalerach wzdłuż strumieni były całkiem nieruchome. O, zmierzchu, o, mroku, o, nieubłagany końcu życia! O, owce, o, krowy! O, niskie samochody jadące po wąskiej drodze! O, wieżo ciśnień na wzgórzu! O, białe skrzydła wiatraków! O, alejo dębów o sękatych pniach i guzowatej korze!

*Estases féminines*



*Mechtildes de Rackelborn*

*Marie des vallées*



*Thomasina*

*chi*

*Maria*

*Marie de...*



Pamiętam, kiedy po raz pierwszy spisałem taki wybuch emocji i jak bardzo mi się spodobał. Dzięki archaicznej formie mowa pochwalna otwierała się na ironię, a jednocześnie była przecież szczerym, impulsywnym wybuchem radości, niejako obnażonym, który pozwalał znaczeniu odbijać się i wracać jak echo w dolinie. Nie żeby to miało dla mnie jakieś znaczenie poza przyjemnością, jakiej dostarczało mi to, co archaiczne. Nad tym, dlaczego było to dla mnie źródłem przyjemności, nigdy się nie zastanawiałem. Ale lubiłem patrzeć na barokowe obrazy przedstawiające antyczne motywy, na przykład na płótna Lorraina lub później Turnera. Lubiłem także czytać antyczne teksty, choć nie odnajdowałem w nich tego samego, niemal wiecznego spokoju, nie licząc poematu *Georgiki* Wergiliusza, który być może bardziej go implikuje, niż tematyzuje. Uwielbiałem również poemat Lukrecjusza *O naturze rzeczy*, ale chyba bardziej wyobrażenie na jego temat niż jego faktyczną zawartość. Czytałem *O duszy* Arystotelesa, mowy Cyncerona, *Wojnę peloponeską* Tukidydesa i *Metamorfozy* Owidiusza. W szkole nie uczono nas o antyku, pierwszy raz zetknąłem się z nim na uniwersytecie, na zajęciach z literaturoznawstwa, gdzie siedzieliśmy i słuchaliśmy wykładów na temat greckiego społeczeństwa, w którym narodziły się tragedie, jak niesłychane miały znaczenie i jakie ówczesne konflikty przedstawiały. Epice od Homera do Dantego była poświęcona druga seria wykładów. Nigdy nie zagłębiłem się porządnie w tę literaturę, czytałem trochę tego, trochę tamtego, szukałem bardziej poczucia antyku niż antyku samego w sobie. W autobiografii Wernera Heisenberga najbardziej zaimponował mi opis wędrówki po lesie – w Niemczech w 1920 roku – razem z grupą przyjaciół w tym samym wieku, gimnazjalistami, znającymi grekę, dyskutowali o Platonie i teoriach Greków dotyczących budowy atomu. Ten łuk, od filozofii greckiego antyku do europejskiej fizyki atomowej okresu międzywojennego, czyż nie jest fascynujący? Natura rzeczy, cząstki atomów. Heideggerowskie czytanie filozofów przedsokratejskich również się do tego zalicza, bo chociaż fizyka atomowa lat dwudziestych ubiegłego wieku rozwijała się gorączkowo, dzięki czemu nawet mierni badacze mogli dokonać przełomowych odkryć, tak jak to się dzieje w kulturze, kiedy ta osiąga swoje apogeum, myślenie filozoficzne w tamtym okresie było niesłychanie powolne i zawiłe.

Słyszał pan, jak Heidegger czyta po grecku? – z jakiegoś powodu spytał mnie Anselm Kiefer, gdy miesiąc temu odwiedziłem go w jego atelier pod Paryżem, żeby wybrać obrazy do tej książki.

Nie, odpowiedziałem. Jak to brzmiało?

Bardzo pięknie, odparł. I wydał z siebie kilka dziwnych, obcych dźwięków, po czym się roześmiał.

Rzadko zdarza mi się, jak właśnie wtedy, tak bardzo pragnąć tego, by móc wyrazić swoje odczucia, tego, by móc powiedzieć coś o Heideggerze i antyku, o Lukrecjuszu i fizyce atomowej, o materialności rzeczy i olśniewającym pięknie,

i o nieskończonej głębi czasu. Ale nie byłem w stanie, z moich ust nie padło ani jedno słowo, zamiast tego spuściłem wzrok, uśmiechając się lekko, trochę zawstydzony dźwiękami, których nie udało mu się idealnie wyartykułować.

Właśnie tego doświadczyłem w obrazach Kiefera: różnych prędkości czasu w tym, co materialne, i w tym, co ludzkie, i ciągłego poszukiwania głębi na powierzchni, czegoś, co jest przekleństwem wszystkich malarzy, a na punkcie czego Kiefer zdaje się mieć obsesję. Jedyną głębią, jaką znamy, to głębia czasu, lecz nie z własnego doświadczenia, ponieważ ze wszystkim, co nas otacza, istniejemy w tym samym czasie. Czas, podobnie jak śmierć, jest przed nami zamknięty, a zostaniemy do niego wpuszczeni, jedynie stając się nim. Kiedy brama się otwiera, stajemy się jego częścią i nie możemy go doświadczyć. Może właśnie dlatego Kiefer tak bardzo interesuje się ekspresją najstarszych kultur, zarówno ich pismami, jak i budowlami, stanowią one bowiem jedyne elementy głębi czasu, z którymi możemy się identyfikować, jedyne elementy stamtąd, o których mamy prawo mówić „my” lub „nas”. W twórczości Kiefera zauważyłem również zaciekawienie rzeczami, przedmiotami, materią samą w sobie i konwersją jako zasadą – to, czym jest dana rzecz, stanowi wynik naszej decyzji i za pomocą drobnej ingerencji może stać się czymś innym.

Siedziałem na kanapie obok niego, w jego atelier usytuowanym w głębi olbrzymiego, długiego na kilkaset metrów budynku przypominającego hangar, pełnego dzieł sztuki o różnych kształtach i wymiarach, nie mając nic do powiedzenia. Atelier było jak budynek w budynku, zlokalizowane na pierwszym piętrze; ściany w trzech dużych, wysokich pokojach przykrywały obrazy, nad którymi pracował lub które właśnie ukończył. W pomieszczeniu intensywnie pachniało farbą. Obrazy były jaśniejsze i bardziej kolorowe od jego wcześniejszych prac, które miałem okazję widzieć, przedstawiały rzeki i drzewa, splątaną roślinność i otwarte tafle wody, niektóre przesycone światłem.

Do hali przyjechał na rowerze, gdy oprowadzano mnie po salach, ubrany w niebieski kombinezon, zatrzymał się i powiedział: ach, odwiedził nas wiking! Zamieniliśmy kilka słów, po czym on odjechał, a ja przyglądałem się dalej jego pracom. W budynku obok wisiał jeden obraz, miał co najmniej dwadzieścia metrów wysokości, z dwoma samolotami myśliwskimi naturalnych rozmiarów, pełnymi zasuszonych kwiatów. Trudno było pojąć, że za tymi tysiącami dzieł – których niezwykłość nie kryła się w liczbie, lecz w tym wszystkim, co sobą reprezentowały, we wszechświecie, który razem tworzyły – stoi jeden człowiek. Budząc się rano, czułbym się zmęczony na samą myśl, że tego dnia będę pracował nad jednym z tych nowych jasnych obrazów, które mogły mieć około sześciu metrów szerokości i czterech wysokości. Siła, której potrzeba, żeby zrobić coś takiego każdego dnia, przez całe życie, wspinać się i zakasywać rękawy, musiała być wyjątkowa, zawzięta i ślepa na wszystko inne, bo w jego życiu nie mogło

istnieć zbyt wiele spraw oprócz niej.

Munch był do niego podobny, nie robił nic innego, tylko malował, dzień w dzień, od szesnastego roku życia do śmierci. I choć bardzo rzadko pracował nad monumentalnymi dziełami, w podobny sposób stworzył cały wszechświat, własny, wyjątkowy i silny. Anna Bjerger jest taka sama: codziennie do atelier, codziennie nowe obrazy, które trzeba stworzyć z niczego.

Kiefer to prawdopodobnie najbogatszy artysta malarz na świecie, w każdym razie za jego dzieła kolekcjonerzy płacą najwięcej. Odniosłem wrażenie, że pieniądze, które zarabia, są wydawane na to, by stworzyć wokół niego bezpieczny świat. Śpi w atelier, zatrudnia kucharzy, którzy dla niego gotują, dziesiątki asystentów, którzy pomagają mu w pracy, sekretarkę i doradcę, który jeśli dobrze zrozumiałem, podejmuje za niego prawie wszystkie decyzje.

Lata pan śmigłowcem? – spytał, gdy jedliśmy.

Potrząsnąłem głową.

Musi pan koniecznie spróbować. To coś fantastycznego! Musi pan kiedyś ze mną polecieć!

Właśnie to robi, gdy się dokądś wybiera, do Londynu, Prowansji lub Portugalii, leci tam własnym śmigłowcem. Uwielbia kwiaty, hoduje je we wszystkich swoich posiadłościach, żadnych nie wyrzuca, wszystkie suszy. Ma dużą bibliotekę, a dzieciom kupił konie, żeby miały się czym zająć, kiedy go odwiedzają. Ale ten przepych, te wspaniałe gesty, na których podstawie można by sądzić, że Kiefer jest kimś w rodzaju księcia wśród artystów, nie są u niego najistotniejsze, nie są nawet ważne, w każdym razie takie odniosłem wrażenie, spędzając w jego towarzystwie tych kilka godzin. Najważniejsza jest praca – obrazy, dzieła. Z czego wynika to opętanie, ta uparta ślepotą na wszystko inne? To zapewne jego sposób radzenia sobie, Kiefer musiał kiedyś znaleźć sposób na to, by otworzyć się na chciwość w swoim wnętrzu, na to, czego nie sposób nasycić ani zadowolić, a co można jedynie chwilowo uśmierzyć. Powiedział mi, że w dzieciństwie nie znał żadnych innych dzieci, że miał tylko babcię, po wojnie mieszkali w Schwarzwaldzie, i gdy przed wyjściem rzuciłem ostatnie spojrzenie na tę szaleńczą ilość dzieł, we wszystkim, co namalował, dostrzegłem nagle drzewa i las. Drzewa i las, czas i śmierć, i jego własną biografię, jak cienką, niemal niewidoczną nić wijącą się przez całość.

Gdy zaparkowałem przed domem, w którym mieszka przyjaciółka Twojej siostry, po tym jak minąłem oświetloną słońcem równinę i dojechałem do niskich wzgórz, wznoszących się tuż przed morzem, mój wzrok padł na dwa duże koguty o wspaniałych piórach i prostych jak struna szyjach; wpatrywały się we mnie. Wokół nich krążyło kilka brązowych, znacznie mniejszych kur. Otworzyłem furtkę i w tej samej chwili z domu wybiegł olbrzymi pies o kwadratowym łbie i umięśnionym ciele, a za nim drugi: mały, włochaty, który wściekle ujadął.

Wiedziałem, że nie są groźne, ale serce i tak zaczęło mi szybciej bić, kiedy zobaczyłem zęby wystające z mokrego pyska psa giganta. Poklepałem go z obowiązku po łbie, chociaż mam awersję do psów, i wtedy ujrzałem Twoją siostrę, szła z pochylonym do przodu karkiem, jakby w chwili pożegnania starała się skurczyć, domyśliłem się, że chce mieć ten moment jak najszybciej za sobą lub usiłuje stać się tak mała, jak to tylko możliwe; w każdym razie ja tak zawsze robiłem.

Pojechaliśmy do domu tą samą trasą, przez skąpany w wieczornej ciszy rolniczy krajobraz, który był naszym domem, a dla niej także miejscem, z którego pochodziła. Promienie słońca padały na jej policzek. Gdybym potrafił malować, namalowałbym właśnie to.

### **PONIEDZIAŁEK, 6 CZERWCA 2016**

Kilka minut temu Twoja starsza siostra wyszła na trawnik, położyła komórkę na stole pod oknem kuchennym, opierając ją o filiżankę, i zaczęła przed nią tańczyć. Ćwiczy do musicalu. To już trzeci, w którym bierze udział, ale w przeciwieństwie do poprzednich dwóch, kiedy zdarzało mi się siedzieć w lokalu i czekać, aż próba się skończy, z tegorocznego jeszcze nic nie widziałem. Kręciła głową, rysowała w powietrzu jakieś kształty, nucąc coś pod nosem lub licząc takty. Potem chwyciła telefon, usiadła na trawie i obejrzała nagranie. Gdy skończyła, zerknęła w okno, za którym siedzę, i kiedy podniosłem rękę w geście pozdrowienia, odmachala mi i zniknęła w domu, równie niespodziewanie, jak się pojawiła.

Jest sześć minut po dwudziestej drugiej. Dzieci nie poszły dzisiaj do szkoły; jest święto narodowe Szwecji. Przez cały dzień czułem się tak, jakby była niedziela, i do końca nie rozumiałem, dlaczego przyszło aż tyle e-maili, w weekendy skrzynka odbiorcza jest zazwyczaj pusta.

O ósmej rano obudził mnie Twój głos, zdziwiłem się, ponieważ dobiegał z bardzo bliska. Gdy otworzyłem oczy, okazało się, że leżysz w naszym łóżku. Powoli przypomniało mi się, że Twoja mama przyniosła Cię do nas, bo płakałaś żałośnie w swoim łóżeczku ze szczebelkami i nie można Cię było uspokoić.

Uśmiechnęłaś się do mnie i zaczęłaś ze mną rozmawiać. Powiedziałaś, że musimy odebrać Twojego brata, autem. Pokiwałem głową i odpowiedziałem, że musimy, ale może nie od razu. Nie, nie od razu, zgodziłaś się. Zejdziemy na dół i zmienimy pieluszkę, powiedziałem. Tak. Anne włoży majtki, odparłaś. Właśnie, potwierdziłem i zniosłem Cię po schodach, ale zapomniałem Cię przebrać, bo gdy postawiłem Cię na podłodze, pobiegłaś prosto do salonu, a zanim tam wszedłem, zdążyłaś włączyć telewizor i już wdrapywałaś się na kanapę. Nastawiłem ekspres do kawy i zapaliłem papierosa w gabinecie, potem zjadłem z Tobą śniadanie,

siedzieliśmy każde po swojej stronie stołu, każde nad swoim talerzem płatków Special K z mlekiem i rodzynkami, a gdy Twoja mama wstała z łóżka, przeszedłem tutaj, żeby napisać nowy tekst. Zacząłem trzy różne, ale w końcu dałem sobie spokój. Właściwie nigdy tego nie robię, ale odkąd zacząłem pisać ten dziennik, wieczorem i nocą, nie wstaję już o czwartej, piątej rano, tak jak to robiłem przez dwa ostatnie lata, a bez tych godzin spędzonych samotnie, w ciemności, o świcie lub w świetle wczesnego poranka, trudno mi jest wejść w tekst. Kiedy wstaję rano, czuję się tak, jakbym zaczynał od zera, od niczego, które powoli staje się czymś, jeśli się skupię, ale ten proces jest tym trudniejszy, im więcej zdarzyło się, zanim zacząłem pisać, ponieważ koncentracja polega właściwie jedynie na wyzerowaniu świadomości, a im więcej wrażeń, uczuć i myśli, tym więcej trzeba z niej usunąć, by mogła wejść w tryb pracy.

Wyszedłem z gabinetu, wyciągnąłem kosiarkę z korytarza letniego domku, przepchnąłem ją na trawnik, włączyłem i zacząłem przesuwać po trawie wzdłuż zewnętrznej krawędzi ogrodu, zataczałem koła, które powoli stawały się coraz mniejsze. Twoja mama poszła do przedszkola, w ten weekend była nasza kolej sprzątania w nim, i Linda wzięła to na siebie. Około południa Twoją starszą siostrę odwiedził przyjaciel, skakali na trampolinie albo siedzieli na niej i rozmawiali, jeździli na rowerach po okolicy, siedzieli w jej pokoju na piętrze, każde ze swoją komórką w dłoni, robili gwiazdy w ogrodzie. Znali się od pięciu lat i przez chwilę chodzili razem do szkoły, i chociaż przenieśliśmy Twoje rodzeństwo do szkoły w Ystad, nadal mieli ze sobą kontakt. Twoja najstarsza siostra spała, dopóki nie obudziłem jej o wpół do drugiej. Zwykle nie pozwoliłbym jej spać tak długo, ale wczoraj obiecałem jej, że następnego dnia będzie mogła wstać, kiedy będzie chciała. Spędziła z przyjaciółmi cały weekend i była na próbie do musicalu, a przebywanie z innymi ludźmi przez dłuższy czas wiele ją kosztuje, robi się rozdrażniona lub zmęczona i tęskni za tym, by być sama albo z nami i móc odpocząć.

Niesamowite, jak bardzo się od siebie różnią i jak bardzo lubię je za to, kim są.

Wyrwałem chwasty z rabat i pomiędzy krzaczków jagód, a ponieważ nie zawsze wiem, co jest chwastem, a co rośliną ozdobną, usunąłem tylko to, co na pewno nie powinno tu rosnać, mniszka pospolitego i wyjątkowo upartą i niezłomną roślinę płożącą – oplata wszystkie inne rośliny i trudno ją usunąć, nie niszcząc bylin, wokół których się wije. Teraz wszystko tu kwitnie i rośnie, wzdłuż każdej ze ścian, aż pod dach, wszystko jest gęste i zielone, a podagrycznik, przez który, cholera jasna, wykopałem pół trawnika, żeby się go pozbyć, a potem zasiałem trawę, myśląc, że wyrwałem całą sieć białych, splątanych korzeni, znowu eksplodował i rośnie gęsty jak las wszędzie tam, gdzie nie da się dotrzeć kosiarką.

Co jakiś czas chodzę sprawdzić, co robisz; bawiłaś się ze swoją siostrą

i jej przyjacielem albo sama lub siedziałaś przed telewizorem i oglądałaś *Lilla spöket Laban*. To ostatnie wywoływało we mnie wyrzuty sumienia, tym bardziej że znałaś wszystkie kwestie dialogowe i potrafiłaś je wygłosić, zanim padły z ekranu, a masz tylko dwa i pół roku, ale zabawa z Tobą przez więcej niż dziesięć minut to dla mnie prawdziwa próba cierpliwości, ciągle muszę coś robić, najchętniej pisać, a jeśli nie, to pracować w ogrodzie albo sprzątać w domu. Kiedyś taki nie byłem, potrafiłem spać przez cały dzień, oglądać telewizję przez cały wieczór, balować przez całą noc, wałkonić się całymi tygodniami, nie czując wyrzutów sumienia. Teraz pół godziny oglądania telewizji wystarczy, żebym poczuł, że marnuję czas; nawet czytanie, bądź co bądź część mojej pracy, stało się czymś lekko wątpliwym, co robię z ogromnym poczuciem winy, jeśli nie ma ono bezpośredniego związku z tym, co piszę lub co zamierzamy wydać.

Nie ma w tym nic dziwnego, to moja metoda radzenia sobie i, co ważne, działa, więc nie widzę powodu, by ją zarzucić. Wszystkie problemy mają swoje źródło w relacjach z innymi ludźmi, jeśli zminimalizuje się relacje z innymi, zminimalizuje się również problemy. Ale ponieważ człowiek jest istotą społeczną i bez kontaktu z innymi idzie na dno, relacji z ludźmi nie można tak po prostu uciąć, trzeba je czymś zastąpić, a mało co zastępuje obecność innych ludzi w bardziej zadowalający sposób niż pisanie, które jednocześnie usprawiedliwia tę aspołeczną postawę, bo przecież wszyscy wiedzą, że ten, kto pisze, przede wszystkim potrzebuje ciszy i spokoju.

Kiedyś najgorszą porą roku było lato: niosło oczekiwanie radości, przyjemności i paczek przyjaciół, którzy kąpali się w morzu albo płynęli w rejs, albo jeździli na wycieczki, a tymczasem ja siedziałem w Kristiansand lub w Bergen, w domu mojej matki lub na stacji, na dworze świeciło słońce, a ja nie miałem pojęcia, dokąd pójść ani co robić. Nikt nie kąpie się sam, nikt nie płynie w rejs sam, nikt nie leży w parku na trawie sam, nikt sam nie przesiaduje w kawiarni, na zewnątrz, i nie czyta książek, w każdym razie nie wtedy, kiedy się jest dwudziestodwuletnim mężczyzną. Strasznie mnie to męczyło i miało na mnie ogromny wpływ, nie tylko na to, jak postrzegali mnie inni, lecz także na to, kim byłem dla samego siebie, co przez długi czas znaczyło jedno i to samo. Oczywiście, powinienem być silny i się tym nie przejmować, siedzieć na stacji i uczyć się greki albo hebrajskiego, albo łaciny, albo czegoś innego, co mogłoby mi się później przydać. Ale nie byłem silny i to, że nie miałem gdzie ani z kim spędzić lata, niszczyło mnie. Problem zniknął z chwilą, gdy zacząłem pisać swoją pierwszą powieść. Nie potrzebowałem do tego innych ludzi ani innych miejsc, mogłem siedzieć na stacji i pracować w samotności. I tak długo, jak to robiłem, nie miałem żadnych problemów poza tymi, które były związane z samą powieścią. Od tamtej pory nie przestawałem pisać. Kiedy pojawiły się dzieci, problemy z samotnością skończyły się definitywnie, ponieważ ich obecność wymagała dużo czasu i tego

wolnego pozostawało naprawdę niewiele, ale wtedy pisanie tak głęboko już we mnie siedziało, jako metoda i panaceum na wszystkie kłopoty, że nie dość, że je kontynuowałem, to jeszcze – po pierwszych, chaotycznych, niemowlęcych latach – zwiększyłem tempo, aż znalazłem się w tym miejscu, w którym jestem teraz, gdzie czuję, że ciągle muszę coś robić.

Na skutek takiego postępowania człowiek sztywnieje, nie tylko w pozie zewnętrznej, lecz także w wewnętrznej, i to musi być powód, dla którego tak wielu starszych ludzi nie potrafi zareagować na zmiany: wypracowali własną metodę i pokornie schylili głowę, i robili to tak długo, że już nie są w stanie się wyprostować.

Jeden z braci moich dziadków był właśnie taki, skostniały, ale potem gdy zaczął cierpieć na demencję starczą, sztywność zupełnie odpuściła, nie tylko w sposobie myślenia, lecz także w całym jego ciele, znowu stał się jak dziecko: twarz wiecznie niepewna, z delikatnym uśmiechem.

Wszyscy muszą mieć własną formę, właśnie to nazywamy tożsamością. Jeśli wewnętrzna forma jest słaba, charakter wrażliwy i niewyraźny, potrzebna jest forma zewnętrzna. Wychowywanie dzieci to w zasadzie nic innego jak pomaganie im w tym, zaoferowanie kilku stałych struktur, które czynią ze świata i z nich samych przejrzyste wielkości. Zgrozą dla dziecka, prawdziwym koszmarem, jest samodzielne decydowanie o wszystkim. Tę formę odnajdujemy również w makroskali w społeczeństwie, gdzie stopień chaosu wpływa na rozpowszechnianie się tęsknoty za rządami twardej ręki, za zdecydowanym przywódcą, silnym mężczyzną.

W tych silnych mężczyznach dziwne jest to, że często bije od nich pewna słabość, lekka bezradność, jakaś wewnętrzna sprzeczność. Gdy byłem wiosną w USA, oglądałem w telewizji wiele wystąpień Donalda Trumpa, kandydata republikanów na prezydenta. Emanowała z niego niemęska próżność, coś delikatnie kobiecego, czego – jak można by przypuszczać – jego wyborcy, ci, którzy sympatyzują z prostymi rozwiązaniami i biorą przesady za prawdę, woleliby nie widzieć; można by sądzić, że preferują to, co na wskroś twarde, spójne i jednoznaczne, ale tak nie jest: dwuznaczność mowy ciała i prezencji Trumpa zdaje się nikomu nie przeszkadzać. To samo dotyczyło Hitlera, choć to dalekie porównanie, również jego prezencja była ambiwalentna, również w nim było coś próżnego i niemęskiego, pewna dwuznaczność, która powinna była zakwestionować jego przekaz, ale tego nie zrobiła, wręcz przeciwnie.

Obama jest niezawodny, pewny, suwerenny.

Gdy podróżowałem po Stanach, spotkałem się z redaktorem pracującym w „The New York Times”; już wcześniej spytał mnie, czy chciałbym pisać o kampanii wyborczej, odmówiłem, odrzucała mnie myśl, że jako Europejczyk miałbym przyglądać się temu wszystkiemu z zewnątrz. Jednak po tygodniu pobytu

w USA i obejrzeniu wszystkich wystąpień telewizyjnych i studyjnych debat, i po rozmowach z ludźmi, którzy nie tylko popierali Trumpa, lecz zaczęli się podniecać, kiedy mówili o jego poglądach na temat imigrantów, muzułmanów, rządu, odpowiedziałem, że mógłbym to rozważyć.

Spotkałbyś się z Trumpem? – spytał.

Zbladłem z przerażenia.

Nie, odparłem.

Okej.

Dlaczego oblał mnie zimny pot na myśl o spotkaniu z nim?

Z powodu jego władzy, sławy, pogardy dla człowieka?

Tak, ale przede wszystkim z powodu jego autorytarnej osobowości. Z moim lękiem przed autorytetem nie mógłbym wyobrazić sobie bardziej przerażającego spotkania. Bo przecież próbowałbym mu się podlizać, prawda? Wyrzekłbym się wszystkiego, w co wierzę, w nadziei, że mnie polubi?

Niestety, tak.

Jest za osiem minut wpół do pierwszej w nocy i zaraz idę spać. Pół godziny temu przysłała po mnie Twoja najstarsza siostra; zasnęła na materacu leżącym obok łóżka na parterze, po ostatnim nocowaniu przyjaciółki, ale obudziła się i chciała, żebym zaniósł materac na łóżko na pierwszym piętrze. Zrobiłem to, zawlokłem materac na górę, ciągnąc go za dłuższy koniec, obok Twojego brata, który spał na plecach z rękami wzdłuż ciała, z kołdrą obok siebie, jak w skoku do wody z trampoliny, i obok Ciebie, śpiącej na boku, z kołdrą między małymi nóżkami i rączkami. Za trochę ponad sześć godzin obudzisz się, rześka i radosna, gotowa na nowy dzień, w którym nic, co się wydarzy, nie zaskoczy Cię.

**WTOREK, 7 CZERWCA 2016**

Dzisiaj spałem do wpół do ósmej i ledwo zdążyłem wypić kawę i zapalić papierosa, nim odwiozłem Twoje rodzeństwo do szkoły, przez kolejny słoneczny i cichy poranek nad polami, Twoja mama zawiozła Cię zaś do przedszkola, a potem pojechała autobusem do Ystad, a stamtąd pociągiem do Malmö. Po powrocie do domu napisałem tekst o placach zabaw i wysłałem go swojemu redaktorowi. Zadzwonili zaledwie kilka minut później. Rozmawialiśmy trochę o ostatnich tekstach i trochę o książce jako całości; podrzucił mi kilka pomysłów, które mi się spodobały, ale ich nie zapisałem, uznając, że podświadomość zatroszczy się o to, co istotne. Potem zapytał, jak mi się żyje. Chociaż wszystko, co ostatnio piszę, to teksty autobiograficzne i w tym sensie dotyczą mojego życia, życie samo w sobie jest jednak czymś całkiem innym. Rozgrywa się zupełnie gdzie indziej, niejako za tekstem, jak ciemna góra, którą tekst dostrzega jedynie w krótkich, ograniczonych przeblaskach, jak w świetle latarki. Ostatnio dużo rozmawialiśmy o tym, jak



opowiedzieć przeżyta przez siebie historię, nie podając własnej wersji, jak to się dzieje, kiedy sedno stanowi nie podmiot literacki, lecz jego przeżycia; to może przypominać dzielenie włosa na czworo, ale tak nie jest, ponieważ różnica jest znaczna, i kiedy redaktor wspomniał o tym po raz pierwszy, poczułem się tak, jakby wokół tego, o czym chcę pisać, otworzyło się wiele możliwości. To są możliwości opowiadania, którym takie pojęcia jak fikcja i literatura faktu nie dorastają do pięt, są zbyt toporne lub nieadekwatne. Nie o to toczy się walka. Mówi się, że fikcja może być prawdziwsza od rzeczywistości, mając na myśli prawdę w pewnego rodzaju wysublimowanym, wzniosłym znaczeniu, jako coś skryzalizowanego i uniwersalnego. Kiedyś nazywało się to prawdą poetycką. Że prawda rzeczysta, to znaczy wydarzenia tak jak się rozgrywały, jest przypięta do podmiotu literackiego, który o nich opowiada, ze wszystkimi ograniczeniami, jakie to za sobą pociąga. I ja w to wierzę, tak właśnie jest, prawda poetycka jest na pewno ważniejsza od rzeczywistej. Ale nie powinno się pisać zbyt wiele na temat osobistych przeżyć, dopóki się nie odkryje, że i tutaj obowiązuje ta sama zasada prawdy poetyckiej. Nie chodzi o to, że człowiek coś dodaje od siebie lub zmyśla, lecz o to, jak historia jest formowana, której z jej wersji pozwoli się obowiązywać. Podobnie ma się rzecz z przypowieścią; kiedy wzrasta prawda uniwersalna, obniża się prawda osobista. To nic innego jak pytanie o to, w jaki sposób buduje się przestrzeń w opowiadaniu, jak dużo widać podmiotu literackiego i w jakim stopniu narrator się z nim identyfikuje. Jeśli identyfikacja jest całkowita, osobista prawda staje się znacząca, ale wówczas tylko ona jest artykułowana, i właśnie to wyrażała stara praktyczna zasada, że literatura musi być osobista, ale nie prywatna. To, co prywatne, jest istotne wyłącznie dla piszącego. I tu odkrywamy pewien paradoks: pisarz musi pójść na kompromis ze swoją własną prawdą, to znaczy stworzyć podmiot literacki, z którym nie całkiem się identyfikuje, by móc wyrazić coś, co może być prawdziwe dla innych. Mój kolega, z którym czasem o tym dyskutuję, uważa, że to czyni pojęcie prawdy bezsensownym, skoro to, co ma zostać powiedziane, trzeba – jak się wyraził – „osłodzić”, czyli zakłamywać. Twierdzi również, że piszę przede wszystkim po to, by być lubianym. To nie jest tylko problem literacki, lecz także społeczny, ponieważ w życiu społecznym każdy z nas ma zewnętrzną personę, która nie jest identyczna z naszą wewnętrzną jaźnią – lub mówiąc prościej: nie zawsze mówimy to, co myślimy. Dlaczego nie? Bo nie chcemy ranić innych, może czasem to jest ważniejsze od wypowiedzenia prawdy, albo myślimy, że ważniejsze jest to, żeby było miło, albo że prawda i tak niczego nie zmieni, bo ludzie są niereformowalni. Albo obawiamy się, że inni nie będą nas lubić, jeśli ulżymy sobie i powiemy, co naprawdę myślimy. I dlatego gramy. Ale czy literatura nie stanowi właśnie schronienia przed społeczną grą? Czy nie jest jedynym miejscem, gdzie można być absolutnie prawdziwym, skoro pisanie stanowi jeden z niewielu aktów społecznych rozgrywających się poza tym, co

społeczne? Czy literatura nie jest bezwzględna i czy jej bezwzględność nie jest jej jądrem i uprawnieniem? Owszem, i to jeden z powodów, dla których przez znaczną część historii literatury fikcja była preferowaną metodą, ponieważ wyciąga własną prawdę podmiotu literackiego z przypowieści i przedstawia ją jako inną, w kontekście społecznym. Sztuki Ibsena były bezwzględne w tym sensie, że ukazywały ludzi takimi, jacy byli, ukryci za swoimi rolami, i społeczeństwo takie, jakie było naprawdę, za sceną, na której wszystko się rozgrywało. Peer Gynt jest krystalizacją, Brand jest krystalizacją, obaj są samym Ibsenem, ale nie tylko takim, jakim był dla siebie, lecz także takim, jakim widział siebie z zewnątrz, oczami innych ludzi. W ten sposób mógł pisać o sobie prawdziwiej, niż gdyby napisał sztukę, w której identyfikacja byłaby totalna. Dzieje się tak, ponieważ jaźń nie jest czymś odizolowanym – nie mam tu na myśli

samotności ani ludzkiego odosobnienia, ale to, jak jaźń jest ukonstytuowana – lecz skierowanym na innych, jest zwróceniem się do nich, tak jak język i literatura. Pisanie o własnej jaźni stanowi w pewnym sensie przeciwieństwo wczuwania się, ponieważ w tym drugim wypadku ruch odbywa się z zewnątrz do wewnątrz, a pisanie o samym sobie polega na wyjściu z wnętrza na zewnątrz. W obu procesach cel jest ten sam: zażyłość, a w konsekwencji zrozumienie. Kiedy ten, kto pisze o samym sobie, wydostaje się z jaźni i włącza spojrzenie z zewnątrz, powstaje pewnego rodzaju dziwny obiektywizm, coś, co należy jednocześnie do wnętrza i zewnątrz, i ten obiektywizm umożliwia poruszanie się we własnej jaźni, jakby należała do kogoś innego, i krąg się zamyka, ponieważ do tego ruchu jest konieczne wczuwanie się lub to, co obecnie nazywamy empatią. Ten, którym się jest, kiedy się jest dla siebie, nie wymaga rzecz jasna żadnego wczuwania się, gdyż nie istnieje żaden dystans, żaden „ruch dośrodkowy”, który trzeba przeforsować, jaźń jest bowiem wtedy tym, czym jest. Ale gdy tylko człowiek wyjdzie poza sytuację bycia sobą dla siebie i znajdzie się w następnej, pojawia się dystans, coś obiektywizującego, co czyni z jaźni coś innego, choć jaźń pozostaje taka sama. Te małe różnice rosną wraz z upływem czasu i mogą reprezentować tak wiele różnych i sprzecznych ze sobą elementów, że jaźń, by je pomieścić, staje się dysfunkcyjna – ponieważ jaźń stanowi również naszą ramę dla działań – przez co konieczne staje się wypieranie i zapominanie, lecz także wspomnianie. Wspomnienia stanowią nasze opowiadanie o nas samych i to opowiadanie jest być może najważniejszą częścią naszej tożsamości. Ciąg wspomnień utrzymuje ją razem, czyni jednolitą, a wyparcie i zapominanie sprawiają, że ciąg jest czysty, pozbawiony sprzeczności i prosty w obsłudze. Istnieją ludzie, w których powstały opowiadania tak radykalnie zrywające z rzeczywistością, że ludzie ci nie są w stanie utrzymać swej tożsamości, a kiedy ona się rozpada, stają się psychotyczni, maniakalni, depresyjni albo leżą w łóżku z diagnozą wypalenia zawodowego. W psychoanalizie chodzi właściwie tylko o to,

by odszukać prawdziwszą historię, to dlatego tak często odwołuje się ona do dawnych, być może wypartych wspomnień i skupia na wszystkich uczuciach związanych z relacjami, ponieważ uczucia mówią innym językiem niż myśli i nie zmieniają tak łatwo skóry ani nie podają się za coś innego. Oczywiście one również to czynią, na przykład depresja jest zeszywniałą, znieruchomiałą wściekłością, falą, która uderza o ląd w tej samej chwili, gdy temperatura gwałtownie spada, i zatrzymuje się w drodze do przodu, zamieniona w lód. Odnajdując prawdziwszą historię, bardziej adekwatny ciąg wspomnień, zmniejszamy nacisk świata zewnętrznego na jaźń i nawet jeśli nie zaznajemy wtedy szczęścia, to przynajmniej nasza codzienność staje się znośniejsza. W stosunku do innych jaźń ma strukturę apelu, trochę jak podstawową figurą języka jest zapytanie. Jaźń jest ukształtowana jak historia, złożona z ciągu wspomnień. To ostatnie przypomina nieco mechanizm powodujący, że pary są ze sobą – one również mają historię, którą opowiadają sobie nawzajem i która tworzy ich tożsamość jako pary, i jeśli ta historia znajdzie się zbyt daleko od rzeczywistości, prędzej czy później ona także się rozpadnie. Historię pary trzeba wciąż potwierdzać, historię jaźni trzeba wciąż potwierdzać, ponieważ i para, i jaźń mieszczą w sobie tak wiele elementów, często sprzecznych ze sobą, że trzeba je upraszczać, sprowadzać do prostych sekwencji, kilku prostych maksym: tacy jesteśmy my, taki jestem ja. Jeśli jaźń jest opowiadaniem, to zaledwie jednym z wielu możliwych. Ostatnia powieść mojego redaktora dotyczy rozpadu pary; w powieści powstaje pęknięcie, szczelina, krakelura na styku między tymi dwojgiem, w chwili gdy jedno z nich, mężczyzna, zaczyna fantazjować o wprowadzeniu innego mężczyzny i tworzyć o tym opowieści, które ona słyszy i które jej się podobają, i to jest jeden ze sposobów na ich bycie razem, to, że on ją kocha poprzez swojego wyimaginowanego zastępcę. I wtedy dochodzi do tego w rzeczywistym świecie: ona spotyka innego, jest z innym i ta opowieść jest dla niej otwarta, ale nie dla niego, od którego ona odwraca się plecami i odgradza, wchodząc w nowy związek. Powieść jest próbą zrozumienia sytuacji przez mężczyznę usiłującego utożsamić się z kobietą, z jej myślami, uczuciami i wyborami. I w dziwny sposób otwartość na nią jest powiązana z otwartością na tego drugiego mężczyznę; to zacieranie się granic między ludźmi, będące przedmiotem analizy, jest zarówno twórcze, jak i niszczące. Ta cecha osobowości, którą psycholog określiłby mianem zaburzenia, a którą można by także nazwać pragnieniem empatii lub rozumieć jako całkowitą otwartość na wszystkie możliwości jaźni – można ją znaleźć w wielu jego powieściach, w których część postaci porusza się między tożsamościami, tak jak człowiek przemieszcza się między pokojami w domu – interesuje mnie, ponieważ leży u podstaw wszystkich powieści, opowiadań i dramatów. Najlepszym przykładem jest chyba Szekspir, jego otwartość na wszystko w człowieku, na to wszystko właśnie, co jego samego wypełniało. To samo dotyczy innych znaczących pisarzy. Ale chodzi tu

o wewnętrzną otwartość bez żadnych zewnętrznych konsekwencji oprócz książek – bo czymś zupełnie innym jest pozwolić tej otwartości, temu pragnieniu empatii, temu ignorowaniu granic tożsamości rozgrywać się w życiu, w człowieku. To ciekawe, ponieważ obszar, który powstaje – czytanie dobrej powieści jest jak wpatrywanie się w krajobraz, który wylania się z opadających wód – leży gdzieś między tym, co wolne, a tym, co puste. Człowiek, który jest wszystkim, jest nikim, jest pusty. Człowiek, który jest kimś, zawsze może się stać kimś innym. Poświęcam temu tak wiele uwagi prawdopodobnie dlatego, że ma to istotne znaczenie dla miejsca, w którym się obecnie znajduję. Mam na myśli swoje miejsce w życiu. Niedługo skończę pięćdziesiąt lat, będę miał zaledwie cztery lata mniej niż mój ojciec w chwili śmierci; jestem również ojcem dwulatki, ośmiolatka, dziesięcio- i dwunastolatki i kiedy na nich patrzę, widzę ludzi, którzy mają całe życie przed sobą, tak jak kiedyś ja, i trudno nie zadać sobie pytania, dlaczego życie potoczyło się tak, a nie inaczej, tym bardziej że żyjąc z dziećmi i patrząc, jak rosną, widzę także tę mieszaninę cech wrodzonych, odziedziczonych i środowiskowych, które je charakteryzują, oprócz tego, kim są jako zupełnie niepowtarzalne osoby, to światło, które w nich płonie, a które starzy ludzie nazwaliby duszą. Teoretycznie rozumiem, że wewnątrz człowieka jest tak bogate, że może się zmieniać, wypróbowywać inne strony, podążać w zupełnie innych kierunkach, ale doświadczam w praktyce, że jestem taki sam i robię to samo, myślę to samo, czuję to samo co zawsze. Na jednym ze spotkań z terapeutką, na które chodziłem z Twoją matką, powiedziałem, że wypracowałem własną metodę i ona działa, więc nie chcę ani nie mam odwagi jej zmieniać. Terapeutka odpowiedziała z uśmiechem, że moja metoda w ogóle nie działa, skoro jestem głęboko samotnym człowiekiem. A co jeśli bycie samotnym jest odczuwane jako coś dobrego? – spytałem. Bycie samotnym nigdy nie jest czymś dobrym, odparła. Myślę, że się myli, choć równie dobrze to ja mogę być w błędzie, ponieważ to zagraża mojemu opowiadaniu, temu, kim jestem dla samego siebie, kogo trzymam się kurczowo w każdą pogodę i każdą porę roku, chociaż to oznacza, że codziennie budzę się przygnębiony, i chociaż stale dręczą mnie wyrzuty sumienia i poczucie wstydu, bo przecież mimo wszystko moja metoda działa – tak jak pancerz funkcjonuje w wypadku kraba, kiedy ten porusza się bokiem w ciemności po dnie morskim, albo jak uległość funkcjonuje w wypadku psa – to również jest forma, coś, co stoi pewnie i czemu można się powierzyć. Opowiadanie, które stanowi moją tożsamość, ta skorupa podobna do pancerza kraba, ten zestaw wyobrażeń, których nie kwestionuję, jest przeciwieństwem literatury, bo chociaż nie interesuję się wolnością we własnym imieniu, w swoim życiu, i to od czasu, gdy byłem nastolatkiem, w literaturze wolność jest wszystkim, jest jej esencją, i dlatego napisałem, że bezwzględność stanowi jądro i uprawnienie literatury, ponieważ wolność i bezwzględność to dwie strony tego samego. W literaturze proste

opowiadanie jaźni spotyka złożoność rzeczywistości i to spotkanie stanowi jedną z fundamentalnych struktur powieści, jak w spotkaniu między romantycznym samopoznaniem Don Kichota i Emmy Bovary, którzy wywodzili się z literatury, a tą rzeczywistością, której stali się integralną częścią.

Wieczorem spytałem Twojego brata, czy nie chciałby wybrać się ze mną na przejażdżkę rowerową. Chciał. Zaproponowałem, żebyśmy pojechali do zamku położonego trzy kilometry stąd, na co chętnie przystał. Jego rower jest nieco za duży, ale pomyślałem, że kupowanie nowego małego roweru dziecięcego, z którego wyrośnie już tej jesieni lub przyszłej wiosny, mija się z celem, więc trochę się na nim męczył; wyglądało to tak, jakby wszystkie jego ruchy były odrobinę za małe w stosunku do roweru, ale dawał radę. Pojechaliśmy pod górę obok kościoła, skręciliśmy w lewo, przecięliśmy główną drogę i znaleźliśmy się na tej, która prowadziła do zamku, biegła prosto na zachód, w stronę słońca wiszącego nisko nad horyzontem, na końcu rozległej, szerokiej równiny ciągnącej się przed nami, zielonej i żyznej, upstrzonej tu i ówdzie zraszczami, kilkoma brzęczącymi cierpliwie traktorami, domostwami otoczonymi kępami drzew zasadzonych niegdyś dla osłony przed wiatrem, który jesienią i zimą wieje od morza z ogromną siłą. Powiedziałem mu, że pięćset lat temu jeden z najsłynniejszych na świecie astronomów spędzał w zamku letnie miesiące. Jak się nazywał? – spytał Twój brat, patrząc prosto przed siebie, ponieważ jazda na rowerze wymagała całej jego uwagi. Nagle zapomniałem nazwiska astronoma i nie odpowiedziałem na pytanie. Jak się nazywał, tato? – spytał ponownie Twój brat. Tycho Brahe, przypomniało mi się nagle. Był Duńczykiem. A Skania należała wtedy do Danii, wiesz? Zatrzymaliśmy się, bo Twój brat musiał zdjąć kurtkę. Poprosiłem go, żeby zawiązał ją sobie wokół pasa, co też zrobił. Gdy ruszyliśmy dalej, chwiał się, jakby nie mógł złapać równowagi. Po kilku metrach znowu się zatrzymał, pomyśl z kurtką wokół pasa nie wypalił. Wziąłem ją od niego i przywiązałem do swojej kierownicy. Przejechaliśmy kilkaset metrów i znów się zatrzymał, wydawało mu się, że przebił oponę. Sprawdziłem obie, idealnie trzymały powietrze. Kontynuowaliśmy jazdę. Zjechaliśmy z małego wzgórza, minęliśmy mostek i gdy zaczęliśmy podjeżdżać pod górkę z drugiej strony, pedałowaliśmy coraz wolniej i wolniej, aż w końcu, gdy prawie stał w miejscu, przechylił się na bok i spadł do rowu. Na szczęście rosła tam wysoka, gęsta trawa – sięgała mu z pewnością do ud, więc się nie potłukł, wręcz przeciwnie: wyglądało na to, że przyjemnie mu się tam leży. W głębi, po obu stronach drogi, pod niektórymi drzewami, właściwie jak okiem sięgnąć, rosły byliny przypominające rabarbar: proste, dość grube łodygi z szerokimi, płaskimi liśćmi. Było ich tak dużo i tworzyły tak gęsty, soczysty ciemnozielony dach, że widok wydał mi się piękny, choć rośliny same w sobie nie były ładne. Podprowadziliśmy rowery pod górę i gdy byliśmy na szczycie, Twój brat oznajmił, że jest zmęczony. Zapytałem, czy chce, żebyśmy zawrócili, ale pokręcił głową

i powiedział, że chce zobaczyć zamek. Chyba już tam kiedyś byłeś? – zauważyłem. Wiem, odparł. Ale chcę jeszcze raz. Ruszyliśmy więc dalej, wzdłuż łąk z wysoką trawą, które kończyły się na skraju lasu, dwieście, trzysta metrów wyżej, gdzie drzewa błyszcząły w słońcu, jakby były pokryte złotem. Wiedziałem, że żyją tam dziki, ale nie wspomniałem o tym Twojemu bratu, żeby go nie wystraszyć; słyszałem historie o rowerzystach zaatakowanych w tej okolicy przez stada dzików. Znowu powiedział, że jest zmęczony, ale byliśmy już blisko celu, więc stwierdził, że wytrzyma. Ruszyliśmy w dół zbocza, obok trzech murowanych domów, które należą lub należały niegdyś do zamku, znowu pod górę, obok małego zamkowego cmentarza, ostro pod górę, wzdłuż muru, gdzie stał kościół, również należący do zamku, a dalej sam zamek, jak na zamek – mały i niepozorny, z czternastego wieku, o grubych, krzywych, pomalowanych na żółto ścianach, za fosą. Oto nasz zamek, powiedziałem. To jest zamek? – zdziwił się. Ale przecież mieliśmy jechać do Glimmingehus? Nie, zaprzeczyłem. Do Tosterup. Glimmingehus leży dwie mile stąd.

Ku swojemu przerażeniu zobaczyłem, że zaczyna płakać. Łzy spływały mu po policzkach.

Aż tak jesteś rozczarowany? – spytałem.

Skinął głową.

Usiądźmy tutaj, zaproponowałem. Mieliśmy jechać do Tosterup, nie do Glimmingehus.

Przecież tak powiedziałeś! – załkał.

Nie, odparłem.

Właśnie, że tak. Spytałem cię, a ty przytaknąłeś.

Wtedy zrozumiałem, co się stało. Gdy wyjeżdżaliśmy z domu, powiedział coś, czego nie dosłyszałem, a mimo to skinąłem głową, może nawet powiedziałem „tak” albo „jasne, że tak”.

Jestem za bardzo zmęczony, żeby wracać do domu na rowerze, powiedział.

Nie chcesz zwiedzić zamku, skoro już tu jesteśmy? – spytałem.

Zaprzeczył ruchem głowy.

Musimy wracać na rowerach. Nie ma innego wyjścia, odparłem.

Pogłaskałem go po plecach. Po policzkach wciąż płynęły mu łzy. Byłem trochę rozdrażniony jego płaczem i tym, że nie miał siły wracać do domu na rowerze, ale starałem się nie pokazać tego po sobie.

Posiedzimy tu trochę i odpoczniemy, powiedziałem. Na pewno dasz radę.

Okej, zgodził się.

To był chyba najpiękniejszy wieczór od początku lata, ciepły i miły, zupełnie bezwietrzny, ze słońcem świecącym żółto na ciemnobłękitnym niebie. Drzewa w lesie stały piękne i nieruchome.

Okej? – spytałem po chwili. Jesteś gotowy?

Skinął głową, wstał i złożył nogą podpórkę rowerową.

Ty przodem, powiedziałem. Ja za tobą.

Wsiadł na odrobinę za duży rower i zaczął zjeżdżać ze stromego zbocza, ale nie mógł wejść w rytm, zupełnie stracił kontrolę i mknął prosto w stronę rowu.

Użyj hamulców! – zawołałem za nim.

Ale on spanikował i nie zahamował ręcznie, tylko szorował stopą po ziemi, nie zmniejszając prędkości, wręcz przeciwnie: nabierając coraz większej. Krzycząc, pędził w dół wzdłuż rowu, wokół niego unosił się kurz, ja wołałem: użyj hamulców! użyj hamulców! – ale on panikował i kilka sekund później przewrócił się, a rower upadł na niego.

Podjechałem ku niemu.

Jak się czujesz? – spytałem i zdjąłem rower.

Zanosił się głośnym płaczem.

Pokaż, czy nic ci się nie stało, powiedziałem i podniosłem go z ziemi.

Miał dziurę w spodniach na kolanie, z rany leciała mu krew. Poza tym był cały i zdrowy. Przytuliłem go do siebie, a on objął mnie rękami i nogami i zawisł na mnie jak panda na drzewie.

Po chwili posadziłem go na kamieniu.

Rower wyszedł z tego bez szwanku, powiedziałem. To chyba dobrze?

Skinął głową, zalewając się łzami. Cały się trząsł.

Ty też dałeś radę, dodałem. Przecież mogłeś sobie coś złamać.

No, potwierdził.

Ale co teraz zrobimy? Chyba nie dojedziesz do domu?

Pokręcił głową i znowu wybuchnął płaczem.

Możesz tu na mnie poczekać? Pojadę sam i wrócę po ciebie samochodem.

Nie, zaprotestował.

Rozumiałem to. Zgodnie z jego obrazem świata byliśmy daleko od domu i w pobliżu nie było żywej duszy.

Nie ma innego wyjścia, powiedziałem. Będę jechał tak szybko, jak to możliwe.

W końcu przystał na moją propozycję.

Nie wolno ci się stąd ruszyć, okej? Kiedy wrócę, masz siedzieć w tym samym miejscu.

Przystał na to, a ja ruszyłem w drogę powrotną. Miałem zbyt słabą kondycję, żeby porządnie przycisnąć, ale odległość nie była duża, więc nic mu nie groziło, myślałem, pedałując. Z trudem łapiąc oddech, zaparkowałem rower obok samochodu, usiadłem za kierownicą i ruszyłem z powrotem tą samą drogą, którą nadjechałem, z kaskiem na głowie. Na szczęście Twój brat czekał na mnie na tym samym kamieniu, posadziłem go na przednim fotelu, rower zapakowałem z tyłu i pojechaliśmy do domu. Tam pozostało już tylko oczyścić ranę, zabandażować ją

i dać mu lody z zamrażalnika.

Teraz śpi, trzy metry od Ciebie, a jutro, kiedy się obudzi, nasza wycieczka stanie się historią, o której będzie mógł opowiedzieć w szkole.

I być może, przyszło mi nagle do głowy, nieudana wyprawa rowerowa z tatą stanie się jednym z najintensywniejszych i najwyraźniejszych wspomnień z jego dzieciństwa. I że po tym wieczorze zostanie mu w pamięci moja irytacja, którą z pewnością wyczuł. I to, że przeze mnie spanikował i był przerażony.

Gdy go spytałem, dlaczego nie zahamował, odpowiedział, że kiedyś słyszał, że używając hamulca ręcznego, można przekoziołkować nad kierownicą i dlatego nie wolno z niego korzystać.

**ŚRODA, 8 CZERWCA 2016**

Teraz Twoja najstarsza siostra filmuje się przed domem. Zapada zmierzch, a ona siedzi przy stole przed kuchnią, trzyma komórkę przed sobą obiema dłońmi i śpiewa. Albo ćwiczy do musicalu, albo używa jednej z apek, która podkłada kultowe cytaty z filmów lub fragmenty piosenek pod nagrane filmiki. Twoim siostronom udało się stworzyć w ten sposób kilka wyjątkowo śmiesznych filmów. Te dzieciaki i ich koledzy pławią się w obrazach, już teraz są mistrzami w manipulowaniu obrazami, zestawiają je ze sobą w najdziwniejszych konfiguracjach, a kiedy tego nie robią, oglądają strumienie obrazów innych osób. Rozmawiając ze swoimi przyjaciółmi, korzystają z funkcji FaceTime lub Skype'a, dzięki którym mogą ich również widzieć. Czasem są z nami w salonie i oglądają telewizję, siedząc jednocześnie na Skypie, zdarza się, że nas filmują, tak że ich przyjaciel widzi cały kontekst, albo filmują program, który właśnie oglądamy. Może minąć kilkanaście minut, zanim się odezwą. To tak jakby ich przyjaciel przebywał z nami w pokoju i jakby Twoje siostry przebywały w pokoju przyjaciela. Kiedy coś robią, na przykład salta na trawniku lub na trampolinie, czasem filmują swoje ćwiczenia i potem je oglądają. Używają komórek jak luster i robią niekończące się szeregi selfie, ale także filmików i zdjęć wszystkiego, co je otacza. Pamiętam, że trzy, może cztery lata temu nakręciły filmiki o postaci, którą nazwały Starą Mają; Twoja starsza siostra grała ową panią w podeszłym wieku, a Twoja najstarsza siostra nagrywała ją i instruowała, co ma mówić. Dokąd je to zaprowadzi, nie mam pojęcia, ale ponieważ jest to ogromna część ich życia, w przeciwieństwie do mojego dzieciństwa, kiedy żywe obrazy oglądało się wyłącznie w telewizji i od wielkiego dzwonu w kinie i nigdy nie były czymś, co reprezentowało nas lub naszą rzeczywistość – nie sądzę, aby istniały jakieś żywe obrazy przedstawiające mnie, zanim w wieku dwudziestu dziewięciu lat zadebiutowałem jako pisarz i po raz pierwszy wystąpiłem w telewizji; fotografii z dzieciństwa, które przypadło na lata siedemdziesiąte, jest max. pięćdziesiąt –



musi w jakiś sposób ukształtować i je, i ich rozumienie rzeczywistości. Instynktownie odczuwam wobec tego niechęć, bo mam wrażenie, że ten wizualny świat, to wszystko, co dzieje się na naszych ekranach, odciąga nas od fizycznej, materialnej rzeczywistości, i tak wiele w świecie ekranów dotyczy właśnie tego, by oderwać się od niej i zostać natychmiast zaspokojonym i stale zabawianym. Wolałbym, żeby moje dzieci biegały po ogrodzie i zwyczajnie się bawiły, wspinały na drzewa, kąpały w morzu, latem przebywały na dworze od wczesnego ranka do późnego wieczoru, grały w piłkę nożną, tenisa, jeździły na rowerze, uprawiały szermierkę, biły się, budowały szałas, zbierały butelki. Oczywiście chciałbym tego, ponieważ tak wyglądało moje dzieciństwo. Ale tak było na powierzchni, bo wypełniały je również doliny samotności, rozpaczy i beznadziei, od których uciekałem w książki. I chociaż litery wymagają większego wysiłku niż obrazy, efekt był ten sam: coś we mnie było zaspokajane i zabawiane przez wyimaginowaną rzeczywistość, niemającą nic wspólnego z tą, w której żyłem naprawdę. Zresztą co sam robię, kiedy Twoje rodzeństwo pławi się w obrazach? Siedzę tutaj i piszę o świecie, o wszystkich rzeczach, zwierzętach i roślinach, które w nim istnieją, samemu nie biorąc w niczym udziału.

Twoja najstarsza siostra ma teraz na sobie różowy sweter i białe krótkie spodenki, chociaż jest dość chłodno, niebo jest zachmurzone i wieje wiatr. Kiedy to pisałem, wyszła do niej na dwór Twoja starsza siostra, pochyliła się nad komórką i obejrzała dopiero co nagrany filmik. Trudno mi uwierzyć, że te dwie jasnowłose wesole dziewczynki mają ze mną cokolwiek wspólnego. Ale cieszy mnie, że będę przy nich, kiedy zaczną dorastać. Średnia córka była dzisiaj dziwnie markotna, jest taka od pewnego czasu, dużo cichsza niż zwykle i częściej sama w swoim pokoju. Bez względu na to, jak formułuję pytanie, otrzymuję ciągle tę samą odpowiedź, że nic jej nie jest. Tego również muszą się nauczyć: zachowywania pewnych rzeczy dla siebie, ukrywania części swojego wnętrza. A ja muszę nauczyć się zostawiać je w spokoju.

Ty, moja maleńka, nie potrafisz niczego ukryć, natychmiast wyrażasz wszystko, co czujesz, i nigdy nie ma wątpliwości, czy jesteś wesółą, czy smutną, czy coś Cię boli albo czy coś Ci się podoba. Najbardziej nie lubisz, kiedy odbieram Ci iPada lub wyłączam telewizor, gdy coś oglądasz. Nie jesteś w stanie zrozumieć, dlaczego to robię, jestem dla Ciebie po prostu kimś, kto przychodzi i zabiera Ci coś, co lubisz, brutalnie i bezwzględnie.

Nic w tym dziwnego, że w takich chwilach złościsz się i zaczynasz rzucać przedmiotami, które leżą wokół Ciebie.

**CZWARTEK, 9 CZERWCA 2016**

Dziś rano w drodze do szkoły zobaczyłem na morzu dziwną jednostkę

plywającą. Była duża i czworokątna jak ogromna metalowa skrzynia, ale znajdowała się na tyle daleko, że nie byłem w stanie dojrzeć żadnych szczegółów, tylko tę błyszczącą ciemno ścianę na niebieskiej wodzie. Droga wiedzie wzdłuż brzegu tylko przez kilkaset metrów, po czym znika w lesie, więc zdążyłem jedynie spojrzeć na ową jednostkę kilka razy, zanim straciłem ją z oczu. Gdy odwoziłem dzieci do szkoły i wracałem do domu, zobaczyłem ją znowu, jeszcze dalej od brzegu. Było w niej coś groźnego. Przez chwilę rozważałem, czy się nie zatrzymać, nie wysiąść i nie przyjrzeć się temu czemuś uważniej, ale uznałem to za przesadę, w końcu to tylko jakiś statek, prawdopodobnie barka, której ładunek zasłonił holownik, pomyślałem i pojechałem dalej, wzdłuż zielonych falujących pól, które gdzieśgdzieś lśniły złociście; to było zboże, już zaczęło dojrzewać.

Przed domem, w zatoczce po drugiej stronie drogi, stał samochód pani sprzątającej; stoi tam w każdy czwartek, kiedy wracam rano po odwiezieniu dzieci do szkoły, i co czwartek jestem tym faktem zdziwiony. Zawsze wjeżdżam do tej małej zatoczki, żeby móc wycofać auto na podjazd obok domu, i robię to automatycznie, więc w każdy czwartek muszę gwałtownie hamować, by nie zderzyć się z niebieskim volvo przysłoniętym żywopłotem wysokości dorosłego człowieka.

Halo! – zawołałem, wchodząc do domu. Halo! – odkrzyknęła pani z łazienki, od której zawsze zaczyna sprzątanie.

Wszystko w porządku? – spytałem, gdy wyszła na korytarz.

Jasne, odparła.

Napiła się pani kawy?

Tak, trochę sobie nalałam.

Nastawię świeżą. Ta, która została w ekspresie, jest dość stara.

Świetnie.

Weszła do kuchni. Jest może o dziesięć lat ode mnie młodsza, ma troje dzieci, z którymi mieszka sama, ale zawsze chce rozmawiać głównie o przeróżnych filmach reklamowych i krótkometrażowych, w których brała udział albo jako statystka, albo odtwórczyni ról drugoplanowych, albo – z rzadka, najczęściej w produkcjach szkolnych – jakiejś większej roli. Zdarza się, że pokazuje mi klipy na komórce. Jest najbardziej pozytywną i optymistycznie nastawioną osobą, jaką spotkałem w ciągu ostatnich lat – jej praca jest męcząca i domyślam się, że samotne wychowywanie trojga dzieci to prawdziwe wyzwanie, a tymczasem ona tryska energią, jest przebojowa i ciągle otrzymuje nowe zlecenia, o których w każdy czwartek opowiada mi z zachwytem w głosie.

Gdy kawa była gotowa, przyszedłem tutaj i napisałem tekst o porzeczkach. W regularnych odstępach czasu odchylałem się do tyłu i spoglądałem przez okno na prawo ode mnie, gdzie rosły krzaki porzeczek, które zasadziłem kilka dni temu. Owoce były jeszcze zielone i drobne; krzewy przez cały dzień pozostają w cieniu

kilku dużych drzew, o czym jako kompletny amator nie pomyślałem, gdy je sadziłem. Pisząc tekst, myślałem również o małym gospodarstwie dziadków, gdzie roiło się od krzaków porzeczek i każdego lata mój brat i ja pomagaliśmy im je zbierać. Dostawaliśmy pieniądze za każde pełne wiadro – jeśli dobrze pamiętam: dziesięć koron za wiadro czerwonej i dwadzieścia za wiadro czarnej. Zdaje się, że czerwoną porzeczkę dziadkowie sprzedawali miejscowemu producentowi soków i dżemów. Ponieważ przyglądałem się temu wszystkiemu oczami dziecka i ponieważ działalność ustała, gdy dziadkowie się zestarzelili, i prawie nigdy nie przyjeżdżałem tam po ich śmierci, moja wiedza o tym, co się działo, jest niepełna. Kiedy spędzałem u nich lato, niczego nie kwestionowałem, nie próbowałem się dowiedzieć, jak to wszystko się ze sobą łączy, co kryje się za rzeczami i wydarzeniami, brałem wszystko takim, jakim je widziałem. Jedną z tych rzeczy było zbieranie porzeczek. Podchodziłem z pustym wiadrem do rzędu krzewów, podnosiłem gałązkę, ścisnąłem palcami łodyżkę u jej nasady, odrywałem grono, wrzucałem do wiadra, robiłem tak z każdym po kolei, w ten sposób zakrywałem dno wiadra, potem patrzyłem, jak dno powoli się podnosi, a naczynie wypełnia owocami aż po brzegi, co mogło zająć całe przedpołudnie. Potem zanosłem wiadro do domu, schodziłem do piwnicy, chłodnego, niskiego i ponurego pomieszczenia z murowaną podłogą i ścianami, gdzie znajdowały się rozmaite narzędzia, zamrażarka, sieci, kadzie. Przesypywałem porzeczkę do kadzi, w której leżały już może tysiące czerwonych jagód. Ten widok stwarzał poczucie obfitości, ciągłego powtarzania się i rozrzutności natury. Zawartość kolejnego wiadra była jak kropla w morzu, ginęła w głębi kadzi, nie robiąc prawie żadnej różnicy. Uwielbiałem tę piwnicę, zwłaszcza w ciepłe letnie dni – wchodząc tam, miałem wrażenie, że wkraczam do innego świata – a jednocześnie czułem lęk, było w niej coś, czego się bałem, nie zmarłych ani duchów, lecz prowadzonej tam działalności, ponieważ wszystkie praktyczne czynności miały w sobie coś brutalnego i odpychającego, twardego i nieczułego. Dziadek patroszył tam ryby, a na podwórzu przed piwnicą czyścił sieci; ryby miały udział w tym samym, co jagody: w obfitości, i tak jak one pochodziły z zewnątrz, tylko z jeszcze większej odległości, z tajemniczego świata skrywającego się pod powierzchnią wód fiordu. Każdego ranka i wieczoru dziadek doił krowy w oborze i zawoził kanki z mlekiem na taczce do drogi, stawiał je na rampie, skąd zabierał je mlekowóz. Trawa była ścinana i rozwieszana na stojakach, siano składowano w stodole, a jedynym mechanicznym elementem tej pracy był mały traktor z silnikiem dwusuwowym. Dziadkowie nie mieli samochodu, nigdy nigdzie nie podróżowali, a kiedy potrzebowali czegoś ze sklepu położonego trzy kilometry od ich domu, dziadek jechał tam dwusuwem, który poruszał się tak powoli, że równie dobrze można było biec koło niego truchtem.

Tak żyło się tam pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych. Nie licząc telewizora i supermarketu, pralki i zmywarki do

naczyń, życie nie różniło się wiele od tego, które ludzie wiedli podczas wojny. Wielka zmiana, to, co sprawiło, że moje dzieciństwo wydaje się tak różne od dzieciństwa moich dzieci, kiedy im o nim opowiadam – a raczej opowiadałem, bo gdy teraz zaczynam mówić, jak to było za moich czasów, przerywają mi w pół słowa – nadeszła pod koniec lat osiemdziesiątych i od tamtej pory przemiany nabrały tempa. Pytanie brzmi, czy te przemiany były istotne, czy uczyniły jakąś znaczącą różnicę? I czy zbliżając się do pięćdziesiątki, dziadkowie również czuli, że ich dzieciństwo było tak diametralnie różne od tego, którego doświadczyły ich dzieci?

Dziadek urodził się rok po tym, jak Knut Hamsun wydał *Pod jesienną gwiazdą*, i rok przed publikacją powieści *Benoni*. Miał dziesięć lat, gdy ukazało się *Błogosławieństwo ziemi*, dwadzieścia, gdy wydano *Włóczęgów*, i czterdzieści dwa, gdy opublikowano *Na zarośniętych ścieżkach*. Hamsun był dla niego pisarzem współczesnym. Wiem, że go czytał i lubił. Hamsun pisał często o świecie swojego dzieciństwa, to znaczy lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, i wychodzę z założenia, że był on rozpoznawalny dla moich dziadków, ponieważ dotyczył czasów ich dziadków. Kiedy czytam te książki, obyczaj i niektóre myśli brzmią obco, ale nie aż tak jak te, które poznałem tej wiosny w Japonii. Może właśnie tak powinniśmy postrzegać naszych starych krewnych – jak przybyszów z obcych krajów, otoczonych rzeczami i wyobrażeniami, do których przywykli po wielu latach spędzonych tutaj i które rozumieją, ale nie są z nimi tak zżyci, jak się jest zżytym z rzeczami i wyobrażeniami w swoim własnym kraju. Przynajmniej ja właśnie tak się czuję, kiedy patrzę na swoje dzieci i na to, jak żyją.

Dziadek zawsze opowiadał historie z własnego życia, o ludziach, których spotkał, i o tym, co robili. Jedna z nich zrobiła na mnie piorunujące wrażenie i odkąd usłyszałem ją po raz pierwszy, czułem, że powinienem ją spisać.

Zeszłej jesieni wziąłem udział w wielkim teście osobowości Haralda Eia<sup>[8]</sup>, który odbywał się na scenie, przed publicznością, i jego wynik nie był dla mnie żadnym zaskoczeniem: jestem absolutnym, ponadprzeciętnym smutasem, wykraczającym poza normę introwertykiem, o przeciętnej fantazji, za to wyjątkowej uczuciowości. Innymi słowy: jestem słaby w zmyślaniu, niezły w odczuwaniu. Biorąc to pod uwagę, powinienem umieszczać akcję w miejscach, które znam, pozwolić, by wydarzenia rozgrywały się między ludźmi, których znam, używając jednego ze sposobów, które sam miałem okazję zaobserwować. To dlatego gdy pisałem powieść *Wszystko ma swój czas*, wykorzystałem kilka historii biblijnych, wplotłem sceny z własnego życia i umiejscowiłem owe biblijne opowieści w Vestlandet, w krajobrazie moich dziadków, znanym mi z dzieciństwa. I dlatego jeśli mam spisać historię opowiedzianą przez dziadka, musi się ona dziać w domu, który znam, z ludźmi posiadającymi cechy ludzi mi znanych lub moje własne.

Ta historia rozegrała się pod koniec wojny i dotyczyła kobiety, która mieszkała w jednej z wsi w głębi fiordu, i stacjonującego tam niemieckiego żołnierza. Dziadek znał ich oboje, żołnierza lepiej niż kobietę. Żołnierz, rodem z Austrii, bywał w Norwegii już wcześniej, przyjeżdżał tu latem, gdy dziadek dorastał, i mówił po norwesku. Kiedy w kwietniu 1940 roku Niemcy zaatakowały Norwegię, dziadek pojechał najpierw do Voss, gdzie został powołany do wojska, ale w Voss nie mieli żadnej broni, a poza tym ludzie byli pijani, wrócił więc do domu i z czasem zaprzyjaźnił się z niemieckim żołnierzem, który u nich bywał. Babci się to nie podobało, nie lubiła go, ale dziadek, równie otwarty na ludzi, co jowialny, cenił sobie jego towarzystwo. W tej historii jednak interesująca jest właśnie kobieta, to jej rola sprawiła, że opowieść mnie zaintrygowała. Samo zdarzenie jest znane, w latach osiemdziesiątych powstała o tym książka; egzemplarz stał na półce dziadka, potem kupiłem własny. Jest to dokument literacki – autor rozmawiał z osobami, które były w to zamieszane – a jednak ma pewne luki, w tym sensie, że nikt nie wie, co się naprawdę wydarzyło, wszystko opiera się na domysłach. Jedynymi ludźmi znającymi prawdę byli kobieta z Ytre Sogn i niemiecki żołnierz. Po wojnie mieszkali razem w Malmö, w mieście, w którym ja także mieszkałem i które dość dobrze znam. I dlatego teraz postanowiłem całkowicie zmienić zawartość „ja” literackiego. Dotąd „ja” reprezentowało w tym tekście czterdziestosiemioletniego Norwega mieszkającego w Szwecji z żoną i czworgiem dzieci, lecz już wkrótce, gdy tylko skończy się to zdanie, „ja” będzie się odnosiło do siedemdziesięcioletniej kobiety, siedzącej pewnego letniego wieczoru przy biurku w swoim mieszkaniu w Malmö.

Dziwnie się czuję, siedząc tutaj, od wielu lat nie piszę już listów i nigdy nie pisałam pamiętnika. Sama nie do końca wiem, czym jest to, co właśnie teraz piszę. Wydaje mi się, że to rodzaj listu do Ciebie, Alexandrze, do Ciebie, mój przyjacielu. Nawiedziła mnie dzisiaj przeszłość. Nawiedza mnie codziennie od ponad czterdziestu lat, ale w uczuciach i snach, a nie w myślach czy w rzeczywistości. Wciąż nie mogę się uspokoić. Kiedy wyciągam przed siebie dłoń, widzę, jak drży. I to bynajmniej nie ze starości.

Tutaj wszystko wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, gdy byłeś u mnie ostatnio. Ani jednego nowego mebla, ani jednego nowego obrusu.

Żałuję, że Ciebie tu nie ma. Sądzę, że przede wszystkim dlatego – tylko się na mnie nie pogniewaj – że przywykłam do Ciebie. W końcu nie łączyło nas aż tak wiele – poza t y m. I chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy, to i tak zawsze było między nami.

Pisząc do Ciebie, czuję się tak, jakbyś tu teraz był. Wylaniasz się spomiędzy wszystkich moich myśli. Zresztą może właśnie w nich żyłeś dla mnie najintensywniej?

Pamiętam Twoje plecy i kark, gdy siedziałeś na łóżku ze stopami na

podłodze, po tym jak zadzwonił budzik. Jak pochylałeś głowę i kilka razy przecierałeś twarz, a potem zawsze zamierałeś na chwilę, z twarzą ukrytą w dłoniach. Mam na myśli jesienne i zimowe poranki, z ciemnością za oknem.

Wzdychałeś, to był Twój rytuał. Potem wstawiałeś i ubierałeś się, a ja szłam do kuchni, podgrzewałam kilka bułek, wyjmowałam ser i dżem, parzyłam kawę.

Wiedzieliśmy, że nie jesteśmy tacy jak inni.

Bo nie byliśmy, prawda?

Jedliśmy śniadanie, ubierałeś się na korytarzu i wychodziłeś do pracy, a ja uchylałam okno i zapalałam papierosa, cały czas mam na myśli jesień lub zimą, kiedy niebo było ciemne, a ulica w dole oświetlona latarniami i reflektorami samochodów stojących w korku. Rowerzyści, piesi, w drodze do pracy lub szkoły.

Potem sama wybierałam się do pracy.

Wiesz przecież, jak to było, wiesz, jak żyliśmy, i dlatego nie sądzę, żeby cokolwiek z tego, co piszę o Tobie lub o nas, mogło Cię zaskoczyć. Nie żebyś o tym myślał, ale gdyby przyszedł do Ciebie taki list jak ten, nie byłbyś zdziwiony.

Piszę o tym, ponieważ nie chcę pisać o miejscu, z którego pochodzimy.

Ale muszę. Jak już wspomniałam – dzisiaj nawiedziła mnie przeszłość. Prawdę mówiąc, zadzwoniła do drzwi. Siedziałam na balkonie i słuchałam radia, w pewnym momencie musiałam pójść do toalety, a gdy weszłam do salonu, rozległ się dzwonek. To się rzadko zdarza, więc się zaniepokoiłam, ale potem pomyślałam, że nie mam się czego bać, cokolwiek by to było; Ty już nie żyjesz, więc to nie mogło być zawiadomienie o czyjejs śmierci.

Otworzyłam. Przed drzwiami stał młody mężczyzna.

Pani Jacobsen? – spytał.

Od czterdziestu lat nikt się tak do mnie nie zwracał, a mimo to skinęłam głową, bo rzeczywiście tak się nazywałam.

Można by przypuszczać, że właśnie to napisał podmiot literacki, w który teraz znowu ja się wcieliłem, siedząc tamtego popołudnia przy biurku w swoim salonie w Malmö, być może w mieszkaniu usytuowanym w dzielnicy otaczającej wieżowiec Kronprinsen<sup>[9]</sup>, niedaleko dużego parku, zaledwie kilka przecznic dalej. Dzieci niewiele pamiętają z tamtych lat, były tak małe, że w ich pamięci tkwią jedynie krótkie przeblyski tego, co robiliśmy, i tych wszystkich miejsc, w których byliśmy. Tego, że Twoje siostry siedziały w podwójnym wózku i że Twoja mama i ja chodziliśmy objuczeni jak wielbłądy torbą izotermiczną, reklamówkami z ręcznikami i strojami kąpielowymi, a nawet parasolem przeciwsłonecznym, który zawsze ze sobą wlekiśmy po nagranych od letniego słońca ulicach, w ogóle nie pamiętają. Tak jak nie pamiętają tętniącej życiem plaży ani kąpieliska znajdującego się na końcu moła, stojącego na palach i wysuniętego w morze, z restauracją, w której dość często siedzieliśmy.

Ale dzisiejszy dzień chyba zapadnie im w pamięć. Tego popołudnia zrobiłem

im około trzydziestu zdjęć, więc jest dobrze udokumentowany – Twoje siostry i brat stali w ogrodzie w swoich najbardziej odświętnych ubraniach, a ja ich fotografowałem: to był ostatni dzień szkoły i ceremonia pożegnalna w kościele w Ystad. Na ostatnich zdjęciach jesteś z nimi, mały brzdąc obok starszego rodzeństwa. Odebrałem ich wcześniej ze szkoły, mieliśmy kupić koszulę Twojemu bratu, dzinsową kurtkę Twojej starszej siostrze i buty – najstarszej. Opiekunka, która pomaga nam, kiedy nie ma mnie w domu, zjawiała się dwie godziny przed naszym wyjazdem, żeby uczesać dziewczynki, i gdy wyruszyliśmy do miasta: córki w biało-różowych sukienkach, syn w niebieskiej marynarce, czułem się tak, jakbyśmy jechali do ślubu. Przed kościołem dołączyła do nas Twoja mama, która przyjechała z Malmö, po czym Twoje rodzeństwo usiadło wśród swoich kolegów i koleżanek z klasy bliżej ołtarza, a nam przypadły miejsca dość daleko z tyłu. Każda klasa zaśpiewała piosenkę, następnie przemówił dyrektor, potem było jeszcze kilka piosenek i rozpoczęły się wakacje. Poszliśmy do restauracji na sushi, a gdy wróciliśmy do domu, przyszedłem tutaj, żeby o tym napisać. Od dawna śpisz, Twój brat też już się położył, natomiast Twoje siostry napawają się wolnością. Coś mi mówi, że czeka je wspaniałe lato – w samochodzie padło czyjeś imię i jedna z Twoich sióstr rozpromieniła się, uśmiechnęła od ucha do ucha, widziałem, że stara się nie dać niczego po sobie poznać, ale nie była w stanie. Uśmiech był introwertyczny lub skierowany do wewnątrz: po prostu siedziała na fotelu obok mnie i lśniła. Twojej drugiej siostrze również coś się kroi, w kółko wymienia jedno imię i wydaje mi się, że to ten sam ktoś, do kogo wysyła esemesy i z kim rozmawia wieczorami. Ale nic nie wiem, jedynie się domyślam, jestem ostatnią osobą, która dowie się czegoś na ten temat.

### **PIĄTEK, 10 CZERWCA 2016**

Napisałem tekst o letnim deszczu i obejrzałem ceremonię otwarcia ME w piłce nożnej. Tata zmarł tego lata, gdy Francja ostatni raz zdobyła mistrzostwo, i od tamtej pory zawsze miałem ambiwalentny stosunek do MŚ i ME, ponieważ jestem pewny, że siedział w salonie babci i oglądał mecze samotnie. To nie jego śmierć czyni mecze piłki nożnej bezsensownymi, jest dokładnie na odwrót: to mecze piłkarskie czynią śmierć czymś bezsensownym, nieistotnym. Mimo to nadal angażuję się w nie emocjonalnie, bardzo łatwo wywołują we mnie różne uczucia, między innymi nostalgię – za tą wrzawą, która latem wypełniała salon, gdy dorastałem. Piłka nożna jest bezsensowna, fakt, ale z drugiej strony: co nie jest?

### **SOBOTA, 11 CZERWCA 2016**

Jacobsen, tak – zdaje się – brzmiało nazwisko panięskie mojej babci, matki

mojego ojca. Niepostrzeżenie wymknęło się z podświadomości, gdy szukałem nazwiska dla starszej pani z Malmö. Mój dziadek ze strony ojca nazywał się w młodości Pedersen, ale jego rodzina zmieniła nazwisko na to, które obecnie noszę, gdy on i jego bracia poszli na studia. Mój drugi dziadek nazywał się Hatløy, moja matka i jej brat nadal się tak nazywają. Kiedyś rozważałem, czy nie przyjąć tego nazwiska; wówczas nazywałbym się Karl Hatløy, jak mój pradziadek. To piękne nazwisko, ale pamiętam, że wtedy wydawało mi się w pewnym sensie trochę za słabe. Że samemu będąc słabym, potrzebuję mocniejszego nazwiska, a Knausgård ma w sobie coś twardszego, skamieniałość turni. Nazwisko jest jak torebka, w której mieści się nasza tożsamość, lub jak futerał. Kiedy umieramy, zostaje sam futerał, a w nim zebrane wszystkie myśli i uczucia łączące się z daną osobą.

Jak brzmiało nazwisko panięskie matki dziadka, nie wiem. Zmarła, gdy dziadek był mały, i nigdy nic o niej nie słyszałem poza tym, że jej nieobecność sprawiła, iż dziadek szybko nauczył się gotować, co w tamtych czasach należało do rzadkości wśród mężczyzn, i że wrócił do tego pod koniec życia, gdy babcia była zbyt chora, by wykonywać jakiegokolwiek praktyczne czynności. Jej nazwisko panięskie brzmiało Årdal, od nazwy miejscowości w Jølster, z której pochodziła. Część tej rodziny nazywa się również Myklebust, jak miejscowość na drugim brzegu jeziora Jølstravatn.

By uciec od swojego nazwiska i wszystkich skojarzeń, które budzi od czasu, gdy stałem się osobą publiczną, przez moment zastanawiałem się, czy następnej książki nie napisać pod pseudonimem. Znowu pomyślałem o Karlu Hatløyu, ale mój wuj, Kjartan Hatløy, również jest pisarzem, więc wtargnąłbym niechcący na jego teren. Ponieważ książka miała być thrillerem o tematyce religijnej, wymyśliłem, że będę się nazywał Kristian Hadeland. Teraz widzę, że to nie był dobry pomysł: Kristian oznacza „chrześcijanin”, natomiast Hade kojarzy mi się z Hadesem, podziemnym światem zmarłych.

Dziwne, że człowiek zawsze zwraca uwagę na to, czy imię i nazwisko są wymyślone, czy nie. Kiedy staramy się znaleźć w powieści zwyczajnie brzmiące imię i nazwisko, na przykład Eva Vik, od razu to wyczuwamy. Jacob Hansen? Even Ødegård? Z daleka pachnie od nich fikcją.

Karl Hatløy?

*Hatl* oznacza leszczynę, więc Hatløy to wyspa z drzewami leszczyny. Niewiele jest rzeczy, które lubię bardziej i które wydają mi się piękniejsze i bardziej zagadkowe niż drzewa. Ale zarówno mój ojciec, jak i matka zmienili swoje nazwiska, gdy dorastałem, i nie podobało mi się to, ponieważ powodowało destabilizację i poczucie niepewności, zupełnie jakbyśmy stracili grunt pod nogami.

Ojciec matki miał na imię Johannes. Imię Twojej najstarszej siostry jest



zdrobnieniem imienia Iwan, rosyjskiego odpowiednika imienia Johannes, a imię Twojego brata to skrót od Johannesesa. Obie rzeczy odkryłem długo po tym, jak dzieci zostały ochrzczone.

Czas jest niezgłębiony, widoczność, którą człowiek ma jako dziecko, nie sięga daleko. Dla mnie dzieciństwo moich dziadków znajdowało się poza zasięgiem wzroku, nic o nim nie wiedziałem – a dla moich dzieci dzieciństwo moich rodziców jest niedostępne! O swoich pradziadkach z Vestlandet, u których spędzałem każde lato, nie mają zielonego pojęcia. To, że im o nich opowiadam, w ogóle nie pomaga, bo nie mają nic, czego mogłyby się uchwycić: ludzie, których dotyczy to opowiadanie, już nie żyją i byli martwi przez całe ich życie. Piwnica z murowanymi ścianami i często mokrą podłogą, z odpływem, przez który wydostawała się woda, białe kadzie ze stosami błyszczących czerwonych porzeczek, kanki na mleko, mały traktor i wszystkie inne rzeczy, które ja mam w żywej pamięci, im nic nie mówią, ponieważ to od wewnątrz świat jest oświetlany, z wewnątrz przychodzi znaczenie rzeczy i miejsc. To, co jest teraz wokół nas, kiedyś odegra równie znaczącą rolę w ich życiu, co wydaje mi się przerażające, ponieważ tego nie czuję i prawdopodobnie z tego powodu nie dbam o to. Wycieczka rowerowa z Twoim bratem przed kilkoma dniami stanowi tego doskonały przykład: dla mnie to był jeszcze jeden wieczór, wprawdzie wydarzyło się w nim coś dramatycznego, co nie pozwoli mi o nim zapomnieć, ale byłem jedynie obserwatorem, nie znajdowałem się w epicentrum wydarzeń tak jak Twój brat, nawet jeśli wówczas nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy.

Wczoraj zawołał mnie, gdy stałem w kuchni, chciał mi coś pokazać. Podeszedłem do niego. Chodziło o filmik na YouTubie, młody mężczyzna grał w jakąś grę, sam ze sobą, w okienku w prawym górnym rogu. Twój brat spojrział na mnie wyczekująco. Teraz będzie naprawdę śmiesznie, zapowiedział. Teraz! Zaśmiał się i podniósł na mnie wzrok, żeby sprawdzić, czy ja też się śmieję.

Powód był prosty. Nigdy nie lubiłem, kiedy siedział i patrzył, jak inni grają, nie lubię tej bierności, przecież on nic wtedy nie robi, tylko gapi się na coś, co robią inni. Kiedy sam gra, przyglądam się temu przychylniejszym wzrokiem, chociaż to też z trudem akceptuję, to też wydaje mi się zbyt pasywnym zajęciem: nie powinien raczej bawić się na dworze?

On oczywiście zna moje zdanie na ten temat. Czuje, że tego nie lubię, moja niechęć jest jak ciągła, choć nie zawsze uświadomiona presja, którą na niego wywieram, to, że nie pochwalam rozrywki, którą on lubi najbardziej na świecie. Nie muszę tego mówić, on o tym wie.

Dwa dni temu siedział obok mnie na kanapie i oglądał filmik na YouTubie. Przyglądałem mu się przez chwilę, był tak komiczny, że wybuchnąłem śmiechem. Mężczyzna na rowerze, z małym dzieckiem na siodelku, musiał pokonać różne przeszkody, w kasku, z dzieckiem i w ogóle. Kiedy popełniał jakiś błąd,

konsekwencje były katastrofalne i krwawe: tracił ręce, nogi, czasem ucinało mu głowę. Kontrast między tymi dwoma poziomami wywoływał uśmiech na mojej twarzy, nagle rowerzysta wpadł na coś, dziecko przekoziołkowało nad nim, trafiło w ścianę i skończyło jako krwawa masa na ziemi. Zaśmiałem się głośno. Twój brat również się śmiał, prawie nie mógł się uspokoić. Oglądaliśmy tę grę jeszcze przez jakieś dziesięć minut, zanim wróciłem do swoich zajęć.

I właśnie to zapamiętał, to dlatego mnie zawołał, żeby pokazać mi więcej.

Dopiero wtedy zrozumiałem, jak wpływa na niego moja niechęć do gier komputerowych. Zobaczyłem, jak bardzo ucieszył się z tego, że spodobał mi się filmik i że obejrzelśmy go razem.

Potem wybraliśmy się na krótką przejażdżkę rowerową po najbliższej okolicy, po drodze nic się nie wydarzyło, a mimo to ucieszyłem się, ponieważ propozycja wyszła od niego, więc to, że spadł z roweru i wylądował w rowie, aż tak go nie wystraszyło.

Jest moim synem. O sobie zwykłem myśleć, że dostrzegam swoje dzieci, to, kim są, że jestem okej jako ojciec. To drobne zdarzenie sprawiło, że zrozumiałem, jak bardzo, mimo wszystko, jestem zamknięty w sobie. Nigdy nie postawiłem się na jego miejscu i nie pomyślałem: jak on to przeżywa? Zamiast tego spoglądałem na sytuację z zewnątrz i zadawałem sobie pytanie: czy to jest dla niego dobre? Nie, nie „dla niego”, lecz „dla dziecka”. Czy to jest dobre dla dziecka? Jakby ta sytuacja była obiektywna, a przecież nie była, ponieważ to ja, jego ojciec, stwierdziłem, że to dla niego niedobre, a ta część, która ma związek z nim i ze mną, jest przecież ważniejsza i powinna być oczywista. Tym bardziej że sam miałem ojca i pamiętam, jak ważna dla mnie była jego aprobata.

Wszystko zmieniało się, gdy ojciec jechał z nami do dziadków w Vestlandet. Najlepsze w pobycie u babci i dziadka było to, że mogliśmy robić, na co mieliśmy ochotę, i nikt się na nas nie złościł, kiedy zrobiliśmy coś nie tak. Tam był nasz azyl. Ale kiedy zjawiał się ojciec, już tak nie było.

Mój brat dostał tam kiedyś od ojca lanie. Coś zostało powiedziane przy obiedzie, ojciec nie zareagował, udął, że nic się nie stało, śmiał się razem z innymi. Ale gdy tylko dziadkowie udali się na poobiednią drzemkę, spuścił mu manto. Nie pamiętałem tego i przypominałem sobie o tym dopiero całkiem niedawno.

Pamiętam za to dobrze inny epizod związany z ojcem i domem dziadków. Szliśmy po trawiastym polu przylegającym do gospodarstwa, reszta rodziny drzemała po obiedzie, biegłem klusem obok niego, on siedł w gumiakach, co wyglądało dziwacznie – pamiętam, że tak wtedy pomyślałem – w połączeniu z elegancką koszulą i spodniami, które miał na sobie. Nie pamiętam, dokąd szliśmy, ale najwidoczniej poprosił mnie, żebym mu towarzyszył, bo inaczej nigdy bym nie siedł obok niego. Nic do siebie nie mówiliśmy, ale i tak nie posiadałem się ze szczęścia, że jesteśmy razem, tylko my dwaj. W tym szczęściu była też odrobina

bólu, bo może on wcale nie był zadowolony, może uważał, że mówię za mało, może nie czuł się dobrze w tej sytuacji?

Wzgórze nad gospodarstwem było porośnięte świerkami, ciemnozielonymi na tle szarego nieba. U jego podnóża znajdowało się małe jezioro, czarne jak noc.

Myślisz, że mógłbyś tu mieszkać? – spytał.

Tak! – odparłem.

Niewykluczone, że któregoś dnia przejmemy to gospodarstwo. Dziadkowie zaczynają się starzeć.

Strasznie chciałbym tu mieszkać, dodałem.

Spojrzał na mnie.

Tak, tu jest pięknie, przytaknął.

Czy okazałem zbyt dużo entuzjazmu? Czy zrozumiał, że powiedziałbym cokolwiek, byle tylko był ze mnie zadowolony?

Dalej moje wspomnienie nie sięga. Ale w tym samym czasie, kiedy szedłem z ojcem po polu, a dziadkowie ucinali sobie drzemkę, dziadek zapewne na kanapie, a babcia w ich sypialni na piętrze, mama prawdopodobnie zmywała po obiedzie, a Yngve czytał, słuchając muzyki z walkmana, ta kobieta, o której pisałem dwa dni temu, ta z wioski w głębi fiordu, której pewnego dnia złożył wizytę jakiś mężczyzna, musiała przebywać gdzieś w świecie, bo przecież istniała w rzeczywistości, dziadek wiedział, kim była przed wojną i w jej trakcie. Najprawdopodobniej przebywała w Malmö, skoro w nim zamieszkała, lub tam gdzie rzucił ją los. Poza tym nie wiem o niej nic: ani jak wyglądała, ani jakie myśli krążyły jej po głowie. I dlatego kiedy za chwilę, w następnym zdaniu, pozwolę jej znowu przejąć narrację, nie będę się starał reprezentować jej, lecz jej opowiadanie, które rozpoczęło się przy biurku w jej mieszkaniu i cofnęło się w czasie o kilka godzin, a zostało przerwane w chwili, gdy ktoś zadzwonił do drzwi, a ona je otworzyła i ujrzała mężczyznę, który zwrócił się do niej, używając jej panińskiego nazwiska: pani Jacobsen. Może oczekiwał, że cofnę się przerażona albo zatrzasnę drzwi. A może spodziewał się, że ukryję twarz w dłoniach i wybuchnę płaczem, tak jak ludzie robią to na filmach.

Nie myśl, Alexandrze, że się nie bałam lub że pozostałam niewzruszona, choć przez te wszystkie lata powstał mur między mną a tym, co się wówczas wydarzyło.

Wewnątrz mnie wszystko runęło. Ale jednocześnie czułam się tak, jakbym obserwowała to z zewnątrz, jakbym stała obok siebie. I ta część, ta część pozostała nietknięta.

Tak – odparłam.

Przedstawił się i wyciągnął dłoń na powitanie. Uścisnęłam ją. Powiedział, że jest dziennikarzem z Norwegii. Odpowiedziałam, że od razu się domyśliłam.

Bardzo zależy mi na tym, żeby przeprowadzić z panią wywiad, oznajmił.

Niestety, nie mam na to czasu, odparłam.

Ale wie pani, o czym chciałem z panią porozmawiać? – spytał.

Nie mam panu nic do powiedzenia. Żegnam pana.

Zamknęłam drzwi. Przez moment spodziewałam się, że wsunie stopę do środka, by mi to uniemożliwić.

Zostanę w mieście przez jakiś czas, powiedział zza drzwi.

Nogi się pode mną ugięły, musiałam przytrzymać się ściany. Już nie spoglądałam na tę sytuację z zewnątrz, rozumiesz? – i żaden wewnętrzny głos nie mówił mi już, co powinnam zrobić.

Co by się stało, gdybyś tu był?

Byłoby jeszcze straszniej. Byliśmy współwinni, a o tym, co się stało i o czym nigdy nie rozmawialiśmy, być może wtedy także nie chcielibyśmy rozmawiać. Ale to wciąż tkwiłoby między nami.

Teraz byłam tylko ja.

Położyłam się na łóżku i musiałam zasnąć, bo gdy otworzyłam oczy, był już wieczór.

Wiesz dobrze, jak cudowne bywają tu zachody słońca. To były być może nasze najwspanialsze wspólne chwile, kiedy siedzieliśmy latem na balkonie, a słońce chyliło się ku zachodowi.

Gdy weszłam do salonu, słońce wisiało nisko na niebie nad Danią, a w środku było gorąco jak w saunie, bo promienie słoneczne przez cały wieczór wpadały wprost do pokoju.

Pomyślałam, że muszę do Ciebie napisać.

I dlatego teraz tu siedzę.

To mi dobrze zrobiło. To niewiarygodne, że nadal potrafisz mi pomóc!

Kiedyś upadłam na ulicy. Ciebie już nie było, byłam sama. Poczułam potworny ból w piersi, był niewyobrażalny, i pomyślałam, że mój czas również dobiega końca. Nie, nie pomyślałam, ja to w i e d z i a ł a m. Umieram, przemknęło mi przez myśl. Najdziwniejsze jest to, że to było przyjemne uczucie. Wypełniły mnie same dobre myśli. Przypomniało mi się moje dzieciństwo, świeciło we mnie, klarowne i zielone jak górskie zbocza w rodzinnych stronach. Przypomniały mi się letnie dni. Gładki jak lustro fiord. Wiesz, co mam na myśli? Kiedy wszystko wokół wypełnia cisza i dni zdają się mieć głębię. Pomyślałam, że miałam dobre życie. Wypełniała mnie wdzięczność za nie.

Gdy tak leżałam i ból był nie do zniesienia, i sądziłam, że zaraz umrę, istniało tylko dzieciństwo, nie myślałam o niczym innym, wszystko inne zniknęło.

Cóż to była za łaska, Alexandre.

Wtedy nadjechała karetka i uratowali mnie. Długo bolały mnie plecy, ale pocieszałam się, że z czasem samo przejdzie, więc nie byłam z tym u lekarza.

Gdy wybudziłam się z narkozy, to dziwne przeżycie było już tylko

wspomnieniem.

Jak myślisz, z czego to się wzięło?

Czy mózg wydziela jakieś substancje, które mają uczynić śmierć łatwiejszą do zniesienia?

Czy wszyscy umieramy szczęśliwi?



## NIEDZIELA, 12 CZERWCA 2016

Między domami, na wyłożonej płytami ścieżce, stoi taczka wypełniona do połowy chwastami, które dawno zwiędły i wyschły. Na ziemi, obok niebieskiej plastikowej balii, leżą rozrzucone różne narzędzia – wydaje mi się, że to Ty je wyjęłaś – i gdzieś tam między kamieniami wyrosły nowe chwasty, zadziwiająco zielone i świeże na tle szarych kamieni i zardzewiałej taczki. Pewnego wieczoru, niemal dwa tygodnie temu, wypielilem jakieś dziesięć metrów kwadratowych, zanim dałem sobie spokój, ale byłem tak pewny, że zajmę się tym następnego popołudnia, że zostawiłem wszystko tak, jak stało. Za każdym razem, kiedy to widzę, przypomina mi się niedokończona praca i ten widok mnie irytuje oczywiście, ale ma w sobie również coś wspaniałego, ponieważ to, co porzucone, opuszczone, jest w swoisty sposób piękne. Miejsce budowy mijane wieczorem, z koparką opierającą się łyżką podsiębierną o ziemię, z pustymi barakami i stosem rur leżących obok świeżo wykopanego rowu, z łopata wbity w gliniasty grunt. Boisko piłkarskie po treningu w letni wieczór, zraszacz, który wyrzuca rytmicznie wodę na murawę, małe bramki ustawione na dłuższych bokach, bluza treningowa, którą ktoś zawiesił na poprzeczce i zapomniał zabrać. Albo pole kempingowe zimą, z zabitym deskami okienkiem kiosku, pustymi i ciemnymi domkami, sztyldami odnoszącymi się do aktywności, z których nie można korzystać.

Nie jestem najlepszy w dostrzeganiu aktywności, nie zwracam na nie uwagi, zauważam je dopiero wtedy, kiedy są zakończone i widać jedynie ich efekty. Nie dostrzegam kobiety przycinającej żywopłot, tylko leżące obok niego nożyce ogrodowe, które zostawiła, kończąc dzień pracy. Nie widzę rodziny jedzącej kanapki obok punktu widokowego nad fiordem, tylko drewniany stół z ławkami, kiedy pada deszcz i w pobliżu nie widać żywej duszy.

Kilka dni temu napisałem do szwedzkiej dziennikarki naukowej i spytałem, czy zna jakichś paleontologów w Afryce, z którymi mógłbym się skontaktować, chciałem tam pojechać, do Kenii lub Etiopii, i przyjrzeć się pracom wykopaliskowym, pisać o pierwszych istotach ludzkich, które żyły tam na równinach wiele milionów lat temu i nie były ani małpami, ani ludźmi.

Przysłała mi trzy nazwiska i życzyła powodzenia.

Wykopywanie tych skamieniałości dotyczy spraw ostatecznych, a przecież leżą w ziemi i są tylko kośćmi, nie były niczym wielkim wtedy ani nie są teraz, żywa małpa w ogrodzie zoologicznym stanowi taką samą zagadkę jak niegdyś istota przedludzka, i właśnie tam chciałbym dotrzeć, do tego, co małe, lokalne i konkretne. Tych praludzi nie było dużo i musieli przebywać na stosunkowo niewielkim obszarze. Niezrozumiały jest czas, który nas dzieli, nieskończoność dni i nocy zawarta w milionach lat.

Zamierzam spróbować udać się tam pod koniec sierpnia.

Wczoraj zjawił się ojciec przyjaciółki Twojej najstarszej siostry, przyszedł po córkę, która u nas nocowała. Siedzieliśmy przez chwilę przy stole w głębi ogrodu, piliśmy kawę i jedliśmy lody. Przenieśli się tutaj rok temu, kupili dom na jednym z osiedli w mieście, pochodzi z lat pięćdziesiątych i stoi w środku małego ogrodu, więc trochę o tym rozmawialiśmy, o świecie jabłek i śliwek, pielenia i chwastów, koszenia trawy i uprawiania warzyw, o świecie, który niespodziewanie pojawił się w naszym życiu. On przyciął jabłoń tej wiosny, ja zrobiłem to samo dwa lata temu, lecz w przeciwieństwie do mnie on zgłębił temat w internecie i wiedział, co robi. Ja wspiałem się po prostu na drabinę i ciąłem na oślep.

Gdy tak siedzieliśmy, Twoja starsza siostra przyjechała do domu autobusem. Wystroiła się tego przedpołudnia i pojechała do miasta razem z Twoją mamą, która siedziała w kawiarni, podczas gdy Twoja siostra spotkała się sam na sam z kolegą ze szkoły.

Zauważyłem, że wróciła do domu radosna.

Zanim się z nami pożegnali, pokazałem mężczyźnie kasztanowiec i opowiedziałem o sąsiedzie, który tu był i zawyrokował, że drzewo umrze. Dwa metry nad ziemią kasztanowiec dzielił się na cztery części i jedna z nich była już martwa, pozbawiona liści. Bardzo mnie to martwi, tym bardziej że drzewo nadaje charakter całemu ogrodowi, rosnąc w samym środku podwórza i górując nad domami.

Tego samego dnia wieczorem pojechałem taksówką do Ystad i spotkałem się z innym ojcem, tym razem przyjaciółki Twojej starszej siostry, mieliśmy obejrzeć w jednym z pubów mecz Anglia–Rosja. Mecz był niezły, ale wyglądało na to, że on chciał przede wszystkim rozmawiać, w każdym razie co chwilę poruszał nowy temat, a ja patrzyłem na zmianę to na niego, to na ekran wiszący na ścianie przed nami. Każdy mecz piłki nożnej ma swoją dramaturgię, ale dla mnie jest ona interesująca tylko wtedy, kiedy śledzę całość, od początku do końca, i mogę się w nią wczuć. Wtedy i mecz kończący się wynikiem zero do zera jest fascynujący. Ale nawet ja rozumiem, że nie da się tego pogodzić z oglądaniem meczu z kolegą w pubie. I dlatego dałem sobie spokój z meczem i tylko od czasu do czasu zerkałem na ekran, pijąc piwo i rozmawiając z kumplem. Jest Niemcem i był bardzo zżyty ze swoim dziadkiem, który brał udział w wojnie w Rosji i przeżył tam prawdziwe piekło. Opowiadał również o swoim ojcu bawiącym się po wojnie w ruinach, o tym, że razem z kolegami często znajdowali broń, a nierzadko także ciała zmarłych. On sam pracuje jako pomoc domowa, ale przedtem był policjantem, a jeszcze wcześniej studiował historię, głównie Związku Radzieckiego, na jednym z niemieckich uniwersytetów. Jak się wyraził, nie lubił środowiska akademickiego i dlatego porzucił studia. Jego twarz jest jak otwarta księga, a oczy wydają się młodsze od twarzy. Ma pięćdziesiąt lat. Opowiadał



o tym, jak trudno było przenieść się tutaj z Niemiec, o różnicach kulturowych; tam skąd pochodzi, wszyscy są towarzyscy, otwarci i to jest wspaniałe, natomiast tutaj ludzie przebywają we własnym gronie, przez co jest prawie niemożliwe, by stać się częścią szwedzkiego społeczeństwa. Jego najlepszy kolega w Ystad pochodzi z Chorwacji. Powiedział też, że przeczytał autobiografię Keitha Richardsa i tak bardzo zapragnął nauczyć się grać na gitarze, że kupił ją sobie i zaczął ćwiczyć.

O wpół do pierwszej w nocy odprowadził mnie na postój taksówek, a sam pojechał do domu na rowerze. Na postoju nie było ani jednej, a gdy zadzwoniłem do korporacji, usłyszałem, że będę musiał czekać co najmniej godzinę. Była sobota i maturzyści świętowali *studenten*<sup>[10]</sup>, jak to się tutaj nazywa, więc tych kilka taksówek, którymi dysponowano, najprawdopodobniej kursowało tam i z powrotem między domami.

Obok mnie zatrzymał się czarny samochód, kierowca opuścił szybę.

Taxi? – spytał młody ciemnowłosy mężczyzna.

Czemu nie? – pomyślałem.

Ile weźmie pan za kurs do Glemmingebro?

Ile pan da?

Nie wiem. A ile pan chce?

A ile pan da?

Trzysta?

Niech pan wskakuje!

Ale nie mam przy sobie gotówki. Tylko kartę.

Załatwi się. Niech pan wsiada!

Jechaliśmy ulicami spowitymi nocną ciszą, Ystad nie jest zbyt rozrywkowym miastem, kierowca zatrzymał się przed bankomatem, wypłaciłem pieniądze i podałem mu je. Nie rozmawialiśmy, więc włączył muzykę, która skojarzyła mi się z Turcją.

Co to za muzyka? – spytałem.

Turecka, odparł. Pochodzę z Palestyny.

Od jak dawna mieszka pan w Szwecji?

Od trzech lat.

Podoba się panu tutaj?

To były najlepsze trzy lata mojego życia.

Przez resztę drogi opowiadał o swoim życiu w Palestynie, o tym, że pracował jako hydraulik razem z bratem i że cała jego rodzina nadal tam mieszka. Miał żonę i dziecko, mieszkali w jednej ze wsi pod Ystad; widziałem zdjęcie jego bliskich, ze skórzaną kanapą w tle, zawieszoną na desce rozdzielczej. Zrozumiałem, że tu też nie jest mu lekko, opowiadał o swoich wydatkach i o tym, że pracuje wyłącznie na czarno. W innych wioskach mieszkali jego przyjaciele, z Iranu, Syrii i Palestyny. Wy tłumaczył mi, że wielu uchodźców przybyłych do

Szwecji nie przyjechało tutaj prosto z Syrii, lecz z innych krajów, gdzie dobrze im się wiodło. Od czasu do czasu zadawałem mu jakieś pytanie, patrzyłem obok niego, na bladoczarne nocne niebo, szare chmury poruszające się powoli nad uśpionym krajobrazem, deskę rozdzielczą świecącą w półmroku, światła reflektorów, które rozdzierały czarny asfalt przed nami. Jechał szybko, po dziesięciu minutach byliśmy na miejscu. Poprosiłem, żeby zatrzymał się przy remizie strażackiej, i ostatecznie sto metrów przeszedłem pieszo. Tak dawno nie wychodziłem wieczorem, żeby spotkać się z ludźmi na mieście, że czułem się tak, jakbym wrócił z zagranicy.

Dzisiaj zawiozłem was na basen w Nybrostrand i kiedy się kąpaliście, obejrzałem na komórce mecz Chorwacja–Turcja. Nie miałem pojęcia, że tak się da! Ty kąpałaś się w brodziku, do którego nie zgodziłaś się wejść, gdy byliśmy tutaj ostatnim razem, a teraz nie miałaś z tym żadnego problemu, pluskałaś się, bawiłaś i śmiałaś. Gdy mieliśmy już wracać, kategorycznie odmówiłaś, więc wyjąłem Cię z basenu i niosłem, krzyczącą i wierzgającą rękami i nogami, aż do samochodu. Twoja siostra siedziała na ziemi obok auta i czekała na nas, pochyłona nad telefonem komórkowym, właściwie nie chciała tu przyjechać i była lekko sfochowana, ale gdy ją zobaczyłaś, przestałaś wrzeszczeć i wyrywać się; zapiąłem Cię w foteliku i wróciliśmy do domu. Wieczorem zabrałem Cię do sklepu w Borrby, w końcu uwielbiasz przejażdżki samochodem, bardzo lubisz siedzieć w wózku sklepowym i być wożona między regałami, więc byłaś w siódmym niebie. W drodze do domu zasnąłaś, z lizakiem, który wyżebrałaś, przyklejonym do dłoni; zaniósłem Cię na piętro, założyłem Ci pieluszkę i położyłem do łóżka, i dopiero wtedy poszedłem do samochodu po torby z zakupami, po czym pochowałem sprawunki do szafek kuchennych.

Teraz śpisz, a ja siedzę tutaj i ni mniej, ni więcej, tylko słucham Pink Floyd. Właśnie puściłem *Meddle*, przypomniał mi się ten album, gdy słuchałem koncertu na żywo grupy Midlake, która ma w swoim repertuarze jedną piosenkę z tej płyty. Kiedy dorastałem, mama i tata często słuchali Pink Floyd, zwłaszcza tata, i przez pewien czas imponowałem tym innym dzieciakom, ponieważ rodzice żadnego z nich nie puszczali takiej muzyki. W gimnazjum słuchałem Pink Floyd razem z Hilde, Eirikiem i Thomasem, najczęściej w salonie urządzonej w piwnicy Hilde, gdzie siedzieliśmy do późnej nocy, pijąc herbatę lub wino, słuchając płyt, oglądając filmy na wideo, mnóstwo odcinków *Latającego cyrku Monty Pythona*, albo po prostu rozmawiając. *Wish You Were Here*, *Shine On You Crazy Diamond*. To nie było *cool*, szczerze mówiąc, Pink Floydzi byli przeciwieństwem *cool*, więc w towarzystwie Espena i jego przyjaciół nawet o nich nie wspominałem, wtedy słuchaliśmy Violent Femmes, R.E.M., Imperiet, Waterboys, czasem U2, Wall of Voodoo, Stana Ridgwaya, Prince'a, Green on Red, właściwie wszystkiego, na co natknęliśmy się w czasopiśmie muzycznych.

Dawno nie wracałem myślami do tamtych czasów.

Podczas jednego z wydarzeń literackich wdałem się w rozmowę z pewną starszą panią. Powiedziała: pewnie uważasz, że życie jest krótkie, chociaż skończyłeś dopiero czterdzieści lat. Ja jestem po dziewięćdziesiątce i mogę cię zapewnić, że życie jest długie. Życie jest bardzo długie.

Praludzie żyjący na afrykańskich sawannach wiele milionów lat temu, po drugiej stronie potężnej przepaści dni, raczej na pewno nie dożywali dziewięćdziesiątki, niektórzy z nich mogli dociągnąć do pięćdziesiątki, może sześćdziesiątki, tak jak zdarza się to pewnym gatunkom małp, i chociaż ich pamięć raczej nie przypominała naszej, musieli jednak doświadczać czasu i czuć w sobie te różne etapy życia, musieli w jakiś sposób wyczuwać tę pełnię.

Mam nadzieję, że to, co powiedziała tamta starsza pani, jest prawdą.

**PONIEDZIAŁEK, 27 CZERWCA 2016**

Siedzę na balkonie hotelu w Rio de Janeiro i spoglądam na plażę po drugiej stronie drogi. Fale Oceanu Atlantyckiego uderzają o brzeg, jasne na tle ciemnego jak noc piasku, a ich szum wypełnia powietrze nawet tu, na osiemnastym piętrze, słychać miarowe, spienione, melancholijne pomruki. Twój brat siedzi na łóżku przy drzwiach i gra na nowym iPadzie, który dostał dziś rano na lotnisku Kastrup. Obiecałem mu iPada, ponieważ mam tu pracować, a on nie chce opiekunki, chce być ze mną przez cały czas, więc musi mieć jakieś zajęcie. Obudził mnie dzisiaj o wpół do szóstej, niespokojny, że budzik nie zadzwoni. Nastawiłem go na szóstą, wszystko było pod kontrolą, a mimo to wstałem, wziąłem prysznic, wyjąłem ubrania z suszarki i zapakowałem je do walizki. Twój brat się wykąpał, umyłem mu włosy, potem zjedliśmy śniadanie, wsiedliśmy do samochodu i przekręciłem kluczyk kombinerkami. Kluczyk złamał się pięć miesięcy temu, ale przez długi czas można było go używać; metal wciąż tkwił w zamku, więc wystarczyło nadziać na niego plastikową część i przekręcić. Dwa dni przed naszym wylotem do Brazylii zadzwoniła moja matka – która przyjechała do nas, żeby pomóc w domu podczas mojej nieobecności – z parkingu w Ystad i powiedziała, że nie może uruchomić silnika. Już nie dało się przekręcić kluczyka czarnym plastikiem, w umocowaniu zrobiła się dziura, więc kluczyk wyslizgiwał się, kiedy usiłowało się to zrobić. Do domu wrócili autobusem. Wyjąłem z szafki w kuchni kombinerki, zadzwoniłem po taksówkę, czekając na nią, stałem przed domem, w upale, i paliłem papierosa. Myślałem, że to będzie proste, że wystarczy przekręcić kluczyk kombinerkami, ale myliłem się, ponieważ gdy to zrobiłem, silnik nie chciał odpalić. *Key not detected*<sup>[11]</sup>, pojawił się napis na desce rozdzielczej. Pół godziny zajęło mi wymyślenie metody, która zadziałała. Przymocowałem kluczyk taśmą do zewnętrznej części, dzięki czemu mogłem przekręcić go na tyle, by doszedł prąd, ale nie dalej, na to opór był za duży. Kiedy jednak w dzikim pędzie usuwałem

zewnątrzną część i używałem kombinerek, samochód dawał się oszukać i silnik odpalał bez problemu. To nie była, niestety, stuprocentowo pewna metoda, bo nie zawsze działała, więc gdy przyjechałem do domu, postanowiliśmy wynająć auto, którym mama i opiekunka mogłyby jeździć podczas mojej nieobecności. Tego ranka uruchomiłem silnik za pierwszym podejściem i na desce rozdzielczej nie pojawił się, na szczęście, napis *key not detected*, lecz ten co zwykle, że samochód musi zostać poddany przeglądowi technicznemu – pojawiał się od pół roku za każdym razem, kiedy uruchamiałem auto. Był fantastyczny ranek, zupełnie bezwietrzny, słońce nad polami, błękitne niebo, żadnych samochodów na drogach, krajobraz zielony i złocisty. Pomyślałem o letnich porankach, gdy jako jedenasto- lub dwunastolatek jeździłem rowerem na pola truskawek, musiało być około siódmej, o tym jak powietrze i światło niosły obietnicę upału, który miał nadejść, welon mgły na niebie, połyskiwanie rosy na trawie, choć wzdłuż drogi wciąż ciągnęły się korytarze chłodnego powietrza. Duma z tego, że jadę do pracy, duma z tego, że zarobię pieniądze, prosta myśl o tym, na co je wydam – na parę nart slalomowych – wystarczyły, by mnie zmotywować: przez pięć godzin stałem pochylony nad krzaczkami truskawek, co właściwie uważałem za nieznośne, nie z powodu nudy, ale ograniczenia, tego, że przez pięć godzin nie mogłem robić nic innego. To nie było coś, o czym myślałem, jadąc z Twoim bratem, tylko coś, co czułem: to całe spektrum wspomnień pojawiło się w postaci określonego uczucia, uczucia letniego poranka, które nie trwało dłużej niż kilka sekund. Wspomnienia podlegają mniej więcej tej samej logice co sny, trwanie, jakim nas napełniają, jest oderwane od rzeczywistego czasu: sekunda, która mija od chwili, kiedy człowiek słyszy we śnie jakiś dźwięk, do chwili kiedy ten dźwięk człowieka wybudza, we śnie może być wypełniona ciągiem zdarzeń trwającym wiele godzin.

Lecieliśmy z Kastrup do Paryża, a w Paryżu przesiadliśmy się na samolot do Rio. Gdy autobus zatrzymał się przed ogromnym samolotem stojącym na pasie, pomyślałem, że wygląda jak statek. Że został zwodowany i że pasażerowie wchodzą na jego pokład jak na statek, który ma ich zabrać na inny kontynent. Ciężko i ślamazarnie toczył się po pasie startowym i chociaż prędkość musiała być duża, bo w końcu poderwał się w górę i poszybował w przestworza, wydawał się powolny, a całe przedsięwzięcie zdawało się niezgodne z naturą. Twój brat spoglądał przez okno na krajobraz; jego fragment za Paryżem przypominał ten, w którym dorasta, tylko był rozleglejszy. Pole za polem, pastwisko za pastwiskiem, zielone i żółte. Lubię lecieć daleko, ponieważ na pokładzie samolotu nikt niczego ode mnie nie żąda, nic nie trzeba robić, mogę siedzieć w spokoju godzina za godziną, zdrzemnąć się, obejrzeć film, trochę poczytać, znowu się zdrzemnąć. Kiedy podchodzimy do lądowania, zawsze żałuję, że nie możemy lecieć dalej. Lecieliśmy nad Hiszpanią i Portugalią, gdzie oddaliliśmy się od wybrzeża i poszybowaliśmy nad oceanem. Minęliśmy Wyspy Kanaryjskie i był to ostatni ląd,

który widzieliśmy – podobnie jak niegdyś pasażerowie statków – zanim po drugiej stronie wyłonił się kontynent amerykański. Zobaczyłem ciemnozielone lasy i wodę połyskującą tu i ówdzie pod powłoką chmur. Słońce zachodziło, niebo na zachodzie było czerwone, krajobraz pod nami coraz ciemniejszy, aż w końcu wszystko zrobiło się czarne. Twój brat obudził się, gdy ostatnie promienie igrały z chmurami, a gdy mu powiedziałem, że jesteśmy nad dżunglą, spojrzał przez okno chciwym wzrokiem. Ale widać tylko chmury, odparł i położył się z powrotem, żeby dalej spać, zwinięty w sposób, który zawsze mnie rozczulał: z jednym kolanem przy brzuchu i głową spoczywającą na ramieniu. Gdy znowu się obudził, ponieważ personel pokładowy zapalił światło i ogłosił, że zaraz zaczną podawać ostatni posiłek przed lądowaniem, był biały na twarzy. Trząśł się lekko. Mdli mnie, powiedział. Sięgnął po worek na wymiociny i położył go sobie na kolanach. Wszystko będzie dobrze, uspokoiłem go. Często cię mdli, ale prawie nigdy nie wymiotujesz. Pomyślałem o wszystkich razach, gdy spał z miską przy łóżku, której nigdy nie użył. Ale tym razem myliłem się. Dokładnie w chwili gdy wózek z jedzeniem zatrzymał się obok nas, syn chwycił worek, otworzył go i przycisnął do rozdziawionych szeroko ust. Najpierw nic nie poszło, wydobyły się tylko dźwięki, charczenie i coś w rodzaju cichych jęków. A potem trysnęło do worka. Stewardesa spojrzała na nas z rezygnacją, nalała wody do szklanki i podała mi ją, a ja przekazałem ją synowi. Może pan odnieść worek do toalety, powiedziała do mnie. Przez całą podróż wydawało mi się, że ma coś do nas, bo zirytowała się na Twojego brata, gdy nie odebrał od niej pojemnika, który mu podawała, serwując pierwszy posiłek, chociaż najwyraźniej nie była w stanie dosięgnąć jego stolika. Weź tackę! – powiedziała wtedy do niego, trochę za głośno, trochę za nerwowo. Spokojnie, on ma dopiero osiem lat, pomyślałem, ale nie odezwałem się ani słowem. Teraz podniosłem się, trzymając w ręce pełny, ciepły worek wymiocin, i poszedłem do toalety. Gdy wróciłem, syn wycierał twarz ścierką, którą dostał od obsługi. Lepiej się czujesz? – spytałem. Tak, odparł. Niewiele rzeczy przynosi taką ulgę jak wymioty, powiedziałem. No, przytaknął. Uff! – westchnąłem. Jesteś głodny? – spytałem. Nie, zaprzeczył i spojrzał na mnie jak na wariata. Siedział skulony przy oknie i patrzył na dół, gdy znaleźliśmy się nad Rio de Janeiro, które błyszczało w ciemności. Pierwszy raz byłem w Ameryce Południowej, ale mitologia tej części świata zawsze była dla mnie ważna, przepływała przez moje życie niczym podwodny prąd tęsknoty, oczywiście z powodu wszystkiego, co przeczytałem: to nie za rzeczywistością tęsknię, to nie ona mnie fascynuje, lecz to, co ją zabarwia. A barwy, jak zdążyłem zauważyć, były tutaj inne, bardziej soczyste, pełniejsze, bardziej rzucające się w oczy.

Po półgodzinnej jeździe samochodem przez miasto dotarliśmy do hotelu, w którym teraz siedzę. Jest północ, temperatura jak w letnią noc w Skandynawii. Fale są wysokie, światła wzdłuż nadbrzeżnej promenady liczne i ciemnożółte. Za

hotelem, kilka przecznic dalej, wznosi się strome, porośnięte lasami wzgórze. Dziwnie wygląda, w samym środku zabudowań, jak pozostałość z czasów sprzed ery budynków, gdy Rio było jedynie zalesionym nadmorskim pasem biegnącym w dół, w stronę pustej plaży, która przyjmowała fale oceanu, widziane wyłącznie oczami ptaków, jaszczurek i innych zwierząt.

## **WTOREK, 28 CZERWCA 2016**

Gdy dziś rano wstało słońce i ciemności powoli ustąpiły – miałem wrażenie, że mrok został wydrążony od wewnątrz i że jego płaszczyzny uniosły się – zobaczyłem, że niezamieszkane wzgórza i góry, niektóre zalesione, inne nagie, są częścią rytmu miasta, wznoszą się w regularnych odstępach jak okiem sięgnąć, a między nimi stoją budynki, setki tysięcy białych pudełek, które ciągną się w górę zboczy.

Przez całe przedpołudnie nad hotelem krążyły ogromne tropikalne ptaki. Rozpiętość ich skrzydeł była potężna, choć same skrzydła dość wąskie. Było ich około dwudziestu, unosiły się w kominach termicznych. Wiele innych widziałem w przestrzeni powietrznej nad miastem, małe odległe kropki lub czarne cienie szybujące nad zielenią wzgórz. Trudno było pogodzić ich prehistoryczność z życiem, które toczyło się pod nimi, z ludźmi chodzącymi po ulicach, z tym, co dla ptaków musiało być podnóżem górskiego krajobrazu, pełnego wąskich szczelin i ciasnych wcięć daleko w dole, z otwartymi barami i restauracjami, gdzie ludzie siedzieli i rozmawiali albo oglądali telewizję, i z tym gigantycznym ruchem ulicznym na drodze biegnącej wzdłuż plaży, wszystko to musiało być dla nich bezsensowne albo mieć zupełnie inne znaczenie niż to, które my mu nadaliśmy.

Gdy Twój brat grał w swoje gry, przeprowadziłem kilka wywiadów telefonicznych, nie wychodząc z pokoju, a potem poszliśmy na plażę. Ludzi było na niej niewiele, wzdłuż całej linii brzegowej wisiały czerwone flagi ostrzegawcze, odradzano kąpiel z powodu silnych prądów podwodnych. Mimo to weszliśmy do wody, wielkie, spienione fale uderzały w nas, Twój brat śmiał się, a ja trzymałem go za rękę, żeby nie zniknął z falami, kiedy te będą się cofać. Woda była ciepła i tak słona, że szczypała w wargi. Potem zjedliśmy lunch w hotelu i wykąpaliliśmy się w basenie na dachu. Widok był fantastyczny. Białe miasto rozciągało się pod zielonymi górami, fale uderzały rytmicznie o kilometrową plażę, tworząc kaskadowe białe wzory, a pod błękitnym niebem szybowały ptaki i przelatywały terkoczące śmigłowce. Wszystko było otwarte, zielone od lasów zbocza górskie w samym środku miasta czyniły przeszłość obecną, a białe spienione fale zalewające plażę, błyszczące w słońcu, w podobny sposób otwierały się na przyszłość, ponieważ ich ruch był wieczny – a jednocześnie to wszystko działo się teraz, kiedy Twój brat, trzęsąc się, brodził w basenie z uniesionymi rękami, bo

woda była tutaj o wiele zimniejsza niż w oceanie, a ja stałem i robiłem mu zdjęcia telefonem. I może wszystkie labirynty umysłu, wszystkie trudne relacje i wszystkie problemy międzyludzkie są sposobem na utrzymanie nas w naszym własnym czasie, sposobem na pomniejszenie rzeczywistości, tak aby dała się ogarnąć.

Wieczorem wyszliśmy z hotelu, chciałem pójść do restauracji, którą nam polecono, u podnóża góry, trzy kilometry dalej, na końcu nadmorskiej promenady, i chociaż Twój brat zapewniał, że da sobie świetnie radę i pójdzie pieszo tam i z powrotem, najpierw wybraliśmy się na poszukiwanie bankomatu, żeby wypłacić pieniądze na taksówkę, którą wrócimy do hotelu. Twój brat stwierdził, że tutejsze ulice przypominają mu Sztokholm, zdziwiłem się, bo trudno mi było wyobrazić sobie miasto różniące się bardziej od Sztokholmu. Podobieństwo mogło polegać jedynie na tym, że dla niego oba miasta są duże. Uwielbiałem ten nastrój, lekko kolonialno portugalski, przypominający lata pięćdziesiąte, ciemnożółte światła latarni, które zaledwie częściowo rozpraszały mrok, obecny wszędzie. Ale już po dziesięciu minutach Twój brat chciał wracać do hotelu, twierdził, że jest tam dobre jedzenie, i chociaż zatrzymywałem się przed wieloma restauracjami, równie zdewastowanymi, co pięknymi, z mozaikowymi podłogami i mrocznym wnętrzem, dla niego liczył się tylko hotel, więc dałem za wygraną, chciałem, żeby czuł się na tej wycieczce jak najlepiej, i już wcześniej postanowiłem, że nie będę narzucał mu swojej woli i pozwolę, żeby – o ile to będzie możliwe – robił to, na co ma ochotę. I dlatego pół godziny później siedzieliśmy w pustej, sterylnej czystej hotelowej restauracji i każdy z nas jadł swój brazylijski stek z frytkami i ryżem. Potem leżałem na łóżku i czytałem ostatnią książkę Torego, ale wszystkie wrażenia i całe światło dnia, po którym nastąpiła całkowita ciemność, zrobiły swoje i zasnąłem w ubraniu. Gdy kilka godzin później się obudziłem, Twój brat spał w drugim łóżku; rozebrał się, umył zęby i położył się spać, nie budząc mnie. Telewizor był wciąż włączony, Twój brat prawdopodobnie nie mógł znaleźć pilota, pomyślałem; pilot leżał pod kołdrą, wyłączyłem telewizor, otworzyłem laptop i zacząłem pisać ten tekst.

## **ŚRODA, 29 CZERWCA 2016**

Po siedmiu godzinach jazdy autobusem wzdłuż wybrzeża, na północ od Rio, późnym popołudniem dotarliśmy do Paraty. Nigdy w życiu nie widziałem tylu drzew, co podczas tej podróży. Wszystkie wzgórza, które gdzieś wznosiły się stromo, a w innych miejscach ciągnęły się, niebieszczejąc, w głąb krajobrazu, były zalesione, co u nas również nie należy do rzadkości, ale tutaj drzewa tworzą niedostępną gęstwinę, co wpływa na postrzeganie lasu: jawi się on jako odrębna siła, potężna i zachłanna. Przejeżdżając przez przedmieścia Rio, mijaliśmy slumsy, szopy, wałęsające się psy, śmieci, wychudzonego konia stojącego na środku ulicy,

zdevastowane tereny przemysłowe, zarośnięte i opustoszałe; dalej betonowa droga biegła nad rzeką i chociaż jej rozlewiska były zawałone hałdami plastiku, a wszystkie ślady obecności człowieka żałośnie nędzne i w ruinie, to w osobliwy sposób widok był piękny. Brudna rzeka migotała żółtozielono w świetle słońca, a ciemnozielona roślinność, która wszędzie w krajobrazie znajdowała dla siebie oparcie, była świeża i nowa, nieskażona drogami, betonem, płotami ani śmieciami. To dawało ruinie inny wyraz niż na przykład w Detroit, gdzie upadek sprawia wrażenie czegoś nieodwracalnego, niszczącej siły niemożliwej do przezwyciężenia, jednostronnej w całej swojej bladej szarości, lub w dużych miastach przemysłowych na północy Rosji, na przykład w Murmańsku, gdzie wszystko jest jałowe i beznadziejne. Nędza widziana z okna autobusu była groteskowa, ale ta siła intensywnego wzrostu, która ją otaczała, ta potężna obfitość zieleni wskazywały na coś innego. A może owa obfitość, owa niesłychana rozrzutność dotyczyła również tego, co ludzkie?

Rozmawiałem z Twoim bratem o tym, co widzieliśmy, o tym, jak wyglądałoby jego życie, gdyby się tutaj urodził, że być może nie chodziłby wówczas do szkoły. Zastanawiał się, dlaczego bieda jest tutaj, a nie w Szwecji. Powiedziałem, że Szwecja i Norwegia są małymi krajami, które dużo łatwiej jest zorganizować. Dodałem, że również w tych krajach były kiedyś ogromne różnice między bogatymi i biednymi, ale robotnicy zjednoczyli się, a ponieważ było ich więcej, zyskali władzę i uprawnienia. I że teraz to znów powoli zaczyna zanikać.

Lubię rozmawiać z Twoim bratem i lubię patrzeć, jak poszczególne elementy, jeden po drugim, trafiają w nim na właściwe miejsce. Części świata, kraje, miasta, ale także historyczne krainy i epoki. Ma całkiem niezłe pojęcie o obu wojnach światowych, ponieważ ojciec jego najlepszego przyjaciela jest nimi żywo zainteresowany. Wie, co to Cesarstwo Rzymskie, średniowiecze, Związek Radziecki i Wielki Mur Chiński. Ma rozległą wiedzę na temat kosmosu i dinozaurów. Po *Gwiezdnych wojnach* to chyba jego ulubiony temat rozmowy. Podczas gdy autobus pomrukiwał, wyjeżdżając z miasta, zaczęliśmy rozmawiać o strusiach.

Są niebezpieczne, powiedział. Potrafią rozszarpać człowieka pazurami na strzępy.

A wiesz, co robią hodowcy strusi, żeby ich nie zaatakowały?

Nie?

Strusie mają małe mózgi. Nie rozumieją zbyt dużo.

Cha, cha!

I dlatego jeśli weźmiesz ze sobą kij i uniesiesz go nad głowę, strusiovi wydaje się, że jesteś od niego wyższy, i nie ma odwagi cię zaatakować.

Cha, cha!

A jeśli nałożysz mu na głowę czarny worek, sądzi, że zapadła noc, i zasypia.



Ale to głównie Twój brat opowiada, a ja go słucham. W domu nie zawsze mówi tak dużo, nie ma dla niego aż tyle miejsca, jego siostry anektują dużo przestrzeni, ale kiedy jest się z nim sam na sam, buzia mu się nie zamyka. Prawie zawsze jest w dobrym humorze i może gadać non stop przez godzinę, jeśli nic ani nikt mu nie przeszkodzi. Moja matka, Twoja babcia, twierdzi, że w jego wieku byłem dokładnie taki sam. Gadałem jak najęty, na wszystkie możliwe tematy. To się gwałtownie urwało, gdy wszedłem w okres dojrzewania i zacząłem się wszystkiego wstydzić. Mam nadzieję, że jego to nigdy nie spotka. Ale chociaż przypomina mnie, gdy byłem w jego wieku, ja siebie w nim nie rozpoznaję. Widzę go z zewnątrz, ośmioletniego chłopca, którego bardzo lubię, którego często mam ochotę objąć i przytulić, ale ujrzenie tego, kim jest i jak mu się żyje, wymaga odpowiedniego nastawienia, a codzienność nie stwarza ku temu zbyt wielu możliwości, to trochę tak, jakby moja maszyna była prostsza, nastawiona na szybsze ruchy, a jego bardziej precyzyjna i dlatego często umyka mojej uwadze. Nie ma w tym absolutnie nic złego, uważam, że dorośli nie powinni przez cały czas być blisko swoich dzieci, wręcz przeciwnie, dzieci muszą mieć czas tylko dla siebie, ale po tamtej wycieczce rowerowej, gdy tak wyraźnie zobaczyłem, jaki jestem gruboskórny, i uświadomiłem sobie dystans, jaki miałem do spraw dla niego ważnych, postanowiłem spędzać z nim więcej czasu. Ta podróż pojawiła się jak na zamówienie.

Po mniej więcej godzinie jazdy wydostaliśmy się z miasta, a przez resztę podróży krajobraz stanowił wariacje na ten sam temat – ocean po jednej stronie, z falami zalewającymi plaże lub uderzającymi o zbocza gór, i lasem po drugiej, i zabudowaniami tworzącymi pas, który rzadko miał więcej niż kilometr szerokości. Jechaliśmy wzdłuż krawędzi kontynentu, tak ogromnego, że nie sposób było objąć go myślami. Czytałem dalej powieść Torego, całkowicie mnie pochłonęła, a Twój brat wyglądał przez okno. Od czasu do czasu grał na nowym iPadzie, ale bateria mu się rozładowywała, więc racjonował sobie zabawę. Zapomniałem, gdzie jestem, a fakt, że to, co właśnie czytałem, napisał Tore, zupełnie wyleciał mi z pamięci.

Paraty leży na równinie podobnej do ujścia rzeki między górami a oceanem, pochodzi z osiemnastego wieku i jego krańce nadal wyglądają tak, jak mogły wyglądać, gdy miasto powstawało: drogi piaszczyste lub z grubo ciosanych kamieni, białe murowane domy po obu stronach, małe kościoły przypominające te wznoszone w południowej Europie, park, wzdłuż tego wszystkiego biegła rzeka, a na końcu, blisko oceanu, teren był lekko bagienny. Ocean ciągnął się w dal niczym fiord, otoczony z obu stron lądem, z wyspami rozrzuconymi tu i ówdzie, i to, co widziałem z pewnej odległości, pod zachmurzonym szarobiałym niebem, z ciemnoszarą, niemal czarną taflą wody, przypominało norweskie Vestlandet. Gdy się odwróciłem i zobaczyłem białe zabudowania w stylu kolonialnym, miałem

wrażenie, że przebywam we śnie, w miejscu, gdzie nie obowiązuje codzienna logika.

Teraz na dworze panuje całkowita ciemność. Siedzę przy stole na parterze i piszę, a Twój brat leży na piętrze i gra. Przed drzwiami jest duże patio, z palmami i zielonymi krzewami, wokół którego ciągną się pokoje hotelowe, a w środku znajduje się basen, z barem i restauracją. Kąpaliliśmy się w nim po przyjeździe, woda była lodowata, mogła mieć najwyżej szesnaście stopni. Po raz pierwszy przypomniano mi, że w Brazylii aktualnie panuje zima. Zaraz pójdziemy coś zjeść (tuż za rogiem znajduje się pizzeria), a potem prześpimy naszą trzecią południowoamerykańską noc.

### **CZWARTEK, 30 CZERWCA 2016**

Obudziliśmy się wcześnie, jak zresztą każdego ranka tutaj, i musieliśmy czekać prawie dwie godziny na otwarcie sali śniadaniowej. Byliśmy pierwszymi gośćmi i prawie kończyliśmy jeść, gdy zza moich pleców dobiegł znajomy głos mówiący „halo”. To był Henry Marsh, brytyjski neurochirurg, którego spotkałem w Albanii zeszłego lata. Gdy spytałem, co u niego słysząc, odparł, że jest nadal wstrząśnięty faktem, iż Wielka Brytania zagłosowała za wystąpieniem z UE, i przez chwilę o tym rozmawialiśmy, zanim postanowiliśmy zjeść razem obiad któregoś wieczoru. Pół godziny później znowu go spotkałem, gdy wyszedłem zapalić. Usiedliśmy przy basenie i ucieliśmy sobie pogawędkę. Henry Marsh ma okrągłą twarz pooraną miękkimi zmarszczkami, spojrzenie zza okrągłych okularów jest serdeczne lub roztargnione, natomiast usta o wąskich wargach mają w sobie coś ostrego. Jest średniego wzrostu, szczupły, ma silne dłonie, często pokryte drobnymi zadrapaniami. Z całej jego postaci emanuje brytyjskość, klasa i uprzejmość, poza tym do perfekcji opanował sztukę konwersacji. Ja tego nie potrafię i być może dlatego tak mało rozmawialiśmy o sprawach ogólnych, a tak dużo o osobistych. Tak samo było za każdym razem, kiedy go spotykałem: kończyło się na zwierzeniach. Mimo to nie łączą nas zażyłe stosunki, dzieli nas różnica wieku i kultury, więc chodzi o coś innego. Ten rok obfitował w zwierzenia osób, których właściwie nie znam, ludzie powierzali mi swoje tajemnice, o których nie mówili innym lub mówili tylko swoim najbliższym, to jak pominięcie spadkobiercy w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku. Czasem trudno mi to przyjąć, czasem nie wiem, jak się zachować, czy muszę się odwzajemnić zwierzeniem? Czy mówią mi o tym, ponieważ identyfikują się ze mną w moich książkach? Wszyscy są osobami publicznymi, niektórzy zajmują tak wysokie stanowiska, że nie mogą prawie na nikim polegać, plotki szybko by się rozeszły, gdyby zaufali niewłaściwej osobie, a jednocześnie zauważyłem, że czują ogromną potrzebę wyrzucenia tego z siebie. Często chodzi o sprawy intymne. Albo

wstrząsające. To, co widzą, patrząc na mnie, musi być czymś zupełnie innym niż to, co sam myślę o sobie. Coś we mnie chętnie napisałoby o tym, o czym ludzie mi opowiadają, powstałby tekst pełen napięcia i o dużej sile przyciągania, ale napięcie i siła przyciągania nie pochodziłyby z tekstu samego w sobie, lecz z aury, jaka otacza te osoby. To się zdarzało również wcześniej, zanim zadebiutowałem jako pisarz, jedno takie zdarzenie szczególnie utkwilo mi w pamięci. Jechałem nocnym pociągiem z Oslo do Bergen i dzieliłem przedział z młodym mężczyzną, o kilka lat starszym ode mnie, zaczęliśmy rozmawiać i kiedy pociąg mknął przez letnie ciemności nad górami, opowiedział mi najbardziej intymne, najbardziej prywatne i najbardziej sensacyjne szczegóły ze swojego życia. Byłem mu zupełnie obcy i o to właśnie chodziło, wiedział, że już nigdy się nie spotkamy. Po jakichś dwóch godzinach spojrzał na mnie i zapytał: a co u ciebie? jak tobie się żyje? Zwlekałem z odpowiedzią, w końcu odparłem, że nie ma o czym mówić. Chyba coś musi się dziać? – nie odpuszczał, a ja powiedziałem, że nie, że nic się nie dzieje. Westchnął, a właściwie prychnął i potrząsnął głową. Tak się nie robi, zdawał się mówić, ja opowiedziałem tobie to wszystko, zupełnie otwarcie, a ty nie chcesz nic o sobie powiedzieć? W końcu dałem za wygraną i opowiedziałem mu o swoim życiu tak otwarcie, jak umiałem, to znaczy nie mając względu na osoby, o których opowiadałem, bo taka jest cena szczerości. Nic się nie stało, nigdy więcej mieliśmy się nie spotkać, ale i tak dopadły mnie wyrzuty sumienia, gdy następnego ranka wysiadłem na dworcu i pojechałem do domu, żeby pójść spać, jak zawsze, gdy przekroczyłem jakąś granicę. Nie pamiętam już nic z tego, o czym mi opowiedział, poza jednym epizodem, i to fragmentarycznie. Był anestezjologiem, to pamiętam, i pracował w lotniczym pogotowiu ratunkowym, to też pamiętam, bo opowiadał, jak to jest lądować na małych skrawkach ziemi, wzdłuż fiordów lub na wyspach u ujścia fiordu, opisywał nastrój rozpacz i paniki, którego czasem doświadczali. A potem opowiedział mi o czymś, czego nie pamiętam w całości, więc nie ma to właściwie sensu. W jednym z domów, do których, jak można się domyślić, przylecieli śmigłowcem, jesienią, być może w deszczu, ukazał się człowiek, który nie istniał. Czy ten człowiek ukazał się na fotografii, a nie w rzeczywistości, czy na odwrót, w rzeczywistości, a nie na fotografii, tego nie pamiętam. Wiem tylko, że ten młody lekarz siedział na podłodze w kuszetce, spowity bladym światłem letniej nocy, z butelką piwa w dłoni, ja zaś leżałem na najwyższym łóżku, z głową wspartą na łokciu, i przyglądałem mu się. On na mnie nie patrzył, siedział ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. Du-dum, du-dum, du-dum, du-dum, stukot kół uderzających o podkłady kolejowe, wrażenie, że mkniemy przez krajobraz. Deszcz i mrok, o których opowiadał, śmigłowiec podchodzący do lądowania, prędkość, z jaką wszystko się dzieje. I zmarły, który tam był, pozornie żywy.

O tym, co opowiedział mi o swoim życiu, a co tak bardzo mną wstrząsnęło, zupełnie zapomniałem. Ale przypuszczam, że nie byłbym tak wstrząśnięty,

gdybym usłyszał to za dnia; miałem wtedy dwadzieścia kilka lat i byłem niemal dziecięco naiwny.

Może byłem taki również w oczach Henry'ego Marsha?

Siedział na leżaku z laptopem na kolanach, ubrany w jasnoniebieską koszulę, niebo nad nami było bladoszare, prawie białe, woda w basenie przed nami przezroczysta jak szkło. Właśnie napisał nową książkę, przysłał mi pierwsze strony z Nepalu, gdzie – jeśli dobrze zrozumiałem – pracował przez kilka miesięcy z rządu w ciągu ostatnich lat. Kiedyś przysłał mi stamtąd e-mail, w którym pisał, że wielu jego pacjentów zmarło. Mrok kryjący się w tym zdaniu, to, co średniowieczne w rozplątywaniu ludzkich głów i obnażaniu mózgu, było całkowicie nieobecne we mnie, kiedy na niego patrzyłem, w takich chwilach nigdy nie myślałem o tym, że miał pacjentów, którzy zmarli mu na stole. Śmierć nie była również nigdy obecna, gdy przyglądałem się jego operacjom w Albanii, nie istniała w przestrzeni, a gdyby nawet nastąpiła, w pełnym świetle i otoczeniu wszystkich instrumentów i monitorów, bardziej przypominałaby awarię, samochód, którego nie można już uruchomić. Tylko w języku, w tym zdaniu z Nepalu, była ciemność, jaką przynosi śmierć. Jakby śmierć sama w sobie była niczym, jedynie naszym wyobrażeniem wywoływanym na różne sposoby, które być może przybiera także różne formy, od lekkich, prawie zupełnie pozbawionych znaczenia, na samym wierzchu świadomości, niejako do codziennego użytku, do ciężkich, przyziemnych, krzyczących na samym dnie, które bardzo rzadko się podnoszą, raczej nie częściej niż raz lub dwa razy w ciągu życia.

Po półgodzinie wróciłem do Twojego brata. Wybieraliśmy się na wyprawę łodzią, spakowaliśmy do plecaków kąpielówki, ręczniki i kurtki, przed recepcją spotkaliśmy się z pracownicą hotelu, która towarzyszyła nam przez pięćset metrów do przystani, gdzie cumowała łódź. Niebo wciąż było zachmurzone, temperatura powietrza nie przekraczała dziewiętnastu, dwudziestu stopni; innymi słowy: prawie jak norweski letni dzień. Łódź była z rodzaju tych, które widuje się we wszystkich nadmorskich kurortach, tłoczące się jedna obok drugiej wzdłuż nabrzeża, od największych, gotowych pomieścić całkiem spore towarzystwo, do najmniejszych, przeznaczonych dla maksymalnie pięciu, sześciu osób. Dach, na którym można siedzieć, sprzęt muzyczny, torby termoizolacyjne z napojami gazowanymi i piwem. Nasza łódź była dość mała, sterowana przez trzydziestoparoletniego mężczyznę, był przyjazny i pomocny, mówił biegle po angielsku i przez cały czas okazywał zainteresowanie Twojemu bratu. Zresztą robili to wszyscy, których spotkaliśmy w Brazylii: mierzwili mu włosy i pytali go o różne rzeczy, często dla żartu. Spuszczał wtedy wzrok albo spoglądał na mnie; właściwie nie mówi jeszcze po angielsku. Ale jest ufny i szybko się do tego przyzwyczył.

Usiedliśmy na dachu obitym materiałem podobnym do skaju i kapitan, jeśli można go tak nazwać, dał nam mapę i lornetkę, zdjął cumy, włączył silnik

i odsunął łódź, odpychając stopą sąsiednią jednostkę. Otworzył się przed nami wspaniały „fiord”, woda była lśniąco szara, niebo mlecznobiałe, wszystkie wyspy i brzegi łądu ciemnozielone, niemal czarne. Równie dobrze mogłyby to być okolice Bergen. Jednak gdy kwadrans później mijaliśmy jedną z wysp, drzewa były palmami, a las dżunglą. A to ciemne, co unosiło się nad dnem w zatoce przed nami, to był żółw.

Twój brat obserwował łąd przez lornetkę. Na wyłomie skalnym, który mijaliśmy, jakieś dwadzieścia metrów nad nami, znajdowały się stare fortyfikacje, działa były nietknięte. Kapitan zadarł głowę i wyjaśnił nam, że kiedyś było tu dużo złota i że w okolicy można znaleźć wiele takich małych fortów, które osłaniały wejście do portu. Handel niewolnikami kwitł tutaj dłużej niż w innych miejscach, dodał. Finansowano go alkoholem, dlatego jest tu także mnóstwo starych destylarni.

Po godzinie zakotwiczyliśmy w jednej z zatok. Plaża była biała i drobnopiaszczysta, lecz wąska; wszędzie rósł las, prawie do samej linii brzegowej. Kapitan przyniósł nam maski i fajki do nurkowania i spuścił drabinkę na rufie. Powiedział, że są tutaj żółwie. Spytałem, czy przebywają tu na stałe, czy tylko tędy przepływają, na co on odparł, że to jest ich stałe siedlisko. Ledwo to powiedział, z wody wyłoniła się wąska szyja z małą, starczą twarzą na czubku. Tu ma pan jednego, powiedział kapitan.

Włożyliśmy kąpielówki, ja skoczyłem na główkę do wody, Twój brat zszedł po drabince. Woda była zimna i orzeźwiająca, miała jakieś osiemnaście, dziewiętnaście stopni. Włożyliśmy maski do nurkowania i odpłynęliśmy, dno połyskiwało jasno cztery metry pod nami. Za ledwie po kilku metrach zobaczyłem żółwia wielkości dziecka, przepływał powoli tuż pode mną. Przypominał kamień, który ożył i wykształcił płetwy i małą głowę. Rozejrzałem się za Twoim bratem, ale on płynął w innym kierunku. Popłynąłem do niego i ściągnąłem go w to miejsce, ale żółw zdążył się oddalić, poza tym Twój brat nie najlepiej radził sobie z fajką i chciał się zwyczajnie kapać. I tak też zrobiliśmy, chociaż to było dziwne, ponieważ w zatoce panowała niczym niezmacona cisza, nie licząc pojedynczych odgłosów ptaków, woda była zielona i zimna, a tropikalna roślinność porastająca oba brzegi zatoki tak gęsta, że wydawała się tworzyć całość.

Kolejny przystanek stanowiła mała wyspa; kapitan rzucił na nią banany i już po chwili wąska przybrzeżna skała zarośla się od zwierząt: było tam może z pięć szcuropodobnych stworzeń, z pięć lekkostopych ptaków, które zdawały się nie korzystać zbytnio ze skrzydeł, a w końcu, po dłuższym wahaniu na szczycie drzew, pojawiło się sześć małpek. Futro miały koloru lwiej sierści, grzywę wokół podobnej do ludzkiej, zaciętej twarzy, były wielkości kota i miały długi ogon. Według kapitana to marmozety lwie. Przez chwilę rzucaliśmy im banany i obserwowaliśmy ten natłok zdarzeń na półce skalnej, po czym wskoczyliśmy

znowu do wody i popłynąłem do brzegu z Twoim bratem wiszącym na moich plecach. Naszym ostatnim przystankiem była mielizna w pobliżu innej wyspy, otoczonej wodą przejrzystą i pełną tropikalnych ryb, wokół których pływaliliśmy w naszych maskach. W drodze powrotnej zasnąłem; słońce wyszło zza chmur i temperatura wzrosła. W hotelu spotkaliśmy opiekunkę do dzieci; albo wydawnictwo zignorowało moją wiadomość, że nie potrzebujemy niańki, albo ta wiadomość nigdy do nich nie dotarła. Dziewczyna była Szwedką, miała dwadzieścia kilka lat i jak się okazało, mieszkała tutaj. Pomyślałem, że mimo wszystko dobrze się stało, bo dzięki temu Twój brat nie będzie musiał towarzyszyć mi na wszystkich spotkaniach, na których i tak nie mógłbym się nim zająć. Gdy poszli do miasta na lunch, udałem się z przedstawicielem wydawnictwa na konferencję prasową. Kiedy zobaczyłem ten punkt programu, spodziewałem się, że przyjdzie góra dwóch dziennikarzy, z którymi porozmawiam w pobliżu recepcji, ale byłem w błędzie; człowiek z wydawnictwa zaprowadził mnie do dużej sali konferencyjnej, pełnej ludzi siedzących wokół długiego stołu w kształcie podkowy. Było tam na oko trzydzieści osób. Przywitałem się z tłumaczem i zaczęły padać pytania. Pamiętam tylko jedno z nich, zadane przez kobietę na końcu stołu, powiedziała, że piszę jak kobieta, i zastanawiała się, co jest tego powodem.

Po skończonej konferencji poszedłem do pokoju, włożyłem spodnie i koszulę i wyszedłem do miasta, minąłem rzekę i dotarłem do hali festiwalowej, gdzie miał przemawiać Henry Marsh. W środku było około tysiąca dwustu osób. Na każdym miejscu leżały słuchawki, przez które trzech tłumaczy siedzących w kabinie na samej górze sali tłumaczyło wystąpienie z portugalskiego na angielski i odwrotnie. Henry Marsh dyskutował na temat mózgu z brazylijską uczoną, ale znajdowali się na dwóch różnych planetach, więc były to raczej odrębne monologi niż rozmowa. Marsh twierdził, że o mózgu nie wiemy prawie nic, że jest zagadką, jedną z największych we wszechświecie, natomiast uczona zdawała się sądzić, że wiemy o nim prawie wszystko, co warto wiedzieć. Wydaje mi się, że nie rozumiała, na czym polega problem: w jaki sposób duch i świadomość, i to wszystko, czym jesteśmy, byliśmy i możemy być, jak to wszystko, w co wierzymy i widzimy, może powstawać w bryłce materii.

Siedzę i piszę ten tekst na parterze w apartamencie hotelowym, a Twój brat śpi na piętrze w drugim pokoju. Na zewnątrz jest zupełnie ciemno i cicho, nie licząc tych rzadkich chwil, kiedy jacyś ludzie przechodzą obok ulicą, a ich głosy zdają się dolatywać z pokoju, ponieważ okno za spuszczonej żaluzjami jest otwarte. Pierwszy raz o tej porze roku jestem na południe od równika i dziwnie się czuję, wiedząc, że teraz trwa tutaj zima, bo w mojej głowie jest lato.

**LIPIEC**



## Trawnik

Trawy to jedna z najbardziej rozpowszechnionych rodzin wśród roślin na Ziemi. Wielkie trawiaste obszary prerii i sawanny pokrywają jedną piątą powierzchni naszego globu, a wiedząc, jak gęsto rosną źdźbła trawy i jak dużo ich jest nawet na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, na przykład w ogrodzie przed pokojem, w którym siedzę i piszę ten tekst, człowiek rozumie, że jeśli chodzi o ilość, źdźbła trawy odpowiadają ziarnom piasku, kroplom deszczu i gwiazdom na niebie. Właśnie ilość jest częścią istoty trawy, rzadko wyrasta tylko jedno źdźbło i zwykle nie sposób stwierdzić, gdzie kończy się jedna roślina, a zaczyna druga, ponieważ pod ziemią są połączone gęstym i skomplikowanym systemem nitkowatych korzeni, które biegną wzdłuż i wszerz i niejako przyszywają trawę na stałe do ziemi, nie jak pojedyncze źdźbła, lecz jak dywan. W ten sposób trawa się rozprzestrzenia, w ten sposób podbija nowe obszary. Dlaczego to robi? Nikt tego nie wie, ponieważ rośliny dzieli od nas prawdziwa przepaść i naszą jedyną wspólną cechą jest właśnie to: wola życia i wola ekspansji. To, że taką wolę posiada trawa, która nie ma mózgu, kręgosłupa, układu nerwowego, serca, płuc, nosa, uszu ani oczu, a zatem nie wie, gdzie się znajduje, kim jest, czym jest ani dlaczego jest, czyni tę samą wolę w nas czymś równie obcym. Czyńcie sobie ziemię poddaną, jest napisane w Piśmie Świętym, i ten fakt wywołuje wieczną ambiwalencję, bo skoro to jest zapisane, przestaje być oczywiste i nagle pojawia się inna możliwość: by nie podbijać ziemi, nie prowadzić ekspansji. I może ta intencjonalność dwuwartościowa jest równie typowa dla człowieka jak nie-ambiwalencja dla trawy. W każdym razie trawa ściśle wiąże się z ekspansją człowieka, to dzięki jej pomocy uczyniliśmy sobie ziemię poddaną, gdy wiele tysięcy lat temu zaczęliśmy prowadzić osiadły tryb życia i uprawiać zboże, które także stanowi odmianę trawy, i tworzyć pastwiska dla bydła, owiec i kóz. To było przymierze, ponieważ ludzie uprawiali ziemię, usuwali drzewa i kamienie, robiąc miejsce dla trawy, która w zamian była ścinana, suszona, miazdżona i mielona, a w końcu zjadana, a może raczej symbioza, ludzie żyli bowiem równie blisko trawy i byli od niej tak samo zależni jak małe ryby od wielorybów, na których i z których żyją. Nadal tak jest, w domu po drugiej stronie trawnika znajdują się obecnie chleb, makaron, mąka, kasza, müsli i inne płatki śniadaniowe, a tuż za wielkim okręgiem domów rozciągają się pola uprawne, kilometr za kilometrem. Trawnik nie ma w tym żadnego udziału, jego stosunek do zboża jest taki sam jak kiedyś konia cyrkowego do konia pociągowego; rośnie przed domem jak czysty, bezużyteczny produkt uboczny, festyn zieleni, o czym on, rzecz jasna, nie ma najmniejszego pojęcia, po prostu rośnie, pokrywa ziemię tam, gdzie tylko może, źdźbło obok źdźbła. I nawet tutaj, na obszarze nie większym niż piętnaście arów, ilość źdźbeł i wielkie wariacje



rozwoju są powalające. Kiedy wczoraj po południu kosiłem trawę i popychałem przed sobą brzęczącą i trzeszczącą kosiarkę przez pola światła i cienia pod błękitnym letnim niebem, właśnie o tym myślałem. Kosiłem trawnik tyle razy, że jestem zżyty z każdym jego metrem kwadratowym. Między wierzwą a ścianą domu, za którą teraz siedzę, trawa jest zawsze głęboko zielona, wilgotna i bujna, i zawsze wyższa od reszty, natomiast wzdłuż ogrodzenia w kierunku południowym, tuż przy żywopłocie, nigdy nie znalazła dla siebie oparcia i tu i ówdzie wyrasta rzadkimi kępami z nagiej ziemi. Po przeciwnej stronie, pod drzewami, została prawie całkowicie wyparta przez mech, na którym leży niczym warstwa cienkich, rzadkich włosów na czaszce. Przy ścianie na wschodzie, gdzie zasiałem ją pierwszej jesieni po przeprowadzce i gdzie rzadko ją koszę, bo rośnie tam wiele drzew i kwiatów, na wpół dziko, trawa sięga kolan i jest rurkowato gruba. Potrafię zatracić się w tym małym świecie trawy, a zadowolenie z tego, że znam ją tak dobrze, mogę porównać jedynie do przyjemności, jaką daje gruntowna znajomość dzieła jakiegoś malarza lub poety, kiedy zna się każdy jego szczegół, a mimo to nic w nim nie jest wyczerpane.

## Kostki lodu

Kostki lodu to małe, twarde i przezroczyste sześciiany zamrożonej wody, które służą głównie do chłodzenia napojów. Kostki lodu brzęczą lub grzechoczą, kiedy porusza się szklanka, w której się znajdują, i dla wielu jest to jeden z najbardziej charakterystycznych i wywołujących radość odgłosów lata. Zazwyczaj przenosimy szklanki prostym ruchem, z kuchni na stół, ze stołu do ust, ale w wypadku szklanek z kostkami lodu często potrząsamy nimi lekko, zwykle nie zdając sobie z tego sprawy, robimy to zupełnie bezwiednie, po to by wycisnąć z nich ten wyjątkowy dźwięk, grzechoczący, kiedy kostki są małe, bardziej brzęczący, kiedy są większe. Kostki powoli rozpuszczają się pod wpływem ciepła i stają się wodą, z tego powodu dodaje się je zwykle do napojów, które same stanowią mieszaninę, na przykład wody z sokiem, ginu z tonikiem lub wódki z sokiem, albo do napojów, którymi nie trzeba się tak przejmować, jak cola czy solo, gdzie powoli topniejące kostki lodu nie wpływają na smak ani nie wyrządzają większej szkody konsystencji. Do napojów naturalnych, których smak jest dokładnie zbilansowany i uzyskany dzięki znaczącym wysiłkom i które w konsekwencji mają ekskluzywny charakter, rzadko dodajemy kostki lodu – dotyczy to wina białego i czerwonego, ale także porto, szampana i piwa. Ponieważ piwo jest mniej ekskluzywne od wina, wrzucanie do niego kostek lodu nie jest oznaką złego smaku, może tylko wydać się dziwne, zresztą nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział, by ktoś to robił, natomiast wrzucanie kostek lodu do kieliszka lepszego wina jest uważane za wulgarne i za przejaw braku obycia. Dla pisarzy brzęczenie kostek lodu w szklankach jest stałym toposem i zawsze leżącą na wyciągnięcie ręki możliwością, kiedy trzeba opisać letnią scenę, ponieważ właśnie ten dźwięk wywołuje mnóstwo skojarzeń i stanowi niejako kwintesencję lata – popołudniowe słońce na niebie, ciepłe powietrze, pięknie ubrani ludzie na werandzie, ich opalone twarze i białe zęby, szum ich głosów, zapach grillowanego mięsa, gospodyni, która szybko wypija łyk wina, po czym odstawia kieliszek na stolik, by wejść do domu i coś sprawdzić, a jej mąż, który przed chwilą z nią rozmawiał, również wypija łyk drinka i stojąc ze szklanką w dłoni, spogląda na ogród, a następnie w głąb werandy, na wszystkie nagie ręce i ramiona, na wszystkie wystudiowane uśmiechy. Kostki lodu w szklance wydają brzęczący odgłos, kiedy potrząsa nią w roztargnieniu. Dźwięk wyrывa go z zamyślenia, mężczyzna przenosi wzrok na szklankę, odkrywa, że jest prawie pusta, i idzie ją napełnić. Kiedy czeka, aż stojąca przed nim kobieta naleje sobie wina, w drzwiach staje gospodyni i ich spojrzenia się spotykają. Ona szybko odwraca wzrok. Trochę za szybko, myśli mężczyzna i chwyta butelkę ginu, nalewa go do szklanki, dodaje toniku i wrzuca dwie, trzy kostki lodu, przygląda się, jak

powoli krążą w przezroczystej, musującej cieczy, podobne do małych gór lodowych, myśli i zupełnie odruchowo sięga po jeszcze jedną, obejmuje ją dłonią i odchodzi na swoje miejsce. W pierwszej chwili lód jest suchy, zdaje się palić skórę, ale potem staje się gładki i wilgotny, a ból zmienia charakter i wyraźnie słabnie. Każda kostka lodu jest małym triumfem, małym kawałkiem zimy przetransportowanym do lata, gdzie jego zimno nie jest czymś nieprzyjemnym, czymś, przed czym trzeba się chronić, wręcz przeciwnie: jest czymś przyjemnym, na co człowiek otwiera się z rozkoszą. Coś odwrotnego, mały skrawek lata, zmagazynowany i wyjęty zimą, nie istnieje, ciepło bowiem przyspiesza procesy, chłód je zatrzymuje. Dzieje się tak, ponieważ wszystko rodzi się z niczego, a nicość, pustka jest także pozbawiona ciepła i ruchu. To jest punkt wyjścia, któremu całe ciepło i cały ruch przeciwstawiają się samym swoim istnieniem. Kiedy ruch i ciepło ustają, stają się niczym. Ani ruchu, ani ciepła nie można bowiem zachować, lecz trzeba je stale odradzać, wystrzeliwać dalej, z czego wynika histeryczność i maniakość życia, w czym kostki lodu również mają udział, kiedy zostają wprowadzone do lata, ponieważ także w nich wzrasta dynamika, zmieniają się, stają się wodą, która ciekąc lub pluskając, chlupocząc lub płynąc, bulgocząc lub ciurkając, szemrząc lub pieniając się, zostaje pochwycona przez wielkie koło życia, które powoli obraca się między ziemią a niebem i sprawia, że wszystko działa.

## Mewy

Zawsze mieszkałem blisko morza, więc odkąd pamiętam, mewy i ich krzyk stanowiły część mojego życia. Na osiedlu, na którym dorastałem, siadywały na kominach, dachach domów lub latarniach, ze skrzydłami złożonymi blisko ciała, błyszcząco białymi od spodu i popielatoszarymi na wierzchu. Były większe od wron i srok, ważyły około kilograma i miały znaczną rozpiętość skrzydeł, co było widać, kiedy podnosiły się, rozkładały skrzydła i po paru uderzeniach wzlatywały w powietrze. W dni z silnym wiatrem potrafiły wisieć nad zatoką niczym chorągiewki. Ich krzyki, tak charakterystyczne, o wydłużonych, opadających tonach, stopniowo coraz krótsze, niczym rytm obracającej się monety, która wibruje na stole, dopóki nie znieruchomieje, wydawały się smutne i przepełnione samotnością. Od czasów dzieciństwa krzyki mew kojarzą mi się z letnią pustką, tonącą w słońcu nicością, którą wypełniamy działaniem, by jej nie czuć. Wtedy nastrój wywołany krzykiem mew zapewne odzwierciedlał moją samotność, lecz później odkryłem w tym dźwięku coś innego, pewnego rodzaju warunek, jakby krzyk mew artykułował sam bezsens walki o życie. Rozdzierający, okropny dźwięk wypełniony melancholią, wydawany przez stworzenia, które potrafiły zbierać się w ogromne stada na wysypiskach śmieci, gdzie rozrywały dziobami plastikowe butelki i skubały kawałki wszystkiego, co nadawało się do zjedzenia, które podążały za traktorami orzącymi pola i kutrami na morzu, siedziały na dachach i spoglądały w dół, na restauracje pod gołym niebem, gotowe zanurkować w kierunku stolików, kiedy tylko dostrzegą resztki czegoś jadalnego, balansowały na pojemnikach na śmieci i wtykały do środka dzioby, bez względu na to, co się tam znajdowało, lub atakowały inne ptaki, by przejąć jedzenie, które tamte znalazły. Tak, może właśnie stąd się to brało, może odgłos ich krzyków cofał nas do czasów, kiedy ludzie nie istnieli i kiedy życie było ślepe i bezwiedne, a stworzenia przypominały automaty sterowane uczuciem głodu, pragnienia i instynktem przedłużenia gatunku, zamknięte w swoich małych rewirach pod gwiazdami, żarłoczne, brutalne, prymitywne – olbrzymia jaszczurka leżąca na skale opłukiwanej przez fale, pysk rozbijający jajko, z którego wycieka gęste białko, i miażdżący zębami małą istotę znajdującą się w środku – i że to wszystko wciąż tu jest, na obrzeżach tego, co ludzkie, widoczne zwłaszcza poprzez mewy, które wloką się wszędzie za nami i bacznie nas obserwują, zawsze gotowe, by się wcisnąć, jeśli tylko pojawi się okazja, żeby coś zjeść. Może chodzi o tę przepaść między nimi a nami, między tym, co przedczłowiecze a tym, co ludzkie, nad którą ich krzyki budują most. I że ta ich obcość jest przerażająca, ponieważ uświadamiamy sobie wówczas, że jesteśmy obcy sami dla siebie i dla naszej tutaj obecności. Nie żebym myślał o tym w te letnie noce, kiedy wychodziliśmy na ląd

na małych wysepkach w pobliżu wyspy, na której dorastałem, i mewy latały tuż nad naszymi głowami, krzycząc przeraźliwie, i kiedy strach, który czułem, był równie prymitywny jak instynkt nakazujący im bronić swojego potomstwa. Ale gdy wiele lat później przebywałem w domu swojej babci, na szczycie niewielkiego wrzosowiska, z widokiem na port i miasto, i zobaczyłem mewę, którą babcia karmiła, uderzył mnie jej straszny wygląd. Była ogromna, widzieliśmy, jak nadlatuje, kiedy znajdowała się w odległości kilkuset metrów, mały punkt, który rósł w oczach w miarę zbliżania się do werandy. Hamowała szerokimi, długimi skrzydłami i gdy wylądowała na balustradzie lub betonowej podłodze, brała we władanie cały taras, jakby do niej należał. Jeśli nie znalazła tam jedzenia, stukwała dziobem w okno. Babcia uważała, że to było komiczne, i miała poniekąd rację, bo ptak wyglądał jak marynarz, który stoi i czeka, aż otworzą mu drzwi jego kwatery na łodzi, rozglądał się na boki, jakby z rękami założonymi na plecy, i znowu pukał w szybę. Ale gdy babcia wychodziła do niego, niosąc w dłoni coś do jedzenia, wydobywał z siebie to, co ptasie. Babcia, skulona, kładła jedzenie szybkim ruchem na podłogę werandy, a ptaszysko chwytalo kąsek dziobem, odrzucało głowę do tyłu i połykało go w całości, a jego oczy przez cały czas patrzyły prosto przed siebie, jakby nie rejestrowały otoczenia. I między innymi w tym przejawiała się różnica między babcią a mewą, między starą kobietą a wielkim ptakiem, który każdego dnia był przez nią dokarmiany: bo gdy mewa leciała z powrotem w stronę portu i stawała się coraz mniejsza, babcia spoglądała na mnie z rozbawieniem i ciepłem w oczach, tymi dwoma ewolucyjnymi osiągnięciami reprezentowanymi przez ludzi, które – jak sądzę – pojawiły się po to, byśmy mogli unieść ciężar, jakim jest świadomość.

## Muszki owocowe

Latem nasz dom jest pełen maleńkich owadów. Są wszędzie tam, gdzie jedzenie lub jego resztki; wystarczy, że podniosę pomidora leżącego na półmisku na parapecie w kuchni, a natychmiast w powietrze wzbija się cała chmara, to samo dzieje się, kiedy sięgam po jabłko z patery na owoce stojącej na stole w salonie; gdy pozwalam, by brudne naczynia leżały przez kilka godzin, zanim zabiorę się do zmywania, lub zwlekam ze sprzątnięciem stołu po posiłku, talerze szybko pokrywają się delikatną, podobną do cienia powłoką w miejscu, gdzie te mikroskopijne stworzonka zdążyły się zebrać. Widziałem to dosłownie kilka minut temu, jedna z moich córek razem ze swoją przyjaciółką przygotowała *arme riddere*<sup>[12]</sup>, zanim poszły się kąpać, nie sprzątnęły po sobie i nad maczanymi w jajku, przypieczonymi na brązowy kolor grzankami unosił się rój małych muszek. Wyniosłem grzanki do kuchni i wrzuciłem do śmieci. Chwilę później, gdy wstawiałem naczynia do zmywarki, jej starsza siostra zawołała z jadalni: co się stało z moim jedzeniem? Wszedłem do pokoju i wyjaśniłem, że wyrzuciłem je do kosza. Wyrzuciłeś moje jedzenie? – zawołała. Nie jadłam jeszcze śniadania! Jak mogłeś wyrzucić jedzenie? Dochodzi czternasta, odparłem. To nie moja wina, że przespałaś śniadanie. Ale przecież ono stało na stole! – denerwowała się. Nie możesz tak po prostu wyrzucać mojego jedzenia! Siedziało na nim mnóstwo muszek, odpowiedziałem. Prychnęła i wróciła do salonu, gdzie oglądała telewizję, ja zaś przyszedłem tutaj i wygooglowałem „muszki”. Domyśliłem się, że prawdopodobnie chodzi o muszki owocowe, siedziałem i przyglądałem się wielokrotnie powiększonemu zdjęciu interesującego mnie osobnika, który ze swoimi dużymi, błyszczącymi czerwonymi oczami wyglądał jak z piekła rodem. Przypomniało mi się, że jedna z dziewczyn mojego brata pracowała z muszkami owocowymi, była biologiem i wykorzystywała je do badań, przede wszystkim dlatego, że bardzo szybko się rozmnażały i miały nieskomplikowany genom. Ostatni raz widziałem ją niemal dwadzieścia lat temu i od tamtej pory nie słyszałem, by ktokolwiek rozmawiał o muszkach owocówkach, zresztą nic w tym dziwnego, muszka owocówka jest królową znikomości, pyłkiem kurzu, który przeszedł od tego, co materialne, do tego, co biologiczne, i nawet w towarzystwie setek osobników tego samego gatunku nie jest w stanie stworzyć czegoś bardziej substancjonalnego niż cień w pokoju. Są tak małe, żyją tak krótko i jest ich tak dużo, że zdają się bytować gdzieś na obrzeżach życia, nawet jeśli one tak nie uważają – wszędzie dookoła widzą świecące czerwone oczy swoich pobratymców, w nieprzytomnych dniach, długich jak lata, wypełnionych przypominającym orgię obżeraniem się gnijącymi owocami, zepsutym mięsem i fermentującym cukrem oraz składaniem jaj, co w ciepłych i wilgotnych warunkach odbywa się gdzie

popadnie. W *Kirke*, książce z epoki renesansu, Giambattista Gelli stworzył dialogi między Odyseuszem i ludźmi zamienionymi przez Kirke w zwierzęta; czarodziejka dała mu moc przemienienia ich z powrotem w ludzi, pod warunkiem że sami będą tego chcieli. Odyseusz rozmawia z dziesięcioma różnymi zwierzętami, żadne z nich nie chce stać się człowiekiem, życie człowieka było karą, a życie zwierzęcia jest wolnością. Tak samo ma się rzecz z muszką owocówką. Nawet gdyby była w stanie, nie poskarżyłaby się na swój los, ponieważ ma wszystko i nie rozmyśla ani nad sensem tego, co robi, ani nad śmiercią, która ją czeka, po prostu siedzi na przejrzałym, ciepłym od słońca pomidorze i zajada się nim. Nieco dalej, na piecyku na drewno, stoi nietknięta od trzech dni kocia karma, w letnim upale znalazła do niej drogę okazała zgraja białych robaków, wiją się w brunatnym sosie mięsny, przypominają małe żywe cygara, im również, zdaje się, niczego nie brakuje do szczęścia. Na wszystkich ścianach i szybach siedzą muchy domowe, we wszystkich zakamarkach skradają się pająki i kosarze, w regularnych odstępach czasu przez jedno z otwartych okien wpada zabłąkana osa lub trzmiel, a próg domu przekraczają przypadkiem jakieś mrówki lub małe żuki. Latem dom jest nie tylko miejscem, gdzie wszystkie te żywe istoty przebywają, lecz także gdzie – w pewnych wypadkach – to życie powstaje i wylęga się, niejako w konsekwencji naszego życia, w tym, o co nie dbamy lub czego nie potrzebujemy, na przykład w koszach na śmieci, ciepłych od resztek jedzenia, w zakurzonych i chłodnych piwnicach lub w ciepłe między wilgotnymi ubraniami w koszach na brudną bieliznę. I niczego nie zmieni fakt, że właśnie napełniłem talerz octem, do którego zlecą się muszki owocówki i w którym utoną, wyrzuciłem kocią karmę do kosza, wyczyściłem miskę i wstawiłem ją do zmywarki, związałem worek ze śmieciami i wyniosłem go do kontenera stojącego przy drodze, zapełniłem pralkę ubraniami i nastawiłem ją, i na dodatek wyrzuciłem wszystkie miękkie owoce. Dla muszki owocówki życie jest jak wachta. Kiedy jej dyżur się kończy, przejmuje go ktoś inny. Muszki owocówki strzegą tego, co dawno temu przeniosło je na drugi brzeg, tego cienia życia, który posiadają, a który żyje dalej w innych, kiedy one same utoną w occie i znowu zamienią się w małe pyłki kurzu.

## Wiśnia

Wiśnia ma stosunkowo niewielkie rozmiary i mało spektakularną formę, w zasadzie nie przykuwa wzroku, i dla mnie, który nie potrafię rozpoznać ani nazwać innych drzew poza sosną, świerkiem, brzozą, dębem, jarzębiną i osiką, wiśnie rosnące w lesie są niemal całkowicie anonimowe, to po prostu drzewa, jakich wiele mijam po drodze, nie zwracając na nie uwagi, trochę jak cisi uczniowie w klasie, ani bardzo bystrzy, ani bardzo głupi, ani bardzo ładni, ani bardzo brzydzy, których imion ani twarzy w późniejszych latach nie pamiętamy, w każdym razie jeśli się przenieśliśmy i więcej ich nie widywaliśmy. Tymczasem z tą milczącą gromadą z czasów dzieciństwa mogło stać się wszystko: nagle widzisz jedną z tych osób w telewizji, wybiła się w jakiejś dziedzinie, została szefową organizacji non profit lub pełni jakąś funkcję w świecie polityki, albo spotykasz ich przez przypadek na ulicy w jednym z dużych miast, i to nie ty ich rozpoznajesz, ponieważ zmienili się nie do poznania, to oni podchodzą do ciebie i witają się, pewni siebie i elegancko ubrani, ludzie, których się zauważa, i jeśli nie od razu ich skojarzysz, co będzie można wyczytać z twojej twarzy, wyjaśnia: pewnie mnie nie pamiętasz, ale chodziliśmy razem do podstawówki: Annlaug, dopowiedzą, albo Helge, albo Frode. Tak samo jest z wiśnią, tylko gwałtowniej, bo kiedy wiśnia kwitnie w lesie, późną wiosną lub wczesnym latem, jest tak wspaniała i strojna, że wszystko inne przy niej blednie i znika. Ale nie ma w tym nic pretensjonalnego, bo kwiaty, białe lub różowe, są tak kruche i delikatne, że poza olśniewającą urodą emanują nieśmiałością, która sprawia, że trudno wiśni nie lubić. Stoi tam, promieniejąc, niespodziewana feeria światła w pospolitej, prymitywnej zieleni. I kiedy już raz się to widziało, kwitnącą wiśnię w lesie, nigdy się nie zapomina, co to za drzewo, kiedy jesienią lub zimą mija się je w jego niepozornej odświeżeniu. Tam, gdzie dorastałem, w lesie rosły dwie wiśnie, obie w pobliżu drogi, i chociaż uważałem, że są piękne, kiedy kwitły, to nie ich kwiaty, lecz owoce sprawiały, że zwracałem na nie uwagę, ponieważ kiedy się pojawiały, w lipcu, potrafiliśmy siedzieć na drzewie godzinami, objadając się wiśniami i rozmawiając. Najczęściej nie byliśmy w stanie poczekać, aż dojrzeją, zrobią się ciemnoczerwone i miękkie, tylko zaczynaliśmy je jeść, gdy były jeszcze twarde i kwaśne i miały w sobie zaledwie odrobinę słodkości. O tym, że wiśnia prawdopodobnie pochodzi z terenów, na których znajdują się obecnie Iran i Irak, i że stamtąd dotarła do basenu Morza Śródziemnego i była wysoko ceniona zarówno w starożytnej Grecji, jak i Rzymie, a Rzymianie sprowadzili ją do krajów, które podbili, na przykład zabrali ją ze sobą do Wielkiej Brytanii – nie mieliśmy pojęcia, gdy tak siedzieliśmy i pałaszowaliśmy jej owoce na wyspie na południu Norwegii w latach siedemdziesiątych. Właśnie mi się przypomniało, że w naszym ogrodzie również



rosła wiśnia, tuż za oknem mojej sypialni, została zasadzona, kiedy się tam wprowadziliśmy, i kiedy patrzyłem na nią przez okno, czasem uświadamiałem sobie, że ona i ja jesteśmy niemal równolatkami, że byłaby o jedną klasę niżej, gdyby drzewa chodziły do szkoły. Ostatni raz, gdy ją widziałem, miałem dwanaście lat, a ona jedenaście. To znaczy, że teraz ma czterdzieści sześć lat, jeśli wciąż żyje, i jest prawdopodobnie wyższa od domu, natomiast ja – w stosunku do drzewa – prawie wcale nie urosłem.

## Makrela

Makrela jest silną, szybką rybą o cylindrycznym kształcie, pozbawioną pęcherza pławnego, która musi być w ciągłym ruchu, by zapewnić sobie wystarczającą ilość tlenu. Jest stosunkowo mała, osiąga do czterdziestu centymetrów długości, i pływa w ławicach składających się z wielu tysięcy osobników. Istnieją dwa niezależne od siebie gatunki makreli, jeden występuje na zachodnich obrzeżach Oceanu Atlantyckiego, drugi na wschodnich. Gatunek wschodni wędruje daleko na południe, aż do Morza Śródziemnego, i daleko na północ – aż do Islandii. Makrela preferuje wody o temperaturze przekraczającej sześć stopni i latem przy pływa do wybrzeży Norwegii. Pojawienie się tam makreli jest prawdziwym wydarzeniem, ponieważ stanowi nieomylny znak, że nadchodzi lato, tak jak przylot ptaków po zimie to nieomylny znak wiosny. Ale także dlatego że połów makreli różni się bardzo od połowu innych gatunków ryb. Większość ryb pływających wzdłuż norweskiej linii brzegowej to samotnicy, w pojedynkę trzymają się dna w pobliżu lądu lub pływają w głębinie i nawet na obszarach bogatych w ryby może upłynąć sporo czasu między jednym a drugim braniem. Haczyk wisi głęboko w wodzie, prawie tak jak żebrak stoi na mało uczęszczanej ulicy, a nieliczne ryby, które przepływają obok, ignorują go, tak jak ludzie ignorują żebraka. Od czasu do czasu jakaś ryba chwyci – jak człowiek, który zatrzyma się i wrzuci dychę do kubka. Z makrelą jest inaczej. Makrela nadciąga z całą ławicą, woda kipi wokół ryb, a one biorą co popadnie, prawie tak, jakby w pobliżu żebraka otworzyły się drzwi hali sportowej i tysiące ludzi nagle wyległy na ulicę. Chociaż proporcjonalnie osób wrzucających pieniądze jest tyle samo, a może nawet mniej, ich liczba jest tak duża, że pieniądze i tak napływają szerokim strumieniem. A w wypadku makreli wszystko rozbija się o ilość. Co roku na świecie odławia się niemal miliard ton makreli, a mimo to makrela nie jest zagrożonym gatunkiem, wręcz przeciwnie: jej populacja stale rośnie, głównie dlatego że naturalnych wrogów tej ryby, na przykład rekinów i wielorybów, jest coraz mniej, a poza tym zmiany klimatyczne faworyzują makrelę. Samica może złożyć blisko pół miliona jaj rocznie, długość życia makreli wynosi około dwudziestu lat i ryba może przemieszczać się w ławicach osiagających dziewięć kilometrów długości. Połów makreli jest zatem świętem, biesiadą, gorączką. Siedząc w łodzi i trollingując<sup>[13]</sup> w słoneczne letnie popołudnie lub stojąc z wędką na brzegu, można czasem zobaczyć, jak nadpływa ławica makreli: woda zaczyna bulgotać, jakby znajdowała się pod nią grupa nurków. I ryby natychmiast zaczynają brać. Wystarczy wyciągnąć szamoczące się sztuki, zdjęć je z haczyków, wrzucić do wiadra i znowu zarzucić haczyki. Innym razem makrela zjawia się bez uprzedzenia, po prostu nagle zaczyna skubać przynętę. Ale podniecenie jest identyczne i nie sposób nie ulec

emocjom. Kiedy człowiek łowił godzinami i złapał tylko kilka ryb, a może żadnej, kiedy połów składał się głównie z czekania i nadziei, które rzadko się spełniały, kiedy człowiek przywykł do czekania na nic, wyciąganie ryby za rybą jest czymś niemal nierzeczywistym, jak zawsze, kiedy spełniają się nasze marzenia. To, co bezgraniczne, jest szczęściem, a to, co niewyczerpane, jest cudem. Ale także przekleństwem, w każdym razie to właśnie myślałem, a może raczej wyczuwałem w owe dni w czasie dorastania, gdy siedzieliśmy w łodzi, łowiliśmy ryby i niespodziewanie trafialiśmy na ławicę makreli. Najpierw pojawiała się ekscytacja, ponieważ ryba dawno już nie brała, a makrela jest silna i zwinna, więc ciągnęła i szarpała wędziskiem. Makrela ma zielonkawy lub niebieskawy grzbiet z ciemnymi poprzecznymi prążkami, brzuch zaś całkiem biały, więc kiedy się ją wyciąga, widać nagle, jak bieli się w głębinie lub błyszczy zielonkawo, i to jest niezwykle piękne, ponieważ morze pozostaje nieprzeniknione i pełne tajemnic, niebo błękitne i głębokie, bryza rozrywa taflę, tworząc gwałtowne fale, a w głębi ładu drzewa kołyszą się tam i z powrotem, połyskując w świetle słońca, które wisi wysoko nad nami. Wargi są słone od wody morskiej, a ryby błyszcżą i migoczą, coraz większe, im bardziej zbliżają się do powierzchni, już nie przypominają małych ozdobnych kamieni, lecz żywe istoty o dużych, pustych oczach. Kiedy zostają wciągnięte przez burtę, jest ich pięć, wyrywam im haczyki, szybko i niedbale, nie ma czasu na umizgi, myślę sobie, bo znowu trzeba zarzucić przynętę. Ale potem nastawienie zmienia się, ekscytacja przechodzi w mdłości, ponieważ w łodzi jest teraz mnóstwo ryb, o wiele więcej, niż potrzebujemy, ale nie kończymy połowu, łowimy i łowimy, wciągamy na pokład rybę za rybą, nie myślimy już o pożytku, straciliśmy zdrowy rozsądek, opanowała nas gorączka tego, co niewyczerpane, jesteśmy oszołomieni obfitością. Prawdopodobnie odczuwałem to w ten sposób, ponieważ byłem mały, miałem zaledwie dwanaście lat i nie radziłem sobie zbyt dobrze z tym, co przytłacza i zalewa. Za to w tacie nie dostrzegałem nawet cienia niepokoju, był szczęśliwy, i teraz tak sobie myślę, że to, co bezgraniczne, korespondowało z czymś w jego wnętrzu, i że w tym rozgorączkowaniu na morzu czuł się wolny.

## Osy

Osy wiodą krótkie i intensywne życie w społeczności o skomplikowanej strukturze, w której wszystkie jednostki mają ściśle określoną rolę i obowiązki. Wśród os nie ma miejsca na wątpliwości ani wahanie, na improwizację ani indywidualną ocenę sytuacji i prawdopodobnie dlatego osy i osie społeczeństwo w opinii ludzi działają jak roboty, wszystko w gnieździe zachodzi z automatyczną precyzją, co przywodzi na myśl trybiki w maszynie lub zegarku. I prawdopodobnie również dlatego mamy tak ogólny obraz os; osa, która siada na krawędzi szklanki z sokiem, jest przedstawicielką całego gatunku i dla nas w zasadzie zawsze stanowi to samo, bez względu na to, czy szklanka z sokiem stoi w ogrodzie w Stavern, czy na Fyn, w Löderup czy na Karmøy. Oczywiście osie nie jest wszystko jedno. Ona zna tylko swoje społeczeństwo, własny lud zlokalizowany w określonym miejscu gdzieś w pobliżu, pod kalenicą, w garażu, pod wykrotem, w drzewie lub w małej jamie w ziemi. W takim gnieździe może równie dobrze przebywać zaledwie dziesięć os, jak i pięć tysięcy. Razem dorastały i razem wiodą swoje krótkie życie, blisko siebie, a mimo to klarownie i bezkonfliktowo, w systemie, który od zawsze chroni to, co najlepsze dla wszystkich. Jeśli zechcemy porównać gniazda os do jakichś elementów ludzkiego społeczeństwa, być może greckie miasta-państwa są im najbliższe: każde miasto zachowuje autonomię i ma pewne charakterystyczne cechy, a jednocześnie we wszystkich mówi się tym samym językiem i kultywuje w dużej mierze tę samą kulturę. I dlatego gdyby osa ze szklanki soku z jakiegoś powodu pofrunęła do innego gniazda, odnalazłaby się w nim, ale czułaby się obco, prawie jak Ateńczyk w Sparcie. Oczywiście nie czyni to z os ani demokratów, ani filozofów, nie powinniśmy się spodziewać żadnego osiego Heraklita ani Sofoklesa, i to jest właśnie owa różnica między wyrafinowaną maszyną społeczną os a ich ogromnymi ograniczeniami intelektualnymi, która czyni je tak interesującymi, bo jak mogą zbudować coś takiego, czego same najwyraźniej ani nie ogarniają, ani nie rozumieją? Za co żadna z nich nie brała nigdy odpowiedzialności, a jednak to coś powstaje każdej wiosny, wszędzie na świecie, i to od milionów lat? Osy kierują się instynktem, to prawda, ale kto zestawił poszczególne instynkty tak, aby mogła powstać ta wspaniała, nieomal inżyniersko-artystyczna całość? Czy chodziło o łut szczęścia? O metodę prób i błędów? A może osy realizują boski plan? Jesienią, kiedy wszystkie osy umierają, ich królowa zapada w letarg, jak jedyny rozbitek ocalały z katastrofy. Wiosną budzi się i zaczyna budować gniazdo, składa jaja, gromadzi pokarm dla larw, broni gniazda przed intruzami aż do czasu, gdy larwy stają się dorosłe i przejmują jej obowiązki, a ona może skupić się na rozmnażaniu. Pierwsze pokolenie os w gnieździe nigdy nie składa się z wielu osobników, ponieważ wydolność królowej jest ograniczona, dopiero druga generacja jest

znacznie liczniejsza i większa, dzięki temu, że otrzymuje więcej pokarmu. Pierwsze pokolenie umiera, drugie powołuje do życia trzecie. Robotnica w osim społeczeństwie żyje przeciętnie około sześciu tygodni. W tym czasie buduje komórki, wylatuje i zbiera pożywienie dla królowej i larw, karmi je, sprząta i strzeże gniazda, czasem stoi na posterunku niczym żołnierz lub wartownik. Z powodu tych wszystkich aktywności, które tak bardzo przypominają nasze i które określamy tymi samymi słowami, prawie każdy opis sekretnego życia gniazda os będzie zawierał pewnego rodzaju spoufalenie, jakby osa nie była w swej istocie różna od nas, choć w rzeczywistości jest nam prawdopodobnie nieskończenie obca i znajduje się nieskończenie daleko od tego, co ludzkie. Ale czy naprawdę osy są jak automaty, jak małe maszyny pozbawione duszy? Kiedy osa wyczołguje się z gniazda we wczesny letni poranek i leci przez las, gdzie promienie słońca padają szerokimi wiązkami światła, między cienistymi niszami, zielonego, łagodnego i ciepłego, w drodze na zachód, do znajomego ogrodu, czy jest wtedy całkowicie obojętna na świat, czy jest jak wskazówka zegara, która porusza się po tarczy? Oto i ogród, ze wszystkimi pomarańczowymi makami, z kwiatami wielkimi jak puchary. Łąduje na brzegu jednego z nich, gramoli się po miękkiej ścianie i wysysa nektar długą ssawką, wkrótce pokrytą niemal całkowicie pyłkiem kwiatowym. Kiedy ma dość, a zawsze wie, kiedy ma dość i musi wrócić do domu, podrywa się i leci z powrotem, nisko nad polem, nad łąką, tuż nad wysokimi, suchymi źdźbłami trawy, między pniami drzew, gdzie nie docierają promienie słońca i gdzie jest cicho i mrocznie, aż w końcu pokonuje wyschnięte trzęsawisko – ostatni otwarty odcinek dzielący ją od domu, mija osy stojące na warcie i wlatuje do ciepłego, wilgotnego gniazda, gdzie jest tłoczno i rojno, wszystko jest znajome i nic nie jest obce. Osa widzi to wszystko, ale prawdopodobnie nie doświadcza niczego, świat jest o wiele bliższy i intensywniejszy, nie do odróżnienia od niej samej, ponieważ osa nie ma tej przestrzeni do refleksji, która zawsze leży między światem a nami. I dlatego jeśli mielibyśmy porównać osę do czegoś w człowieku, to nie do całego człowieka, lecz do jego części. Serce wie równie niewiele na temat tego, dlaczego bije, co królowa os na temat tego, dlaczego zaczyna budować gniazdo. Sygnały biegnące między komórkami mózgu wiedzą równie mało o myślach, które przewodzą, co osa na temat nektaru, który przenosi. Ciało człowieka jest także społeczeństwem, w którym wszystkie części wykonują określone zadania i odgrywają określone role – bezustannie i bez świadomości samych siebie. I skoro świadomość może wyłonić się w tym społeczeństwie, z tych różnych części, i niejako zjednoczyć je pod jedną myślą – oto ja – nietrudno wyobrazić sobie, że mogłaby wyrosnąć także ze społeczeństwa os. I może już to robi. Ale jest tak obca naszej, że nie mamy możliwości jej rozpoznać.

## **Pokaz kaskaderski**

Kaskaderzy mieli kaski z przyłbicą, które sprawiały, że ich głowy stawały się nieproporcjonalnie duże w stosunku do reszty ciała, i przez to w paradoksalny sposób wydawali się bardziej bezbronni; ich głowy wyglądały jak jajka. Poza tym chodzili ubrani w skórzane kombinezony, jak kierowcy rajdowi lub motocykliści. Nie czarne, lecz czerwone lub niebieskie, z białymi polami. Chociaż ich nazwiska prawdopodobnie podawano przez głośniki za każdym razem, gdy mieli wykonać numer kaskaderski, pozostawali anonimowi, w podobny sposób jak artyści cyrkowi; wszystkie karkołomne ewolucje należały do pokazu, nie do nich. Skąd pochodzili i dokąd zmierzali, nie wiem; wiem tylko, że któregoś lata w latach siedemdziesiątych pojawili się w Bjønnes w Arendal, a ja znalazłem się wśród publiczności. Z kim tam byłem, nie mam pojęcia, tak jak nie jestem pewny, co naprawdę widziałem, a co później dodałem od siebie. Pokaz kaskaderski należy do kręgu moich najwcześniejszych wspomnień i właściwie składa się jedynie z kilku niewyraźnych obrazów. Motocykl jadący po żwirze, by nabrać prędkości, trzeszczący warkot silnika, który przechodzi w pisk, wzbijający się kurz, a potem motocykl wjeżdża na rampę, leci w powietrzu nad rzędem zaparkowanych samochodów i ląduje po drugiej stronie. Pamiętam, że liczba aut stopniowo rosła. Właśnie to stwarzało napięcie: czy tym razem też mu się uda? A może wyląduje na samochodzie? Co się wtedy stanie? Pamiętam również ogień, choć nie bardzo rozumiem, w jaki sposób wykorzystywali płomienie podczas pokazu, przeskakiwali przez coś, co płonęło? A może to oni sami się palili? W takich kostiumach, jakich używają w filmach? Ostatni obraz w mojej pamięci z całą pewnością jest nierealny, bo dotyczy człowieka, który skakał na główkę z wieży do zbiornika z wodą. A może rzeczywiście tak było?

Duży otwarty tor kawałek od centrum miasta, wśród drewnianych domów, między którymi latem rosło mnóstwo roślin i drzew, wczesny wieczór, słońce nadal stało wysoko na niebie, choć miasto powoli udawało się na spoczynek; tych kilka głównych ulic było prawie opustoszałych, od czasu do czasu przechodzili nimi pojedynczy turyści, mijając zamknięte sklepy i rzucając długie cienie.

Na trybunach musiało być kilkuset widzów, może więcej. Podniosły, pełen napięcia nastrój przed pokazem, który mijał, gdy było już po wszystkim, i ludzie zaczęli się rozchodzić.

Na czym polegała ta siła przyciągania? Dlaczego tamte obrazy zapadły mi w pamięć, a prawie wszystkie inne pochodzące z tego okresu zapomniałem?

Tak wiele z lat siedemdziesiątych zebrało się w pokazie kaskaderskim. Zwłaszcza estetyka związana z Formułą 1 i samochodami wyścigowymi, skórzane kombinezony, kaski, nonszalancja, kierowcy przypominający gwiazdy rocka,

którzy czasem ginęli w płonących wrakach aut, a ich styl można było odnaleźć u motocyklistów zatrzymujących się latem na stacji benzynowej Fina i u najtwardszych chłopaków, których motorowery być może przypominały zwyczajne rowery, ale za to kaski wyglądały równie przerażająco jak kask Nikiego Laudy czy Ronniego Petersona.

Najważniejszym powodem była jednak obecność śmierci. Podczas gdy linoskoczkowie i akrobaci cyrkowi tylko z nią igrali i przez cały czas znajdowali się po bezpiecznej stronie, co intuicyjnie wyczuwałem, pokaz kaskaderski niósł ze sobą coś innego i groźniejszego, ponieważ tam śmierć była zmotoryzowana. A to z kolei przybliżało ją do nas, otoczonych ze wszystkich stron silnikami samochodów, motocykli, spycharek i ciężarówek. Śmierć w cyrku była kontrolowaną pantomimą, pokaz kaskaderski również był pantomimą, lecz nie do końca podlegającą kontroli; po uruchomieniu silnika wszystko mogło się wydarzyć. Śmierć czyhała w prędkości i benzynie, która w chwili wypadku mogła zapalić się i wybuchnąć.

Chociaż tego nie pamiętam, ja także musiałem udać się tego wieczoru na spoczynek, położyć się do łóżka w ciepłym pokoju, do którego przez całe popołudnie i wieczór wpadały promienie słońca, zamknąć oczy w półmroku, czuć swoje chude ciało pod kołdrą, a jednocześnie przez moją świadomość musiały przepływać wciąż nowe obrazy motocykli, samochodów i gwałtownych płomieni, łącząc mnie bezpośrednio z odległą, lecz ogromną i fantastyczną rzeczywistością.

## Place zabaw

Plac zabaw to odgradzony teren z urządzeniami przeznaczonymi specjalnie dla dzieci i mającymi służyć zabawie, takimi jak huśtawki – lub bujawki, jak się u nas mówiło – zjeżdżalnie, drabinki i piaskownice. Nie znam historii placów zabaw, ale przypuszczam, że powstały w miastach mniej więcej wtedy, gdy dzieciństwo zostało wyodrębnione z biegu życia, a państwo zaczęło brać odpowiedzialność za wszystkie jego etapy, to znaczy w pierwszych latach powojennych. Place zabaw nie mają bowiem w sobie nic spontanicznego, nie sprawiają wrażenia, jakby wyrastały naturalnie, przeciwnie, wyglądają, jakby zostały zaplanowane odgórnie i narzucone społeczeństwu na podstawie dominujących wyobrażeń na temat witalności, zdrowia publicznego i dobrego samopoczucia. W miastach, z ich ulicami, samochodami i domami, takie małe przestrzenie, gdzie dzieci mogły bawić się bezpiecznie, były czymś racjonalnym i odpowiednim, ale pomysł został przeflancowany również do małych miasteczek i wsi, gdzie już wcześniej istniały przecież duże powierzchnie i mnóstwo miejsca do zabawy, i tam place zabaw kojarzyły się z pewnym przymusem i konformizmem, zabawy dzieci zostały wtłoczone w formę, która od zawsze istniała. Również tam, gdzie dorastałem, na osiedlu, w latach siedemdziesiątych założono plac zabaw. Składał się z wysokiego statywu zmontowanego z metalowych rur (z poprzecznego pręta zwisały cztery łańcuchy, po dwa z każdej strony, do nich była przymocowana deska), ze skrzyni z piaskiem, z przypominającej łódkę konstrukcji (również metalowej, z dwoma siedzeniami naprzeciwko siebie, na których można było się huścić, ponieważ były połączone dwiema zaokrąglonymi płozami lub obręczami) i w końcu z huśtawki równoważnej, czyli podłużnej drewnianej belki zamontowanej na małym cementowym bloku, na której można było usiąść po obu stronach i huścić się w górę i w dół. Plac ten usytuowany był na dnie urwiska, w dole drogi, przy supermarkecie, jeśli dobrze pamiętam, powstał tam, zanim jeszcze otwarto supermarket, obok zagajnika po jednej stronie i podmokłego terenu przypominającego torfowisko po drugiej. Nigdy go nie remontowano, gmina, która podjęła decyzję, by go zbudować, najwyraźniej zapomniała o jego istnieniu, a pozostawiony sam sobie zaczął powoli popadać w ruinę. Łańcuchy zardzewiały, drewniane deski spłowiwały na słońcu i wypaczyły się od deszczu, trawa rosnąca bujnie wokół piaskownicy sprawiła, że stopniowo zatarła się granica między piaskownicą a otaczającą ją naturą, z łódkopodobnej huśtawki łuszczyła się farba; już po kilku latach plac zabaw przestał być jasno zdefiniowanym miejscem, a stał się zbieraniną zardzewiałych, wykrzywionych sprzętów o lekko postapokaliptycznym wyglądzie, służących do zabawy na leśnej polanie. Załedwie



trzydzieści metrów dalej stał wrak auta z wybitymi szybami, wśród młodych, smukłych wierzb i małych brzoź, a inny wrak spoczywał w zagajniku po drugiej stronie, powyżej placu zabaw, jakieś sto metrów dalej, i w pewnym sensie to wszystko razem tworzyło całość, równie chętnie wsiadaliśmy do samochodów, co na bujawki, bo dzieci nie przejmują się tym, czy coś jest ładne, czy nie, liczy się tylko to, co można z daną rzeczą zrobić, i to, że pobudza wyobraźnię. Nie tak dawno rozmawiałem ze znajomym, który opowiedział mi o tym, jak jego ojciec dorastał po wojnie w niemieckim mieście, o tym, że dzieci bawiły się w ruinach, gdzie odnajdywały broń, a czasem również ludzkie zwłoki, jeszcze nieusunięte. Wtedy przypomniały mi się bunkry, w których myśmy się bawili, one też pochodziły z czasów wojny i były najbardziej ekscytującym placem zabaw ze wszystkich. My również żywiliśmy nadzieję, że znajdziemy broń lub martwych żołnierzy, chociaż od zakończenia wojny minęło ponad trzydzieści lat. Bawiliśmy się też na placach budów, z dużymi, dopiero co powstałymi rumowiskami, gdzie zbieraliśmy drut strzelniczy, i buldożerami, na które się wdrapywaliśmy, stosami betonowych rur, po których balansowaliśmy lub wewnątrz których się czołgaliśmy, i z urządzeniami wysokości dorosłego człowieka, podobnymi do szpulek na nici, wokół których były zawinięte przewody. Te miejsca stanowiły dokładne przeciwieństwo placów zabaw, będących – ze swoim porządkiem, metodycznością i rozważą – pewnego rodzaju biurokratyczną utopią, czymś zupełnie obcym dziecięcej fantazji, która przede wszystkim czuje się jak w domu w tym, co rozpadło się na kawałki lub co jeszcze nie powstało.

## Nietoperz

Tylko raz widziałem nietoperza z bliska. Z daleka – wiele razy; prawie wszędzie, gdzie do tej pory mieszkałem, były nietoperze. Ale są tak szybkie, a tory ich lotów tak nieprzewidywalne, że miałem szansę dostrzec je zaledwie przez krótką chwilę. Odkąd miałem trzynaście lat, aż do czasu, gdy skończyłem osiemnaście, mieszkaliśmy w starym domu na zboczu wzgórza, nad rzeką, tuż obok lasu. Kiedy w letnie wieczory stałem w oknie swojego pokoju, często je widywałem, ukazywały się niespodziewanie na tle jasnego nieba i równie nagle znikwały w ciemności drzew. W tym czasie moi rodzice się rozwodzili i gdy skończyłem osiemnaście lat i miałem wyjechać z domu, moja matka wyprowadziła się do Vestlandet. Któregoś lipcowego dnia żwirową drogą podjechała pod nasz dom ogromna ciężarówka i zabrała wszystko, co się w nim znajdowało. Wspominam ten okres swojego życia jako chaotyczny; jednocześnie u mojej matki wykryto w brzuchu guz, więc gdy kilka dni później ciężarówka zjawiała się przed nowym domem, który matka wynajęła, także położonym nad rzeką, w dolinie między Jølster i Førde, tylko ja byłem na miejscu, ponieważ matka leżała w szpitalu i czekała na operację. Po kilku godzinach cały parter był zavalony meblami i pudłami. Przywykłem do samotności, ale to jednak zupełnie co innego być samemu w obcym domu, wśród stosów kartonów przeprowadzkowych, które raczej nie stwarzały miłej domowej atmosfery. Odszukałem ekspres do kawy i wypakowałem go z pudła, znalazłem też parę garnków i talerzy, sztućce, szklanki i filiżanki, powkładałem je do szafek kuchennych, zjadłem kilka kanapek, wypłem kawę i zapaliłem papierosa, patrząc na deszcz, który lał za oknem, na błyszczącą zieleń krajobrazu. Panował chaos, a ja byłem niespokojny, ale jednocześnie przepełniało mnie silne poczucie wolności: wszystko, co do tej pory posiadałem, wszystko, co do tej pory było moim życiem, miałem zostawić za sobą. Zacząłem roznosić pudła do poszczególnych pokoi; najpierw ustawiłem je pod ścianami, żeby mieć więcej miejsca, a potem rozstawiłem prowizorycznie meble. Pod oknem stało kilka zdjęć i obrazów, opartych jedne o drugie. Wziąłem do ręki ten, który stał najbliżej – reprodukcję *Nocy z jaskrami* Astrupa, która odkąd pamiętam, wisiała u nas na ścianie – żeby zanieść go na piętro. Z tyłu obrazu wisiał nietoperz. Gdy go zobaczyłem, przeraziłem się i postawiłem obraz na podłodze, nietoperzem do ściany. Nie wiem, dlaczego aż tak się przestraszyłem, śpiący nietoperz przypominał mały czarny worek, nie było w nim nic przerażającego. A jednak spanikowałem, serce biło mi jak oszałałe. Włożyłem kurtkę przeciwdeszczową i wyszedłem z domu, udałem się nad rzekę, płynęła, zielona i nabrzmiąta, tu i ówdzie spieniona, mijając wąskie i połyskujące w wieczornym świetle brzozy, które rosły gęsto wzdłuż brzegu. Usiadłem na kamieniu. Odgłosy przejeżdżających obok

samochodów zlewały się z szumem rzeki. Musiałem pozbyć się nietoperza z domu. To nie było trudne, wystarczyło wynieść obraz na zewnątrz i być może szturchnąć zwierzę parę razy kijem od szczotki lub czymś podobnym, a na pewno by odleciało. Ale za każdym razem, kiedy o nim myślałem, moje ciało reagowało tak, jakbym stał nad przepaścią, żołądek podchodził mi do gardła i czułem mrowienie w palcach rąk i nóg. Śmieszne, to przecież tylko mała mysz ze skrzydłami, pomyślałem i wróciłem do domu, żeby się jej pozbyć. Obraz stał tak, jak go zostawiłem. Podniosłem go ostrożnie. Rozległ się chroboczący dźwięk. W pierwszej chwili chciałem rzucić obraz na ziemię, ale zamiast tego pobiegłem z nim truchtem do drzwi wyjściowych. Chwilę później nietoperz przeleciał przede mną i zaczął krążyć po pokoju. O kurwa. Podbiegłem do drzwi, zamknąłem je za sobą, przeszedłem przez drogę i usiadłem na tym samym kamieniu co przedtem. Rzęsisty deszcz, szare niebo, połyskujące bielą pnie brzoź, ciemnozielony mech, rzeka płynąca obok wartkim nurtem. Kto by się bał małego nietoperza? Kto by mu pozwolił wypędzić się z domu? Gdy tak siedziałem, pod gołym niebem, wszystko nabrało znowu odpowiednich proporcji i powiedziałem sobie, że muszę pamiętać o tym, kiedy wrócę do domu, jak mały, niepozorny i niegroźny był w rzeczywistości nietoperz, że dominował wyłącznie w moim wnętrzu. Musiałem się go pozbyć, nie mogłem pójść spać z nietoperzem w domu. Po chwili wróciłem. Nietoperz wisiał nieruchomo na ścianie w salonie. W jednym z kartonów odnalazłem czerwone plastikowe wiadro, którego jedna strona kiedyś się stopiła i od tamtej pory przypominała ludzką twarz, i zakradłem się do salonu. Zrobiłem krok, zamarłem w bezruchu, znowu zrobiłem krok. Gdy znalazłem się tuż przed intruzem, podniosłem ostrożnie wiadro do góry i gwałtownym, zdecydowanym ruchem przycisnąłem je do ściany. Nietoperz objął się i uderzał skrzydłami o plastikowe ścianki. Dociskając wiadro, przesunąłem je powoli w dół. Gdy dotarłem do listwy przypodłogowej, zczekałem, aż nabrałem pewności, że zwierzę jest w górnej części wiadra, i nagłym ruchem postawiłem kubek na ziemi. Nietoperz szamotał się i uderzał o jego gładkie plastikowe ściany. Wyszedłem z pokoju, zamknąłem za sobą drzwi, poszedłem na górę do sypialni i zamknąłem się od środka. Chociaż byłem odgradzony od nietoperza trojgiem drzwi, których nigdy w życiu nie byłby w stanie sforsować, miałem problemy z zaśnięciem, długo nie mogłem się pozbyć tego okropnego dźwięku trzepotania skrzydłami, ale w końcu zapadłem w sen. Następnego ranka omijałem salon szerokim łukiem, zjadłem w kuchni śniadanie i pojechałem autobusem do Førde, żeby odwiedzić matkę w szpitalu. Powiedziała, że guz był wielki jak piłka i że długo nie chciała dopuścić do siebie, że go ma, i że nie wie, co z nią będzie. Gdy po południu wróciłem do domu, znalazłem w szopie na narzędzia porzucony klucz nastawny, wszedłem do salonu i uniosłem ostrożnie wiadro. Nietoperz leżał nieruchomo na podłodze. Zamknąłem oczy i uderzyłem go z całej siły kluczem, potem dla pewności

przykryłem go kubłem, poszedłem do łazienki po ręcznik, podniosłem wiadro i spojrzałem przelotnie na zwierzę, znowu zamknąłem oczy i nakryłem nietoperza dużym ręcznikiem, otworzyłem oczy, zwinąłem ręcznik tak, żeby zwierzę znalazło się w środku, wyniosłem je na dwór, wytrzepałem ręcznik i zobaczyłem, jak małe czarne zwierzątko spada na trawę. Włożyłem ręcznik do pralki i znowu wyszedłem z domu, przeciąłem drogę i usiadłem na tym samym kamieniu obok rzeki, starając się odzyskać to silne poczucie wolności, które towarzyszyło mi w ciągu ostatnich dni, to, że mam przed sobą całe życie i że mogę robić, co chcę. Ale nie udało mi się, poczucie winy było za silne, wszystko we mnie krążyło wokół niego. I było tak za każdym razem, kiedy w moim życiu otwierały się drzwi do wolności, nigdy nie czułem się wystarczająco niewinny, by przez nie przejść. Nigdy nie miałem w sobie dość siły, żeby zabić poczucie winy, a bez tego nie ma mowy o byciu wolnym.

## Grill

Idąc przez osiedle leżące poza centrum dowolnego skandynawskiego miasta w letnie słoneczne popołudnie lub wieczór, od początku czerwca do końca sierpnia, zawsze czuje się zapach grillowanego jedzenia dolatujący z jednego lub wielu miejsc. Ten zapach i wszystkie dźwięki, które mu towarzyszą, brzęk sztućców, krzyki i rozmowy, często wywoływały we mnie myśl, że każda rodzina stanowi odrębną jednostkę, ponieważ mieszka w swoim domu, z własnym ogrodem otoczonym własnym żywopłotem, na podjeździe lub w garażu stoi jej własny samochód, a w regularnych odstępach czasu, w cieplejszej połowie roku, kiedy pogoda na to pozwala, każda rodzina zbiera się wokół własnego grilla. Grillowanie jest pewnego rodzaju szczytową aktywnością rodzinną, najdoskonalszą formą wspólnego spędzania czasu, nie tylko dlatego, że wymaga koordynacji działań i współpracy, ale również dlatego, że odbywa się w tej rodzinnej strefie, która jest najbliższa innym rodzinom i w związku z tym najbardziej widoczna. Spada się z coraz większej wysokości: nastoletni syn krzyczy na rodziców, matka się upija, zachowanie dzieci wymyka się spod kontroli, lub odwrotnie: rodzina grilluje w milczeniu i konsumuje bez słowa – to wszystko może zostać zauważone przez kogoś spoza rodziny, przez sąsiadów, cudze dziecko, które przyszło się pobawić z jednym z ich dzieci, przez przypadkowego przechodnia. To spojrzenie z zewnątrz, którego unikamy, przebywając w czterech ścianach, jest oczywiście samo w sobie niegroźne, nieważne, co myślą inni, lecz może wgrzyźć się w jednego lub we wszystkich członków rodziny i sprawić, że to, co w rodzinie nie funkcjonuje, co być może usiłowali wyprzeć ze świadomości lub przed sobą usprawiedliwić, nagle staje się widoczne również dla nich. Na początku lata wszystkie rodziny wyciągają grill z garażu lub piwnicy, ale to nie oznacza wcale, że wszystkie są szczęśliwymi i dobrze funkcjonującymi jednostkami, lecz że symboliczny efekt grillowania jest ogromny i że przygotowywanie jedzenia na dworze, nad żarzącym się węglem, daje coś więcej niż tylko dymny smak mięsa lub ryby. Kuchenka stanowi integralną część domu, niepozorną część codziennego życia, ma w sobie również coś z maszyny i to, w połączeniu ze sposobem, w jaki surowe produkty są pakowane w supermarketach, sprawia, że pochodzenie i powiązanie jedzenia ze światem staje się niemal niedostrzegalne. Grill to nie automat, jest bardziej mechaniczny i manualny, mobilny i należący do świata za oknem, kiedy z niego korzystamy, stoi pod gołym niebem. Wykonany z metalu, często ma kształt kuli ziemskiej, gdzie górną półkulę stanowi pokrywa z uchwytem, a dolna funkcjonuje jako misa lub jama, w której leży węgiel. Węgiel to skamieniałe szczątki roślin mające miliony lat, wydobywane z podziemnych kopalni lub powstające sztucznie: drewno pochodzące z drzew liściastych

podgrzewa się w warunkach ubogich w tlen, dzięki czemu znika z niego cała wilgoć, co ma imitować procesy zachodzące w głębi ziemi. Węgielki są lekkie, suche i zupełnie czarne, i absolutnie wyjątkowa przyjemność ogarnia tego, kto wysypuje je do pustego grilla, ponieważ węgielki grzechoczą, uderzając o siebie, i sypią się z lekkością, której przeczą ich rozmiary – powinny spadać ciężko, wydając głuchoe odgłosy – a jednocześnie wzbijają w powietrze lekką chmurę cząstek popiołu, połyskujących w promieniach słonecznych, jeśli akurat świeci słońce. Węgiel, archaiczny i kojarzący się z podziemiem, polewa się podpałką do grilla, która najpierw sprawia, że węgielki stają się błyszczące i mokre, a powietrze nad nimi drży przez kilka sekund, ale potem podpałka wsiąka i węgiel jest gotowy do podpalenia. Węgiel nie płonie jak ognisko, z jakiegoś powodu wygląda to tak, jakby płomienie były z nim związane słabiej niż ze szczapami drewna, zdają się tańczyć nad węglem, wykonują drobne podskoki, pozornie prawie w ogóle nie są z nim połączone. Tak, może się nawet wydawać, że płomienie wiedzą, że nie grają tu głównej roli, że są tu na czymś w rodzaju gościnnych występów, że stanowią rozgrzewkę, ponieważ grillowanie może się zacząć dopiero wtedy, gdy płomienie zrobią swoją robotę i węgiel zacznie się żarzyć. Och, cóż to za transformacja! Węgielki, czarne i podziemne, w ciągu pół godziny stają się czerwone i rozżarzone. Wtedy nad misowatą dolną częścią grillowej kuli, która jest teraz tak gorąca, że nie sposób przesunąć nad nią dłoni, nie czując palącego bólu, umieszcza się ruszt. W czasie gdy węgiel powoli przechodzi w ten intensywny stan, kucharz może przygotować jedzenie, posolić i popieprzyć mięso, nadziać warzywa na rożen, zawinąć rybę w folię aluminiową, zrobić sałatkę i nakryć do stołu. Ta część procesu grillowania jest interesująca, ponieważ wszystkie talerze, szklanki, butelki wina i napojów gazowanych, serwetki i koszyki na chleb są częścią życia klasy średniej, nowoczesnej, beztroskiej egzystencji, nastawionej na konsumpcję, podczas gdy stojący obok grill jest uosobieniem archaicznych elementów: płomieni, węgla, ciepła bijącego z rozpalonych oczu. Zagłębienie do przygotowywania posiłku to prymitywny wynalazek, ruszt nad nim także. Tak, przy eleganckich butelkach oliwy i pięknych kieliszkach do wina grill wygląda jak coś z okresu kredy, trójnoga skamielina z ogniem we wnętrzu. I oczywiście właśnie dlatego grillujemy, zaglądamy przez szczelinę w warunki i głębię egzystencji, która otwiera się w samym środku willowego ogrodu, ale w kontrolowanych okolicznościach. Ja sam uwielbiam grillować, cudownie jest kłaść duże, płaskie kawałki mięsa na ruszcie, patrzeć, jak ich powierzchnia zamyka się i natychmiast skrapla się na niej ciecz, a mięso zaczyna się zwijać na brzegach, jakby wciąż żyło, a kiedy przekłada się je na drugą stronę, widać czarne prążki od rusztu na tle złocistobrazowej, błyszczącej od tłuszczu powierzchni, a jednocześnie wzmaga się mięsny zapach połączony z wonią dymu. Zwykle grillujemy za letnim domkiem, gdzie jest drewniany podest z otwartym zadaszeniem z belek oplecionych

winoroślą, pod którym stoją stół i krzesła; grill umieściłem tuż obok, przy ścianie domu, gdzie właśnie siedzę i piszę. Należymy do rodzin, które nie sprzątaję ogrodu przed zimą, więc po dwóch latach grill jest tak zardzewiały, że kupujemy nowy, z tych najtańszych, ponieważ wiemy, że będzie stał na dworze przez całą zimę. Teraz stoją tam trzy grille. Tego lata nie były używane, podest jest całkiem zarośnięty, niektóre chwasty sięgają mi do pasa i chociaż doprowadzenie tego miejsca do porządku nie zajęłoby mi więcej niż dzień, nic z tym nie robię, bo tego lata nie tęsknię ani za poczuciem bezpieczeństwa średniej klasy, ani za tym, co archaiczne; jakaś część mnie chce, żeby wszystko rosło swobodnie i radziło sobie samo.

## Sting

W schowku w samochodzie mam około siedemdziesięciu płyt CD i zawsze wyciągam jedną na chybił trafił, nie patrząc na okładkę, żeby zdecydował przypadek. Dzisiaj w drodze do Malmö, gdy popołudniowe słońce raziło mnie w oczy, los uznał, że powinienem posłuchać pierwszej solowej płyty Stinga, *The Dream of the Blue Turtles*. Słuchałem jej wystarczająco dawno, by pierwsze dźwięki i chór śpiewający: *free, free, set them free*, przywołały wszystkie nastroje z miesiący, gdy album był nowością, to znaczy z tamtego czerwca, kiedy miałem szesnaście lat i właśnie skończyłem pierwszą klasę liceum. Przez kilka sekund miałem wrażenie, że moja dusza drży. Wypełniły mnie najfantastyczniejsze uczucia. A potem wycofały się jak fala na plaży, jedna z tych, które sięgają wyjątkowo daleko i oblewają zwykle suche kamienie, i wróciłem do codzienności, siedziałem w zdezelowanym volkswagenie multivanie, czterdziestosiedmioletni ojciec czworga dzieci, co być może pojawiłoby się w notatce prasowej, gdybym zginął w wypadku drogowym, nieostrzyżony, ze zmierzwioną brodą, lekko tyjący na brzuchu i z całym długim życiem między mną obecnym a tym, kim byłem trzydzieści lat temu. Jest mi teraz dużo lepiej niż wtedy, wiem, co mogę, a czego nie, a mimo to jadąc samochodem, poczułem ukłucie żalu, bo pełnia życia nigdy nie może konkurować z jego intensywnością; z intensywnością, która nigdy nie była większa niż tamtego lata, gdy słuchałem tego albumu. Mam intensywne wspomnienia związane ze wszystkimi płytami The Police, które w wypadku Stinga powstawały w spójnym okresie, między dwudziestym szóstym a trzydziestym trzecim rokiem jego życia, a w moim wypadku reprezentowały różne stadia, które dzieliła przepaść. *Outlandos d'Amour* – leżę w wannie, z magnetofonem na podłodze, i słucham pierwszego kawałka na stronie drugiej, *Can't Stand Losing You*, z czarną ścianą jesiennej ciemności za oknem i czarnym, mokrym asfaltem błyszczącym w świetle latarni. Słucham tej piosenki za każdym razem, kiedy się kąpię, uwielbiam ją, zamyka mnie w przestrzeni, gdzie nie istnieje nic oprócz niej, energia, która zdaje się pędzić do przodu. Sprawia, że niemal szaleję z radości. *Reggatta de Blanc* – po wakacjach idę do szóstej klasy, jest lato, jestem w Oslo na Norway Cup, i kiedy słyszę, jak dwaj starsi chłopcy z drużyny lepszej od mojej śpiewają na ulicy *Message In A Bottle*, drąc się na całe gardło, rozpiera mnie duma, ponieważ tamci, którzy są tacy fajni, lubią moją muzykę, czuję, że jeszcze chwila i zacznę wydzierać się razem z nimi. *Zenyatta Mondatta* – wiosną słucham *Don't Stand So Close To Me* w salonie w piwnicy Daga Magnego, w drodze do domu widzę, jak sosny kołyszą się na wietrze, idę ścieżką pełną wdeptanych w ziemię igieł i powykręcanych korzeni rosnących na gołej, mokrej skale i śpiewam głośno w myślach: *de do do do de da da da*. Z *Ghost in the Machine* w kółko nucę *Every*



*Little Thing She Does Is Magic*, to jest najlepsza piosenka, jaką kiedykolwiek słyszałem, nie mogę zrozumieć, jak to możliwe, że nie wszyscy dzielą się tym zdaniem. Reszta płyty jest ciemniejsza, hipnotyzująca. *Synchronicity* – pierwszy album The Police, którym nie jestem zachwycony, ale tego lata wszędzie słyszę *Every Breath You Take*, na przykład w radiu przyniesionym przez kogoś na kąpielisko pod wodospadem, gdzie skaczemy na główkę ze skały do głębokiego rozlewiska, w nowym miejscu, do którego się przeprowadziłem. Gdy w 1985 roku wychodzi *The Dream of the Blue Turtles*, chodzę do nowej szkoły, w mieście, wiodę zupełnie inne życie, i ten album też jest zupełnie inny, lżejszy i jaśniejszy, weselszy, z elementami jazzu, muzyki karaibskiej, reggae, i jestem zakochany, niejako zamknięty w zakochaniu i muzyce, dzięki której jaśnieję od wewnątrz. To, co dzieje się w tym czasie, moi rodzice się rozwodzą, ojciec zaczyna pić, dzieje się poza mną. Tamtej jesieni wybieram się do Drammen i po raz pierwszy widzę Stinga na żywo, i robię to sam, sam jadę pociągiem, sam stoję w kolejce, sam staję przed sceną i sam patrzę na Stinga i jego fantastyczny zespół. Gdy dziś po południu słuchałem utworu otwierającego album, *If You Love Somebody Set Them Free*, obok mnie siedziała Linda, a na tylnym siedzeniu nasza najmłodsza córka, jechaliśmy do Malmö po tapety i zastanawiałem się, czym była ta odmiana radości, to zamknięte szczęście, to intensywnie lśniące światło, które na kilka sekund znowu rozbłysło? Najwyraźniej to była moja obrona, coś, co czyniło mnie niewzruszonym. Przez wszystkie lata dzieciństwa i młodości zamykałem się w uczuciach, zamykałem się w świetle, i jeśli muzyka była kluczem, zamykałem nią drzwi, zamiast je otwierać. Tarcza szczęścia – to równie dobre określenie stanu manii jak każde inne.

## Wierzbówka kiprzyca

Siedzę za biurkiem i staram się zrozumieć, czym są wspomnienia lub jak to się dzieje, że coś wspominamy. Dochodzi dwudziesta druga, jest początek lipca i nocą nigdy nie zapada całkowity mrok, na niebie zawsze połyskuje delikatne światło. Teraz jest białe. Drzewa przy cmentarzu są ciemne, ale liście drzew w ogrodzie tuż za oknem – zielone. Patrzę na to, na drzewa i niebo nad nimi, a jednocześnie widzę krajobraz, w którym dorastałem i z którym jestem nadal związany uczuciowo. Widzę kamienistą plażę w Spornes, kolor otoczków zalewanych przez fale, o ton ciemniejszy od tych, które leżą wyżej. Widzę małą trawiastą równinę nad plażą, gdzie leżymy na ręcznikach po kąpieli w morzu, piasek między źdźbłami trawy, dół wyłożony dookoła kamieniami, w którym ktoś palił ognisko, zwęglone kawałki drewna, niektóre nietknięte, z ledwo osmalonymi krawędziami. I widzę krzewy dzikiej róży i tarniny, rosnące wyżej, między kamieniami, i niskie powyginane drzewa. Mam wrażenie, że te obrazy są głęboko we mnie, natomiast obrazy drzew i nieba znajdują się na zewnątrz. To właśnie je widzę oczami, ale czym widzę wspomnienia i jak to możliwe, że są we mnie, tak wyraźnie widoczne, chociaż jednocześnie widzę coś innego? Kiedy przed chwilą spojrziałem przypadkiem na stół, gasząc papierosa w filizance, jednocześnie zobaczyłem w sobie czarną torbę na podłodze w szatni. Obrazy wspomnień wydają się przezroczyste, nabierają kształtu dzięki koncentracji, a kiedy przestajemy się na nich skupiać, rozplywają się i zostaje jedynie obraz zewnętrzny, blat stołu z czarnymi okrągłymi śladami po filizankach kawy i cienką warstwą popiołu. Trochę tak jak brudna szyba w oknie, która pojawia się, kiedy się na niej skupiamy – wtedy to, co zewnętrzne, niejako się rozmywa – i która znika zupełnie, kiedy przestajemy się na niej koncentrować. Obrazy wspomnień są nie tylko lekko zamazane i trudno uchwytnie, lecz jest z nimi również związany pewien dystans, rzadko wypełniają całą świadomość, częściej ukazują się gdzieś pośrodku niej, jak jeleń na rozległej polanie, który zajmuje jedynie jej mały fragment, a jednak skupia całą naszą uwagę. Zacząłem myśleć o wspomnieniach, ponieważ dziś przed południem przypomniało mi się coś, o czym nie myślałem od wielu, wielu lat. Z jakiegoś powodu pojawiła się w moich myślach wierzbówka kiprzyca. Znałem dobrze tę nazwę, ale nie wiązałem z nią żadnego konkretnego obrazu, więc wpisałem ją do wyszukiwarki. Gdy na ekranie ukazały się jej zdjęcia, przetoczyła się przeze mnie cała lawina wspomnień. Przecież tam gdzie mieszkałem jako dziecko, ona rosła dosłownie wszędzie! Przy drogach, w rowach, zwłaszcza tam, gdzie drogi były nowe, a rowy świeżo wyłożone kamieniami, i na nowych działkach, tych wolnych przestrzeniach pomiędzy szeregami domów. Zawsze w dużych kępach i takim zagęszczeniu, że kamieniste urwiska i zbocze wzgórza

falowały różem i zielenią. Rośliny były wiotkie, a różowe lub bladoczerwone kwiaty tworzyły piętra, tak że grona przypominały smukłą piramidę – prawdopodobnie dlatego, że u dołu kwiaty wyrastają i rozwijają się najwcześniej, u góry długo utrzymują się tylko pąki. Wierzbówka jest znana z tego, że kolonizuje tereny pozbawione drzew i innych roślin, łatwo się ukorzenia i szybko rozprzestrzenia. Korzenie są długie, nasiona niezwykle liczne. Dobrze czuje się na glebach bogatych w azot, to znaczy wzdłuż dróg i rzek, na pogorzeliśkach i wypalonych obszarach leśnych, przy wygódkach i na dużych polanach w lesie, na przykład w miejscach wycinki drzew, ale także na łąkach. Wierzbówka ma w sobie coś prymitywnego, topornego, jak roślina prehistoryczna, jest mało subtelna, chociaż tworzy piękne, intensywnie kolorowe kobierce, i w jakiś dziwny sposób miało to sens, że tak dobrze się czuła właśnie na wielkich osiedlach mieszkaniowych, które – choć wówczas nowoczesne i reprezentujące nowe czasy – miały w sobie również coś prostego i brutalnego: wzgórze wysadzano, lasy wycinano, maszyny dudniły i trzęsły się, i wraz ze stosami niebieskich i kanciastych kamieni, świeżo wylanym czarnym asfaltem, hałdami żwiru, żółtymi wywrotkami i buldożerami pojawiały się te proste, szybko rosnące, krzepkie rośliny, niemające w sobie żadnej innej tajemnicy poza tą najbardziej oczywistą, która jest udziałem wszystkich pradawnych i prymitywnych stworzeń, a mianowicie, że świat jest zawsze nowy. Zachłanność tego, co nowe, jest stara, a historia to jedynie migające i przezroczyście obrazy widziane z dużej odległości, jak jeleń na łące, który podnosi łeb i stoi nieruchomo przez kilka sekund, po czym znika w lesie.

## Psy

Psy nigdy mnie nie interesowały, może dlatego że nie mieliśmy psa, gdy dorastałem, i dlatego że bałem się tych, które mieszkały w sąsiedztwie, nawet Aleksa, należącego do Kanestrøma dobrodusznego i miłego golden retrievera, który chodził za wszystkimi dziećmi w rodzinie, choć najwyraźniej wołał ojca, na którego często spoglądał z oddaniem i wyczekiwaniem, merdając ogonem. Problem pojawiał się, kiedy trafiałem na niego, będąc sam, ponieważ wtedy szczekał na mnie, a ja nie umiałem sobie z tym szczekaniem poradzić, bo unieważniało to, co wiedziałem o jego usposobieniu, i dlatego stałem na żwirowej ścieżce przed domem, nie będąc w stanie przejść obok niego i zadzwonić do drzwi. W takiej sytuacji często zastawał mnie Dag Lothar, gdy stałem jak wryty, a miły pies szczekał w moją stronę. Nie pomagało to, że jako człowiek przewyższałem go intelektualnie i prawdopodobnie również emocjonalnie, że potrafiłem czytać i pisać, rysować i malować, zawiązywać sznurowadła, przygotowywać kanapki, robić drobne zakupy w sklepie i jeździć samemu autobusem, ponieważ wysokie, agresywnie monotonne dźwięki, które z siebie wydawał, przyćmiewały to wszystko; kiedy stałem naprzeciwko niego, tylko one się liczyły. Szczekanie psa było jak pewnego rodzaju prawo, wyznaczało granicę, której nie mogłem przekroczyć, i to pies owo prawo stanowił. Pokrewieństwo z prawem mojego ojca było oczywiste, skoro uczucia, jakie budził we mnie jego donośny głos, związane z niezdolnością do działania, z paralizem wywołanym przez strach, były identyczne z tymi, które ogarniały mnie, gdy słyszałem szczekanie psa. Złamanie prawa było nie tylko nie do pomyślenia, było niemożliwe. A to czyniło ze mnie poddanego, o czym wiedziałem już wtedy, wiedziałem, że posiadam cechy charakteru poddanego, i ten fakt nazaczył kolejnych czterdzieści lat mojego życia bardziej niż cokolwiek innego. Poddany robi to, co powinien, ze strachu przed represjami, co w moim wypadku oznaczało lęk przed złością i podniesionym głosem. I chociaż szukałem miejsc, gdzie złość i podniesione głosy są uznawane za oznakę nieokrzesania, najpierw uniwersytet, potem literacki establishment, wciąż robiłem to, co powinienem, ponieważ zawsze miałem w sobie strach przed zwierzęcą agresywnością, a kiedy się pojawiała, na przykład w postaci rozwścieczonego kierowcy lub rozgniewanej ukochanej, za każdym razem uginałem się przed tym i wpadałem w odrętwienie. Jedynym miejscem, w jakim się temu przeciwstawiłem, była literatura. Czasem sobie myślę, że temu właśnie służy literatura, że stanowi miejsce, w którym można się rozwijać bez strachu przed ojcowskim lub psim prawem. Że jest areną tchórzów, Koloseum strachajłów, że pisarze są gladiatorami żalości, którzy zamierają ze strachu, kiedy szczeka na nich pies, a odszczekują się i dochodzą swoich praw, gdy tylko zostaną sami. Mów za

siebie, słyszę natychmiast w moim wewnętrznym uchu głosy innych pisarzy. Ale wydaje mi się, że mam rację. Czy którykolwiek z dobrych pisarzy jest właścicielem psa? Flaubert nie miał psa. Rilke, który opisywał psy piękniej niż ktokolwiek inny, sam nie miał psa i aż podskakiwał, kiedy ktoś w pobliżu zakaszłał. Kafka nie miał psa. Hamsun nie miał psa. Sandemose nie miał psa. Tor Ulven nie miał psa. Duras? Trudno mi to sobie wyobrazić. Ibsen? Czy miał psa? Nie. Faulkner? Zdaje się, że tak. W takim razie może należałoby zrewidować jego miejsce w kanonie? Również Virginia Woolf miała psy, ale tylko tak zwane pieski salonowe, zbyt małe i zbyt podobne do pluszowych maskotek, by mogły u kogokolwiek wywoływać lęk, więc się nie liczą. Ja sam miałem psa przez dwa lata – z powodu naszej najstarszej córki, która chciała mieć psa, odkąd skończyła trzy lata, i której namowom w końcu uległem. Pies był wyjątkowo miły, lecz także wyjątkowo głupi, a mnie zupełnie brakowało siły i autorytetu, żeby czegokolwiek go nauczyć, więc skakał na wszystkich obcych ludzi, jadł wszystko, co znalazł do jedzenia, również na naszym obiadowym stole, szarpał z całej siły smycz, kiedy szliśmy na spacer, wykopywał doły w trawniku, nigdy do końca nie nauczył się czystości i był tak pokorny i służalczy, że patrząc na niego, prawie zawsze czułem, jak rośnie we mnie irytacja, a nawet wściekłość, jak to często bywa, kiedy własne najmniej atrakcyjne cechy rozpoznaje się u innych. Nigdy nie spuszczał mnie z oczu, człapał za mną do gabinetu, kładł się u moich stóp, gdy pisałem, a kiedy puszczałem muzykę, czasem zaczynał wyc, często w tej samej tonacji co wokalista. Gdy w domu pojawił się noworodek, mieliśmy za dużo spraw na głowie, pies musiał przecież wychodzić na dwór kilka razy dziennie i musiał nam towarzyszyć za każdym razem, kiedy opuszczaliśmy dom – postawiliśmy ogrodzenie, żeby podczas naszej nieobecności mógł zostawać w ogrodzie, ale po dwóch miesiącach przyszedł nasz sąsiad i oznajmił, najdelikatniej jak umiał, że pies szczeka i wyje za każdym razem, kiedy zostaje sam – więc w końcu oddałem go rodzinie, która kocha psy i wie, jak z nimi postępować. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że przez te dwa lata, kiedy byliśmy właścicielami czworonoga, nie napisałem ani jednej linijki tekstu z zakresu literatury pięknej, pisałem wyłącznie artykuły i eseje, i chociaż nie powinienem zrzucać winy na psa, a już na pewno nie powinienem twierdzić, że zaliczam się do dobrych pisarzy, wydaje mi się jednak, że posiadanie psa w pewnym sensie podkopywało mój projekt literacki, który – jako że jest w dużym stopniu autobiograficzny – niejako nabrał wody jak tonąca łódź, w sposób nie do końca dla mnie zrozumiały, a jednak mający prawdopodobnie związek z tym, że charakter psa bardzo przypominał mój, z czego musiałem zdawać sobie sprawę, zanim czworonóg się u nas pojawił, ponieważ pierwszy autobiograficzny rękopis, który później otrzymał tytuł *Argentyna*, a następnie *Moja walka*, był pierwotnie zatytułowany *Pies*.

## Wysepka Gjerstad

Wysepka Gjerstad (Gjerstadholmen) leży w cieśninie Tromøy, tuż przy moście Tromøy, jakieś dwadzieścia metrów od lądu. Ma dwieście metrów długości, jest pagórkowata, pełna głazów i skał, te najbliżej wody są gładko wypolerowane, a na środku wysepki znajduje się płaskowyż. Obniżenia terenu są porośnięte trawą, rosną tam również drzewa, w południowej części, w większości niskie, o gęstym listowiu, które szeleści, kiedy wieje wiatr, i połyskuje, kiedy świeci słońce. Wysepka jest zbyt mała, by można było na niej cokolwiek zbudować, nie ma tam żadnych domów ani domków letniskowych, chociaż latem do brzegów przybijają czasem małe jednostki i ludzie spędzają na niej cały dzień, zaopatrzeni w koce, stroje kąpielowe, ręczniki i kosze z jedzeniem. Dorastałem w domu położonym zaledwie kilkaset metrów od niej i zawsze mnie dziwiło, że ludzie tam przypływają, bo nie dość, że wysepka znajdowała się w głębi cieśniny, z widokiem na most, to jeszcze tak blisko lądu, że nie miała do zaoferowania nic z tego, z czym utożsamiałem wysepki i wybrzeże szkierowe – kwintesencji życia na łodzi, którą stanowiła wolność otwartego morza. Pamiętam, że było mi trochę szkoda tych ludzi i żałowałem też odrobinę samej wysepki, bo miała wszystko, co wysepka mieć powinna, ale nie mogła rozwinąć tego potencjału, nigdy nie poczuła się w swoim żywiole, w prawdziwym żywiole wysepki, i nie pokazała, co sobą reprezentuje. Wiedziałem, że musiała istnieć od czasu ostatniej epoki lodowcowej, może nawet dziesięć tysięcy lat, więc nic w tym dziwnego, że czułem bijącą od niej melancholię i coś w rodzaju łagodnej beznadziei. Za to nigdy nie wyczułem zgorzknienia, godziła się ze swoim losem i miejscem w świecie i przecież zdarzało się czasem, że fale w głębi cieśniny pieniały się w czasie sztormów, tworząc wielkie, wysokie ściany wody, które rozбивały się na kawałki o skały, zupełnie jakby wysepka leżała w głębi ujścia fiordu do morza. Dla nas, dorastających w jej pobliżu, Gjerstadholmen była niemal niewidoczna, trochę jak Atle, kolega z klasy, który nigdy nie rzucał się w oczy, nigdy nie zwracał na siebie uwagi, jego obecność ani ziębiła, ani grzała i dlatego nie był ani lubiany, ani nie lubiany, po prostu był, i tyle. Dużo czasu spędzał w swoim pokoju, gdzie siedział i rysował, również bez rozgoryczenia, zupełnie jakby nie oczekiwał więcej od życia. Mieszkał na drugim końcu osiedla, który w tamtych czasach był jak inny kraj, i nigdy nie widziałem go w pobliżu Gjerstadholmen. Jednym z naszych kąpielisk, tym najbliższym, było Nabben. Znajdowała się tam wystająca naga skała przybrzeżna w kanale o szerokości piętnastu, może dwudziestu metrów, między lądem a wysepką. Ze skały można było skakać na główkę do głębokiej wody o chłodnym niebieskim odcieniu, co najczęściej robiliśmy popołudniami i wieczorami, gdy nie chodziło o to, by leżeć w słońcu i kąpać się przez cały dzień – do tego bardziej nadawały się

inne kąpieliska – lecz by popływać. Zwykle dopływaliśmy do drugiego brzegu, czasem wspinaliśmy się na skałę i znowu skakaliśmy na główkę, ale nie spędzaliśmy tam czasu. A jeśli się to zdarzyło, mieliśmy wrażenie, że odkrywamy wysepkę, że widzimy ją po raz pierwszy. Pamiętam, że kiedyś zimą, gdy cieśnina była skuta lodem, dotarliśmy na Gjerstadholmen na nartach i spędziliśmy tam cały dzień, śnieg skrzył się w ostrym zimowym słońcu, powietrze było lodowate i nieruchome, jak cudownie było wyznaczyć szlak zjazdowy z płaskowyżu, między nagimi skałkami, i szusować aż na sam dół i dalej, na lód. Pamiętam również pewien letni dzień, gdy popłynęliśmy z Nabben na drugi brzeg i nie tylko leżeliśmy na skale, wygrzewając się jak jaszczurki, lecz udaliśmy się w głąb wysepki i odkrywaliśmy miejsce za miejscem, aż w końcu wykąпалиśmy się na jej drugim brzegu, czego nigdy wcześniej nie robiliśmy. Powiedzieliśmy wtedy do siebie, że kiedyś musimy to powtórzyć. Ale nigdy się to nie stało, potencjał radości tkwiący w Gjerstadholmen znowu pogrążył się w niepamięci, podobnie jak Atle, ponieważ on też mógł zostać odkryty, nagle mógł się znaleźć ktoś, kto zwróciłby się do niego, i przez kilka dni Atle byłby widoczny, promieniując blaskiem zainteresowania, które wzbudził, po czym równie nagle wszystko by minęło i nikt dłużej nie zaprzętałby sobie nim głowy.

## Komary

Co decyduje o rozmiarach poszczególnych gatunków, jakie ewolucyjne prawo różnicuje wielkościami zwierzęta i rośliny – o tym nic nie wiem, ale domyślam się, że chodzi o maksymalizację potencjału, o korzyści i ograniczenia. Na przykład drzewa zaczynały swoje istnienie jako zwykłe rośliny, ale musiały odkryć korzyści z przewyższania wzrostem innych roślin, zwłaszcza związane z łatwiejszym dostępem do światła. I ten impuls – którego formy nikt nie zna, bo gdzie w drzewie mógł być zlokalizowany impuls do tego, by rosnąć tak radykalnie? – musiał podlegać regulacji wynikającej z czysto fizycznych ograniczeń, jakie powoduje rozmiar, takich jak konieczność dystrybucji płynów do wszystkich gałęzi i liści, co jest tym trudniejsze, im wyższe jest drzewo, czy wiatry, na których działanie drzewo będzie narażone tym bardziej, im większą osiągnie wysokość. Gdyby nie to, drzewa sięgałyby nieba. Jeśli wyobrazimy sobie, że każda żywa istota posiada niszę, to znaczy wolną przestrzeń wokół siebie, zobaczymy, że będzie ona próbowała stać się jak największa, do czasu aż rozmiar przestanie dawać korzyści, a zacznie przysparzać kłopotów. I kiedy takie zwierzę lub roślina zdobędzie jakąś przestrzeń, zabierze miejsce innym gatunkom, które będą musiały niejako wkręcić się gdzieś indziej, a kiedy już znajdą odpowiednią formę, pozostaną w niej. Oczywiście tego ostatniego nie wiemy na pewno, rozwój gatunków przebiega bowiem daleko poza naszym horyzontem czasowym. I nawet jeśli komar jest wciąż w fazie wzrostu, dzieje się to tak powoli, że ani my, ani nasze dzieci, ani żadne z najbliższych pokoleń tego nie zobaczy. Teraz komara charakteryzują niepozorne gabaryty, cienkie nogi i chude ciało, dwa skrzydła i dwuetapowy przebieg życia, w pierwszym egzystuje jako larwa, a w drugim, po krótkim pobycie w czymś w rodzaju namiotu, w stadium poczwarki, rozpoczyna żywot jako latający owad. To, że w samej Norwegii istnieje ponad dwa tysiące gatunków komarów, a ponad pięćdziesiąt tysięcy na całym świecie, i że odnaleziono skamieliny komarów sprzed dwustu czterdziestu milionów lat, przy czym żaden z nich nie był znacząco większy od współcześnie występujących gatunków, pozwala sądzić, że owady te odnalazły swoją formę i że życie, które wiodą, je satysfakcjonuje. Rzecz jasna, trudno powiedzieć, czy rzeczywiście lubią latem fruwać w kółko, ale przynajmniej nic nie wskazuje na to, by źle im się żyło, tak jak to się dzieje w wypadku pszczoł, które zaczęły wymierać. Metoda komara działa, owad rozmnaża się i wydaje na świat coraz to nowe zastępy osobników. Jeśli chodzi o komara brzęczącego, samice uzależniły się od świeżej krwi, żeby zapewnić jajom wystarczającą ilość białka, więc latają chmarami wokół zwierząt tak ogromnych, że chyba nawet nie wiedzą, że to zwierzęta, dla nich to raczej ciepłe miejsca, do których lgną i gdzie siadają, płonąc z pożądania, ponieważ



pachną one intensywnie czymś, czego komarzyce pragną. Miejsca mają wprawdzie twardą powierzchnię, w którą owad z trudem wbija aparat kłująco-ssący, lecz pod nią płynie ciecz, cudowna krew; komarzyca ją wysysa, a potem, najedzona i oszołomiona szczęściem, podnosi się i opuszcza miejsce, które, nawiasem mówiąc, porusza się w sposób nieprzewidywalny, raz jest tu, raz tam. Sukces komara można częściowo wytłumaczyć tym, że potrzebuje on tylko odrobiny krwi, niewielkie rozmiary ciała sprawiają, że wystarczy mu zaledwie kilka kropeł, które owe miejsca pokryte skórą mogą mu ofiarować bez uszczerbku dla siebie. Gdyby komary były większe, powiedzmy tak duże jak koty, i odczuwały tę samą potrzebę świeżej krwi, niedostępne byłyby dla nich wszystkie korzyści wynikające z małych rozmiarów: nie mogłyby wślizgiwać się nocą przez okna, siadać na cudownych powierzchniach i omdlewać z rozkoszy, lecz musiałyby wypracować inne strategie, a co najważniejsze, musiałyby ich być zdecydowanie mniej, może tak niewiele jak obecnie wilków, czyli zaledwie dwieście osobników w całej Skandynawii. Musiałyby zdobywać o wiele więcej krwi, może tak dużo, że stworzenia, od których chciałyby ją pobrać, nie oddałyby jej bez zacieklej walki, gdyby zaś wygrał ją komar, żywiciel by umarł i trzeba by wyszukiwać kolejne ofiary, jednocześnie – z uwagi na większe gabaryty – ukrywając się w miejscach, gdzie dostęp do krwi byłby znacznie ograniczony. Och, jak ciężkie stałoby się życie komara giganta! Nietrudno wyobrazić go sobie, jak siedzi na gałęzi drzewa, wielki jak wilk, ze zwisającą kłujką i dużymi jak piłeczki do tenisa fasetkowymi oczami, błyszczącymi w szarym świetle poranka; nie potrafi manewrować porządnie ciałem w powietrzu, przez co kilkadziesiąt milionów lat później będzie można go znaleźć na ziemi, gdzie również ostatnia para skrzydeł przekształci się w przezmianki. Teraz można sobie wyobrazić, jak stoi między drzewami, duży jak koń, z ogromnym zapotrzebowaniem na krew, które sprawiło, że przednie odnóża zamieniły się w organy kłująco-chwytne, a kłujka urosła do takich rozmiarów, iż wysysa całą krew z ciała ofiary w ciągu kilku minut. Ludzie boją się komarów, ale polują na nie, więc nie zostałyby ich wiele, a droga powrotna – by stawać się coraz mniejszym i mniejszym, i w końcu móc wlatywać przez okna, siadać na cudownych powierzchniach i czuć przyjemne zawroty głowy spowodowane kilkoma kroplami krwi – byłaby zbyt długa, by mogło się udać. I w jakiś sposób ta pewność jest zaszczepiona w komarach, ponieważ nie rosną, nawet ewolucyjnie powoli; odnalazły swoje miejsce w świecie, a cena krwi, to, że tysiące komarów rocznie spotyka śmierć w postaci uderzającej dłoni, jest dla nich tak niewielka, że nawet nie zdają sobie z niej sprawy.

## Omdlenie

Przedwczoraj byłem w lokalu pełnym ludzi, w Londynie, wydawnictwo obchodziło jubileusz. Na ścianach wisały duże głowy zwierząt, łośi, jeleni i saren, kelnerzy ubrani we fraki krążyli z tacami pełnymi kanapek, kieliszków białego wina i szampana, podłoga była drewniana, a przy ścianie znajdowała się scena, na której wygłaszano mowy. Lokal wypełniało jakieś dwieście, trzysta osób, elegancko ubrani goście stali i rozmawiali ze sobą, z połyskującymi kieliszkami w dłoniach. Poza dwiema osobami, z którymi pracuję, nie znałem nikogo. Zanim się tam zjawiłem, przygotowywałem się do imprezy w pokoju hotelowym, wzięłem prysznic, włożyłem jasnoniebieską koszulę, szarobrazowy garnitur, ciemnobrazowe buty, wypełniony owym szczególnym rodzajem radości, jaką dają te niemal rytualne czynności, w których jest zawarte oczekiwanie zabawy. W chwili gdy wchodziłem po wyłożonych dywanem stopniach schodów prowadzących do starego gmachu teatru i usłyszałem szmer głosów, dopadła mnie rzeczywistość i zrozumiałem, co mnie czeka: nie będę wiedział, gdzie się podziąć, gdzie stanąć, co powiedzieć, a osoby, które zwrócą twarze w moją stronę, nie będą w stanie ukryć, że czują się nieswojo i że mają ochotę jak najszybciej się ode mnie oddalić. Jakaś kobieta, po trzydziestce, stojąca tuż przy wejściu, odwróciła się w moim kierunku, gdy wszedłem do środka, miała jasne włosy i niebieskie oczy, powiedziała, że kiedyś była u mnie w domu i przeprowadzała ze mną wywiad. Skinąłem głową i uśmiechnąłem się z zamkniętymi ustami, moje zęby wyglądają okropnie, są żółte z czarnymi słupkami wzdłuż brzegów. Pamiętam, powiedziałem, było miło. Nie będę panu przeszkadzać, odparła, a ja ruszyłem powoli w głąb tłumu, tak gęstego jak w autobusie. Garnitury, suknie, biżuteria, uśmiechy, salwy śmiechu. Zauważyłem kobietę, która pracuje w moim wydawnictwie, i ruszyłem w jej stronę. Chciałabym, żebyś kogoś poznał, oznajmiła i poprowadziła mnie dalej, do grupy ludzi, którym zostałem przedstawiony, to byli szefowie wydawnictwa. Spytali, czy długo zabawię w Londynie, odparłem, że jutro wyjeżdżam, na co oni ze zdziwieniem: „fatygował się pan specjalnie na tę imprezę?”. Zrozumiałem, że ich zdaniem wykazałem się zbytnią gorliwością, więc odpowiedziałem, że lubię Londyn i korzystam z każdej okazji, by się tutaj znaleźć. Uśmiechnąłem się, znowu ze złączonymi wargami, a oni rozmawiali dalej ze sobą. Kobieta z wydawnictwa zaprowadziła mnie do autorki książek kulinarnych, która chciała mnie poznać, ale gdy stanąłem przed nią, była całkowicie pochłonięta rozmową z kimś innym. Wzięłem z tacy kieliszek białego wina, w końcu zwróciła się w moją stronę, uściśnięła jej dłoń i gdy napotkałem jej spojrzenie, zobaczyłem, że była bardzo znerwicowana i czuła się nieswojo, nie tyle w tej konkretnej sytuacji, ile ogólnie w życiu. Powiedziała, że to, co napisałem o przebywaniu

z dziećmi, zrobiło na niej wrażenie, spytałem, czy ona również ma dzieci, dwoje, odparła. Ale chyba starsze? – zauważyłem i zbyt późno zrozumiałem, że ją obraziłem, była osobą, która przy wszystkim, co posiadała, nadal chciała być młoda. Ruszyłem w stronę narożnika lokalu, nie było to łatwe, ponieważ panował straszny tłok. Powietrze było ciepłe i pełne głosów, które odbijały się echem od ścian i sufitów. Podchodziło do mnie wiele grup, często inicjatywą wykazywały się kobiety, natomiast mężczyźni odwracali wzrok, okazując demonstracyjnie brak zainteresowania. Większość z nich stanowili pisarze, więc chodziło o to, myślałem, przechylając się do przodu i usiłując usłyszeć, o czym mówią, że mężczyźni czuli, iż muszą chronić swoją integralność, kobiety zaś nie myślały tymi kategoriami. Mimo to nie wiedziałem, co powiedzieć, właściwie głównie przytakiwałem i uśmiechałem się, ale najwyraźniej wyglądałem nieswojo i wpływało to na tych, którzy do mnie podchodzili, im także nagle brakowało tematów i odwracali się lub wznawiali wcześniejsze rozmowy, dokładnie tak, jak się tego spodziewałem. Gdybym chociaż mógł gdzieś usiąść, pomyślałem, ale nigdzie nie było krzeseł. Po chwili podeszły do mnie dwie kobiety po pięćdziesiątce, ich oczy błyszczały. Gdy tak stałem i przysłuchiwałem się ich rozmowie, nagle zrobiło mi się niedobrze, ledwo ustałem na nogach, fala nudności przetoczyła się przeze mnie i powiedziałem nagle, że przepraszam, ale muszę się oddalić, i zszedłem powoli po wyłożonych dywanem schodach, przez całą drogę do wyjścia trzymałem się poręczy, na chodniku obok teatru zobaczyłem restaurację ze stolikami pod gołym niebem, poszedłem tam i usiadłem. Po kilku minutach czułem się już całkiem dobrze, wstałem i wróciłem do środka, po schodach, wszedłem do dusznego, zatłoczonego lokalu, żeby odszukać te dwie kobiety i je przeprosić. Gdy się w nim znalazłem, wróciło nieprzyjemne uczucie fizycznego dyskomfortu, zupełnie jakby unosiło się w powietrzu i zakorzeniało w ciele, gdy je wdychałem, a potem rozchodziło się po całym organizmie jak fala czegoś słabego i miękkiego. Kobiety stały na szczęście w tym samym miejscu. Podeszedłem do nich i powiedziałem, że przepraszam, że nagle źle się poczułem i musiałem odetchnąć świeżym powietrzem. Nie mogłem ustać na nogach, dodałem. Zaśmiały się i zażartowały, że już zaczęły się zastanawiać, czy powiedziały coś okropnego albo czy może ich nie lubię. Nie, nie, zaprzeczyłem, po prostu nie byłem w stanie utrzymać się na nogach i musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Ledwo to powtórzyłem, gdy wszystko wróciło ze zdwojoną siłą. Poczułem, że muszę wyjść na zewnątrz, zrobiłem kilka kroków w stronę drzwi i nagle załała mnie fala czerni; nic więcej nie pamiętam.

Widzę nad sobą może dziesięć twarzy, wszystkie wpatrzone we mnie. Chociaż znajdują się blisko, mam wrażenie, że obserwuję je z dużej odległości. Są spowite mrokiem. Nie rozumiem tego, co widzę. Jakbym spoglądał w inny wymiar czasowy. Jakbym był w innym miejscu niż oni. A jednak stoją nade mną, niejako błyszcząc w ciemności. Nie wiem, kim jestem. Nie wiem, kim oni są. I to jest

przeróżające, bo jestem nikim, a mimo to twarze nade mną wyglądają na przejęte. Czyżbym wpatrywał się w przeszłość? Bo mam wrażenie, że jestem zupełnie gdzie indziej, w innym wymiarze lub innym miejscu we wszechświecie, otoczony ciemnością, skąd spoglądam na obce oblicza, które jednocześnie znajdują się nienaturalnie blisko mnie.

Niech pan nie wstaje, proszę leżeć, mówi jakaś kobieta. Nie powinien się pan podnosić zbyt szybko, to może być niebezpieczne.

Siadam i ten ruch sprawia, że znowu staję się całością, jednością, jestem znów tym, kim zawsze byłem. Nie wiem, jak się nazywam, ale wiem, kim jestem. Jakiś mężczyzna pomaga mi wstać, podtrzymuje mnie i sprowadza po schodach, mówi, że mogę na nich usiąść, ktoś przynosi szklankę wody i w końcu dociera do mnie, co się stało, nareszcie rozumiem całą sytuację, po prostu zemdlałem, upadłem na podłogę i na kilka sekund straciłem przytomność. Musiałem uderzyć głową o coś twardego, bo nabiłem sobie sporego guza, i musiałem przygryźć policzek od wewnątrz, ponieważ w ustach mam krew. Przez kilka minut siedzę na schodach, mężczyzna zadaje mi kilka pytań, czy zdarzało mi się to już wcześniej i tak dalej, potem ktoś zamawia mi taksówkę, odprowadza mnie do niej, wsiadam, zamykam drzwi i w ten sposób opuszczam imprezę. W taksówce, która jedzie powoli przez połyskujące ulice miasta, czuję się lekko i przyjemnie, jak zawsze po ustaniu jakiejś dolegliwości, ale również w dziwny sposób szczęśliwy, bo jestem pewny, że właśnie na tym polega umieranie. Śmierć przychodzi jako natychmiastowa nicość, jako natychmiastowa nieobecność samego siebie. Nie ma się czego bać. Niepokojące było to, co widziałem, gdy wciąż byłem nikim w ciemności, obraz wpatrujących się we mnie niespokojnych, lekko żarzących się twarzy. Niepokojące, ponieważ absolutnie nic mnie z nimi nie łączyło, ani ich ze mną, a przynajmniej z tą częścią mnie, która je widziała. Jeśli człowiek, będąc martwym, nie pozostaje w pustej nicości, lecz wraca w mrok – pomyślałem, siedząc na tylnej kanapie taksówki i spoglądając na letnie jasne ulice – to dzieje się tak bez rozumienia żywych.

## Garnce lodowcowe

Wzdłuż nagich skał przybrzeżnych Tromøi<sup>[14]</sup> znajduje się wiele garnców lodowcowych, niektóre z nich są położone tuż przy brzegu, tak blisko wody, że często obmywają je fale, a ich głębokość i kształt sprawiają, że odgłosy wydawane przez wodę, będącą w ciągłym ruchu, brzmią zupełnie inaczej niż gdzie indziej, odbijają się echem od ścian i powstaje coś głuchego, to, co zwykle syczy, tam chlupocze, to, co zwykle pluska, tam pobrzękuje, a czasem dobiegają z nich stłumione huki. Gdy byłem mały, latem zanurzałem się w jednym z nich. Był niemal tak głęboki, jak ja wysoki, a wślizgiwanie się do spienionej wody jak do beczki, tuż przy brzegu, było równie fantastyczne, co przerażające. W ciche, pełne słońca dni morze nie miało żadnego kontaktu z garncem lodowcowym, wtedy woda w nim była spokojna i ciepła, prawie jak w małym jeziorcu, pomijając fakt, że pochodziła z Oceanu Atlantyckiego i była słona i świeża. Wyżej, na nagich przybrzeżnych skałach, marmitów znajdowało się więcej, ale żaden nie był tak dostojny jak ten. Widywałem je również w górach, bo w tamtym czasie często jeździliśmy w weekendy na wycieczki samochodowe, a raz w roku przemierzaliśmy płaskowyż Hardangervidda<sup>[15]</sup>, żeby odwiedzić moich dziadków. To, co czyni te misowate dziury w górach godnymi uwagi, to ich równe, gładkie i foremne ściany. Góry są często równe i gładkie, niegdyś oszlifowane ciężarem i ruchem lodowców, rzek i mórz, ale dotyczy to większych powierzchni, które poddają się bez oporu samej strukturze krajobrazu, pełnego równin, dolin, ujść rzek, trzęsawisk, łąk i płaskowyżów. Garnce lodowcowe zrywają z tym, mają zupełnie inną formę niż otaczający je krajobraz i – jak wszystkie odstępstwa tego typu – wydają się sztuczne. Ta sama oszlifowana jednolitość, charakteryzująca okoliczne góry, w wypadku garnców lodowcowych zdaje się dziełem rąk człowieka. Stąd również nazwa, rzecz jasna. Ale spirala, za której kształtem podążały ruchy drążące skały, należy do standardowego wyposażenia natury: można ją znaleźć w tornadach, w wodzie spływającej do otworu odpływowego, w muszlach i galaktykach. Tak jak fałda na tkaninie, w mózgu, w formacjach krajobrazu na Marsie. I forma kuli, która znajduje się w otoczkach, przekwitłym mniszku lekarskim, planetach, gwiazdach. Gdzieś wyczytałem, że fakt, iż materia szuka tych kształtów i je właśnie tworzy, wynika z kilku przesłanek, które zaistniały, gdy powstawał wszechświat, w chwili gdy kosmos powiększał się z prędkością większą i dzikszą od tej, z którą kiedykolwiek poruszało się cokolwiek innego, a następnie stopniowo zwolnił i został wyhamowany. Prawie cała zaawansowana fizyka kończy się na wyobrażeniu, którego nigdy nie będziemy w stanie potwierdzić ani odrzucić, a mianowicie, że istnieją miriady wszechświatów i że ich początek musiał być inny niż początek naszego, dzięki

czemu przesłanki, które wówczas zaistniały, doprowadziły do tego, że materia łączy się na inne sposoby, których my, związani z tym kosmosem, nie jesteśmy nawet w stanie sobie wyobrazić. Ale gdyby miało być tak, że nie tylko istnieją inne wszechświaty poza naszym, lecz jest ich nieskończenie wiele, to musi istnieć również wiele identycznych z naszym, aż do najmniejszego szczegółu, takiego jak ten mały chłopiec, który równie przerażony, co zachwycony zanurza ciało w garncu lodowcowym wypełnionym pieniącą się słoną wodą – podczas gdy biały prom płynący z Danii zmierza w kierunku wybrzeża, wznosząc się jak góra nad wszystkimi wysepkami i łodziami – i który czterdzieści lat później usiadł przy biurku, by o tym napisać.

## **Dziennik, lipiec**





## **NIEDZIELA, 24 LIPCA 2016**

Jest kilka minut po ósmej rano. Świeci słońce, dwadzieścia trzy stopnie ciepła na dworze, od pewnego czasu jesteśmy pod wpływem wyżu barycznego, długo utrzymuje się ładna pogoda. Kilka dni temu w radiu samochodowym zacząłem odbierać niemieckie stacje, nagle po zwykłych szwedzkich i duńskich rozgłośniach odezwały się dwie niemieckie i przypomniałem sobie, jak to było w okresach wyżu, gdy byłem mały i gdy niespodziewanie zaczęliśmy odbierać duńską telewizję, aż się oczom nie chciało wierzyć. Sygnały z innego kraju docierały aż do naszego telewizora w salonie. Nawet na tacie robiło to wrażenie. Obraz skakał i był nieostry, jakby zmęczył się podczas podróży przez niebo lub jakby trawił go niepokój, bo nie był u siebie, i dlatego szarpał i ciągnął za to, co zatrzymywało go w odbiorniku, chciał lecieć dalej, w górę, w niebieską przestrzeń. A może to telewizor usiłował pozbyć się obcych obrazów, tak jak ciało próbuje odrzucić obce organy, które zostały mu przeszczepione? Czasem obraz się stabilizował i na kilka minut uspokajał, jakby dał za wygraną lub odnalazł się w nowej sytuacji, lub jakby telewizor go zaakceptował. Był wówczas ostry i wyraźny i mogliśmy wpatrywać się w niego, jak czarodziej wpatruje się w szklaną kulę, bo chociaż przywykliśmy do tego cudu, jakim była telewizja, znowu doświadczyliśmy cudu w postaci tych nieoczekiwanych, obcych, przybyłych z daleka obrazów.

Niemieckie stacje w radiu w samochodzie nie były aż tak fascynujące, a mimo to słuchałem jednej z nich przez chwilę, jadąc w stronę Brantevik po Twoje siostry. Przez cały lipiec odbywają się przedstawienia musicalu, w którym występują, trzy razy w tygodniu, a w każdy czwartek grają wieczorem, dzięki czemu, kiedy po nie jadę, mogę obserwować cały proces zachodu słońca. Jest magicznie, gdy kolory znikają z nieba i morza na wschodzie, pola uprawne świecą, jakby były iluminacją, a drzewa stoją w oddali niczym wielkie, podobne do postaci cienie. W tym tygodniu byłem sam z dziećmi, więc uczestniczyłaś w tych wszystkich przejażdżkach, siedziałaś na tylnej kanapie tyłem do kierunku jazdy i patrzyłaś na eksplozję światła na zachodnim niebie, a potem na jego stopniowe zanikanie, aż tarcza słońca znalazła się tuż nad ziemią, daleko stąd, błyszcząca i pomarańczowa, a potem na ciemność, która zapadła. Oczywiście nie wiem, co o tym wszystkim sądzisz, ale interesują Cię poszczególne pory dnia i kiedy na niebie jest światło, mówisz o tym wprost, niebo świeci, jest ranek. Lub, jak wyraziłaś się dziś rano, w niebie jest ranek. Kiedy zatrzymuję samochód, na przykład na czerwonym świetle lub przed zatłoczonym skrzyżowaniem, wołasz: jedź, tato! Otwieram okno, robiąc przeciąg w aucie, a Ty wołasz: wieje! Wtedy spoglądam w lusterko wsteczne, widzę, jak Twoje włosy powiewają nad oparciem

siedzenia. Jest coś, co cieszy mnie każdego dnia, coś, czego wciąż nie biorę za pewnik: że zaczęłaś mówić. Nie chodzi tylko o to, że potrafisz porozumieć się z otoczeniem, jak wtedy gdy mówisz, że chce Ci się siku, i wchodzimy razem do toalety, sadzam Cię na desce sedesowej, a Ty, z dłońmi skierowanymi w tył kilka sekund później oznajmiasz, że już zrobiłaś, ale także o to wszystko, co widzisz i opisujesz słowami, na przykład, że ptak przefrunął z jednego drzewa na drugie, ponieważ wtedy ptak przelatuje dwukrotnie: raz w powietrzu i raz w Twojej mowie. Albo pająki, których się boisz; kiedy widzisz jakiegoś, przybiegasz po mnie, musisz go zabrać, mówisz, chociaż pamiętasz to, co ciągle powtarzam, że pająki nie są groźne, pająki są miłe, i Ty też to powtarzasz, tworząc słowami dwa poziomy: emocjonalny, wypływający z wnętrza, któremu przeciwstawiasz zdroworozsądkowy i racjonalny, płynący z zewnątrz.

To był wspaniały, choć trochę niespełniony tydzień wyżu: w niedzielny wieczór dostałem zredagowane krótkie teksty z tej książki, w poniedziałek przejrzałem poprawki, kiedy Ty byłaś ze swoją opiekunką, we wtorkowe przedpołudnie skończyłem prace redakcyjne, akurat na czas, by przyjąć parę przyjaciół, Thomasa i Marie, którzy złożyli nam krótką wizytę. Posłałem Twoją starszą siostrę i jej przyjaciółkę do sklepu po lody, zjedliśmy je z truskawkami przyniesionymi przez gości. Gdy poszli, wsadziłem Cię do samochodu i pojechaliśmy do sklepu, bo tego wieczoru miał nas odwiedzić mój kuzyn z rodziną i pomyślałem, że moglibyśmy, po raz pierwszy tego lata, urządzić grill. Brykiet węgla drzewnego, butelka podpałki, kiełbaski i marynowane mięso, pomidory, ogórki, cebula, ser feta i oliwa do sałatki, więcej lodów, więcej truskawek, napoje gazowane i kilka butelek piwa. Lubisz wkładać towary do wózka sklepowego, czasem wrzucasz coś z własnej inicjatywy; zdarza się, że wracamy do domu z najmniej niezbędnymi rzeczami. Dawno nie robiłem zakupów dla gości, dawno nie czułem tego rodzaju stresu, kiedy czasu jest mało i ze wszystkim trzeba się spieszyć, a mimo to jakimś cudem wszystko się udaje. Ostatni raz mieliśmy gości ubiegłego lata – nie zaliczam do nich Twoich dziadków, bo przecież pomagają nam, kiedy tu są, i stanowią część domu, ani przyjaciół Twojego rodzeństwa – i gdy wstawiłem jedzenie do lodówki, opłukałem truskawki, zrobiłem sałatkę, napełniłem grill węglem, polałem podpałką, nakryłem do stołu i przygotowałem mięso, podczas gdy Ty siedziałaś przed telewizorem, gdzie Cię posadziłem, żeby mieć wolne ręce, pomyślałem, że ten miniony czas był rozpadem, że życie też może zarosnąć, zepsuć się, a nawet zgnić, jak zapomniane i opuszczone miejsce na terenie posiadłości, bo chociaż wymaga to odrobiny wysiłku, przed i może również w trakcie, przygotowanie posiłku dla innych i zjedzenie go razem z nimi jest czymś, co otwiera, wpuszcza światło, powietrze i życie, stanowi wydarzenie w tej skądinąd pozbawionej wydarzeń egzystencji, w tym znaczeniu, że jest totalnie przewidywalna i monotonna.

Matka mojego kuzyna, najmłodsza siostra mojej matki, zmarła kilka lat temu i to było wprost niewiarygodne, była młoda i pełna energii, pogodniejsza od swoich dwóch sióstr. Trzymały się razem przez całe życie, często do siebie dzwoniły, interesowały się swoimi siostrzeńcami i siostrzenicami i znały nawzajem swoich przyjaciół. Gdy skończyłem czterdzieści lat, dostałem od niej długi e-mail, opisała w nim szczegółowo dzień, w którym przyszedłem na świat, co się działo, co kto mówił; mieszkała wtedy w Oslo i była bardzo związana z moją matką. Nikt wcześniej mi o tym nie opowiadał, więc wzruszyłem się, nie tym, czego się dowiedziałem, lecz jej gestem. Była psychologiem i pracowała z dziećmi, i gdy urodziła nam się pierwsza córka, to właśnie moją ciotkę prosiliśmy o radę, kiedy – jako świeżo upieczeni rodzice – czegoś nie wiedzieliśmy. Ona sama wychowała troje dzieci i właśnie jej najmłodszy syn miał nas odwiedzić. Nie widziałem go od czasu, gdy się ożenił. Byli na Bornholmie i następnego dnia zamierzali wyruszyć dalej. Mają dwoje dzieci, cztero- i dwuletnie, i podobno ten czterolatek nie mógł się doczekać, kiedy pozna swoje kuzynostwo, ale przeżyje, niestety, lekkie rozczarowanie, ponieważ Twój brat jest na wakacjach z pewną rodziną na wyspie w okolicach Strömstad, a Twoja najstarsza siostra pojechała odwiedzić swoją kuzynkę w Kopenhadze, po raz pierwszy wybrała się sama w podróż pociągiem. I dlatego jesteś tu tylko Ty i Twoja starsza siostra, nie licząc mnie.

Usłyszałem, jak samochód zatrzymuje się przed domem, i okrążyłem go z Tobą na ręce, dokładnie w tym samym czasie oni obeszlili dom od drugiej strony. Mamy troje drzwi wejściowych, ponieważ nasz dom pierwotnie składał się z trzech oddzielnych budynków, i dlatego prawie każdy, kto tu jeszcze nie był, jest dezorientowany. Zawróciłem i spotkałem ich przed właściwymi drzwiami. Wcisnęłaś głowę między mój kark i ramię, jak masz w zwyczaju, kiedy obcy ludzie znajdują się blisko Ciebie. Podczas gdy oni wnosili bagaże, my poszliśmy na plac za letnim domkiem, gdzie stał grill i stół nakryty do posiłku. Przed ich przyjazdem starałem się wyczyścić ruszt, był pokryty solidną warstwą rdzy, i z grubsza mi się to udało. Siedziałaś na krześle, a gdy rozpałem grill i buchnęły płomienie, a strzeliły tak wysoko, że przestraszyłem się, iż pędy winorośli zwisające z pergoli zajmą się ogniem, zawołałaś: pali się, pali się! Odsunąłem trochę grill, ale wtedy znalazł się niebezpiecznie blisko krzaka. Elegancki i zawsze nienagannie prezentujący się sąsiad zerknął zza ogrodzenia i spytał, czy będziemy grillować, skinąłem głową i odparłem, że tak, jeśli wcześniej nie spalę domu. Prawdopodobnie mnie nie zrozumiał, bo przez kilka sekund patrzył na mnie pytającym wzrokiem, po czym skinął głową, powiedział *bon appétit* i oddalił się. Płomienie się uspokoiły, poszedłem do kuchni, zabierając Cię ze sobą – kto wie, co mogłabyś wymyślić, gdybyś została sam na sam z rozpalonym grillem – przyniosłem mięso, sałatkę, noże i widelce, piwo i napoje. Gdy pół godziny później jedliśmy, położyłaś wszystkie oliwki, cebulę i kawałki sera feta na moim talerzu,

a sama zjadłaś mięso, pomidory i ogórki. Na początku lata miejsce, w którym grillowaliśmy, było całkowicie zarośnięte, kamienną ścieżkę porastały chwasty, grządka wzdłuż ścieżki przypominała jedną wielką płataninę zieleni, dużą jak samochód i pełną pokrzyw, wyrosły na niej dwa półmetrowe drzewka, a trawa rosnąca dookoła sięgała kolan. Plac leży za ogrodem, na uboczu, i dlatego dość długo znajdował się na samym końcu naszej listy priorytetów. Na początku lata Twoją opiekunkę, która mieszka w należącym do nas domu po drugiej stronie drogi, odwiedziło dwóch Włochów, uzgodniliśmy, że w ramach podziękowania za gościnę doprowadzą do porządku ogród przylegający do tamtego domu i ten plac. Zrobili to, rzekłbym, gruntownie. Gdy skończyli, plac wyglądał jak parking. Oblędnie piękny, połyskujący srebrzyście krzew, wielki jak małe drzewo, został zrównany z ziemią, razem ze wszystkimi innymi roślinami i kwiatami na grządce, poza bukszpanem, który z jakiegoś powodu postanowili oszczędzić. Nie powiedziałem im o tym, biedacy starali się jak mogli, mieli zaledwie po dwadzieścia lat i prawie nie mówili po angielsku, podziękowałem im za zapal i pracowitość. W pierwszej chwili zabrakło mi odwagi, by sprawdzić, jak wygląda ogród wokół tamtego domu, ale przed południem zaniósłem tam stół ogrodowy i ujrzałem to, czego się obawiałem: kolejny parking. Tamten ogród był zarośnięty w niezwykle romantyczny, niemal gotycki sposób i chociaż miał tylko nieco ponad pięćset metrów kwadratowych, można było w nim zabłądzić. Tymczasem teraz był jasny i pusty.

Po tym jak zjedliśmy i dzieci poszły spać, siedzieliśmy w ogrodzie, piliśmy piwo i rozmawialiśmy w ciemności. Mój kuzyn i jego żona są ode mnie młodszy o trzynaście lat, prawie o całe pokolenie; opowiadał, jak duzi wydawali się mu ja i mój brat, gdy odwiedzaliśmy ich w czasach jego dzieciństwa, ja zaś opowiedziałem mu, że kiedy szedł spać, brał ze sobą do łóżka pistolety i inną broń, czego on sam nie pamiętał. Nagle zaczął mówić o domu naszych dziadków, z którym, oczywiście, również wiązało się mnóstwo jego wspomnień. I chociaż nie napomknąłem o tym, że tego lata pisałem o ich piwnicy, sam zaczął o niej opowiadać. Powiedział, że zarzynali w niej świnię. Jego matka opowiadała mu o tym, jak świnię zaczynały pisać, kiedy docierało do nich, że są prowadzone do piwnicy, jakby wiedziały, co je tam czeka. I jak okropny zapach się tam wówczas unosił. Nigdy o tym nie słyszałem, odparłem. Gdy ja tam jeździłem, hodowali już tylko kury, dodał, więc to musiało się dziać w okresie dzieciństwa jego matki.

Po namyśle stwierdzam jednak, że wiedziałem, iż w gospodarstwie był prowadzony ubój zwierząt, opowiadano mi ze szczegółami, jak zlewało się krew do balii i przygotowywało się z niej na przykład czarny pudding albo kaszankę lub jak płukało się jelita i robiło z nich osłonki do kiełbas, ale nigdy tego nie skonkretyzowałem, jakby to się działo w innym departamencie moich myśli. Tego, że świnię i kury były zarzynane w tej samej piwnicy, do której zaglądałem, gdy

byłem dzieckiem, zawsze zimnej, ponurej i surowej, gdzie stała zamrażarka, wisały sieci i znajdowały się kadzie z czerwoną i czarną porzeczką i agrestem, dopóki ich stamtąd nie wyniesiono, nigdy sobie nie uświadamiałem, ale teraz, gdy o tym wiem, dochodzę do wniosku, że ma to sens – to było pomieszczenie przejściowe, ani całkiem w środku, ani zupełnie na zewnątrz. Miejsce, gdzie przechowywano przez chwilę to, co zewnętrzne, jak sprzęt i narzędzia, i udoskonalano to, co pochodziło z zewnątrz, tak by można to było zabrać do środka, do kuchni lub salonu, jak ryby, jagody, zwierzęta.

To w tamtym świecie toczyła się wojna, bardziej manualna i bliższa fizycznej rzeczywistości, i ta sama wojna ten świat zmieniała; to w latach czterdziestych ubiegłego wieku skonstruowano pierwsze komputery, wielkie jak sale, zbudowano rakiety, energia atomowa stała się możliwa do wykorzystania, a samoloty skuteczne. Wyobrażam sobie jednak, że tamten świat tak bardzo się od naszego nie różnił, że nie czułbym się w nim koszmarnie obco, gdybym musiał znaleźć się w tamtych czasach. Wystarczyło przeczytać książki z tamtego okresu, powiedzmy Malapartego, Céline'a czy Hamsuna, by wymienić tych, którzy w pewnym momencie życia znaleźli się po niewłaściwej stronie. To, o czym pisali – nawet czytane w czasach dystansujących się od tego, co reprezentowali – pozostawało znane i można się było do tego ustosunkować. Być może dlatego że dorastałem w latach siedemdziesiątych, które pod wieloma względami stanowiły przedłużenie tamtej epoki, kiedy to życie w gospodarstwie dziadków, z korzeniami w latach dwudziestych, zasadzone w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, nadal było dostępne i gdzie nadal stały bunkry z czasów wojny, opuszczone zaledwie trzydzieści lat wcześniej – dla mnie taki przeskok czasowy oznaczałby cofnięcie się do świata, gdy miałem siedemnaście lat. Obawiam się jednak, że ci, którzy dorastają w czasach obecnych, stanowiących prawdopodobnie nową epokę, oddzieloną od starej mentalną przepaścią, nie będą w stanie zrozumieć, o jaką stawkę toczy się gra u Malapartego, Céline'a czy Hamsuna, lub zwyczajnie nie będą tym zainteresowani. A może wszystko jest zawsze takie samo?

Może nie wszystko, ale to, co istotne – zapewne dlatego istnieje słowo „istotny” – jest niezmiennie. Stara kobieta w Malmö, o której pisałem już w tym dzienniku, fikcyjna wersja autentycznej kobiety, którą dziadek, a prawdopodobnie również i babcia, kiedyś znali, przeżyła coś, czego doświadczają nieliczni, a co podczas wojny nie było niczym niezwykłym; musiało jej się zdawać, że świat otworzył się w piekielnym świetle i chociaż potem się zamknął – jak zamknął się dla całego społeczeństwa, bo tak dzieje się zawsze, kiedy wojna dobiega końca, z mnóstwem tajemniczych, nienazwanych przestrzeni – przez te wszystkie lata, które przyszło jej jeszcze przeżyć, musiało jej to sprawiać ból. Pytanie, które pozwoliłem jej zadać – czy wszyscy umieramy szczęśliwi? – było z tym związane, chociaż ta myśl wcale nie musiała jej przyjść do głowy, bo przecież tacy są ludzie:

to, o czym myślimy, pochodzi częściej z miejsc, których sobie nie uświadamiamy, niż z tych, które znamy. Kiedy w następnym zdaniu przejmuję ode mnie narrację, siedzi przy stole w salonie swojego mieszkania w Malmö, słońce właśnie zachodzi, a ona pisze do męża o wszystkim, co wydarzyło się tego dnia, o dziennikarzu, który zapukał do drzwi i chciał przeprowadzić z nią wywiad, i o wszystkim, co jego pojawienie się zbudziło do życia, o tym, jak dostała zawału serca i upadła na ulicy, i będąc pewna, że umiera, doznała intensywnego uczucia szczęścia. Szczęście mnie zaskoczyło. Jakaś część mnie była zatem szczęśliwa i pełna wdzięczności. Ależ mi to dało do myślenia! Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, że myślałam wówczas o latach, zanim się spotkaliśmy. O latach, zanim przybyłeś i uratowałeś mnie, jak królewicz z Austrii. O latach przed wojną, przed Iwarem. Gdy byłam dziewczyną z zadrapaniami na kolanach i perlistym śmiechem w piersi. Niewiele opowiadałam Ci o tamtych czasach. Przecież nigdy nie rozmawialiśmy o miejscu, z którego pochodzę. Teraz też tego nie zrobimy, mój przyjacielu, to był długi dzień, nie mam siły dłużej pisać. Nie żeby chciało mi się spać, ostatnio prawie nie sypiam, ale mogę przynajmniej leżeć w łóżku i odpoczywać przez kilka godzin, myśląc o tym, co zrobić z dziennikarzem. Jestem pewna, że tu wróci. W końcu przebył tak długą drogę, żeby ze mną porozmawiać. Ale sama będę się nad tym zastanawiać, więc życzę Ci dobrej nocy, Alexandrze, gdziekolwiek jesteś...

Najstraszniejsze w starzeniu się nie jest to, że zbliża się śmierć, ani to, że człowiek podupada na zdrowiu i czynności niegdyś proste teraz sprawiają trudność. Na to jest się przygotowanym. Najbardziej przerażające jest to, że człowiek znika, co – jak myślę – dotyczy szczególnie kobiet. Nie przygotowałam się na to, że nikt nie będzie na mnie patrzył. Dziś rano poszłam na zakupy do supermarketu. Wracając do domu, szłam przez park. Usiadłam na ławce. Jakiś młody mężczyzna, na oko mógł mieć dwadzieścia pięć lat, przysiadł obok mnie. Miał kręcone włosy i wąs, z którym było mu nie do twarzy. Nie widział mnie, chociaż jego ciało znajdowało się zaledwie pół metra od mojego. Siedział przechylony do przodu, z rękami na podolku, i spoglądał w górę na drzewa. Był ubrany w krótkie spodenki, czerwone z białym paskiem wzdłuż nogawki, i biały T-shirt. Wyglądał tak, jakby przed chwilą grał w piłkę nożną lub tenisa, ale nie miał przy sobie żadnego sprzętu, więc najwyraźniej lubił się tak ubierać, nic więcej. Oczywiście zauważył mnie. Zobaczył starą kobietę o rzadkich siwych włosach i pomarszczonej twarzy. Prawdopodobnie równie małe wrażenie zrobiłby na nim gołąb spacerujący po zwirowej ścieżce. Chodzi mi właśnie o ten brak zainteresowania. Gdyby wiedział, o czym wtedy myślałam! Widziałam jego owłosione łydki i nabite, mocne ciało i pomyślałam sobie – szczęśliwa ta, która może położyć dłoń na jego torsie. Moje myśli nie są stare ani zgrzybiałe, są młode jak wtedy, gdy miałam szesnaście lat, równie żywe, ale kiedy patrzę w oczy mężczyzny, jestem nikim. To jest właśnie przerażające w starzeniu się.

Odszedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, pomyślałam, że przeżywa zawód miłosny. A potem pojawiła się myśl: szczęśliwy, kto ma dwadzieścia pięć lat i złamane serce!

Siedziałam na ławce, w cieniu wielkich drzew. Między nimi połyskiwały wody kanału. Pomyślałam o Gro, Henningu i Solveig. Że wymieniałam ich na Ciebie.

Dzisiaj umyłam szafki i szuflady w kuchni, wszystkie, zajęło mi to wiele godzin. Potem siedziałam w ciepłe na werandzie i spoglądałam na miasto. Lubię Malmö, cieszę się, że tu zamieszkaliśmy. Gdy tak siedziałam, przyszło mi nagle do głowy, że powinnam pojechać do domu. Myśl zjawiała się niespodzianie i przyprawiła mnie o dreszcze. Bo to by było takie proste. Mogłabym przespacerować się na dworzec kolejowy, wsiąść do nocnego pociągu do Oslo, potem przesiąść się na pociąg do Bergen, a tam wejść wieczorem na prom. Albo polecieć samolotem i jeszcze szybciej dotrzeć na miejsce.

Fantazjowałam o tym, co by się tam działo.

Jak by wyglądali.

Jak by mnie przyjęli.

Fantazjowałam o tym, że pozwoliliby mi tam mieszkać do końca moich dni.

Nigdy wcześniej, nawet w najtrudniejszych chwilach mojego życia, podobna myśl nie przyszła mi głowy.

Prychnęłam zirytowana sama sobą, poszłam do kuchni i przygotowałam sobie gin z tonikiem – tonik kupiłam w sklepie dziś rano, zupełnie jakbym przeczuwała, że będzie mi wkrótce potrzebny – i wyszłam znów na werandę, potrząsając lekko szklanką i słuchając cudownego brzęczenia kostek lodu.

To wtedy postanowiłam, że porozmawiam z dziennikarzem. Jeśli znowu spróbuje nawiązać kontakt. A na pewno to zrobi.

O Twojej przeszłości, Alexandrze, nie wiem zbyt wiele, poza tym że byłeś sierotą i kiedyś spędziłeś lato w Norwegii razem z innymi osieroconymi dziećmi. To dlatego kochałeś Norwęgę. Zwykłeś powtarzać, że to raj na ziemi. Później, gdy już tu mieszkaliśmy, a ja doświadczałam powolnego przebudzenia, zaczęłam się zastanawiać, czy byłam częścią tego równania. Czy po prostu nie przelałeś na mnie swojej miłości do białych lodowców, zielonych górskich zboczy, głębokich fiordów i krętych żwirowych dróg. Ale przebudziłam się wystarczająco, by zrozumieć, że nie robiło to właściwie żadnej różnicy. Tak czy inaczej człowiek kończy u boku kogoś innego niż osoba, w której się zakochał. Bo chyba nie myślisz, że ten zgarbiony, zrezygnowany mężczyzna, który każdego ranka siedział na krawędzi łóżka, przechylony do przodu, i wzdychał głęboko, był tym, o którym dawniej marzyłam?

Urodziłam się w 1916 roku, podczas pierwszej wojny światowej, której nikt w domu nawet nie zauważył, jako córka Håkona i Halldis Myklebust, czwarte z ich

sześciorga dzieci. Tata był niskim i krępy męczyzną, silnym jak tur, z czego słynął. Miał niewiarygodnie szorstkie dłonie, te jego dłonie pamiętam najlepiej, pamiętam, jak siedziałam mu na kolanach jako mała dziewczynka, a on głaskał mnie po głowie. Czułam się tak, jakbym siedziała na kamieniu! Pachniał tytoniem i stajnią i prawie nic nie mówił. Mama była mała i drobna, usta jej się nie zamykały, dopiero jako dorosła osoba zrozumiałam, że musiała być chora na nerwy, jak się wtedy mawiało. Nerwy jej szwankowały, ciągle na nas krzyczała, że nie da się z nami wytrzymać, zwłaszcza ze mną. Myślę, że to dlatego, że byłam taka ładna. Chyba wolno mi tak powiedzieć? Bo naprawdę byłam ładna. I śmiała. Miałam niewiele lat, gdy zrozumiałam, że mama nie ma nade mną władzy, że mogę robić, co chcę. Wystarczyło jej odpyskować, krzyknąć na nią, a oblatywał ją strach, nie znosiła tego. To było wspaniałe, ale także bolesne uczucie.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłam Ivara, miałam siedemnaście lat. Siedemnastego maja 1933 roku na potańcówce w młodzieżowym domu kultury. On miał prawie trzydzieści. Był silny, ciemnowłosy i wśród tylu innych dziewcząt dostrzegł właśnie mnie. To było zaledwie przelotne spojrzenie, które sprawiło, że serce zabiło mi mocniej i pomyślałam: to on, to jego chcę – mogła napisać ta kobieta o dziwnym życiu, o którym nie mam pojęcia, wiem jedynie o kilku zdarzeniach, w których uczestniczyła, a które musiały odcisnąć na niej niezwykle piętno. Takie jest życie – przynajmniej wówczas, gdy się jest na nie otwartym – w każdej chwili może wydarzyć się coś nieprzewidzianego i brzemiennego w skutki, co w przyszłości zadecyduje o tym, kim lub czym człowiek się stanie albo gdzie rzuci go los. Wszystko, co się dzieje, jest naznaczone nieprzewidywalnością, ale wydarzenia są zwykle tak błahe, a ich konsekwencje tak niezauważalne, że o tym nie myślimy. Tak jak wtedy gdy człowiek odbiera telefon od kuzyna, który chce wpaść z wizytą, i do tej wizyty, o której zaledwie kilka dni wcześniej nikt nie wiedział, dochodzi. Lub kiedy spotyka się kogoś nowego, może na peryferiach innego zdarzenia, i obu stronom to spotkanie wydaje się nic nieznaczące, a w każdym razie pozbawione konsekwencji, po czym ma miejsce kolejne spotkanie, w innym kontekście, a może nawet i trzecie, i człowiek nagle doznaje olśnienia: chcę być z tym kimś na zawsze. Przez nasze małe życia przetaczają się wielkie ruchy, lawiny w głębinie codzienności. Wojna wydobywa je na powierzchnię, poczucie życia jest wówczas intensywniejsze, a to, co zwykle osadza człowieka w jego rzeczywistości, łatwiej może zostać uchylone. Rodzice częściej niż inni wypatrują tych nieprzewidywalnych zdarzeń, lepiej je znają, lub przynajmniej odczuwają przed nimi lęk. Najpierw, gdy dzieci są małe, gdy wszystko stanowi potencjalne zagrożenie – ze zgrozą myślę o ojcu, który zeszłego lata zostawił niemowlę w samochodzie i znalazł je martwe, gdy wrócił, lub o matce, która poszła po coś do salonu, kiedy jej córka kąpała się w wannie, i zanim wróciła do łazienki, dziewczynka zdążyła utonąć – potem, kiedy dzieci



rosną i pojawiają się prawdziwe życiowe próby: niewielu rodziców chce, aby ich dzieci zostały wciągnięte w wir wielkich wydarzeń, większość życzy im przewidywalnego, bezpiecznego, rozsądnego i harmonijnego życia. Ja również. Masz dopiero dwa lata, więc chwilowo chodzi o to, żeby dopilnować, by było Ci ciepło i sucho, żebyś była najedzona, bezpieczna i odpowiednio stymulowana, ale nadejdzie dzień, kiedy wyruszysz sama w świat, a wtedy nie chciałbym, żebyś podejmowała ryzykowne decyzje mogące zakończyć się fiaskiem lub narażała się na niebezpieczeństwo, lub znalazła się w sytuacji, w której groziłoby Ci społeczne wykluczenie.

Kiedy to pisałem, biegłaś co tchu przez trawnik, bosa i z rozwianymi włosami, uciekając przed swoją starszą siostrą. Są dwie minuty po dwudziestej, promienie słoneczne zniknęły z ogrodu, nie licząc fragmentu kasztanowca, gdzie liście odbijają je i świecą jasną zielenią. Poza pisaniem tego tekstu odwozłem dzisiaj Twoje siostry na przedstawienie musicalu, dokładnie o wpół do dwunastej, spałem przez godzinę w letnim domku, gdzie jest chłodno i gdzie zapadam w cudownie głęboki sen, pojechałem po Twoje siostry, dokładnie o siedemnastej, po drodze odbierałem najpierw trzy niemieckie radiostacje, potem jedną, aż w końcu żadnej – podczas gdy złociste łany zbóż ciągnęły się na wszystkie strony pod głębokim błękitnym niebem, z morzem jako ciemnoniebieską obwódką na wschodzie. Tu i ówdzie zboże jest niemal białe, gdzie indziej żółte z odcieniem czerwieni, wszędzie zaś suche i pełne, a nad nim, oprócz drzew, wznoszą się wiatraki, zgrabne i białe, i tego popołudnia całkowicie nieruchome.

Teraz jest trzynaste minut po dwudziestej pierwszej i światło słoneczne zniknęło również z kasztanowca. Nie został już po nim żaden ślad w krajobrazie, jedynie pośredni, w szarawym powietrzu, które im wyżej spoglądam na niebo, tym jest jaśniejsze i które na środku nieboskłonu ma w sobie jeszcze odrobinę błękitu. Chwilę temu w ogrodzie zrobiłem sobie przerwę i nade mną, z głębokim niebem w tle, przeleciało stado jaskółek, tam i z powrotem. Niektóre z nich były tak daleko, że wyglądały jak małe punkciki, inne zaś krążyły jakieś dwadzieścia metrów nade mną. Kiedy znajdowały się pod określonym kątem w stosunku do słońca, które tam, gdzie siedziałem, było niewidoczne, ich skrzydła stawały się ogniste pomarańczowe. To się powtarzało wiele razy, małe ptaki zdawały się płonąć. Próbowałem je policzyć i doszedłem do czternastu. Między nimi a mną unosiły się chmary owadów, również one odznaczały się wyraźnie na tle nieba. Panowała cisza, żaden powiew wiatru nie poruszał liśćmi. Z ogrodu sąsiadów dolatywały czyjeś okrzyki i śmiech, chwilami niemal histeryczny. Przez moment wydawało mi się, że głos należy do kobiety, ale potem zrozumiałem, że musiał należeć do mężczyzny, prawdopodobnie dwudziestoparoletniego. No dalej! – wołał. Zobacz, jaki twój tata jest silny! Cha, cha, chaaaa, chaa, chaaaaaaa! – śmiał się. Na chwilę zapadła cisza, a potem dał się słyszeć niewyraźny dźwięk podobny

do pierdnięcia. Ale chyba nie mogło być aż tak cicho? Od osób przebywających w sąsiednim ogrodzie dzieliło mnie dwadzieścia metrów i dwa żywopłoty. Dźwięk powtórzył się. Cha, cha, chaaaaaaa! – rozległ się głos. Potem usłyszałem beknięcie i wtedy byłem już pewny, co tam się dzieje. W tym czasie czytałem artykuł w „The Guardian” o Williamie Egglestonie, amerykańskim fotografe, którego wystawa prac jest obecnie prezentowana w Londynie, i przyglądałem się jego zdjęciom. Niektóre z nich znałem, ich kolorystyka działała na mnie hipnotyzująco, nigdy wcześniej nie zetknąłem się z niczym podobnym. Pierwszy raz usłyszałem o nim w biurze w Nowym Jorku, dobry znajomy fotografa pokazał mi kilka jego książek i opowiedział parę historii z jego życia, które było tak barwne, jak barwne bywa życie artystów alkoholików, kiedy przyjmuje anegdotyczną formę. Pół roku później odwiedził mnie tutaj inny fotograf, Juergen Teller; zacząłem mu opowiadać zasłyszane historie o Egglestonie i nagle zauważyłem, że wyraz twarzy Tellera zmienił się lekko, jakby padł na nią cień, chociaż siedzieliśmy wewnątrz domu. William jest moim przyjacielem, powiedział. Podróżowaliśmy razem. Zrobiłem mu masę zdjęć. O tym właśnie myślałem, siedząc w ogrodzie, czytając artykuł i patrząc na fotografie, którym mały wyświetlacz telefonu komórkowego nie oddawał sprawiedliwości, a które i tak rzucały na kolana. Może chodzi o głębię barw, to ona sprawia, że płaszczyzny stają się oszalamiające, co często dzieje się na obrazach, ale prawie nigdy na fotografiach. Mam album duńskiego fotografa Kelda Helmera-Petersena, niektóre z kolorowych zdjęć zrobionych przezeń w latach czterdziestych wywołują ten sam efekt, kolory pozostawiają mnie chciwym na coś, czego nie umiem sprecyzować, a jednak czynią to w zupełnie inny sposób, ponieważ Helmera-Petersena interesowały forma, geometria, wzory i systemy, Eggleston zaś jest zainteresowany ludźmi i moim zdaniem patrzy na nich z tak dużej odległości, jakby fotografował gatunki zwierząt, egzotyczne ptaki lub zwierzęta afrykańskiej sawanny, a jednocześnie wychwytuje to, co dla każdego z nich osobliwe i indywidualne.

Prawdopodobnie ojciec grający z synem w piłkę nożną w sąsiednim ogrodzie prędzej czy później zapomni o tej chwili, o tym wieczorze, to samo dotyczy jego syna i dotyczyłoby mnie, gdybym o tym nie napisał, pomyślałem, wstając, by tu wrócić i to zrobić, nie bez ukłucia żalu w sercu, ponieważ ta chwila była pozbawiona jasnego znaczenia, a jej bezsensowność zostanie wzmocniona, kiedy przeleję to na papier, a jeszcze bardziej, kiedy umrę: ta chwila będzie zapisana gdzieś w książce, samotna i bez świadków: dlaczego właśnie ją należało oszczędzić – ze wszystkich innych, które się nam przytrafiają?

Położyłaś się spać, Twoja mama, która wróciła wczoraj wieczorem, czytała Ci na dobranoc. Spędziłaś z nią cały dzień, pojechałyście do miasta razem z opiekunką, zrobiłyście zakupy i zjadłyście naleśniki, przez godzinę spałaś w łóżku ze szczebelkami, a gdy się z niego wygramoliłaś, wciąż senna, nie chciałaś

jeść, tylko siedzieć na kolanach i patrzeć, jak my jemy obiad w ogrodzie. Gdy na moim kapeluszu przysiadł motyl, roześmiałaś się i machałaś rękami, żeby odleciał. Po chwili zaczęłaś pluć, wymawiając soczyście dźwięk „p”, a gdy poprosiłem Cię, żebyś przestała, zsunęłaś się z moich kolan i z nadąsaną miną i rękami skrzyżowanymi na piersi podeszłaś do ogrodzenia, gdzie stałaś zwrócona do nas plecami, a Twoja starsza siostra śmiała się, bo wyglądałaś jak słodziak. To Cię jeszcze bardziej rozsierdziło, odwróciłaś głowę i obserwując moją reakcję, wyciągnęłaś dłoń w stronę dużego liścia, zamierzając go zerwać, ponieważ nie dalej jak wczoraj, gdy zerwałaś jedną z wciąż jeszcze twardych śliwek, zabroniłem Ci to robić. Widząc to, uśmiechnąłem się tylko, a wtedy cofnęłaś rękę i przydreptałaś z powrotem do stołu.

Twoja mama idzie właśnie po kamiennej ścieżce biegnącej wzdłuż domu z butelką ramlösa<sup>[16]</sup> w dłoni, jak cień skradający się o zmroku, idzie usiąść na drewnianych schodach, gdzie zwykle pali papierosy. Domyślam się, że już śpisz, zwykle od chwili kiedy kładziesz się do łóżka, do momentu zaśnięcia mija zaledwie kilka minut. Ja też jestem zmęczony, ale muszę posiedzieć tu jeszcze kilka godzin, ponieważ plan jest taki, że jutro mam oddać ostatnią część książki. Przejrzałem pierwszy fragment w środę rano, zostawiając gości samych sobie – wybrali się na plażę, zanim po południu wsiedli do samolotu – o trzynastej odesłałem go redaktorowi, a ponieważ było już za późno, żeby zmobilizować się i zacząć pisać coś nowego, zamiast tego wytoczyłem kosiarkę z korytarza letniego domku i skosiłem trawnik. Zataczając coraz mniejsze kółka, myślałem o poprzednim wieczorze, przypominałem sobie strzępy rozmowy i nagle poczułem palący wstyd: siedziałem i przechwalałem się. Kuzyn spytał, jak było w Brazylii, a ja opowiedziałem mu, jak wiele osób uczestniczyło w festiwalu literackim. Gdy zapytał, czy dużo podróżuję, odparłem, że gdybym chciał, mógłbym podróżować każdego dnia w roku, ale że teraz wszystkim odmawiam. Indie, powiedziałem, Argentyna, Bali, Chile, Południowa Afryka.



Dlaczego to powiedziałem?

To nie były niezbędne informacje, tylko zwykłe przechwałki.

Wszedłem w długi, zacieniony fragment ogrodu przy ogrodzeniu, gdzie nie rosły prawie żadne trawy, tylko same chwasty i mech między płatami nagiej ziemi, i zaczerwieniłem się. Byli o kilkanaście lat młodszy ode mnie, a mimo to czułem potrzebę, by zapewnić ich, że idzie mi świetnie.

Jakbym miał dwanaście lat. Dwunastolatek nad tym nie panuje, ale czterdziestosiedmiolatek? Ojciec czworga dzieci?

Zamiast przesuwając się równolegle do kamiennej krawędzi rabaty, ciągnącej się wzdłuż krótszego boku ogrodu, i skosić trawnik w kształcie jednego długiego kurczącego się okręgu, skręciłem, dzieląc w ten sposób trawnik na dwie części. Pomyślałem wówczas o tacie, który powiedział mi kiedyś, że The Beatles, zespół, którego najchętniej wtedy słuchałem, skopiował wszystkie swoje największe przeboje od nieznanymi klasycznymi kompozytorami, i że tata odkrył to, gdy w młodości uczył się grać na pianinie. Miał mi to pokazać następnym razem, kiedy odwiedzimy babcię i dziadka, bo u nich w domu stało pianino. Gdy przyjechalibyśmy do dziadków, poprosiłem go, żeby zagrał mi te piosenki. Nie chodziło o to, że mu

nie wierzyłem, w końcu był moim ojcem i zakładałem, że wszystko, co mówi, jest prawdą; poprosiłem go o to, ponieważ byłem tym szczerze zainteresowany. Odparł, że te melodie są zapisane w jakichś starych nutach, nie zna ich na pamięć, a nie ma teraz czasu grzebać w pudłach z rupieciami. W to też uwierzyłem; dopiero wiele lat później zrozumiałem, że wymyślił to wszystko. Ale dlaczego? Może był zazdrosny o The Beatles, którzy tak wiele dla mnie znaczyli, i chciał umniejszyć ich wartość, jednocześnie zwiększając własną?

Ale to było kłamstwo, nie przechwałki.

A jednak to było coś w tym guście.

Gryzło mnie to okropnie; skończyłem jedną część i zacząłem drugą.

No trudno, pomyślałem. Stało się. Nic już nie da się z tym zrobić.

I odrobinę poprawił mi się humor, bo wiedziałem, że zaraz skończę kosić trawnik, a wieczorem miał nas odwiedzić mój brat.

A niech to!

Inny epizod wychynął z komnaty wstydu. Graliśmy z zespołem w Nowym Jorku, co samo w sobie było straszne, ale przez całą podróż opowiadałem wyłącznie o sobie, dokładnie w ten sam sposób. Zwłaszcza basiście. Po prostu bardzo go lubiłem, więc mogłem niejako pofolgować sobie, być tym, kim naprawdę byłem, to znaczy potwornym egocentrykiem.

Gdy poprzedniej jesieni nagrywaliśmy w studiu w Göteborgu, leciałem tam i z powrotem do Sztokholmu, żeby wziąć udział w talk show, i wstyd spowodowany tym, co wygadywałem w programie, był tak ogromny, że wracając, myślałem o tym, żeby odebrać sobie życie i już go nie czuć. To się może wydawać przesadne, ale czasem tak mam: drobne, nic nieznaczące sprawy urastają do rangi gigantycznych problemów, niemożliwych do udźwignięcia. Gdy byłem znów w studiu, nie potrafiłem rozmawiać o niczym innym. Mówienie o tym było próbą przywrócenia całej sprawie właściwych rozmiarów. Wtedy ci inni mogli powiedzieć: aż tak źle nie było, co odbierałem jak chłodny powiew w samym środku pożaru. Następnego ranka siedziałem na kanapie i rozmawiałem z wokalistką, wciąż dręczony wstydem, i gdy basista podszedł do ekspresu, żeby przygotować sobie kawę, powiedziałem – żeby się usprawiedliwić i pokazać, że mam trochę dystansu do siebie – zgadnij, o czym rozmawiam? Oczekiwałem, że odpowie, że o talk show, ale on odparł lakonicznie: o sobie?

Ten komentarz wrył się w moją pamięć.

Ponieważ mam tego świadomość, zawsze próbuję rozmawiać o innych, zadawać im pytania, w mechaniczny sposób, a kiedy o tym zapominam i mówię coś, co ma związek ze mną, ogarnia mnie wstyd – co oni sobie o mnie pomyślą? – i staram się jak najszybciej skierować rozmowę na inne tory.

Narcyzm to infantylny stan, tak samo jak próba wyjścia z niego.

Drugi okrąg wymagał więcej wysiłku, ponieważ teren przypominał bardziej

las niż ogród i dwa razy ostrza trafiały na kamienie, wydając przy tym przenikliwy zgrzyt, który sprawiał, że wracałem do materialnej rzeczywistości, z jej światłem słonecznym i bujnością roślin we wszystkich barwach.

Walka ze wstydem jest stara, ja toczę ją, odkąd skończyłem trzynaście lat, ale problem ze wstydem polega między innymi na tym, że wstyd jest zawsze nowy, zawsze pojawia się niejako po raz pierwszy – i to jest jego wspólna cecha z innymi uczuciami, które nas opanowują, pożądaniem lub zakochaniem, zazdrością lub nieśmiałością, czystymi w tym sensie, że nie zawierają nic innego poza sobą, są bezrefleksyjne i pozbawione doświadczenia. Trzeba mieć system, by stawić im czoło, trzeba złapać je w coś, by móc stanąć poza nimi. Jedyna prawda, którą jestem w stanie przełamać całkowitą dominację wstydu, jest taka, że wstyd mija i że pewnego dnia ukazuje się w swoim właściwym wymiarze, który prawie zawsze jest niewielki. Ważne, by nie zrobić niczego głupiego, kiedy go czujemy, by nie działać w zgodzie z nim, lecz go przeczekać. To samo dotyczy lęku, zazdrości, pożądania.

Gdy trawnik był gotowy, poszedłem na górę i obudziłem Cię – spałaś, odkąd wyszła opiekunka, czyli od drugiej, a teraz było wpół do czwartej – ubrałem Cię w nową sukienkę, zszedłem na dół, usiadłem na korytarzu z Tobą na kolanach i włożyłem Ci różowe sandały, i pojechaliliśmy na dworzec po Twoją najstarszą siostrę. W tym czasie dzwoniła i wysyłała esemesy kilka razy, niepokojąc się, że nikt po nią nie wyjdzie na stację, potem zrobiliśmy zakupy, prawie dokładnie takie same jak dzień wcześniej: parówki, mięso, warzywa, ser feta, oliwki, bułki do hot dogów, napoje, truskawki i lody, bo mój brat i jego przyjaciel mieli przyplłynąć o szóstej, tym samym promem z Bornholmu, którym przyplłynął kuzyn z rodziną, ale tamci dwaj mieli zostać u nas dzień dłużej. Zaprosiłem również dwoje przyjaciół, którzy tu mieszkają, z dwojgiem dzieci, więc do obiadu zasiądziemy w dziesiątkę. Zestawiłem dwa stoły, przykryłem je obrusami, przyniosłem talerze, szklanki i sztucce, napełniłem grill węglem drzewnym, oblałem podpałką, pokroiłem mięso, zrobiłem sałatkę, w powtórcie z poprzedniego dnia. Następnie odebrałem brata i jego przyjaciela z przystani w pobliżu dworca i zawiozłem ich do domu, a Ty przez całą drogę siedziałaś jak sparaliżowana tym obcym towarzystwem usadowionym tuż obok jednego z miejsc na świecie, z którymi byłaś najbardziej zżyta: obok fotelika samochodowego zamontowanego na tylnej kanapie naszego auta.

Następnego dnia o dwudziestej pierwszej moim oczom ukazał się jeden z najfantastyczniejszych widoków, jakie miałem okazję zobaczyć. Jechaliśmy drogą między polami zbóż i gdy morze otworzyło się przed nami, było spokojne i tuż przy brzegu miało niesamowicie srebrzystoniebieską barwę, która stopniowo przechodziła w lekką mgłę, tak że granica między wodą a niebem zupełnie się zatarła. Fantastyczne było to, że tego wieczoru po morzu płynęło wiele dużych

łodzi, które wyglądały, jakby szybowwały po niebie.

Gdy to zobaczyłem, ciarki przeszły mi po plecach.

Ale na tym nie koniec.

Gdy wracałem z wami do domu, Twoja najstarsza siostra siedziała obok Ciebie na tylnej kanapie, starsza z przodu, obok mnie, ujrzelśmy za sobą księżyc na wschodzie. Był wprost olbrzymi i znajdował się tuż nad ziemią, jaskrawożółty na tle bladobłękitnego nieba, pod bezkresnymi łanami zbóż rozciągającymi się pod nim. Wszystkie kolory były jakby wysrane z krajobrazu, poza bladą żółtością zboża i pełną, czerwoną żółtością księżycy. Księżyc! – zawołałaś. Patrzcie, księżyc!

To był magiczny wieczór.

Następnego dnia obudziłem Cię wcześniej rano, bo musieliśmy jechać po Twojego brata do Göteborga, a nie mogliśmy się spóźnić, ponieważ miał się zabrać z właścicielem sąsiedniego domku letniskowego do miejscowości o nazwie Onsala i czekać na nas w tamtejszej restauracji McDonald's. Gdy wyruszyliśmy w drogę, było ponad dwadzieścia stopni, a gdy wjeżdżaliśmy na autostradę z Malmö, temperatura dochodziła do trzydziestu. To był najcieplejszy dzień w roku, a my mieliśmy spędzić go w samochodzie. Nie byłaś tym zachwycona, a ja nie mogłem nic na to poradzić. Gdy zatrzymaliśmy się na dużym przydrożnym parkingu przed Helsingborgiem i zaprowadziłem Cię do toalety, byłaś tak obrażona, że nie chciałaś się załatwić. A może nadal czułaś przerażenie na myśl o suchych toaletach ustawionych przed sceną muzyczną, gdzie poprzedniego wieczoru zrobiłaś się sztywna jak kłoda, tak że nie mogłem Cię posadzić na desce sedesowej, co doskonale rozumiem, bo widok nie był zbyt zachęcający. Może o to chodziło? Tak czy inaczej, rezultat był ten sam: zsikałaś się w foteliku samochodowym. Miałem ze sobą ubranie na zmianę i ręcznik, który mogłem rozłożyć na siedzeniu, ale upał sprawił, że wkrótce zaczął rozchodzić się brzydki zapach, co na pewno nie poprawiło Ci humoru. Po czterech godzinach wjechaliśmy na parking przed restauracją McDonald's i podczas gdy Ty spałaś w foteliku, ja stałem przed samochodem i szybko wypaliłem dwa papierosy, jeden za drugim. Wtedy zjawiał się Twój brat razem z sąsiadem. Obudziłem Cię. Na szczęście byłaś w lepszym nastroju i wszyscy razem zjedliśmy lunch. Sąsiad powiedział, że podczas dwugodzinnej podróży Twój brat opowiedział mu wszystko o Brazylii i o *Gwiezdnych wojnach*. Ucieszyłem się, ponieważ to oznaczało, że mój syn czuł się przy nim bezpieczny. I ucieszyłem się również, widząc, jak bardzo Ty się ucieszyłaś na widok starszego brata. Opowiadał mi też o kocie, dodał sąsiad, o Amadze. Że złapał lisa. Spojrzałem na Johna. Amaga złapała lisa? – spytałem. Zawstydzony spuścił wzrok. Tak, widziałem to na własne oczy, odparł, Amaga zabiła małego lisa. Okej, powiedziałem i nie kontynuowałem już tego tematu, nie chciałem, żeby syn stracił twarz, nie rozumiał, że sąsiad domyślił się, że to nie była

prawda. To było niepodobne do Twojego brata, w każdym razie wcześniej tego nie zauważyłem. Ale jako dziecko również zmyślałem, więc nie byłem tym zaskoczony.

Z wycieczki wrócił zmęczony – późno kładł się spać i wcześnie wstawał – ale szczęśliwy: łowili kraby, chodzili po górach, pływali łódką.

W drodze do domu odwiedziliśmy Thomasa i Marie w ich letnim domu w pobliżu Höganäs. Wy dostaliście sok i maślane bułeczki, ja kawę. Pokazałem im wydruk złamanego tekstu, który otrzymałem poprzedniego dnia, żeby mogli zobaczyć obrazy Kiefera, miałem nadzieję, że nie uznają mnie za egocentryka. Gdy byli z wizytą u nas, pokazałem im zdjęcia z wystawy Muncha; to, iż mogą pomyśleć, że się chwale, nie otrzeźwiło mnie na tyle, by sobie odpuścić. Bo przecież mogłem sobie darować pokazywanie im Muncha i Kiefera.

Po łącznie dziewięciu godzinach podróży przyjechaliśmy do domu, do nagrzanego słońcem cichego ogrodu pełnego brzęczących owadów i ptasich treli. Twoje siostry świetnie poradziły sobie same, opiekunka przygotowała im lunch, więc wszystko było w porządku.

Następnego dnia trzy razy kursowaliśmy do sceny muzycznej i z powrotem, z licznika odczytałem, że w sumie pokonaliśmy dwieście dwadzieścia kilometrów. Wieczorem wróciła Twoja mama i dzisiaj nie robię nic innego poza pisaniem. Gdy miałem zawieźć Twoje siostry, natychmiast oświadczyłaś, że nie jedziesz z nami, że wolisz zostać z mamą. Dobrze Cię rozumiem: nawet dla kogoś, kto lubi przejażdżki autem tak bardzo jak Ty, istnieją przecież jakieś granice.

Wstyd, który czuję tak mocno, pali tylko powierzchnię duszy, przypomina trochę płomień na węglach, jest wywołany podpałką i tańczy na czerni, lekko i niemal niezobowiązująco, podczas gdy zar ukryty w węglu jest czymś zupełnie innym i głębszym. Nikogo nie zabiłem, chociaż czasem tak się czuję, i to, z czym tak się borykam, w ostatecznym rozrachunku nic nie znaczy, dotyczy wyłącznie powierzchownych spraw, które dzieją się w życiu społecznym, na przykład tego, co inni sobie o mnie pomyślą, jest chwiejne i niestałe i nie ma oparcia w niczym istotnym. Wstyd dotyczy właściwie okresu dojrzewania, gdy podnosi się kurtyna i człowiek odkrywa, że jest częścią szerszego kontekstu, ale jeśli coś pójdzie nie tak, poczucie wstydu może utrzymywać się dłużej. Kobieta, którą sfabularyzowałem, doświadczyła czegoś zupełnie innego i głębszego, co wywołuje u niej poczucie winy. Nie mam pojęcia, czy w rzeczywistości czuła się winna, możliwe, że wyparła ze świadomości to, co się stało, lub nie miała wystarczającego wglądu w siebie, by zrozumieć zasięg tych wydarzeń. Kobieta, o której piszę, wie, co zrobiła, i rozmyśla nad tym, wybaczyła sobie, ale nie mogła w żaden sposób sprawić, by to, co się wydarzyło, nie zrujnowało jej życia.

**CZWARTEK, 28 LIPCA 2016**



Chociaż, jak można zrujnować sobie życie? W stosunku do czego? Tylko w stosunku do wyimaginowanego przebiegu wydarzeń, alternatywnego losu, ale to jest przecież tylko hipoteza, czysta fikcja. Jeśli człowiek upada, to upada, i choć można sobie wyobrazić, że jest inaczej, nie jest inaczej. Tylko to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. Żyje się tylko tym życiem, którym się żyje. Chyba nigdy nie napisałem nic bardziej oczywistego, a jednak trudno to zrozumieć, ponieważ dokonujemy tak wielu wyborów i każdy wybór wyklucza tak wiele możliwości, które nadal istnieją w cieniu naszych jaźni. Gdyby tata nie zaczął pić, być może wciąż by żył i zobaczyłby wszystkie swoje wnuczki i wnuków. Ale zaczął. Gdyby ta kobieta w Malmö nie zakochała się w niemieckim żołnierzu, nie opuściłaby swoich dzieci, nie walczyłaby do końca życia z poczuciem winy i nie miałyby wrażenia, że przeżyła życie połowicznie. Ale zakochała się w nim i porzuciła dzieci, i nigdy więcej ich nie zobaczyła. To się nazywa „pogodzić się z własnym losem”, a chodzi w tym właśnie o to, by zrozumieć, że życie staje się takie, jakie się staje, że niczego nie da się zmienić, że nie można podążać innymi śladami, tylko tym jednym, który kończy się, kiedy człowiek umiera i wciąga za sobą drabinę. Uważam, że w tej myśli jest zawarta pewna pociecha. Staramy się, jak możemy. Nawet ci, którzy nie za bardzo się starają, nie mogą postępować inaczej. Tylko nieliczni z nas są w stanie wskazać jedno jedyne wydarzenie, jeden konkretny wybór i powiedzieć: odtąd wszystko się zmieniło. Swedenborg to potrafił, kobieta w Malmö to potrafiła. Brat mojego dziadka, który wyruszył do Ameryki i zaczął tam nowe życie, również to potrafił. Dziadek nie potrafił. Ja też nie. Moje życie jest wynikiem wielu drobnych, zupełnie zwyczajnych wyborów, dobrych i złych, niektórych w pełni świadomych, w większości nieświadomych – kiedy wybory dotyczą uczuć, pozwalam im rządzić, a o tym, jakimi motywami kierują się uczucia, świadomość niewiele wie, przynajmniej na początku – jeśli świadomość zyska czas i przestrzeń doświadczenia, może dostrzec motywy i je zrozumieć. I w ten sposób przyzwyczajamy się oceniać życie, wiemy, że wgląd w nie jest czymś dobrym, że rozumiejąc, co robimy, możemy postępować właściwie, dzięki czemu nasze życie potoczy się tak, jak sobie tego życzymy. Ale jeśli wiemy, co robimy, istnieje duże ryzyko, że tego nie zrobimy. Jeśli myślimy o konsekwencjach, nie rzucamy się w nic na łeb na szyję, lecz pozostajemy na swojej pozycji. „Przedsiębiorczości hoża cera blednie / Pod wpływem wahań”<sup>[17]</sup>, jak mówi Hamlet w swoim słynnym monologu „Być albo nie być”. Ironia życia polega na tym, że składa się ono z dwóch części, jednej, kiedy człowiek nie jest w stanie myśleć, tylko działa, i drugiej, kiedy jest w stanie myśleć, lecz nie potrafi działać. Właśnie tak było w wypadku tej kobiety, która przejmie narrację w kolejnym zdaniu: kiedyś podjęła decyzję pod wpływem uczuć i przez resztę życia zastanawiała się, jak by to było, gdyby dokonała innego wyboru lub gdyby

w ogóle miała jakiś wybór. Nie wiem, co było dla mnie ważniejsze tamtego wieczoru w domu kultury: to, że on zauważył mnie, czy to, że ja zobaczyłam jego. Gdy się zaręczaliśmy, powiedziałam sama do siebie, że poszłam za głosem serca. Oddałam się całkowicie tej myśli, byłam w niej prawie tak samo zakochana jak w Ivarze. Myślałam również o tych innych dziewczynach, myśl o nich także mnie uskrzydlała. To jego zobaczyłam, ale siła, z jaką go ujrzałam, która sprawiła, że z radości kręciło mi się w głowie, pochodziła ze wszystkich innych miejsc.

Mamie się nie spodobał. Dała temu zdecydowany wyraz. Ale wtedy było już za późno.

Tamtego wieczoru na potańcówce nic się nie wydarzyło. Spojrzał na mnie kilka razy, to wszystko. A mimo to gdy obudziłam się następnego dnia, o niczym innym nie myślałam. Dowiedziałam się, że wypytywał o mnie. Ja też wypytywałam o niego. Pochodził z jednej z wiosek w głębi fiordu. Wiosną i latem budował domy, jeśli miał komu, czasem daleko, bo aż w Bergen. Jesienią i zimą pływał na kutrze rybackim. Łowili w okolicach Bulandet<sup>[18]</sup>. Jego matka nie żyła, mieszkał z ojcem i dwoma braćmi i to z nimi stawiał domy i pływał kutrem. Kiedyś był zaręczony, ale zaręczyny zostały zerwane. Był znany z tego, że lubił wypić. To, że zwrócił na mnie uwagę i wypytywał o mnie, było niesamowicie ekscytujące, prawie nie do wytrzymania. On był dorosłym mężczyzną. Ja zaledwie dwa lata wcześniej byłam konfirmowana.

Mijały tygodnie i nic się nie działo. Ale ja wiedziałam, co on chce zrobić, jak chce się zjawić. Nietrudno to było wyliczyć. W czerwcu, kiedy krowy wyprowadzano na letnie pastwiska, przeniosłam się razem ze swoją najstarszą siostrą do bacówki stojącej na zboczu górskim w głębi doliny. W pobliżu znajdowały się inne szałas i inne dziewczęta. A gdzie były dziewczęta, tam zjawiali się chłopcy. Jeśli chciał się ze mną spotkać, a tego byłam pewna, właśnie tam zamierzał przyjść.

Lato w Vestlandet różni się bardzo od lata w Malmö. Góry dają letnim dniom głębię i zamykają je wewnątrz, natomiast w Szwecji letnie dni są rozciągnięte, otwarte i szerokie. Lato w Norwegii jest także bardziej zielone, w dziki sposób, jeśli można się tak wyrazić; tu, na równinach Skanii, zieleń jest sucha i otoczona żółtością, beżem i bielą, w Vestlandet – wilgotna, bujna, ciemna. Poza tym tutejsze noce są ciemne, a tamte jasne.

Wciąż tęsknię za owymi jasnymi letnimi nocami, gdy siedziałyśmy na wzgórzu nad bacówką i spoglądałyśmy na dolinę, z fiordem w głębi i górami po drugiej stronie. Gdy niebo było tak jasne, że gwiazdy były prawie niewidoczne, a nam żal było iść spać.

I tęsknię za deszczowymi dniami, gdy siedziałyśmy w bacówce, na kominku palił się ogień, deszcz bębnił o dach, a my grałyśmy w karty lub patrzyłyśmy przez okno na otaczającą nas zewsząd zieleń.

I tęsknię za pogodnymi dniami, gdy kąpałyśmy się w głębokim oczku wodnym i spoglądałyśmy w górę, na ośnieżone szczyty gór pod ciemnobłękitnym niebem i owady tańczące w promieniach słonecznych. Tamtego lata za każdym razem, kiedy zobaczyłam coś pięknego lub przeżyłam coś wspaniałego, myślałam o nim.

Kiedy kładłyśmy się spać, długo leżałam na łóżku i nasłuchiwałam dźwięków, których źródłem mógł być on, ale słychać było tylko dzwonki krów i owiec, samotne między zboczami gór, i rzadkie odgłosy ptaków. W niektóre wieczory również dobiegające z oddali głosy, muzykę akordeonową lub skrzypcową.

Gdy tak leżałam, postrzegałam samą siebie jako tę, która czeka na niego, tę, która chce go przyjąć.

To była moja tożsamość.

To była ważna tożsamość, ważniejsza od tej, którą miałam zazwyczaj. Może dlatego że była niespecyficzna i niepodzielona; wszystko, co było mną, wpływało w to wyobrażenie i znikało w nim.

Zjawił się, oczywiście.

Przyszedł z kolegą, słyszałam ich głosy na długo przedtem, zanim ich zobaczyłam, to była jedna z tych nocy, kiedy dźwięki niesły się daleko. Gdy zbliżyli się do szalasu i słychać było odgłosy ich kroków, usłyszałam, że jeden uciszał drugiego.

Uśmiechnęłam się.

Na drugim łóżku moja siostra odwróciła głowę i spojrzała na mnie. Przyłożyłam palec do ust. Parsknęła śmiechem, a ja pogroziłam jej pięścią.

Byli teraz w pomieszczeniu pod nami. Słyszałam, że ktoś próbuje wspiąć się po drabinie.

Lepiej wracajmy, usłyszałam szept z dołu.

Stojący na drabinie zaśmiał się głośno. To był Ivar.

Jeszcze kilka szczebli i po chwili ukazała się jego głowa.

Johanne? – odezwał się.

Jestem tu, odparłam.

I serce zabiło mi w piersi. I to jak! Waliło jak młotem!

Poszliśmy nad wodospad. Po drodze niewiele mówił. Na miejscu objął mnie, mocno i gwałtownie, poczułam jego twarde ciało tuż przy swoim i to poczucie już mnie nie opuściło.

Mroczny, milczący i niebezpieczny, tak o nim myślałam.

Na co mi to, co ciemne, milczące i niebezpieczne – o tym nie myślałam.

W długie bezsenne noce w bacówce tęskniłam za tym, by przycisnął mnie do siebie. Bywało, że wstawałam i wychodziłam na dwór, przepelniona jedynie myślą o nim, szłam nad wodospad, który lśnił bielą w szarości nocy.

Znów przyszedł, tym razem mnie pocałował. Czułam od niego alkohol, słodkawa woń działała podniecająco.

W noc świętojańską siedzieliśmy wszyscy wokół ogniska na równinie przy rzece. Chwycił mnie za rękę i zaprowadził w ustronne miejsce, z dala od innych, a ja położyłam się i przyjął go. Potem czułam palący wstyd i równie intensywne szczęście.

Zbrukałam się, ale chciałam tego, dało mi to radość.

Poślubiłam go następnego lata. Do naszego starego domu dobudował nowy, w którym zamieszkaliśmy. Urodziło nam się troje dzieci, rok po roku. Przestał się mną interesować, dziećmi nie zainteresował się nigdy.

Wiele kobiet miało podobnie, nie byłam wyjątkiem. Ale byłam tak młoda, czy drzwi do świata rzeczywiście miały się zamknąć tak szybko?

Pił, nie miał honoru, wściekał się, gdy proponowałam, by zajął się czymś w okresach, gdy pozostawał bez pracy. Wiedziałam, że flirtował z innymi, może nawet z nimi sypiał. Wiele dziewcząt przyciągały jego jasne oczy i ciemna karnacja, i dzikość, kiedy był pijany. Ale miał przynajmniej tyle przyzwoitości, by nie robić tego w wiosce, w której mieszkaliśmy.

Nie miałam do kogo pójść, z kim porozmawiać, byłam zupełnie sama. Miałam dzieci, ale nie potrafiłam sprawić, by w naszym domu panowała radość, krzyczałam na nie, tak jak matka krzyczała na mnie.

Na początku starałam się go zrozumieć. Potem go usprawiedliwiałam. Wtedy jeszcze chciałam czegoś od niego i zdarzało się, że to dostawałam, zdarzało się, że było nam razem dobrze, ale później nawet tego już nie chciałam, stał się kimś, kto po prostu był, kogo obecność znosiłam.

Przez ponad dziesięć lat tak wyglądało moje jedyne doświadczenie z miłością.

Wybuchła wojna, ale nie wpłynęła jakoś szczególnie na nasze życie. W wiosce zamieszkali Niemcy, kawałek dalej powstał obóz dla jeńców wojennych. Ivar woził Niemców, nie było w tym nic nadzwyczajnego, wielu mężczyzn z wioski pracowało przy budowie dróg, Niemcy kupowali mleko, warzywa i mięso od chłopów, ryby od rybaków. Bariera językowa sprawiała, że nie utrzymywał z nimi bliskich kontaktów, nie zapraszał ich do nas do domu ani z nimi nie pił, z jednym wyjątkiem.

Jeden z oficerów, Austriak, mówił dobrze po norwesku, przyjeżdżał tu latem, gdy był dzieckiem, i wkrótce stał się jeśli nie przyjacielem, to w każdym razie dobrym znajomym Ivara.

Pewnego dnia Ivar zaprosił go do nas na obiad. Wtedy po raz pierwszy Cię ujrzałam, Alexandrze. Przez okno kuchenne, gdy ciężarówka zaparkowała na podwórzu i wysiadłeś z niej, mężczyzna średniego wzrostu, po trzydziestce, ubrany w niemiecki mundur, osłaniający oczy przed słońcem, lekko łysiejący, jak się

okazało, gdy kilka minut później zdjąłeś czapkę i przywitałeś się ze mną. Wąskie wargi, brązowe oczy, przyjazna twarz. W tłumie nie zwróciłabym na Ciebie uwagi, nie należałeś do mężczyzn, za którymi kobiety się oglądają.

Byłam sceptyczna, chciałam mieć możliwie jak najmniej do czynienia z Niemcami, a to, że zaprzyjaźniłeś się z Iwarem, działało dodatkowo na Twoją niekorzyść. Udawałam, że jestem bardzo zajęta przygotowaniem jedzenia, podawaniem do stołu i dziećmi.

## **PIĄTEK, 29 LIPCA 2016**

Nie ignorowałeś mnie, jak niektórzy przyjaciele Ivara, ale też nie dostrzegałeś we mnie kobiety, jak zdarzało się to innym. Przyglądałeś mi się z zaciekawieniem. Dzieciom również. Zwróciłam na to uwagę, ponieważ to było niezwykle, miałam wrażenie, że zostawiłeś gdzieś cząstkę siebie.

Zresztą nie wiem, czy wtedy tak myślałam, czy to przyszło później, podczas mojego powolnego przebudzenia, gdy przybyliśmy do Szwecji i wiele z moich wcześniejszych przeżyć zyskało nowe znaczenie. Ale czułam to, czułam, że jesteś nas ciekawy, tego, kim jesteśmy i jak nam się żyje, i domyśliłam się, że ta otwartość na innych jest Twoją cechą, bez względu na to, kogo spotykałeś i w jakich okolicznościach.

Nie, nie myślałam o tym. Bo byłam zła, gdy Austriak odjechał. Po co ten żołnierz do nas przylazł? Zaniósłam mamie jedzenie, byłam rozdrażniona i niecierpliwa. Pozmywałam, wydoiłam krowy, położyłam dzieci spać. Powiedziałam Ivarowi, żeby go więcej nie zapraszał. Dlaczego? – spytał, odparłam, że był wyniosły i że uważał się za lepszego od nas.

To, że mnie zauważył, nie było wcale miłe.

Zresztą więcej się nie pojawił, a ja przestałam o nim myśleć. Mama wymagała coraz więcej opieki. Kiedy do niej przychodziłam, przyglądała mi się wyraźnie zakłopotana, nie wiedziała, co się będzie działo ani jaka jest pora dnia. Jeszcze mnie rozpoznawała i oczekiwała, że będę ją obsługiwać. Nie wiem, co o sobie myślała, ale chyba wydawało jej się, że jest królową. Czesalam jej włosy, wyciągałam z szafy ubranie, uśmiechała się łagodnie i akceptowała mój wybór. Nie było w niej śladu złości ani rozpaczy. Siedziała cicho, ubrana w nocną koszulę w środku dnia, z rozpuszczonymi rzadkimi siwymi włosami, i patrzyła na mnie, życzliwa i zdezorientowana, kiedy przynosiłam jej jedzenie. Za to nocą potrafiła krzyczeć i wołać przez sen. Jej sypialnia znajdowała się w drugim domu, który sąsiedował z naszym ściana w ścianę, więc słyszeliśmy ją, choć dźwięki były przytłumione, jak przez poduszkę, słyszeliśmy, jak się złościła we śnie. Ale to też

się skończyło. Tamtej zimy zmarła, Henning ją znalazł i przybiegł po mnie, siedziała zimna i chuda na kanapie, z rozpuszczonymi włosami i oczami otwartymi z przerażenia.

Co ona miała za życie?

Wysprzątałam stary dom, ale poza tym zostawiliśmy go w takim stanie, w jakim był.

W dniu jej pogrzebu niebo było szare i ciężkie, od rana padał chłodny zimowy deszcz, bębnił o dach, wypełniał wszystkie zagłębienia, tworząc kałuże, kłuł spokojne wody fiordu jakby tysiącem igieł. Poszłam do lasu, ścięłam kilka świerkowych gałęzi i położyłam je na drodze prowadzącej na podwórze. Przyszykowałam dzieciom odświętne ubrania, wystawiłam jedzenie, które przygotowałam poprzedniego wieczoru, włożyłam czarną suknię. Ivar pomógł nieść trumnę. Nie spodobałoby się jej to, mnie również się to nie podobało, ale nic nie powiedziałam. Sześciu mężczyzn wędrujących w deszczu przez cmentarz z trumną na ramionach. Ciszę mąciły jedynie odgłosy kroków i padający deszcz. Odśpiewaliśmy psalm, pastor powiedział kilka słów, rzucił garść ziemi na trumnę, którą spuszczo do grobu przy dźwiękach kolejnego psalmu. I po wszystkim.

Pochowano ją obok taty i dopiero gdy o nim pomyślałam, rozplakałam się.

Wieczorem, kiedy wszyscy poszli i dzieci położyły się do łóżek, siedziałam w salonie przed otwartym oknem i spoglądałam w ciemność. U sąsiadów paliło się światło, migocząc we mgle, i słychać było cichy szum deszczu. Ivar wyszedł, ale tym razem chociaż spytał, czy nie mam nic przeciwko temu. Nie, cieszyłam się, że wychodzi.

Miałam wtedy dwadzieścia osiem lat.

Zajrzałam do dzieci, spały, zdjęłam suknię i powiesiłam ją w szafie, a gdy położyłam się do łóżka, starałam się o niczym nie myśleć, tylko wsłuchiwać w deszcz, który bębnił o dach, i zniknąć we śnie.

Kilka tygodni później Ivar spytał, czy pamiętam Austriaka, który był u nas na obiedzie. Oczywiście, odparłam. W końcu niewiele osób nas tutaj odwiedza.

Jest ciężko chory, oznajmił Ivar.

Tak? – zapytałam.

Wraca już do zdrowia, ale nadal musi leżeć.

I? – spytałam.

Znalazłoby się tutaj dla niego miejsce, prawda? – spytał Ivar.

Oszalałeś? Mam się zajmować obłożnie chorym?

Wzruszył ramionami.

Zapłacą nam, odparł. Zresztą już im powiedziałem, że go przyjmujemy.

My? – zawołałam. My?

Przyjechał następnego dnia, dwóch żołnierzy zaniósł go na noszach z karetki do drugiego domu. Słońce znajdowało się nad górami na zachodzie,

światło padające na podwórze było lekko czerwonawe. Od fiordu wiał silny wiatr, który szarpał nagimi gałęziami drzewa rosnącego na podwórzu. Dziewczynki stały koło kurnika i przyglądały się, Gro trzymała w dłoniach kilka jajek. Wyniosłam z sypialni mamy wszystkie jej rzeczy i schowałam je na strychu; i tak miałam to zrobić. Pościeliłam łóżko i włożyłam kwiaty do wazonu stojącego na nocnym stoliku; skoro już musiał tu być, chciałam, żeby miał o nas dobre zdanie.

Dziękuję, powiedział, gdy żołnierze położyli go na łóżku i wyszli. Spojrzał na mnie. Był chudy i miał zapadnięte policzki.

Jest pan głodny? – spytałam.

Nie, odparł. Ale i tak dziękuję.

Jego głos był cichy i słaby.

Zajrzę do pana za chwilę, powiedziałam. Jeśli zachce się panu pić, na stoliku stoi dzbanek z wodą.

Proszę, mów mi na ty. Jestem gościem w twoim domu. I twoim pacjentem.

Jak chcesz, odparłam.

Wróciłam do swoich spraw. Byłam trochę niespokojna, obcy człowiek w domu zmieniał go, nagle wszystko zaczęło się kręcić wokół starej sypialni.

Co z nim? – spytał Ivar podczas posiłku.

Wydaje się słaby, odpowiedziałam.

Podobno najgorsze ma już za sobą.

Jest wychudzony.

To go podtucz.

Gdy przerzuciłam obornik do piwnicy, dałam krowom siana i wydoiłam je, stanęłam obok Róży i poklepałam ją. Odwróciła łeb i spojrzała na mnie swoimi głębokimi brązowymi oczami. Objęłam ją ramionami i stałam tak przez chwilę, czując ciepło bijące od jej wielkiego ciała. Potem poszłam do kuchni, przygotowałam tacę z kolacją i zaniiosłam mu ją.

Gdy weszłam do pokoju, spał, ale otworzył oczy, gdy tylko postawiłam tacę na stole obok łóżka.

Przyniosłam ci kolację, powiedziałam.

Dziękuję, odparł i podniósł się nieco na łóżku.

Przepraszam za zapach, ale dopiero co byłam w oborze.

Uśmiechnął się.

Jeśli w nocy będziesz czegoś potrzebować, wystarczy zapukać w ścianę. Nasza sypialnia jest po drugiej stronie.

To chyba nie będzie konieczne, odparł. Jeśli tylko mogłabyś... pomóc mi trochę teraz?

Zadając mi to pytanie, odwrócił wzrok. Może korzystał z nocnika?

Mam na myśli łazienkę.

Oblałam się rumieńcem.

W czym mam ci pomóc? – spytałam szybko.

Mógłbym się na tobie trochę wesprzeć?

Uśmiechnął się.

Z całą resztą dam sobie radę sam.

Ach, więc o to chodziło.

Z trudem usiadł na łóżku, spuścił nogi na podłogę. Wzięłam go pod ramię, powoli wstał i ruszyliśmy przez pokój, na korytarz i do toalety. Krok po kroku, z przerwą, gdy oparł się o framugę drzwi i bałam się, że upadnie. Czułam się tak, jakbym pomagała starcowi.

Zaczekam w pokoju, powiedziałam, gdy dotarliśmy do łazienki. Powiedz, jak skończysz.

Skinął głową, po chwili usłyszałam odgłos zamykanych drzwi.

Zaciągnęłam zasłony, poprawiłam kwiaty w wazonie, spojrzałam na haft wykonany przez mamę, przedstawiający dwa jelenie na rykowisku, który wisiał nad łóżkiem, odkąd pamiętam.

Johanne? – zawołał z łazienki.

Poszłam po niego i pomogłam mu wrócić do łóżka.

Jego twarz była blada i wilgotna od potu.

Miło z twojej strony, powiedział. Przepraszam, że robię ci tyle kłopotu.

Nie myśl o tym, odparłam. W końcu za to nam płacą.

Dlaczego to powiedziałam? – zastanawiałam się, idąc do naszego domu. Ale to przecież była prawda. On był niemieckim żołnierzem, ani przyjacielem rodziny, ani krewnym, a my potrzebowaliśmy pieniędzy. Lepiej stawiać sprawy jasno.

Następnego ranka obudziłam się z poczuciem, że tego dnia wydarzy się coś wspaniałego. Wyczekiwałam czegoś i cieszyłam się na myśl o tym wydarzeniu. Od lat niczego takiego nie czułam. Ale potem zrozumiałam, co to było, i radość przerodziła się w rozczarowanie, bo nie czekało mnie nic niezwykłego, tylko pacjent w sąsiednim domu. Jakże nędzne było moje życie, skoro ubarwił je chory człowiek.

Gdy wróciłam z obory, przygotowałam dzieciom kanapki i wyprawiłam je do szkoły, zniosłam mu śniadanie. Powiedziałam „dzień dobry”, postawiłam tacę na stole i już miałam zabrać tamtą z kolacji i wyjść, gdy przypomniałam sobie, że znowu muszę mu pomóc pójść do łazienki.

Musiał to zauważyć. W każdym razie nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że rozumiał, co się we mnie działo, zanim sama to sobie uświadomiłam.

Pochyliłam się nad nim, objęłam go ramionami i pomogłam mu usiąść. Poprzedniego dnia sam to zrobił, ale kosztowało go to wiele wysiłku. Potem chwyciłam go pod ramię i pomogłam mu stanąć na nogach.

W milczeniu przeszliśmy przez pokój.

Możesz przyjść, powiedział, gdy skończył.



To, że nie wymówił mojego imienia, położyło się lekkim cieniem na mojej duszy.

W powietrzu czuć było wiosnę. Zachodni wiatr ucichł i zrobiło się ciepło, śnieg stopniał, zostawiając po sobie jedynie niewielkie ślady w rowach i na północnych stokach. Dzieci przestały chodzić w zimowych butach, nasmarowałam je tłuszczem i zaniiosłam na strych razem z ubraniami na zimę.

Opieka nad pacjentem wkrótce stała się integralną częścią dnia. Przez pierwszy tydzień nie rozmawialiśmy zbyt wiele, starałam się przebywać jak najkrócej w jego pokoju, chciałam dać mu do zrozumienia, że nie mam czasu na nic więcej poza niezbędnym minimum. Wodził za mną oczami, kiedy się przy nim krzątałam, często z uśmiechem na twarzy. Lubi mnie, myślałam czasem, ale za każdym razem tłumaczyłam sobie, że przecież całymi dniami leży sam w pokoju, więc to oczywiste, że moja obecność jest dla niego miłą odmianą.

Trzeciego wieczoru nagrzałam wody, wlałam ją do miski i zaniiosłam mu ją razem z kostką mydła, ściereczką i ręcznikiem.

Chyba powinieneś się trochę umyć, powiedziałam.

Tak, odparł krótko.

Odsunęłam kołdrę i rozpięłam guziki jego piżamy, ściągnęłam ją w dół, jak to często robiłam przy dzieciach, wycisnęłam ściereczkę do mycia i przyłożyłam ją ostrożnie do jego dłoni.

Nie za ciepła?

Nie. W sam raz.

Zanurzyłam ściereczkę w wodzie, natarłam lekko mydłem i zaczęłam obmywać jego tors. Zamknął oczy. Bałam się, jak sobie z tym poradzę, i dlatego cieszyłam się, że nie patrzył na mnie. Wzięłam go za rękę i uniosłam nieco jego ramię, żeby umyć je od wewnętrznej strony. Milczał. Wytarłam go ręcznikiem, zdjęłam mu spodnie od piżamy, umyłam uda i podbrzusze, wytarłam do sucha. Dopiero gdy go ubrałam, otworzył oczy.

Dziękuję, powiedział. Teraz czuję się o wiele lepiej.

Niedługo sam będziesz mógł to robić, odparłam, wyprostowałam się i odniosłam miskę do łazienki.

Potem poczułam, że muszę zostać sama. Miałam wrażenie, że powstała we mnie przestrzeń, której muszę strzec.

Idę się przejść, powiedziałam do Ivara.

Przejść? O tej porze? Dokąd?

Na spacer, odparłam. Do wodospadu i z powrotem.

Po co?

Mam ochotę. Jest wiosna.

Spojrzał na mnie. Odwróciłam się i ruszyłam przed siebie, zobaczyłam, że dzieci bawią się przy antresoli w stodole, tego wieczoru była ich tam cała czereda,

powietrze wypełniały śmiech i podekscytowane głosy. Przeszłam przez podwórze, pokonałam ogrodzenie i ruszyłam wzdłuż rzeki. Jeśli uznał, że dziwnie się zachowuję, to był jego problem, ja nie zrobiłam nic złego, pomyślałam. Ale nie chciałam myśleć o Ivarze. Nie chciałam myśleć o dzieciach ani o gospodarstwie, o pieniądzach ani o przyszłości. Chciałam poczuć wiosnę i nie myśleć o niczym. Powietrze napływające znad rzeki było zimniejsze od tego przy domu. Między czarnymi drzewami tu i ówdzie błyszcząły plamy śniegu. Zapadał zmierzch, światło nad górami było jaśniejsze niż tu na dole. Wkrótce powrócą ptaki. Wkrótce noce będą się stawały coraz krótsze, aż w końcu ciemność zniknie na pewien czas; po północy niebo będzie okrywał niebieskoszary welon.

Wspięłam się na górskie zbocze wzdłuż wodospadu, tak jak to robiłam, będąc dzieckiem, przytrzymałam się smukłych pni brzoź, czułam każdą najdrobniejszą część ścieżki, usiadłam na kamieniu na szczycie wzgórza, tam gdzie rzeka tworzyła rozlewisko i niejako pęczniała, zanim rzucała się w dół wąwozu.

Poczułam się tak szczęśliwa.

Był już u nas od tygodnia, gdy po raz pierwszy zamieniliśmy ze sobą więcej niż kilka zdawkowych zdań. Przyniosłam mu śniadanie i już miałam wyjść, gdy nagle spytał, czy bardzo się spieszę.

Nie, odpowiedziałam.

Marzę, by z kimś porozmawiać. Możesz tu usiąść na chwilę?

Mogę, odparłam.

Poprosił, żebym mu opowiedziała, co robię, kiedy nie jestem u niego. Jak wygląda mój dzień.

Opowiedziałam mu.

Spytał, czy lubię czytać. Odpowiedziałam, że prawie nigdy tego nie robię.

Powiedział, że jest taka książka rosyjskiego pisarza, o której myśli. Ma tytuł *Faust* i opowiada o kobiecie, która nic nie czyta i która pewnego dnia dostaje książkę od zakochanego w niej mężczyzny. Czyta ją i jest nią tak wstrząśnięta, tak ogromne robi ona na niej wrażenie, że kobieta umiera.

To musi być naprawdę głupia książka, skomentowałam.

Być może, powiedział bez uśmiechu, chociaż spodziewałam się, że się uśmiechnie.

Chcesz, żebym ci pożyczyła kilka książek?

Nie, nie musisz tego robić.

Dlaczego na mój widok pomyślałeś o tej książce? – spytałam.

Tego nie powiedziałem, odparł. Powiedziałem tylko, że myślę o niej.

Teraz się uśmiechnął.

Wstałam.

Musisz odpoczywać, powiedziałam.

Chwycił mnie za rękę i lekko ją ucisnął.

Dziękuję, że poświęciłaś mi czas.  
**SOBOTA, 30 LIPCA 2016**

Przez resztę dnia miałam zły humor. Dzieci leżały na swoich łóżkach i czytały, wszyscy troje, kazałam im wyjść, zmieniałam im pościel i wyniosłam kołdry, żeby się wywietrzyły, zaczęłam trzepać dywany. Pozwoliliśmy mu mieszkać w naszym domu, chodzę tam i pielęgnuję go, a on próbuje mnie omamić jakąś książką o kobiecie, która w całym swoim życiu nie przeczytała ani jednej. Leży tam i śmieje się z nas. Ale jeśli właśnie tego chce, to proszę bardzo, pomyślałam i zniosłam do domu trzy długie plecione chodniki, rozłożyłam je na korytarzu i na górze w sypialni, a duży dywan z salonu wyniosłam na dwór. Niebo było jasnobłękitne i świeciło słońce, ale zachodni wiatr wiejący od morza był lodowaty. Z każdym silnym powiewem w powietrze wzbijał się tuman kurzu. Nie chciałam z nim więcej rozmawiać. Niech sobie tam leży i głowi się, co to może oznaczać, pomyślałam. Chmury kurzu stawały się coraz mniejsze, aż w końcu niemal niewidoczne, wtedy zniosłam dywan do domu; dłonie miałam czerwone z zimna. W miejscu, gdzie leżał, podłoga była jaśniejsza od reszty, więc zanim go rozłożyłam, wyszorowałam deski zielonym mydłem.

Podgrzałam zupę z poprzedniego dnia. Była gęsta, pożywna, pełna dużych kawałków mięsa, śliska od tłuszczu, idealna w taki zimny dzień jak ten. Gdy Ivar zaparkował ciężarówkę na podwórzu, nakryłam do stołu i zawołałam dzieci na obiad. Jedliśmy w milczeniu. Po chwili Ivar spytał, jak się miewa nasz pacjent. Możesz zanieść mu obiad i sam się przekonać, odparłam. Owszem, mogę, powiedział i zaśmiał się. I nie zapomnij zaprowadzić go do ubikacji, dodałam. Mnie jest łatwiej niż tobie, stwierdził i wstał od stołu.

Powiedziałam do dzieci, że skoro dostały nową pościel i w ogóle, to byłoby dobrze, gdyby posprzątały w swoich pokojach. Potem zajrzałam do owiec, niektóre z nich miały się wkrótce okocić, ale nic się nie działo. Usłyszałam, że Ivar uruchamia ciężarówkę i odjeżdża. Zniosłam kołdry do domu, napiłam się kawy w salonie, spoglądając na fiord. Góry po drugiej stronie niebieściły się we mgle.

Przeszła mi złość. Nawet jeśli patrzył na nas z góry – jakie to miało znaczenie? Był niemieckim oficerem, którym opiekowaliśmy się w zamian za wynagrodzenie.

Gdy zniosłam mu kolację, pozdrowiłam go, nie patrząc w jego stronę, postawiłam tacę na stole, zabrałam tacę z obiadu i wyszłam. Słońce oświetlało szczyty gór na południu – białe od śniegu iskrzyły się w jego promieniach – i wzgórze na północy, gdzie wierzchołki drzew błyszcząły jakby od złota. Na podwórzu i nad okolicznymi polami zapadał zmierzch. Powietrze było lodowate.

Tego wieczoru leżałam odwrócona plecami do Ivara i płakałam w ciemności,

nie wydając przy tym żadnego dźwięku, łzy same napływały mi do oczu, spływały po policzkach i wsiąkały w poduszkę, czułam się tak, jakbym się rozpadła na kawałki.

Następnego dnia wiatr zmienił kierunek, teraz wiał od południa, napędzając dolinę ciepłem. Dzięki temu krajobraz jakby złagodniał, nie miał już tej ostrości co ostatnio. Gdy zaniiosłam mu śniadanie, czułam się głupio, że chciałam go ukarać.

Dzień dobry, powiedziałam. Dobrze spałeś?

Jak niemowlę, odparł.

Lepiej wyglądasz. Chcesz, żebym postawiła tacę na łóżku?

Chętnie, ucieszył się.

Podniósł się powoli, wzięłam poduszkę i wsadziłam mu ją za plecy.

O, tak, powiedziałam.

Ale najpierw muszę udać się w pewne miejsce, oznajmił.

Pomogłam mu wstać i odprowadziłam go do łazienki. Ramię, za które go trzymałam, było silne. Chociaż był chudy – widziałam, jak spod skóry wystają mu żebra – nie był chuchrowaty.

Czy owce już się okocily? – spytał, gdy znowu usiadł na łóżku i postawiłam przed nim tacę z jedzeniem.

Pokręciłem głową.

Jeszcze nie. Ale już niedługo. Mam przecucie, że to się stanie tej nocy.

Dlaczego?

Na dworze jest dużo cieplej.

Czy to ma jakieś znaczenie?

Tak mi się wydaje, odparłam. Niczego ci nie trzeba?

Nie, dziękuję.

Pogłaskał lekko wierzch mojej dłoni i spojrzał na mnie.

Jesteś aniołem, powiedział.

Zarumieniłam się.

Jestem żoną gospodarza, poprawiłam go. I płacą mi za to, że się tobą opiekuję.

I tak jestem ci wdzięczny.

To dobrze, powiedziałam i wyszłam, nie oglądając się za siebie.

Bez względu na to, gdzie byłam i co robiłam, moje myśli krążyły wokół niego. To dlatego płakałam, bo uświadomiłam sobie, że jego obecność nappełniła mnie nadzieją, a gdy zrozumiałam, że moja nadzieja była płonna, poczułam pustkę. I to była zupełnie inna pustka od tej, którą czułam, zanim zaczęłam żywić nadzieję.

Nadzieję na co?

Tego nie wiedziałam, nie chodziło o nic konkretnego. Po prostu miałam nadzieję.

To było takie miłe uczucie.

Czy nie mogłam tego zostawić, przynosić mu jedzenie, rozmawiać z nim, kiedy tego chciał, i ani go nie karać, ani nie żywić nadziei, po prostu być w tym, w czym chciałam być tamtego wieczoru nad wodospadem?

Powoli wracał do zdrowia, wkrótce bez wysiłku siadał na łóżku, bez niczyjej pomocy chodził do łazienki i z powrotem i pewnego dnia umył się sam w łazience, siedząc na stołku przed miską, którą nappełniłam ciepłą wodą.

Jego spojrzenie było rzeźkie, nigdy nie widziałam u nikogo takich żywych oczu. Przywykłam do tego, że oczy są zamknięte.

I lubiłam, kiedy na mnie patrzył, miałam wrażenie, że w jego oczach stoję się kimś więcej, niż byłam w rzeczywistości.

Lubiłam też, kiedy dotykał mojej dłoni lub ramienia, zawsze lekko i przelotnie, coś się wtedy we mnie zapalało.

Zacząłam się zastanawiać, o czym myślał, kiedy leżał tam samotnie.

Kim był?

Przeobraził pokój, w którym przebywał, to już nie była stara sypialnia moich rodziców. Zupełnie jakby należała teraz do innego świata, do którego otwierałam drzwi za każdym razem, kiedy zanosłam mu jedzenie.

Był moją pierwszą myślą po przebudzeniu i ostatnią przed zaśnięciem. Ale nigdy się z tym nie zdradziłam. To, jak bardzo mi na nim zależało, pozostawało moją tajemnicą. Rano, kiedy przychodziłam do niego ze śniadaniem i rozmawialiśmy, siedziałam na brzegu łóżka, a on jadł i wypytywał mnie o różne rzeczy dotyczące mojego życia i tego miejsca. Jedyne, o co nie pytał, to Ivar. O sobie też mówił niewiele. Za to lubił wspominać Norwegię z czasów, gdy przyjeżdżał tu latem jako dziecko. Lubił też opowiadać o książkach, które przeczytał; o postaciach literackich mówił tak, jakby były prawdziwymi ludźmi. Kiedyś zażartował, że Hitler powinien był przeczytać *Wojnę i pokój*, może pomyślałby wtedy dwa razy, zanim zaatakowałby Rosję. Jeszcze nikomu nie udało się podbić Rosji, powiedział. Karol XII próbował, Napoleon próbował, Niemcy próbowały podczas pierwszej wojny światowej i teraz znowu próbują, kiedy my tu sobie siedzimy i rozmawiamy.

Wiesz, że Niemcy przegrają wojnę? – spytał.

Pokręciłam głową.

To tylko kwestia czasu, dodał.

Zaczęło padać, zimny, rześisty wiosenny deszcz padał przez kilka tygodni. Liście, które wystrzeliły, i trawa, która wyrosła, lśniły zielenią i wilgocią na tle ciężkiego nieba, jakby rozświetlane podziemnym słońcem. Dni z Alexandrem dobiegały końca, wiedziałam o tym, chociaż on o tym nie wspominał; czuł się o wiele lepiej. To były dziwne dni, bo choć nic szczególnego się nie wydarzyło, wszystko się zmieniło, jakby moje wnętrze zostało wprawione w ruch. Targały mną najrozmaitsze uczucia. Radość, smutek, złość, czułość, rozpacz, nadzieja,

pożądanie. Czasem były tak silne, że nie wiedziałam, co z nimi począć, jak dojść z nimi do ładu. Na zewnątrz wszystko było takie jak zawsze, robiłam to, co zawsze, i kiedy siedziałam i rozmawiałam z nim, przez nasze stałe pół godziny, dusiłam to w sobie. Wchodziłam do pokoju – słyszał, że nadchodzę, bo siadał na łóżku – pozdrawiałam go, odsuwałam zasłony, tak że sypialnię wypełniało szarawe, deszczowe, półmroczne światło, stawiałam przed nim tacę, siadałam na brzegu łóżka i pytałam, jak się dziś czuje. Kiedy nasze spojrzenia spotykały się, szybko spuszczałam wzrok. Kiedy głaskał mnie po rękę, delikatnie, po przyjacielsku, natychmiast cofałam dłoń. Czasem też wstawałam, żeby mu pokazać, kim jestem ja, a kim jest on. Serce biło mi jak oszalałe, gdy wychodziłam wtedy z pokoju. Odrzucenie czegoś, co być może jest niczym, pozwala, by to, co się odrzuca, stało się widoczne i możliwe.

Wiedziałałam, że mnie lubi, i byłam pewna, że o mnie myśli, bo z czasem on także zaczął spuszczać wzrok, kiedy napotkał moje spojrzenie. Zrozumiałam, że również on myśli o tym, co niemożliwe.

Aż pewnego dnia nie wytrzymałam. Wstałam, chwyciłam tacę, a on pogłaskał mnie po ramieniu.

Bardzo ci dziękuję, powiedział. Jesteś aniołem.

Postawiłam tacę na stole, pochyliłam się nad nim i przycisnęłam swój policzek do jego twarzy. Gdy się wyprostowałam, spojrzeliśmy na siebie. Potem pośpiesznie opuściłam pokój.

To było całkiem niewinne, ledwie dotknęłam jego policzka, to nic nie znaczyło.

Ale zbliżyłam się do niego. Czułam jego ciepło, zapach. Gdy weszłam do kuchni, usiadłam na krześle. Czułam się tak, jakby zalewała mnie fala, byłam oszołomiona, trzęsłam się z emocji. Wstałam i wyszłam na deszcz. Wiedziałałam, że to była ostatnia szansa, żeby zatrzymać coś, co mnie zniszczy. Wiedziałałam, że powinnam wejść do domu, polać twarz zimną wodą i robić dalej swoje, jakby nic się nie stało. Ale nie chciałam. Ciągnęło mnie do niego.

Otworzyłam drzwi sąsiedniego domu, weszłam po schodach, wiedziałałam, że leży i wsłuchuje się w moje kroki. Weszłam do sypialni, podeszłam do łóżka, pochyliłam się i pocałowałam go.

Gdy się wyprostowałam, miałam wrażenie, że jestem gdzie indziej. Nagle ogarnął mnie spokój, nie byłam już w środku czegoś, lecz nad tym czymś.

To było niesamowite uczucie.

Pragnę cię, powiedziałam i spojrzałam na niego.

Odsunęłam kołdrę i powoli zdjęłam mu piżamę. Leżał cicho, zupełnie nieruchomo. Potem rozebrałam się przed nim, wyciągnął do mnie rękę, uśmiechnęłam się do niego.

Żadne z nas nie odezwało się potem ani słowem, przylgnęłam do niego,

opierając głowę o jego pierś. Nawet wtedy gdy musiałam już iść, nie powiedziałam nic. „Muszę już iść” zniszczyłoby magię, wrzuciłoby nas w to, co znajdowało się na zewnątrz. Ubrałam się, pogłaskałam go po torsie, pocałowałam i wyszłam cicho z pokoju. Powietrze na dworze było pełne smug deszczu, ziemia rozmokła, ślady kół ciężarówki wypełnione szarozółtą wodą. Nie wiedziałam, co się stanie, kiedy Ivar wróci do domu, jak wtedy zareaguję, czy wszystko będę miała wypisane na twarzy, czy będę się bać, czy odczuwać wyrzuty sumienia. Nie ma sensu martwić się na zapas, pomyślałam i poszłam na górę do sypialni, otworzyłam okno i położyłam się na łóżku. Czułam się tak, jakby zostały aktywowane te części mnie, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

A więc tym jest szczęście.

A więc tym jest rozkosz.

Zamknęłam oczy i zasnęłam przy dźwiękach padającego deszczu, który to słabł, to przybierał na sile.

Gdy Ivar wrócił do domu, nie było we mnie cienia lęku ani poczucia winy. Niczego ze mnie nie wyczytał, wszystko było tak jak zawsze. Dzieci również niczego nie zauważyły. Byłam otwarta wobec samej siebie, niczego nie ukrywałam przed swoimi myślami i mogłam zdobyć się na całkowitą szczerą, ponieważ to, co zrobiłam, nie było niczym złym. To też była dla mnie nowość. Byłam przejrzysta. Nie było we mnie ani jednego ciemnego zakamarka, w którym ukrywałyby się skądinąd oczywiste prawdy.

Ale lękałam się wrócić do Alexandra. Nie potrafiłam jeszcze nazwać tego, co się między nami wydarzyło. Poza tym nie wiedziałam, co myślał, wiedziałam tylko, co czuł.

A jeśli po tym, co się stało, powstała między nami przepaść?

Poszłam do niego z obiadem, kiedy Ivar siedział jeszcze w kuchni, żeby mu pokazać, że pod jego boki nie działa się nic, co nie powinno ujrzyć światła dziennego.

Serce biło mi jak u nastolatki, gdy wchodziłam po schodach, wiedząc, że on tam siedzi i czeka na mnie.

Tęskniłem za tobą, powiedział cicho, gdy weszłam do pokoju.

Stałem przed nim.

Chodź do mnie.

Nie teraz, odparłam.

Teraz, chodź.

On jest na dole, powiedziałam.

Alexander wstał.

W takim razie ja przyjdę do ciebie.

Stał za mną, objął mnie w pasie, pocałował w kark.

Jesteś taka dobra, wyszeptał.

Kocham cię, odszepnęłam. Podciągnął mi suknię, zsunął majtki i wszedł we mnie. Pochyliłam się do przodu i oparłam na parapecie okna. Drżałam na całym ciele i gdy usłyszałam trzask drzwi wyjściowych, miałam wrażenie, że dźwięk dobiega z innego świata, z bardzo, bardzo daleka.

Mocniej, powiedziałam. Mocniej, mocniej, mocniej.

Jesteś taka dobra, wyszeptał.

Och, jęknęłam. Och. Och.

Nic nie odbierze mi tych dni. Każdego ranka budziłam się szczęśliwa, a szczęście było silne, chroniło mnie przed wszystkim, czyniło mnie niepokonaną.

Przez te dni prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, napięcie było zbyt duże, zbyt mocno pragnęliśmy siebie.

Szczęście było tarczą.

Pojutrze wyjeżdżam, powiedział pewnego wieczoru.

Nie możesz tego zrobić.

Znajdziemy sposób, żeby być razem.

Obiecujesz? – spytałam.

Kocham cię, odparł.

Wiesz, że nikt mi jeszcze tego nie powiedział?

I mam nadzieję, że nikt więcej ci tego nie powie.

Kocham cię, powiedziałam.

Był Ivar, były dzieci, byli sąsiedzi, byli inni żołnierze. Były kradzione wieczorne spotkania, ale to nie wystarczało ani jemu, ani mnie.

Nie mam nikogo innego, powiedział. Nie mam żadnej rodziny ani przyjaciół, którzy znaczyliby cokolwiek. Jestem zupełnie wolny. Nie zawsze to czuję, ale tak jest. Czasem zastanawiam się, co to oznacza. Że wszystko stoi przede mną otworem, że mogę pójść, dokąd chcę, w dowolne miejsce na świecie, robić, co mi się podoba. Rozumiesz, co mam na myśli?

Tak.

Chodź ze mną na spotkanie świata.

Nie mogę.

Ale chcesz tego?

Tak.

Nigdy wcześniej nie myślałam, że świat stoi przede mną otworem. Wiedziałam, że istnieje gdzieś tam, nigdy jednak nie sądziłam, że istnieje dla mnie. Ale nie dlatego zrobiłam to, co zrobiłam. Myślałam o nim cały czas, każdej minuty był ze mną, wszystkie uczucia, jakie miałam, były skierowane do niego. Czas spędzony bez niego dłużył się nieznośnie. Był nie do wytrzymania. To było czyste szaleństwo. Coś się we mnie przebudziło, nie mogłam się temu oprzeć.

Coś we mnie chciało również pójść na dno. Coś we mnie chciało również mnie zniszczyć.



Dzieciom nie stałoby się krzywda. Poradziłyby sobie. Były już samodzielne. I należały do tego miejsca. Nie były moje, były swoje własne.

Pewnego przedpołudnia, gdy byłam sama w domu, spakowałam plecak i ukryłam go w stodole. Wieczorem, gdy wszyscy usnęli, poszłam po niego i ruszyłam wzdłuż ogrodzenia do skraj lasu na końcu gospodarstwa, gdzie on miał na mnie czekać.

Pocałowaliśmy się nad płotem, zanim przeszłam na drugą stronę.

Jeszcze możesz się wycofać, powiedział.

Nie zmieniałam zdania, odparłam.

Zdezerterowałam. Jeśli mnie złapią, zastrzelą.

Chodź, powiedziałam, wzięłam go za rękę i ruszyłam w stronę fiordu, w bladą czerwcową noc.

Łódź zabrała nas godzinę później, to był kuter rybacki należący do dwóch braci, obaj byli na pokładzie, Alexander im zapłacił.

Znałam ich od dziecka. Nie wiedzieli, że ja też się zjawię, po ich minach było widać, że nie bardzo im się to spodobało.

Zrobiło mi się niedobrze od zapachu benzyny i ciągłego kołysania, ale mimo to przespałam kilka godzin z głową na kolanach Alexandra.

Następnego dnia koło południa dotarliśmy na miejsce. Było pochmurnie i zimno, fiord wydawał się niemal czarny. Podpłynęli aż do samego zbocza góry, włożyłam plecak i przeskoczyłam na półkę skalną.

I wtedy stało się coś strasznego. Wciąż nie mogę uwierzyć, że widziałam to, co widziałam, że to się wydarzyło naprawdę.

Alexander stał pochylony nad swoim plecakiem, a gdy się wyprostował i odwrócił, trzymał w ręce pistolet. Najpierw zastrzelił jednego z mężczyzn z bliskiej odległości, trafiając go w głowę, potem strzelił jego bratu w pierś, a gdy ten upadł, w głowę.

Zdaje się, że krzyknęłam.

Alexander spojrział na mnie z otwartymi ustami, jakby sam nie rozumiał, co się stało. Minął dwa martwe ciała leżące na pokładzie, wszedł do sterówki, wycofał łódź i wypłynął z powrotem na wody fiordu.

Wszystko się we mnie zatrzymało. W głowie miałam kompletną pustkę.

Pochyliłam się i zwymiotowałam.

Łódź znajdowała się teraz jakieś sto metrów od brzegu. Zobaczyłam, że Alexander krząta się po pokładzie. A więc mnie nie zostawił, pomyślałam.

Z jego ruchów wywnioskowałam, że pozbywa się ciała.

Ukucnęłam i odetchnęłam głęboko kilka razy. Trzęsły mi się nogi, ręce, całe ciało.

Kuter zawrócił w stronę lądu. Warkot silnika brzmiał nieznośnie głośno, odbijając się od zbocza góry. Alexander zniknął pod pokładem, nie wiem, jak

długo go nie było, straciłam zupełnie poczucie czasu, wszystko działo się jakby w ułamku sekundy, a jednocześnie trwało nieskończenie długo.

Wyszedł na pokład, włożył plecak i przeskoczył na półkę skalną w chwili, gdy łódź zaczęła przechylać się powoli na jedną burtę.

Przez chwilę przyglądał się tonącemu kutrowi, a potem przeniósł wzrok na góry.

Wydaliby nas, powiedział. Nawet jeśli nie z własnej woli, to w trakcie przesłuchania.

Nie byłam w stanie spojrzeć na niego, gdy odwrócił się w moją stronę.

Złapaliby nas, mnie by zastrzelili, a ty musiałabyś wrócić do wioski i żyć w hańbie do końca swoich dni.

Wszystko zaplanowałeś, powiedziałam.

Musimy iść. W drogę.

**NIEDZIELA, 31 LIPCA 2016**

Szliśmy w głąb doliny. Była ciemna i wilgotna, z wielkimi nieruchomymi świerkami rosnącymi wzdłuż górskich zboczy. Szłam, nie myśląc o tym, co robię, automatycznie, poza sobą. Od czasu do czasu patrzyłam na jego kark i plecy. Na mężczyznę, któremu oddałam się bezgranicznie i którego wcale nie znałam. Żywiłam do niego wszystkie możliwe uczucia, ale teraz czułam tylko strach.

Zatrzymaliśmy się przy strumieniu i napiliśmy się wody.

Nie jestem potworem, powiedział i wytarł usta rękawem kurtki. Jeśli teraz tak o mnie myślisz.

Boję się ciebie, odparłam.

Jest wojna, a na wojnie ludzie giną.

To nie było w obronie własnej.

Kocham cię.

Nie wiem, kim jesteś.

Jestem tym, który cię kocha.

Przez całe popołudnie wspinaliśmy się na górskie zbocze. Gdy dotarliśmy na szczyt, rozpogodziło się, pomiędzy chmur na zachodzie wyjrzało słońce.

Dasz radę iść jeszcze przez kilka godzin? – spytał.

Tak.

Teraz jesteś wolna, powiedział. Trwaj w tym, dopóki możesz.

Nie rozumiem, co masz na myśli.

Ruszyliśmy dalej.

Z nikim ani z niczym nie łączy cię żadna więź, wyjaśnił. I nie masz żadnej drogi odwrotu.

Płakał, gdy kochaliśmy się tamtego wieczoru, pochyliłam się nad nim

i przywarłam policzkiem do jego mokrego policzka, pocałowałam go i poczułam słony smak. Kocham cię, powiedziałam, chwyciłam jego dłonie i przycisnęłam je do ziemi, leżał na plecach i patrzył na mnie, i nie wiedziałam, o czym myślał, ale wiedziałam, co czuł, i uniosła mnie fala szczęścia i żalu.

Potem przywarłam do niego i tak zasnęliśmy.

Gdy obudziłam się następnego ranka i zobaczyłam, jak kuca i kroi na kawałki kielbasę z baraniny, którą zabrałam z domu, i kładzie ją na kromki chleba, zrozumiałam, co miał na myśli poprzedniego wieczoru. Podeszłam do niego i objęłam go.

Rzeczywiście, nie ma już odwrotu, powiedziałam.

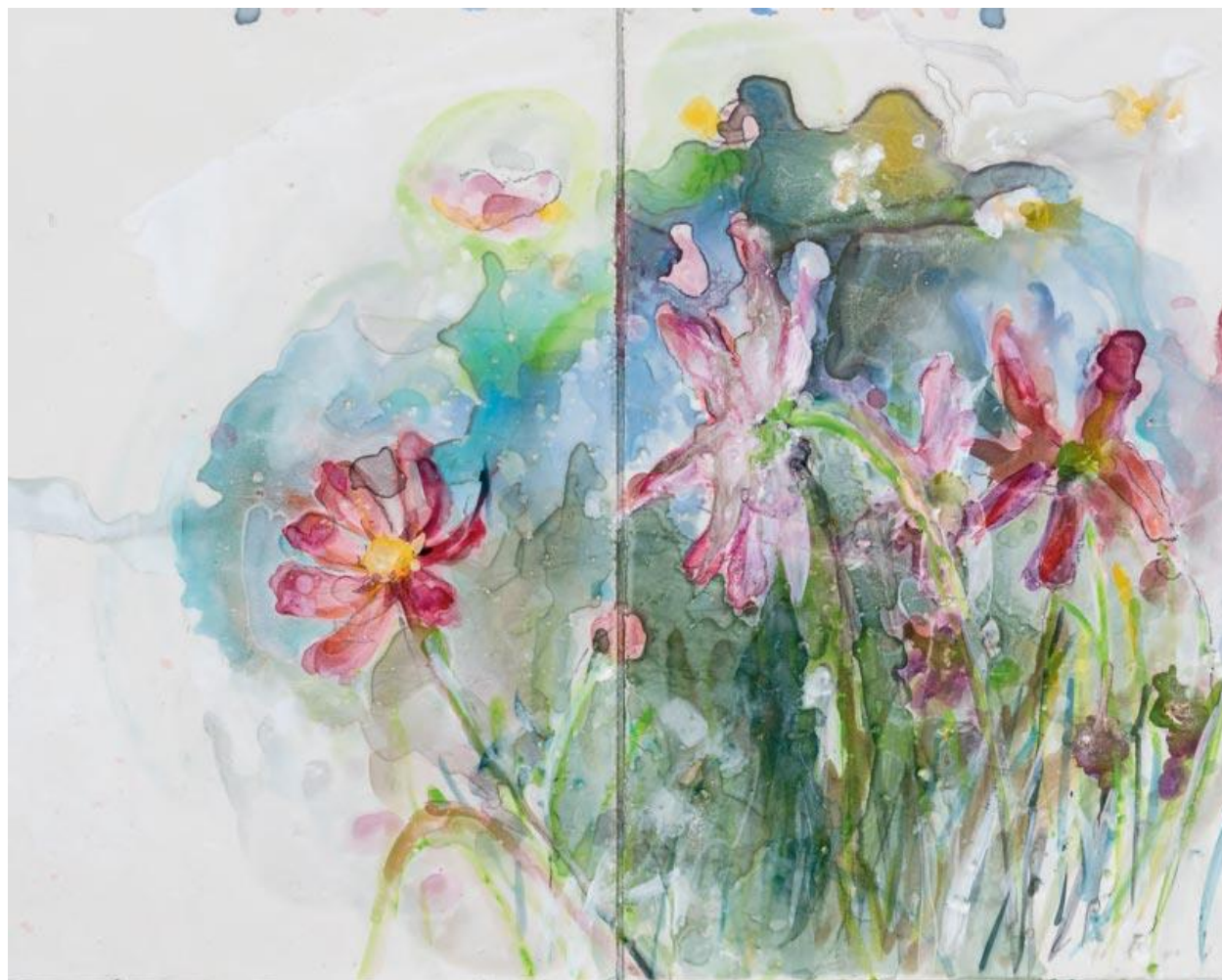
Potrząsnął głową.

I jesteśmy całkiem, całkiem wolni.

Wieczorem siedzieliśmy przed górskim schroniskiem, krajobraz wokół nas żarzył się czerwono w świetle zachodzącego słońca. Zapukaliśmy tam kilka godzin wcześniej, opowiedzieliśmy im historię, którą wcześniej uzgodniliśmy, i zjedliśmy razem z nimi posiłek.

Nie wiedziałam, czy nam uwierzyli, prawdopodobnie nie, ale to nie było takie ważne. Mówiłam i śmiałam się przez cały wieczór, przepęłniała mnie ogromna radość i kiedy tak siedzieliśmy w świetle wieczornego słońca, znowu zaczęłam się śmiać i nagle nie byłam w stanie przestać.

# SIERPIEŃ



## Ubrania

Jest nas w gospodarstwie domowym sześcioro, w tym czworo dzieci, więc jeśli ich nie pilnujemy, dom tonie w ubraniach. Stosy rzeczy piętrzą się obok łóżek, gdzie dzieci rozbierają się wieczorem, na kanapie, gdzie zdarza im się zrzucić z siebie sweter lub spodnie, kiedy oglądają telewizję, i na ławce w korytarzu, gdzie dwie najstarsze córki przymierzają ubrania przed lustrem, by nie wspomnieć o przedsionku, zwłaszcza zimą, kiedy zamiast wieszać porządnie kurtki i spodnie narciarskie, a czapki i rękawiczki odkładać na półkę, rzucają wszystko na podłogę lub na ławkę pod oknami. Te stosy, które trzeba wyprać, spotykają się z inną stertą – świeżo wypranych ubrań – która również może zacząć rosnąć, jeśli się jej nie pilnuje, bo tak łatwo położyć czyste rzeczy, dopiero co wyjęte z suszarki, na łóżku dla gości, w przestrzeni między szafami na ubrania, przez co stos jest czasem tak duży jak mały samochód. Te dwa rodzaje stert stanowią przeciwstawne bieguny w cyklu życiowym ubrań, i łatwo, zwłaszcza człowiekowi kierującemu się uczuciami, postrzegać stosy tych brudnych jako złe, a czystych jako dobre, lub jako wrogie i przyjazne albo należące do ciemności i światła. Czasem zdarzają się sporne przypadki, kiedy jakiś element garderoby wygląda na nieużywany, a leży na stercie brudnych ubrań, wtedy trzeba zrobić to, co moja matka robiła niezliczoną ilość razy, gdy byłem dzieckiem, a co wówczas uważałem za obrzydliwe, a mianowicie zbliżyć daną rzecz do nosa i ją powąchać, nawet gdyby chodziło o majtki. Teraz ja sam to robię, pochylam się, przybliżam majtki do nosa i wciągam ich opary, jak zwierzę. Ulga, kiedy majtki są brudne i wydają lekką woń moczu, jest niemal większa, niż kiedy są czyste i pachną proszkiem do prania, ponieważ wtedy jest coś, co należy wyprać i uczynić czystym. Bo chociaż brudne ubranie to tylko rzecz, która przez dzień lub dwa miała kontakt z ciałem, włożenie go do pralki, wsypanie proszku i włączenie pralki wydają się niemal duchowym oczyszczeniem, nie mówiąc już o uczuciu, jakie mnie ogarnia, kiedy wyciągam z suszarki czyste, suche ubranie, ciepłe w dotyku i lekko pachnące proszkiem, wtedy ciemność, w której się znajduję, i labirynty blokujące bieg myśli lub czyniące je ciasnymi, albo znacznie je spowalniające, mogą zniknąć na kilka sekund, a ja nagle nie jestem winny – wręcz przeciwnie, co nie znaczy niewinny – lecz szczęśliwy. By przedłużyć ten stan, latem zdarza mi się wywiesić ubrania na sznurze do bielizny, kiedy jest ładna pogoda, zamiast wkładać je do suszarki, ponieważ koszule wiszące nad trawnikiem, pod błękitnym niebem, połyskujące w świetle słońca i kołyszące się lekko na wietrze, stanowią piękny widok i jest to również dobre, bo chociaż, ściśle rzecz ujmując, wieszanie ubrań na sznurze nie jest ani moralne, ani niemoralne, ma w sobie coś z moralizmu typowego dla lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, według którego ciemność była brudna, brud

oznaczał biedę, a bieda brak moralności, w związku z czym burzono stare domy i budowano nowe, białe i przepełnione światłem, a latem wysyłano dzieci robotników za miasto, żeby mogły pooddychać świeżym powietrzem i wypocząć w świetle słońca, i przez to stać się dobrymi ludźmi. Nie mam pojęcia, w jaki sposób przejąłem te poglądy, prawdopodobnie zaraziła mnie nimi moja matka, która odkąd sięgam pamięcią, dwa razy w roku wietrzyła kołdry na dworze, wieszala dywany i pościel, i wszystkie ubrania na sznurach i suszarkach ogrodowych, jakby chciała je wykurować. To zachowanie wiązało się również z dobrym imieniem, wyobrażam sobie, że jej matka, a moja babka, była w tej kwestii jeszcze gorliwsza i że nikt nie mógł zarzucić jej rodzinie, iż jej członkowie są leniwi, nieczyści lub niemoralni. Temu, że byli biedni, nie dało się zaprzeczyć, ale nie był to aż taki powód do wstydu, bo jakoś wiązali koniec z końcem i większość ich sąsiadów miała podobnie. W naszej rodzinie nikt nie pracuje aż tak ciężko, żeby ubrania były brudne lub przepecone, mamy zarówno pralkę, suszarkę, jak i szafę suszarniczą, i dość pieniędzy, by kupić nowe ubranie za każdym razem, kiedy w starym zrobi się dziura lub rozdarcie, kiedy odpadnie guzik lub zatnie się zamek błyskawiczny, więc obawa przed tym, co nieczyste, którą tak silnie odczuwam, nie ma żadnego oparcia w rzeczywistości, lecz jest raczej zachowaniem zwierzęcia, które – wypuszczone z klatki – bez powodu pozostaje na miejscu, między niewidzialnymi prętami.

## Lody

Każdego lata producenci lodów lansują nowe smaki i rodzaje; ma wobec nich zastosowanie to samo prawo, które dotyczy wszystkich gatunków zwierząt i roślin: *the survival of the fittest*<sup>[19]</sup>. Jeśli nowy rodzaj lodów jest chętnie kupowany, jego produkcję kontynuuje się w kolejnym sezonie, jeśli nie, zostaje wycofany ze sprzedaży i nigdy nie wraca. Wszystkie te nowe rodzaje muszą konkurować ze starymi, które od dziesiątków lat udowadniają, że są dobre, i w ten sposób rywalizacja się zaostrza, różne nisze i wnęki są w stanie wypełnić jedynie te najlepiej przystosowane. Oba „lody za koronę”<sup>[20]</sup> – proste, bazujące na mleku, w rożku, których nazwa pochodzi z czasów, gdy dokładnie tyle kosztowały, jeden o smaku truskawkowym, drugi czekoladowym – są właśnie takimi dinozaurami, co zresztą wcale nie dziwi: oba mają nieskomplikowany smak i łatwo trzyma się je w dłoni, nie są zbyt małe ani zbyt duże. Wyjęty z zamrażarki lodowy rożek jest twardy, z ostrymi krawędziami wzdłuż obwodu na górze, i można go albo lizać – wówczas krawędzie zaokrąglają się, proces ten zostaje przyspieszony, kiedy jest ciepło i lody się topią, wafelek przybiera powoli kształt śliwki, lody zaczynają ściekać i trzeba być uważnym i szybko je zlizywać – lub gryźć, co zajmuje mniej czasu. Ale ponieważ dla wielu osób sens jedzenia lodów polega między innymi na tym, by się nimi delectować jak najdłużej, gryzienie lodów nie daje żadnych wymiernych korzyści, poza tą, że unika się plam, którymi często skutkuje powolne jedzenie, zwłaszcza w wypadku lodów czekoladowych, ponieważ czekolada również się topi. Innym sposobem zaatakowania lodów w rożku – mniej więcej w połowie procesu lizania, kiedy robią się miękkie i uległe, miejscami prawie jak bita śmietana – jest odgryzienie końcówki wafelka, dzięki czemu powstaje dziura, przez którą można w y s s a ć lody. Drugim długodystansowcem na norweskim rynku lodów jest Gullpinne<sup>[21]</sup>. Jak podpowiada nazwa, chodzi o lody na patyku. Mleczne, w czekoladowej polewie zanurzonej w posypce migdałowej, z cienką warstwą czekolady w środku. Właśnie takie połączenie: lody, czekoladowa polewa, posypka, patyk, ma w sobie coś fundamentalnego, solidnego i pozbawionego efekciarstwa, co moim zdaniem wielu rodziców wybiera dla swoich dzieci, żeby wyciszyć poczucie ekstrawagancji związane z kupowaniem lodów – że jest to zbytek, niepotrzebny luksus, coś niezdrowego i pustego, a co funkcjonalność i prostota Gullpinne w pewnym sensie tonują. W dzieciństwie mój problem z lodami polegał na tym, by wybrać odpowiedni rodzaj. Nie jedliśmy lodów zbyt często, więc niewłaściwy wybór był, w każdym razie gdy miałem siedem, osiem, dziewięć lat, prawdziwą katastrofą. Czy miałem na przykład odwagę wybrać nowe lody o smaku lukrecji? Lubiłem lukrecję, ale czy w lodach będzie równie smaczna? Albo te nowe lody o nazwie Kirsebærpinne<sup>[22]</sup>, które były jak młodszy brat

Gullpinne, prawie identyczne, poza tym, że masa smakowała jak czereśnie, czy będą wystarczająco dobre? Posmakowałem ich i długo były moimi ulubionymi, ale potem zniknęły, zostały wycofane ze sprzedaży, i starszy brat, solidny i rozsądny Gullpinne, został sam, razem z dwoma innymi rozbitkami: Bâtis<sup>[23]</sup> i Sandwich<sup>[24]</sup>. Najtrudniejsza była jednak decyzja, którą trzeba było podjąć w miejscach, gdzie sprzedawano lody włoskie, to znaczy w mieście, bo były tam też zawsze lody gałkowe, a skąd można wiedzieć, które są lepsze: włoskie czy gałkowe? Oba rodzaje mają wiele oczywistych zalet. W wypadku gałkowych należy do nich wielość smaków. W dobrze wyposażonej lodziarni może ich być nawet dwadzieścia. Można wybrać jedną, dwie lub trzy kulki, które ekspedientka nabiera łyżką do lodów i wkłada do wafelka (lub do papierowego kubka, ale kto jest tak głupi, żeby zamienić wafelek na tekturę?), możliwości kombinacji jest również zatrzesienie – na przykład gałka czekoladowa, pistacjowa i malaga albo dwie czekoladowe i jedna pistacjowa, albo pistacjowa, truskawkowa i waniliowa, albo czekoladowa, waniliowa i krokant, albo pistacjowa, malaga i krokant – co samo w sobie stanowi trudność, zwłaszcza że decyzję niejednokrotnie trzeba podjąć tu i teraz, w ułamku sekundy, co wciąż jeszcze, mimo ponad czterdziestoletniego doświadczenia, stanowi dla mnie wyzwanie. Nie należy też zapominać, że zamiast gałkowych można wybrać włoskie, które także nastęrczają trudności, bo można je zanurzyć w płynnej czekoladzie lub obtoczyć w czekoladowym proszku, posypce migdałowej, siekanych orzechach, chrupiących czekoladowych kuleczkach albo wielokolorowych perełkach cukrowych. Dla mnie numerem jeden wśród lodów przez długi czas były lody włoskie, jedyne miękkie, prawie jak bita śmietana, ale o niepodważalnie lodowym charakterze. A żeby uniknąć problemu z przeróżnymi posypkami, zwykle proszę o dwie, mianowicie o proszek czekoladowy i posypkę migdałową. Czasem obtaczają je najpierw w czekoladzie, a potem w posypce, dzięki czemu moje lody zyskują dwie warstwy, a czasem przyciskają jedną stronę do czekoladowego proszku, a drugą do posypki. Można by się spodziewać, że dzieci pójdą w moje ślady, że będą rozumiały iż wybory, których dokonuję, są wynikiem wieloletniego doświadczenia, ale one chadzają własnymi ścieżkami. Na przykład mój syn często wybiera sorbet jako jeden ze smaków w swojej kompozycji lodów gałkowych – które woli od włoskich – czego ja nigdy w życiu nie zrobiłem, nie brałem tego nawet pod uwagę. Mojej średniej córce zdarza się poprosić o lody włoskie w kubku i jeść je łyżeczką. Nie obchodzi ich, co ja wybieram. Często się na mnie oburzają: ależ tato, przecież mówiłeś, że nie będziesz już jadł lodów ani innych słodczy? Mówiłem tak, odpowiadam im wtedy, ale dziś jest taka piękna pogoda. Wczoraj też jadłeś lody, chociaż padał deszcz. Traktujesz to jak wymówkę, mówią. Dobrze, już dobrze, odpowiadam. Dlaczego nie masz jeść lodów ani innych słodczy? – pyta najmłodszy. Bo od tego się tyje, kiedy jest się tak starym jak ja. Wy możecie jeść,



ile chcecie, ale ja nie. Rzeczywiście, utyłeś, mówi najstarsza córka, która jest chuda jak patyk bez względu na to, co je. Siedzieliśmy przy stoliku przed lodziarnią w pobliżu plaży w Borby, szerokiej, z drobnym piaskiem, niemal białej, było bezwietrznie, niebo świetliste niebieskie, piasek błyszczał w słońcu tak intensywnie, że prawie nie można było na niego patrzeć, morze było spokojne, gładkie jak lustro. Mogę dostać jeszcze jedne lody? – spytał syn. Skoro mogę jeść, ile chcę. Nie, nie możesz, odparłem. Dlaczego nie? Ponieważ jesteś dzieckiem i ja za ciebie decyduję. Ale ja mogę zjeść jeszcze jedne, powiedziałem. Nie, nie możesz, odezwała się najstarsza. Owszem, mogę, odparłem, wpakowałem do ust ostatni kawałek wafla, wstałem, podszedłem do budki z lodami, kupiłem lody pistacjowe i wróciłem do dzieci. Siedziały i z przerażeniem przyglądały się, jak jem. Jedne lody po drugich – w ich świecie to było coś absolutnie niewyobrażalnego. Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy, pomyślałem, siedząc przy stoliku, jedząc lody, spoglądając na morze i czując na sobie spojrzenia dzieci. Dlaczego nigdy wcześniej nie zjadłem jednych lodów po drugich?

Dzieci wciąż to pamiętają, chociaż od tamtego dnia minęły już trzy lata. Dla nich to była demonstracja siły, ponieważ one nie dostały drugiej porcji lodów, bez względu na to, jak bardzo marudziły. Dla mnie to był żart, który zawierał jednak element powagi, ponieważ dzięki temu zdarzeniu zrozumiałem, że naprawdę mogę robić, co chcę. To, że wykorzystałem owo prawo do tego, by zjeść jedne lody po drugich, również dało mi do myślenia.

## Sól

Sól to małe białe ziarniste kryształki, z wyglądu podobne do cukrowych, ale całkowicie różniące się od nich pod względem smaku i właściwości. Sól jest przede wszystkim katalizatorem, czynnikiem sprawczym, na przykład pochłania wodę, dzięki czemu mięso wysycha, nie gnijąc, sprawia, że na jezdnich nie tworzy się lód, bo obniża temperaturę zamarzania wody, a także wydobywa z potraw różne smaki. Z tego powodu sól jest bardziej wyrafinowana od cukru, który ma w sobie coś ostentacyjnego i jednowymiarowego: smakuje słodko i sprawia, że wszystko, z czym się połączy, smakuje tak samo. Cukier poprzestaje na sobie, sól wydobywa z innych to, co najlepsze. Tak, wszystko, z czym sól się połączy, w magiczny sposób staje się lepsze, często nie można się temu oprzeć, na przykład morze – jak świeża i surowa jest słona morska woda w porównaniu ze słodką, śródlądową? Wciąż pamiętam, jak bardzo byłem rozczarowany, gdy po raz pierwszy kąpałem się w Bałtyku, na samym końcu Archipelagu Sztokholmskiego, morze rozpościerało się przede mną, a ja wskoczyłem na główkę do wody, pełen wielkich nadziei, bo było lato, słońce paliło, powietrze było ciepłe, niebo wysoko nade mną; moje ciało przebiło się przez wodę, która była chłodna, ale nie emanowała z niej świeżość i cały mój organizm zareagował na to zdziwieniem: czegoś tu brakuje, co to ma być, przecież w tej wodzie prawie nie ma soli? Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że Szwecja jest państwem śródlądowym, a Szwedzi śródlądowym narodem. Przez całe dzieciństwo sądziłem, że wybrzeże za Sztokholmem jest prawdziwym wybrzeżem szkieletowym, głównie z powodu serialu telewizyjnego *My na wyspie Saltkråkan*, bo chyba żadne dziecko, które dorasta nad morzem i ogląda ten serial, nie podejrzewa, że wyspa o dziwacznej nazwie Saltkråkan<sup>[25]</sup> w rzeczywistości znajduje się na wodach śródlądowych. W drodze powrotnej do miasta, na pokładzie jednego z wielu małych promów liniowych, które woziły pasażerów na wszystkie wysepki na obrzeżach Sztokholmu, zobaczyłem to wyraźnie: w każdej zatoce rosły trzciny, wszędzie rosły drzewa, i to tuż nad wodą, która nie była słona, lecz słodka: płynęliśmy po wodzie w lesie. Ktoś mógłby się sprzeciwić, mówiąc, że natura nie podlega rankingom; to, że wyżej ceniłem morze od jeziora, wybrzeże od głębi lądu, wynikało jedynie z faktu, że do nich przywykłem i że miejsce, w którym człowiek dorastał, staje się punktem odniesienia i miarą dla całej jego przyszłości. Ale to jest właśnie szwedzki sposób widzenia świata, relatywistyczny i wykrętny, bezbarwny i obojętny, trochę jak woda, która otacza stolicę. Po czternastu latach przeżytych w pobliżu małego zasolonego Bałtyku, w środku szwedzkiej kultury, mam niejasne przeczucie, że jednak się mylę, że to słone fale Atlantyku rozbijające się o norweski brzeg są neutralne, że to one niczego nie wyrażają, są jedynie wodą o trzyprocentowym

zasoleniu, niesioną tam przez rzeki i strumyki, które wypłukiwały ją przez miliony lat. Sól nie ma nic wspólnego z kulturą ani tożsamością i niewiele z samym życiem, poza tą minimalną ilością, której potrzebujemy, by nie umrzeć. Sól nie jest żadnym czynnikiem sprawczym, nie jest ani wyrafinowana, ani niewyrafinowana. Sól to sól. A jednak niewiele rzeczy na tym świecie może się mierzyć ze skokiem na główkę z nagiej skały do oceanu, kiedy ciało przebija się przez wodę pełną wirów i pieniających się pęcherzyków powietrza i człowiek czuje na wargach słony smak, a potem leży na skale w słońcu, obok ukochanej, której opalona skóra gdzieś połykuje ciekłą, cieniutką warstwę soli i której usta smakują jak ocean.

## Dżdżownice

Od wielu dni pada deszcz i dziś rano na drodze za żywopłotem leżały dwie dżdżownice. Jaśniały bladoczerwono na tle szaroczarnego asfaltu, miękkie i opuchnięte. Przypominały jelito cienkie albo jakiś gruczoł. Gdy jedną z nich ukłułem patykiem, zwinęła się powoli w kłębek, a więc żyła, choć najwyraźniej poza swoim żywiołem, jak człowiek w morzu daleko od brzegu. Ich środowiskiem życia była ziemia, ale z jakiegoś powodu wydostały się na powierzchnię, gdzie czekała je śmierć, ponieważ nie znosiły światła słonecznego, a nie były w stanie wgrzyźć się z powrotem w glebę.

Przypomniało mi się, że wiele razy widziałem to samo w dzieciństwie: w czasie deszczu dżdżownice wychodziły z ziemi i leżały w ogrodzie lub na drodze jak małe, wijące się powoli jelita, i ten skądinąd dziwny widok nigdy nie wywołał mojego zdziwienia, tak po prostu było, i już. W deszczowe dni pojawiała się też więcej ślimaków, błyszczących i śluzowatych małych kupek czerni, w trawie i na ściółce leśnej, jakby ta woda, która zewsząd padała, ciurkała i płynęła, przemieniła zewnętrzny krajobraz w coś wewnętrznego, w coś miękkiego i wilgotnego jak wnętrzności, pod gęstą powłoką chmur, i że właśnie to zwabiało na powierzchnię wszystkie stworzenia należące do tego, co skryte, zamknięte, schowane. Tam ze swoich domów w ciemności ziemi wypełzały dżdżownice, tam ze swoich bytów, tego, co lepkie i wilgotne, wynurzały się ślimaki. Natura wywracała ziemię na lewą stronę i wszystkie stworzenia należące do jej wnętrza były obnażane.

Jako dziecko czułem lekkie ukłucie żalu, gdy to widziałem, ponieważ groziła im śmierć, i to samo tępe poczucie smutku ogarnęło mnie teraz na widok tych dwóch dżdżownic leżących na drodze w szarym świetle lata. Ale ponieważ nie mogę wczuć się w ich położenie, empatia jest bezsensowna, pomyślałem. Zresztą może w ich wypadku śmierć nie różni się niczym od życia, może życie jest dla nich jak wiatr dla worka foliowego, jest czymś, co przez chwilę nimi porusza, a śmierć stanowi jedynie przerwanie tego ruchu?

Nie, nie może tak być. Dżdżownica ma mały mózg i brzuszny łańcuszek nerwowy ciągnący się przez całe ciało, i chociaż jej działania są mechaniczne, powstają w wyniku potrzeb, które w ten czy inny sposób musi odczuwać. Kiedy latem ziemia tuż pod powierzchnią staje się zbyt gorąca, dżdżownica schodzi na głębokość wielu metrów, gdzie jest chłodniej, to samo robi zimą, gdy górne warstwy gleby są zimne, a często też zamrożone, przekopuje się w dół, gdzie zapada w stan hibernacji. W czasie deszczu wychodzi na powierzchnię, ponieważ woda wsiąkająca w glebę utrudnia jej oddychanie – dżdżownice oddychają przez skórę – i można sobie wyobrazić, że ten ruch w górę jest wywołany impulsem paniki lub przynajmniej poczuciem dyskomfortu. A ten dyskomfort może

powstawać wyłącznie w odniesieniu do odwrotnego stanu, który niekoniecznie jest komfortem, ale musi dawać przynajmniej poczucie umiarkowanej satysfakcji, które w wypadku dżdżownicy oznacza życie pod ziemią, kiedy ta ziemia nie jest zbyt zwarta, zbyt sucha ani zbyt mokra, zbyt ciepła ani zbyt zimna, kiedy zawiera gnijące liście, igły i kawałki gałązek. Dżdżownica nic nie widzi, więc wszystko jest zupełnie czarne, i nic nie słyszy, więc wokół panuje kompletna cisza. Ma pięć maleńkich serc i małe usta, których używa również do tego, by się przemieszczać, kiedy gleba jest twarda i zbita, co oznacza ni mniej, ni więcej, tylko że wyjada sobie drogę. Dżdżownica nie wie, gdzie jest, nie wie, kim jest, ale nie ma to żadnego znaczenia, dopóki jest. Struna bytu – tym jest dżdżownica.

## Ekelöf

Jest czwarty sierpnia, pada deszcz i jednocześnie świeci słońce. Zboże jest miejscami całkiem białe i pierwsze kombajny, te olbrzymie, podobne do żuków pojazdy, są już widoczne na części pól. Zboże jest z nich wypluwane w niewyobrażalnych wprost ilościach. Widziałem to, gdy przed południem jechałem do Borrby z najmłodszą córeczką śpiącą na tylnym siedzeniu, wybierałem się do antykwariatu Hundörat po prezent ślubny. Kiedyś kupiłem tam trzy pierwsze wydania poezji Gunnara Ekelöfa i chciałem zobaczyć, czy nie mają ich więcej. Ekelöf jest najbogatszym ze wszystkich skandynawskich poetów, jego wiersze znają wszystkie emocje, wszystkie pory roku, wszystkie epoki. Łatwo jednak rozpoznać ich intonację, jest w niej pewnego rodzaju surowość, nawet wtedy kiedy Ekelöf bawi się tylko i żartuje. Możliwe zresztą, że ta surowość naprawdę nie istnieje, że to ja doświadczam jej w jego wierszach z powodu swojego wyczulenia na punkcie autorytaryzmu i lęku przed zwierzchnością. Tę samą surowość wyczuwam jednak u innych bogatych poetów, takich jak Georg Johannesen czy Ezra Pound lub na przykład Dante Alighieri. Wszyscy są suwerenni albo emanują suwerennością, w swoim czasie i kulturze należeli do ludzi najlepiej wykształconych i dla nich wszystkich najbardziej ponętne stało się na koniec to, co proste i wolne. Zdaje się, że kiedyś czytałem pewną historię o Ekelöfie: spóźnił się na przyjęcie obiadowe, był pijany, krążył między gośćmi i szeptał im do ucha, kim są. Chyba nie tylko mnie ogarnia lęk, kiedy słyszę tę historię; bardziej niż czegokolwiek innego obawiam się zdemaskowania, tego, że ktoś szepnie mi do ucha, kim jestem, a ja zrozumieć, że ten ktoś ma rację, tylko ja nigdy nie byłem w stanie przyznać się do tego, nawet sam przed sobą. Ekelöf pozostawał na zewnątrz przyjęcia jak księżę Myszkina, idiota lub dziecko, jak ten, kto mówi, co widzi, z tą różnicą, że Ekelöf wie, co robi, gdzie stoi, i właśnie to jest przerażające. Coś podobnego dzieje się w podejściu do prostoty i wolności, to zbliżanie się nie jest niewinne, lecz tęskni za niewinnością. Może to właśnie z tej dynamiki pobrzmiewa surowość? Może ci poeci sami nie mogli doświadczyć tego, co proste i wolne, mogli jedynie dać nam doświadczenie tego, mając pewność, że nie potrafimy ocenić prawdziwej wartości daru? Gdy dotarliśmy do Borrby, obudziłem córkę i zaniósłem ją do Hundörat, stała zaspana przede mną, sięgając mi do biodra, gdy ja przeglądałem książki na półce ze szwedzką poezją. Znalazłem cztery pierwsze wydania Ekelöfa i kupiłem je. Sobie zaś kupiłem tom jego wierszy ostatnich i notatek. Gdy wróciłem do domu i usiadłem w fotelu w gabinecie z filiżanką kawy, otworzyłem książkę na przypadkowej stronie i zacząłem czytać, to był tekst pod tytułem *Å propos Swedenborga*. Dotyczył grzechu pierworodnego. A co jeśli nie chodziło o upadek z tego, co dobre, w to, co złe, z rajskiej

niewinności do ziemskiej winy? Co jeśli człowiek w pewnym momencie wyodrębnił zło, w moralnym rozszczepieniu, ponieważ stał się bardziej człowiekiem, wskutek czego to, co złe, było, cytując Ekelöfa, „niedorozwinięte”? Dalej jego myśl biegła w tym kierunku, że Bóg nigdy nie istniał i nie istnieje, ale może zaistnieć w przyszłości. To dziwne wyobrażenie jest rozwinięte w wierszu, w którym Bóg jest obecny w życiu, ukryty w każdym ruchu, jeszcze nienarodzony, „nie zebrał swojego bezkresu / ciało pod pragnieniem”. Od tamtej pory myślę każdego dnia o tym, że Bóg jest możliwością, zawsze obecną, ale nigdy niezrealizowaną. Że Bóg jest w kombajnach i w wyplutym przez nie zbożu, w cieniu drzew i zakrętach dróg, w dachach domów i futrynach drzwi, w ruchach dzieci i ich sercach, a jednak to niemożliwe, skoro całość jest nieskończona i jest nią Bóg. I dlatego Bóg jest niemożliwością, bo Bóg jest w miriadach, a kiedy miriady się połączy, przestają nimi być.

## Rower

Rower to mechaniczny środek transportu, składający się z ramy z dwoma kołami; tylne jest połączone z pedałami za pomocą łańcucha. Konstrukcja jest tak prosta i wydajna, że aż wydaje się dziwne, że została wynaleziona dopiero w dziewiętnastym wieku. Dlaczego Leonardo da Vinci, który rysował prototypy samolotów, łodzi podwodnych i czołgów, nie wpadł na pomysł roweru? Albo Emanuel Swedenborg, który także rysował maszyny latające i miał obsesję na punkcie mechanicznych wynalazków? Geniusz tkwi w przeniesieniu siły z pedałów do łańcucha i dalej do kół, wszystkie człony niejako wzmacniają siłę, dzięki czemu każdy, również dziecko, może rozwinąć znaczną prędkość, używając siły zbliżonej do tej, która potrzebna jest do chodzenia, i w ten sposób radykalnie powiększyć swój zasięg ruchu. I może właśnie prostota tego wynalazku, jego ludowy i demokratyczny potencjał sprawiły, że żaden z owych wielkich myślicieli na niego nie wpadł. Oni myśleli na wielką skalę – w górę, w niebo, w dal, w przestrzeń kosmiczną, w dół, pod wodę – a rower jest niewielki. W przeciwieństwie do innych środków transportu ma bardzo mały wizualny ciężar własny; kiedy widzimy człowieka na rowerze, to zwracamy uwagę na rowerzystę, nie na rower. Rower jest skromny, niepozorny i nie chroni człowieka jak samochód, wręcz przeciwnie: eksponuje rowerzystę i jego kruchość. W sytuacjach codziennych zwykle nie dostrzegamy tej kruchości, ale w sytuacjach wojennych jest ona oczywista. Żołnierz jadący na rowerze nie budzi lęku, nie robi takiego wrażenia jak żołnierz na koniu. Rowery były używane przez żołnierzy głównie podczas pierwszej wojny światowej, zwłaszcza przez kurierów. Na przykład Adolf Hitler, który był kurierem w niemieckiej armii i do jego obowiązków należało dostarczanie wiadomości z kwater głównych umieszczonych poza frontem, jeździł na rowerze do żołnierzy w okopach. Jeśli się nie mylę, nie przetrwały żadne filmy ani żadne zdjęcia Hitlera na rowerze, ale nie ma żadnych podstaw, by sądzić, że sprawiał inne wrażenie niż pozostali żołnierze rowerzyści, którzy w hełmach i mundurach pedałowali żwirową drogą, chwiejąc się lekko, podobni bardziej do postaci granych przez Charliego Chaplina niż do tych z dzieł Homera. Teraz trudno wyobrazić sobie rower w wojennym świecie, który składa się niemal wyłącznie z wielkich maszyn, takich jak śmigłowce, myśliwce, łodzie podwodne, rakiety, czołgi i lotniskowce, i w którym żołnierze niosą tak wiele sprzętu, że sami przypominają maszyny. To, że w ciągu ostatnich lat pojawiły się rowerowe patrole policji, wynikało z faktu, że policja postanowiła wykorzystać tę samą kruchość, od której stroniło wojsko; policjant na rowerze ukazuje swoje ludzkie oblicze, zacierając tym samym to, co mogłoby dzielić go od społeczeństwa, któremu ma służyć. Ale kiedy przychodzi co do czego, kiedy policjanci otaczają dom, w którym przebywa osoba podejrzewana



o terroryzm lub napad na bank, nie przyjeżdżają na rowerach. A więc rower należy obecnie tylko do świata rodzinnego, z którym jest za to głęboko zintegrowany, w każdym razie w tej części świata, w której ja żyję, gdzie każde dziecko w pewnym wieku dostaje rower, a nauka jazdy na nim stała się rytuałem inicjacyjnym. Spotkałem wielu dorosłych, którzy nie potrafią prowadzić samochodu lub nie umieją pływać, ale nigdy nie spotkałem człowieka, który nie potrafiłby jeździć na rowerze. Skoro rower nie chroni, lecz eksponuje, wsiadanie na niego może pozornie wiązać się z utratą godności, ponieważ to, co emanuje z kierowcy czarnego bmw, różni się radykalnie od tego, co bije od człowieka na czerwonym dbs<sup>[26]</sup>. Ta utracona godność ma związek wyłącznie z samochodem, nie ma nic wspólnego z człowiekiem, ponieważ rower ma tę właściwość, że stapia się z sylwetką rowerzysty. Jeśli na rowerze wyglądasz niepozornie, to dlatego że jesteś niepozornej postury. Tak właśnie myślałem, gdy niedawno kupiłem nowy rower i w równie nowym kasku na głowie poprowadziłem go obok samochodu na drogę, postawiłem stopę na pedale, przełożyłem drugą nogę nad ramą i zacząłem pedałowac, siedząc zaledwie półtora metra nad drogą, zupełnie bezbronny. Moja najstarsza córka, która tego samego dnia dostała nowy rower, wyminęła mnie, chwając się lekko, jej długie nogi pedałowaly szybko na zbyt niskiej przerzutce, poczułem, jak zalewa mnie fala miłości do niej, ponieważ na rowerze jej cały aparat ochrony przed światem – te wszystkie formy, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, makijaż, ubranie, sposób mówienia, zarzucania głową, wywracanie oczami – był całkowicie wyeliminowany przez wymagania roweru dotyczące równowagi i prędkości, co najwyraźniej cofnęło ją do czasów, gdy jazda na rowerze była dla niej czymś nowym, bo gdy zrównałem się z nią, a ona podniosła na mnie wzrok, z jej oczu biła bezbronna radość.

## Backer

Tego lata zrobiłem chyba setki zdjęć. Większość dzieciom, ale wiele również naszemu ogrodowi i okolicznym krajobrazom – rozległym łąkom zbóż, rozświetlonym słońcem skrajom lasu, potężnym drzewom liściastym, jałowym nadmorskim wzgórzom, wysokiemu niebu nad nimi, często pełnemu wiszących chmur. Te zdjęcia, wykonane aparatem w telefonie komórkowym, nie roztaczają żadnej aury, nie bije od nich nic poza pewnego rodzaju faktycznością: tak właśnie było na przykład tamtego deszczowego dnia w ogrodzie w Glemmingebro, dziesiątego lipca 2016 roku. Każde miejsce i każda chwila mają charakterystyczne cechy, widoczne na tych fotografiach jedynie poprzez wspomnienia, które się z nimi wiążą. Chyba właśnie dlatego zdjęcia zrobione przez innych ludzi tak często wydają się zupełnie pozbawione sensu; to osobista relacja z tym, co zostało uwiecznione na fotografii, czy to będzie człowiek, czy krajobraz, nadaje jej znaczenie.

Kilka tygodni temu po raz pierwszy byłem w Rio de Janeiro i chociaż widziałem tysiące zdjęć tego miasta, dopiero gdy tam stanąłem, na Copacabanie, z białymi wieżowcami z betonu między porośniętymi tropikalną roślinnością górami za mną i plażą przede mną, miasto nabrało dla mnie ciężaru gatunkowego. A więc to tak wygląda! Widziałem to wszystko już wcześniej, ale jako faktyczność, nie rzeczywistość. Rzeczywistość jest czymś, czego się doświadczyło. Dziwne jest to, że obrazy – w przeciwieństwie do fotografii – zdają się to przekazywać. Nic w tym dziwnego, mógłby ktoś stwierdzić, przecież obraz reprezentuje miejsce lub osobę przefiltrowaną przez osobistą obecność. A więc duch miejsca, który z niego emanuje, istnieje tylko w nas? A może w nas tkwi jedynie coś na tyle czułego, by tego ducha wychwycić? Czy duch miejsca jest taki sam dla wszystkich, czy każdy z nas ubarwia go po swojemu, w zależności od stanu umysłu i temperamentu? Realistyczne malarstwo osiemnastowieczne stwarza poczucie bycia tam, nie tylko poprzez prezentowanie miejsca czy osoby, lecz przede wszystkim samej tej właściwości, to znaczy bycia obecnym. Wówczas doświadczenie miejsca artysty zostaje przesunięte na korzyść doświadczenia oglądającego obraz; obraz staje się miejscem. Przez całe przedpołudnie przyglądam się reprodukcji obrazu Harriet Backer<sup>[27]</sup>, należącego do jej najbardziej znanych dzieł; nosi tytuł *Chrzest dziecka w kościele Tanum*. Zawsze go lubiłem. Przedstawia scenę rozgrywającą się w kościele, perspektywa jest zbieżna, z wnętrza świątyni na zewnątrz, w stronę otwartych drzwi, w których ukazują się dwie kobiety, jedna z małym dzieckiem na ręku. W jednej z ławek widzimy inną kobietę, odwraca się w stronę wejścia i mój wzrok przez cały czas krąży między nimi: tymi, które wchodzą do kościoła, i tą, która spogląda w ich stronę.

Nie ma tu nic więcej. Można by pomyśleć, że chodzi o napięcie między wewnętrznym wystrojem, mieszczańskim wnętrzem a tym, co na zewnątrz, dzikim zewnętrzem, ale tak nie jest; wręcz przeciwnie: przejście między tymi dwoma miejscami lub stanami jest płynne i harmonijne. O aspekcie religijnym, o nowo narodzonym dziecku, które należy jeszcze do natury, ale wkrótce zostanie wtajemniczone w kulturę, również nie myślę, patrząc na obraz, choć ta scena ma oczywiście również taki wydźwięk. Nie jestem ciekawy, kim mogą być ludzie, których ta sytuacja dotyczy. Nie interesuje mnie ani to, skąd pochodzą, ani dokąd udadzą się później, ponieważ liczy się tylko ten moment, jego niezwykła relacja do czasu. O Harriet Backer mówi się, że swoich obrazów nie malowała dłużej niż dwadzieścia minut „za jednym posiedzeniem”, ponieważ tylko wtedy światło było takie samo. Tutaj światło wlewa się przez otwarte drzwi, ze świata zewnętrznego, gdzie nie widać żadnego nieba, tylko zieloną gęstwinę, lśniącą, jak to bywa w deszczowe dni lata. Światło odbija się, lekko połyskując, w drewnianych drzwiach i bardziej matowo w podłodze, która im dalej w głąb, tym staje się ciemniejsza. Z gry światła wynika, że jest późne przedpołudnie, prawdopodobnie pod koniec czerwca lub na początku lipca. Ulotność światła, to, że ciągle się zmienia i nigdy nie nieruchomieje ani nie skupia się na niczym, wiąże je z czasem, jest niemal jego wizualizacją. We wprost niesłychanej wrażliwości tego obrazu na światło – padające na nieruchomą podłogę i twarde ściany, kobietę, która się odwraca, kobiety, które wchodzi – ulotność tej konkretnej chwili zastygła w nieruchomości rzeczy i postaci. I tak oto czas stał się miejscem, grota światła wydrążoną w ciemności, i tylko w ten sposób czas, który zauważamy, ale którego nie czujemy i nigdy nie widzimy, może roztaczać własną aurę.

## Cynizm

Cynizm to określony rodzaj myślenia, niepowiązany z uczuciami, a przez to często doświadczany jako wolność, trochę jak stan, w którym znajduje się nastolatek, gdy po raz pierwszy zostaje sam w domu, a reszta jego rodziny wyjeżdża na wakacje. Myśli mogą robić, co chcą, nie muszą brać pod uwagę nikogo ani niczego poza prawdą, która dla cynika skrywa się za zasłoną. Tą zasłoną są nasze wyobrażenia dotyczące rzeczywistości, zwłaszcza tej społecznej, charakteryzującej się iluzjami, w które wierzymy i w odniesieniu do których odczytujemy świat, a które stanowią jedynie grę, coś drugorzędnego, zasłaniającego to, co pierwszorzędne, czyli nasze prawdziwe motywy działania: interesowność, egoizm, chęć przetrwania, pożądanie. To oznacza, że nic nie jest takie, jakie się wydaje, lecz zawsze stanowi wyraz czegoś innego. Takie myślenie, nacechowane podejrzliwością, ma tylko jedno ujście, musi prowadzić do mizantropii, która ma z kolei dwie możliwe konsekwencje: nihilizm lub hedonizm. Nihilizm jest nicością, hedonizm – przyjemnością bez oglądania się na innych. Ironia polega na tym, że jasny, wolny od uczuć, niezależny i niczym nieskrępowany intelekt, który wyróżnia człowieka spośród wszystkich innych zwierząt, w swojej krańcowej konsekwencji prowadzi prosto do tego, co zwierzęce, z jedną okrutną różnicą: świadomością bezsensowności tegoż. Cynik nie może jednak postąpić inaczej, ponieważ prowadzi go tam prawda. Zbawienie przez na przykład wiarę w Boga miłosierdzie nie stanowi żadnej alternatywy, ponieważ wiara jest iluzją stworzoną właśnie po to, by uniknąć prawdy, tak brutalnej, że prawie nikt nie jest chętny, by ją udźwignąć, i dlatego niemal wszyscy robią, co w ich mocy, by jej uniknąć. Na przeciwległym biegunie cynizmu znajduje się naiwność, bo podczas gdy cynik analizuje wszystko i nie wierzy w nic, człowiek naiwny niczego nie analizuje, za to wierzy we wszystko. Przepaść dzieląca te dwa przeciwległe krańce nigdzie nie została lepiej uchwycona niż w powieści *Idiota* Fiodora Dostojewskiego. Opisane w niej życie społeczne jest grą opartą na strategiach i chłodnej kalkulacji, nakierowanej na osiągnięcie własnych korzyści i pogrążenie innych ludzi, która bierze całkowicie w łeb, kiedy trafia na człowieka, który nie gra, nie kalkuluje, lecz bierze wszystko dosłownie i wierzy w to, co widzi. Jego dobroć polega na tym, że nikogo nie udaje, nie kieruje się ukrytymi motywami, lecz żyje w zgodzie z tym, co czuje, jak dziecko. To samo dzieje się w filmie *Idioci* Larsa von Triera: grupa pozbawionych złudzeń mieszkańców Kopenhagi zebrała się, by udawać idiotów, ale gra bierze w łeb, kiedy spotykają kogoś, kto nie gra – kobietę, która straciła dziecko. Lars von Trier sam jest cynikiem, Dostojewski również musiał nim być, w każdym razie znał zasady gry, nihilizm i hedonizm od podszewki, i dlatego na oba dzieła można spojrzeć jak na

walkę ich twórców z cynicznym „ja”, jak na wielką próbę zainstalowania sensu i życia na wewnętrznych cynicznych pustkowiach. Kto wie, może wszystkie przejawy sztuki są wyrazem tej walki? Czysty cynizm nie jest w stanie stworzyć sztuki, ponieważ jego metoda, by traktować świat takim, jaki jest, bez uczuć i bez wiary, całkowicie wyklucza metodę sztuki, którą jest empatia. I dlatego formę cynizmu stanowi aforyzm, krystalicznie czyste i nieuchwytnie zdanie, a postereunek cynika to postereunek krytyka, który tak naprawdę, w głębi serca, jest wrogi sztuce. Czystą sztukę tworzą natomiast ludzie naiwni i jest ona tym większa i lepsza, im bardziej naiwny jest jej twórca. Najlepszym przykładem, jaki przychodzi mi do głowy, jest Edvard Munch: nie było w nim ani odrobiny cynizmu, był idiotą, a niewielu ukazało życie ludzi na ziemi prawdziwiej niż on.

## Śliwki

Kiedy nocami zaczyna gęstnieć ciemność, pod koniec lipca i na początku sierpnia, jakby było odrobinę bardziej wilgotno i jakby ta wilgoć nie rozpuszczała się już w powietrzu tak łatwo, zaczynają dojrzewać śliwki. Z tego powodu słodki, soczysty smak ma w sobie zawsze odcień melancholii; lato dobiega końca. Gdy zacząłem pisać tę książkę pod koniec maja, poprosiłem wszystkich w wydawnictwie, żeby spisali słowa, które kojarzą im się z latem. Lista zaskoczyła mnie, była tak pełna nadziei, wszystkie słowa wydawały się jasne, lekkie, szczęśliwe. Znalazły się na niej plaże, bikini, rosa, piwo wypijane pod gołym niebem, jasne noce, nagie przybrzeżne skały, opalenizna, sezon urlopowy, okulary przeciwsłoneczne, fale, wakacje, badminton, łódź motorowa, radio turystyczne, morele, sandały i letnie sukienki. Były tam także: kabriolet, uządlenie osy, różowe wino, hamak, kąpiel w wodzie ze zraszacza, czytanie klasyków, kółko do pływania, zadrapania i spanie w namiocie. Letnie obozy, krótkie spodenki, tęcza, pot, słomkowy kapelusz, płócienne spodnie i fala upałów, torba plażowa i lody włoskie. Wszystkie te słowa mieściły w sobie oczekiwanie, w tej czy innej formie. Smak śliwek, słodki w ciężki i mroczny, niemal związany z ziemią sposób, zrywa z tym oczekiwaniem. Nie jest tak, jak myślałem, mówi smak śliwki, a teraz jest już za późno. Dzisiaj jest ósmy sierpnia i na starej śliwie w środku ogrodu, której odstające na boki gałęzie są podtrzymywane podporami, prawie wszystkie śliwki rosnące po południowej lub zachodniej stronie są dojrzałe. Tego dnia zjadłem już dwie, stojąc na trawie, na świeżym, chłodnym wietrze, i w melancholii wywołanej przez ich smak było również coś dobrego, myśl o zwyczajnym życiu, które wkrótce się zacznie, z jego ograniczeniami i rutyną, o jesieni i zimie, które nie niosą w sobie żadnych obietnic. Smak przywołał mi także na myśl dzieciństwo, ciemność pod koniec sierpnia, wieczory, kiedy chodziliśmy kraść owoce w starych ogrodach w Gamle Tybakken i jedliśmy na obiad kraby, a drzwi do jesieni otwierały się i jesienne ciemności zaczynały się wślizgiwać do środka razem z wiatrem. Czasem kradliśmy owoce w drodze do szkoły, parkowaliśmy rowery tuż przy ogrodzeniu, wskakiwaliśmy do ogrodu, ładowaliśmy śliwki do swetra, który podwijaliśmy jedną ręką, robiąc z niego coś w rodzaju worka, a drugą rękę trzymaliśmy na kierownicy. To była moja ulubiona pora roku, uwielbiałem chłodne podmuchy wiatru o poranku, kiedy woda w morzu była wciąż ciepła po lecie i miało się wrażenie, że dwie rzeczywistości – ta, która miała związek z jesienią i szkołą, i ta związana z latem i wakacjami – istnieją obok siebie. Śliwki były tego częścią, ponieważ śliwa kwitnie późną wiosną, owoce pojawiają się w środku lata, dojrzewają tuż przed jego końcem i jest w nich coś złowieszczonego, tak jak w wielu innych rzeczach, które się dzieją, kiedy ciepło i światło zaczynają zniknąć. Pszczoły

i osy desperacko poszukują słodczy, są nadpobudliwe i rozdrażnione, motyle cieszą się ostatnimi godzinami życia, śliwki tak szybko stają się przejrzałe i gniją, że nie sposób zjeść wszystkich na czas; zupełnie jakby lato rzucało na stół wszystko, co ma, w swoim ostatnim gorączkowym działaniu, zanim umrze. A jeśli zabierze się śliwki do jesieni i zimy, jak to robiliśmy, gdy byłem dzieckiem – matka pasteryzowała je i w wekach przechowywała w piwnicy – nie ma w nich żadnego śladu po lecie: leżą pociemniałe w słoikach wypełnionych przezroczystą zalewą cukrową, jak małe pomarszczone głowy w formalinie. Ich skórki są jakby zrobione z tworzywa skóropodobnego i mają słodko-gorzki smak, i nic materialnego na tym świecie nie budzi wspomnień bardziej niż one.

## Skóra

Wszystkie nasze wyobrażenia o tym, co jest jakie w dotyku, pochodzą ze skóry, z jej kontaktu ze światem materialnym. O tym, że śruba jest twarda i gwintowana, a pokrywająca ją powłoka olejowa miękka i gęstawa, mówi nam skóra. To, że w letni poranek trawa jest miękka i chłodna, ściana domu twarda i zimna, a ziemia w świeżo skopanej grządce sucha i sypka tam, gdzie świeci słońce, a bardziej wilgotna i zbita w cieniu, jest doświadczeniem skóry, chociaż właśnie tego ranka skóra nie musi dotykać żadnej z tych rzeczy, ponieważ jej wszystkie wcześniejsze doświadczenia leżą zmagazynowane w świadomości, z której są ciągle pobierane i łączone z informacją dostarczaną przez spojrzenie, dzięki czemu z czasem człowiek, nawet kilkuletni, może ocenić powierzchnie i stwierdzić, jakie są w dotyku, bez potrzeby wyciągnięcia ręki i dotyknięcia ich palcami. Dotyczy to nawet tak dużych i skomplikowanych struktur jak na przykład plaże, ponieważ zatrzymując się na skraju lasu i patrząc na plażę ciągnącą się w obie strony przez setki metrów, każdy, nawet dziecko, wie, że w głębi ładu piasek jest suchy, ciepły, niemal jedwabiście miękki i jednocześnie ziarnisty, kiedy prześlizguje się po skórze i przesypuje między palcami, podczas gdy tam, gdzie z cichym pluskiem kończą się morskie fale, jest zbity, gruboziarnisty, twardy i mokry. I również z tego powodu człowieka mogą wypełniać uczucia dla rzeczy i ich powierzchni, kiedy siedzi i czyta na przykład taki tekst jak ten, który opisuje błyszczący stalą nóż o starannie naostrzonym ostrzu, ostrze przesuwając się po kciuku i przecinając cienką warstwę skóry, a ta otwiera się, tworząc wąską szczelinę, w której w następnej sekundzie pojawia się krew. Zimne ostrze noża, miękka skóra, leniwie ciekąca krew. Wszyscy to znają. Ten rezerwuar doświadczeń na temat rzeczy i tego, do czego prowadzi ich dotknięcie, rzadko dociera do świadomości, a mimo to owe doświadczenia kierują nami, bo na tym chyba polega najważniejsze zadanie skóry: znaleźć optymalne warunki, w których może przebywać ciało. Nie za ciepło, nie za zimno, nie za mokro, nie za sucho, nie za twardo, nie za miękko. Tym, czego ciało najchętniej dotyka, za czym zawsze tęskni i co za każdym razem je zaspokaja, a co za tym idzie, uspokaja, odpręża i daje poczucie spełnienia, jest druga skóra. Trzymanie nagiego niemowlęcia na nagim torsie, skóra do skóry, to jedna z najwspanialszych rzeczy w życiu, zarówno dla dziecka, jak i dla dorosłego. W wypadku dorosłych skóra innych dorosłych stanowi źródło innego rodzaju przyjemności, czasem tak intensywnej, że jak tylko zamykają za sobą drzwi i zostają sami w pokoju, zdzierają z siebie ubranie i przywierają do siebie, ponieważ tęsknota skóry za inną skórą, miękka, gładką i nagą, w ciągu zaledwie kilku sekund może przybrać ogromne rozmiary. To, że tak się dzieje, że skóra tęskni za skórą i że jej wszystkie wcześniejsze dotknięcia są przechowywane



w świadomości jak magazyn uczuć, które mogą ożyć dzięki czemuś, co zobaczy oko, sprawia, że cały byt zmienia charakter wiosną i latem, kiedy ludzie chodzą lekko ubrani, w spódnice i krótkie spodenki, T-shirty i topy, ponieważ nagle naga skóra jest wszędzie, nagie ramiona, nagie ręce, nagie uda, łydki i kolana, nagie kostki u nóg, nagie karki i szyje, i oko to widzi, a ciało wie, jak to jest gładzić czyjaś rękę, udo, kark, czuć nagą skórę przy swojej nagiej skórze. Ale to miłe uczucie, jakie wzbudza widok skóry, rzadko daje się zaspokoić, przejść od dystansu oka do bliskości dłoni, ponieważ organizujemy świat według oka, nie według dłoni, tworząc społeczeństwa, gdzie niemal wszyscy są dla siebie obcy. Przejście od rzeczywistości oka do rzeczywistości skóry pokrywa się z przejściem od tego, co społeczne, do tego, co prywatne, i u kogoś takiego jak ja, kto ma problemy z bliskością, kto prawie nigdy nie lubi być dotykany i prawie nigdy nie lubi dotykać innych, skóra wzbudza ambiwalentne uczucia, bo również moja skóra chce być blisko innej skóry, może pragnie tego bardziej niż cegokolwiek innego, a jednocześnie czuje przed tym lęk i dlatego stara się tego unikać lub to ograniczać. Wtedy tęsknota skóry staje się jak pies, a pragnienie jak smycz, na której ją trzymam.

## Motyle

Pod koniec lipca i na początku sierpnia w ogrodzie pojawiają się motyle. Nigdy nie ma ich dużo, więc ich widok jest czymś wyjątkowym, trochę jak widok tęczy. Najmłodsza córka goni motyle, prawdopodobnie dlatego, że trzepot ich skrzydeł jest bezgłośny i ponętny, nie wydaje się ani trochę groźny. Jeśli się nie mylę, nie interesuje jej ich piękno, które sprawia, że widok nawet jednego z nich jest dla mnie małym świętem. Jednak to, co ona w nich lubi – to, że emanują ciepłem i spokojem – wiąże się przecież z ich pięknem; to ze względu na całkowitą bezbronność wobec drapieżników wiele gatunków motyli ma na skrzydłach wzory. Pełnią one funkcję kamuflażu, wtapiając motyla w tło, z którym się zlewa, lub przebrania, pozwalając, by motyl przypominał liść albo gałązkę, którymi drapieżniki się nie przejmują, lub coś trującego albo niebezpiecznego, czego drapieżniki nie śmiały zaatakować. W zeszłym tygodniu, kiedy siedziałem przed domem i piłem kawę, poczułem nagle, że ktoś mi się przygląda; odwróciłem się i zobaczyłem, że tuż za moimi plecami siedzi na rynnie motyl. Miał na skrzydle rysunek oka, niezbyt duży, lecz odznaczający się wyraźnie na żółto-pomarańczowym tle. Rysunek oka nie był wybrykiem natury, tak jak twarze i przedmioty ukazujące się w chmurach lub drewnie, jak plamy na ścianach lub wzory w cieczech, rysunek miał przypominać oko, by odstraszać drapieżniki. Zrobiłem mu zdjęcie telefonem komórkowym i teraz siedzę i mu się przyglądam. Nie sposób nie popaść w zdumienie na jego widok. Kto je wymyślił? Nikt. Oko powstało, nie będąc wcześniej nigdzie pomyślane. W takim razie skąd się wzięło? Musiała zadziałać wola, by mógł zaistnieć ruch od skrzydła bez oka do skrzydła z okiem. Gdzie ta wola jest zlokalizowana? Nie w motyłu, on prawdopodobnie nie wie nic o tym rysunku. Zgodnie z teorią naukową stało się to w wyniku naturalnej selekcji, to znaczy, że motyle ze wzorem, który przez przypadek przypomina oko, okazały się lepiej przystosowane do życia od motyli z innymi wzorami, dzięki czemu żyły dłużej, a tym samym więcej z nich było w stanie przekazać dalej swoje geny – w czymś w rodzaju powolnego procesu uszlachetniania. Istnieje około stu siedemdziesięciu tysięcy gatunków motyli, co stanowi dziesięć procent wszystkich opisanych gatunków na Ziemi, nie ma więc wątpliwości, że motyle na to, by istnieć, znalazły skuteczny sposób, choć jest skomplikowany: najpierw jajo, potem larwa, potem poczwarka, aż w końcu, ze swoimi ogromnymi w stosunku do reszty ciała skrzydłami, motyl. Jego piękno jest nie tylko potężne, lecz również ulotne: po wydostaniu się z poczwarki i rozłożeniu skrzydeł ma tylko kilka dni, by się rozmnożyć, zanim umrze. Niektóre gatunki motyla nie jedzą, nie przyswajają pokarmu, fruwały tylko i szukają kogoś, kogo mogłyby zapłodnić lub kto mógłby je zapłodnić, dopóki starcza im sił. Po co więc ta cała szopka wokół ich życia, od

łakomstwa segmentowej larwy do sarkofagopodobnej egzystencji poczwarki i tych kilku dni cudownego rozkwitu, do którego prowadzi to ciche przeobrażenie? Jeśli ich jedynym celem jest rozmnażanie, to czy motyle nie mogłyby być małymi, szarymi, włochatymi i brzydkimi kłębkami, które żyłyby przez kilka godzin na ściółce leśnej, wystarczająco długo, by znieść kilka małych włochatych jaj? Odpowiedzią jest czas, jego głębia jest tak potężna, że każde wydarzenie może pociągnąć za sobą wszystkie możliwe konsekwencje, bez względu na to, jak byłyby małe i niepozorne, we wszystkich wyobrażalnych kierunkach. Właśnie to pokazał mi motyl, który siedział na rynnie, jak nieskończenie stary jest świat i jak wielki rezerwuar możliwości mieści w sobie czas – zaledwie kilka minut później, gdy wstałem z krzesła i wszedłem na korytarz letniego domku, gdzie przechowujemy narzędzia, przeraził mnie nagły ruch: to była ropucha mieszkająca pod przeciekającym kranem, połyskująca w mrocznym świetle, z długimi, gładkimi nogami i dużą, płaską głową. Ropucha była drugą konsekwencją tego samego, co przywiodło motyla do rynny. A ja, który to wszystko widziałem i teraz to zapisuję, jestem trzecią.

## Jajka

Gdy byłem mały, w każdą niedzielę jedliśmy na śniadanie jajka na miękko i chociaż ten zwyczaj od dawna nie istnieje, tak jak nie istnieje rodzina, w której ten zwyczaj obowiązywał, jajko na miękko wciąż kojarzy mi się z tą szczególną niedzielną atmosferą. Tam, gdzie mieszkaliśmy, nie były kościelne dzwony i nigdy nie chodziliśmy do kościoła, robiła to tylko jedna rodzina z naszego osiedla, ale lata siedemdziesiąte znajdowały się tak blisko religijnej przeszłości, że jej odbłask wciąż unosił się w powietrzu, tak jak powoli zanikające światło widoczne na niebie chwilę po zachodzie słońca. Wszystkie sklepy były zamknięte, więc prawie żadne pieniądze nie znajdowały się w obiegu, wszyscy mieli wolne, więc nie wykonywano prawie żadnej pracy. Zamiast tego chodziło się lub jeździło na tak zwane niedzielne wycieczki, a na obiad podawano tak zwany niedzielny obiad, co oznaczało, że był bardziej wyszukany i staranniej przygotowany niż pozostałe posiłki w tygodniu. Chociaż wszystko inne było takie samo i zarówno pokoje w domu, jak i krajobraz za oknem pozostawały niezmiennie, widok jajka, kiedy kredowobiałe wyginało się w łuk nad brązowym kieliszkiem na kuchennym stole, wystarczał, by nadać niedzieli szczególny charakter. Tak, zupełnie jakby jajko na miękko wprowadzało ten niezwykły nastrój, który nawet światło między drzewami w dole drogi przemieniał w niedzielne światło. Wówczas nie byłem tego jednak świadomy, siadałem po prostu przy stole, uderzałem stosunkowo ciężkim nożem w jajko, jakieś trzy centymetry poniżej czubka. Skorupka pękała, a metal wrzynał się w głąb miękkiego środka, tak że wypełniony sztywnym białkiem wierzchołek można było podnieść, często za pomocą łyżeczki, niczym przykrywkę. Następnie chwytałem solniczkę, trzymałem ją najpierw nad przykrywką, potem nad otwartym jajkiem i stukałem palcem wskazującym w denko solniczki, wysypując ziarenka soli. Jeśli jajko było letnie, układały się wygodnie jak małeńkie, twarde kamyki w tym, co dla nich potężne, miękkie i białe; jeśli jajko było ciepłe, natychmiast rozpuszczały się i znikały, by kilka sekund później zostać odnalezione przez kubki smakowe w postaci drobnych ukłuć soli, niejako wytryskujących z łagodnej masy, jaką jajko tworzyło w ustach. Moja matka, która gotowała jajka najczęściej, nigdy nie używała zegarka, więc ich konsystencja wahała się od całkiem miękkiej, kiedy szarawe, gęste białko pływało w skorupce, a żółtko również było płynne, tylko odrobinę gęstsze, do całkiem twardej, kiedy białko było niemal gumowate, z niebieską poświatą, a żółtko przypominało żółtą, suchą piłkę, która kruszyła się, kiedy wsuwało się w nią łyżeczkę. Trudno sobie wyobrazić, żeby jajko mogło być związane z życiem, wygląda ono bowiem na starannie wystylizowane, zarówno przez idealnie owalny kształt i gładką powierzchnię, jak i przez wewnętrzną strukturę, gdzie żółtość spoczywa w bieli, pieczołowicie w nią zapakowana, a jeśli

jest coś, co nie charakteryzuje życia, to właśnie stylizacja, porządek i systematyka. Prawie wszystko w naturze jest postrzępione, karbowane, kanciaste, sękate i nierówne, pomieszane i pozbawione granic. Z jajkiem również tak się dzieje, kiedy wykluwa się kurczak, i chyba właśnie z tego powodu jajko zajmuje centralne miejsce w tak wielu mitach dotyczących stworzenia świata, na przykład w taoistycznym, gdzie wszechświat był początkowo jajkiem, które zostało rozbite na dwie części, kiedy narodził się w nim bóg: z jednej części powstało niebo, a z drugiej ziemia. Życie niszczy porządek, łamie symetrię, to jego fundamentalna zasada, i jeśli się spojrzy na wszechświat, na systematykę, która tam panuje, na okrągłe planety na okrągłych orbitach, wokół okrągłych słońc, a te z kolei uporządkowane w spiralne galaktyki, z potężnymi przestrzeniami pustki między sobą, życie tu, na Ziemi, jest jego przeciwieństwem, z kociętami, które nabierają zbyt dużego rozpędu, zbyt późno to odkrywają i na sztywnych nogach wpadają na ścianę, uderzając o nią głową, lub z chłopcami, którzy sikają na przewody elektryczne i zostają porażeni prądem, lub z małżeństwami, które lekko podpite grillują tuż pod drzewem, a ono zajmuje się ogniem, czemu przyglądają się bezradnie; gdy wracamy do domu, moja żona biegnie po gaśnicę i spryskuje płomienie białą pianą.

## Obfitość

Obfitość jest innym określeniem bogactwa, oznacza dostatek czegoś, początkowo tego samego, lecz w konsekwencji jest to jednak coś więcej niż nagromadzenie pojedynczych składników. W obfitości coś powstaje. Kiedy mówimy na przykład o wielości znaczeń, nie mamy na myśli diametralnie różnych, logicznych antytez, bukietu argumentów, ponieważ obfitość jest przeciwieństwem logiki, wrogiem tego, co ograniczone, a przyjacielem tego, co nieskończone. Nie, mówiąc o wielości znaczeń, mamy na myśli uczucie intensywności, które powstaje, kiedy stoimy przed dziełem sztuki lub kiedy czytamy książkę, to poczucie „więcej” lub „mnóstwo”, którego nie można odnieść do żadnego pojedynczego aspektu dzieła, a które wytryska ze wszystkich jego części, i właśnie ilość tych części i ich równoważność wywołują to odczucie. Weźmy na przykład różne odcienie niebieskości na obrazie – ich widok może sprawić, że umysł wejdzie na wyższy poziom, a dusza nawiąże kontakt z czymś, czego doświadczamy jako czegoś absolutnie kluczowego. Ale co jest tym czymś? W jaki sposób niebieski kolor może nadawać znaczenie? I to w takich ilościach? Tego nigdy się nie dowiemy, ponieważ pytanie o znaczenie należy do innego porządku niż samo znaczenie. Pytanie o znaczenie jest jak naczynie, a samo znaczenie jest jak woda: jeśli wlejemy ją do naczynia, zmieni ona kształt, co nie oznacza, że zastanawiając się nad tym kształtem, zbliżymy się do zrozumienia istoty wody; jeśli przelejemy wodę do naczynia o innym kształcie, przybierze nową formę z równie wielką oczywistością. W sztuce stosunek znaczenia do myśli jest taki sam jak stosunek wody do naczynia. I może właśnie obfitość jest charakterystyczną cechą sztuki, być może sztuka realizuje zasadę obfitości, może w niej ma swoje źródło. Pewne jest to, że nasze sposoby oceny sztuki wiążą się ze sposobami, w jakie postrzegamy nasze otoczenie, na przykład kiedy uznajemy, że dane dzieło jest płytkie, lub przeciwnie: głębokie – chociaż zewnętrzne podobieństwa między, powiedzmy, tomem wierszy a wodami zatoki są niewielkie – że myśli w nim zawarte są ciasne lub szerokie, że forma jest wyszukana lub nie najwyższych lotów, albo kiedy stwierdzamy, że język jest kwiecisty, bogaty i wykwintny, lub przeciwnie: ubogi, jałowy, opuszczony. Myśl, że w ten sposób zewnętrzny świat nadaje kształt wewnętrznemu i że sztuka jest jedynie matowym odbiciem rzeczywistości, mogłaby zwalić nas z nóg, tak jak zboże jest latem powalone przez deszcz lub grad – ponieważ to przywiązuje nas tak bardzo do ziemi i miejsca, zamyka nas klaustrofobicznie wewnątrz tego samego – gdyby nie obfitość, która otwiera świat, nawet najmniejszą jego część, na to, co nieskończone. Każdego lata, kiedy zboże jest już dojrzałe, a ja przejeżdżam obok pól w pobliżu miejsca, gdzie mieszkam, wąskimi asfaltowymi drogami, które wiją się przez błyszczący krajobraz, suchy

i złocisty, całkiem nieruchomy, nawet wiatraki stoją w bezruchu, a drzewa, z gęstą zasłoną zielonych liści, niemal dotykają intensywnie błękitnego nieba, aż w końcu wiatr przybiera na sile, wprawia wszystko w ruch i krajobraz zaczyna falować, myślę sobie wtedy: szczęśliwy, kto potrafi tak pisać!

## Osy ziemne

Gdy dorastałem, osy ziemne były czymś tajemniczym i budzącym lęk, należały do tych stworzeń, które w skłonny do przesady dziecięcym świecie urastają do monstrualnych rozmiarów, trochę jak ostrosz drakon, niebieska meduza czy żmija zygzakowata. Ale podczas gdy trzy ostatnie stanowiły realne zagrożenie – choć ryzyko spotkania z nimi było niewielkie – i rzeczywiście mogły zaszkodzić człowiekowi, niebezpieczeństwo ze strony os ziemnych było bardziej urojone, a obawa przed nimi niemal tak samo nieuzasadniona jak przed borsukami (które gryzły tak, że aż chrupały kości). Nie chodziło tylko o to, że osy ściagały ludzi całymi rojami i mogły użądlić ich tyle razy, że umierali; osy ziemne uczynił legendarnymi również fakt, że mieszkały w podziemnych jamach. Należały do powietrza, nieba, otwartych przestrzeni i to, że właśnie one znikwały pod ziemią, sprawiało, iż kojarzyły się z czymś diabolicznym i sprzecznym z naturą.

W dzieciństwie nie widziałem ani jednej osy ziemnej, a w dorosłym życiu zapomniałem zupełnie o ich istnieniu i ciemnej sile przyciągania, aż do pewnej niedzieli przed dwoma laty, gdy wybraliśmy się na plażę w Sandskogen. Było pochmurnie, ale ciepło. Słońce jak żółta poświata na szarobiałym niebie. Morze również szare, poza miejscami, gdzie białe fale uderzały o ląd i opłukiwały ciemnożółty, niemal brązowy piasek. W głębi, tam dokąd fale nie sięgały, piasek był beżowy. Tworzył strome wydmy, na czubku porośnięte roślinnością, od zewnętrznej strony kępy bladozielonej trawy były rzadkie, ale im dalej, tym stawały się gęstsze, aż zaczynał się las i ziemię porastały krzaki i trawy, borówki i mchy. Zostawiliśmy samochód na małym żwirowym parkingu w lesie i udaliśmy się stumetrową ścieżką na plażę, usiedliśmy na wydmie, kilka metrów od skraju lasu, i spoglądaliśmy na szare, spokojne morze, jedząc herbatniki i popijając je kawą i sokiem. Wybraliśmy się tam razem z inną rodziną, więc łącznie było nas ośmioro. Po jakimś czasie dzieci zeszły na dół i zaczęły bawić się przy brzegu, nie kąpały się, tylko brodziły po kolana w wodzie. Kawalek od brzegu znajdowała się mielizna, a kanał między nią a plażą przypominał strumień. Razem z ojcem tamtej rodziny wykopałem się i pomyślałem, że to chyba ostatnia kąpiel w morzu w tym roku; zbliżał się wrzesień. Gdy wróciłem na wydmę, wytarłem się i włożyłem T-shirt, zdałem sobie sprawę z tego, że od dłuższej chwili nie widziałem syna. Spytałem o niego innych. Podobno poszedł w stronę ruin fortyfikacji, które wznosiły się jakieś sto metrów od plaży. Postanowiłem, że sprawdzę, co u niego słychać. Ześliznąłem się z wydmy, okrążyłem ją i zobaczyłem, że syn leży wyciągnięty na plaży siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt metrów dalej. Leżał zupełnie nieruchomo, w nienaturalnej pozycji. Zacząłem biec. Gdy się zbliżyłem, usłyszałem, że wzywa pomocy. Ratunku, ratunku, ratunku, wołał. O, cholera jasna,



unosił się nad nim rój os. Biegnę, krzyknąłem. Gdy dotarłem do niego, wziąłem go na ręce i popędziłem ile sił w nogach wzdłuż plaży. Gdy odwróciłem się po raz pierwszy, zobaczyłem, że lecą za nami, ale zaledwie kilka sekund później rój się rozpierzchł. Syn zanosił się od płaczu. Posadziłem go na wydmie, w płytkim zagłębieniu, w którym zwykliśmy obozować, i spytałem, gdzie go użądliły. Tu i tu, i tu, powiedział, szlochając. Upiekło mu się, pomyślałem, trzy użądlenia to nie tak źle, zważywszy na to, ile os liczył rój. Ale to nie użądlenia sprawiły, że płakał, tylko przerażenie, panika, w którą wpadł, to, że nie był w stanie się ruszyć, że czuł się jak uwięziony, sam na plaży, zdany na pastwę losu. Z czasem przestał płakać, a ja przestałem o tym myśleć, przecież wszystko dobrze się skończyło. Ale na kolejnym zebraniu rodziców w szkole dowiedziałem się, że syn opowiedział w klasie o tym zdarzeniu i wtedy również płakał. Następnego lata nie chciał nosić T-shirtów ani krótkich spodenek. Kąpiel w Sandskogen była wykluczona. Nadal instynktownie zakrywa całą skórę, kiedy wychodzi na dwór, nawet jeśli jest upał. I dlatego chwilę temu przeszedł koło mojego okna ubrany w kurtkę i długie spodnie, chociaż słońce piecze i jest dwadzieścia pięć stopni. Minęły dwa lata i nie obawia się już, że zostanie użądłony przez osy, jeśli odsłoni skórę, ale długie rękawy i nogawki nadal dają mu poczucie bezpieczeństwa.

## Cyrk

Dziś w nocy wróciliśmy z Budapesztu, byliśmy tam na ślubie, mój przyjaciel Tore ożenił się z Hilde. Dzień po weselu wszyscy goście wybrali się do cyrku. Dwoje moich najstarszych dzieci nie kryło sceptycyzmu, niedługo wkroczą w wiek nastoletni i cyrk wydaje im się czymś dziecięcym, ale udało mi się je przekonać; wieczorem pojechaliśmy taksówką z hotelu do parku miejskiego, gdzie spotkaliśmy się z resztą gości. Było ciepło, jakieś trzydzieści stopni, nastrój lekkiego podniecenia, jak to często bywa przed przedstawieniami, z którymi wiążą się bilety, miejsca siedzące, kiosk z długimi kolejkami, ludzie, którzy przychodzą z kubkami popcornu, paczkami słodczy, butelkami napojów. Dzieje się tak przed seansami kinowymi i meczami piłki nożnej, ale nie przed filmem ani meczem w telewizji, więc oczekiwanie ma związek ze wspólnotą, z tym, że mamy obejrzeć coś z ludźmi, których nie znamy. Szmer głosów, postacie, które przychodzą i odchodzą, odwracają się, uśmiechają i rozmawiają ze sobą. Słońce zachodziło i cienie się wydłużały; w parku zapalono światła. Weszliśmy do środka i odszukaliśmy nasze miejsca. Jak we wszystkich cyrkach scena była okrągła, z publicznością siedzącą wokół w coraz wyżej umieszczonych rzędach. Dzieci przejawiały sceptycyzm, bo wszystkie przedstawienia cyrkowe, jakie widziały, były raczej amatorskie, wystawiały je małe cyrki wędrowne, gdzie obietnica napięcia i magii jest zawsze większa od tej, której przedstawienie może dotrzymać, i dla nich cyrk był właśnie tym: dramatycznymi gestami i wielkimi słowami zapakowanymi w coś małego. Ale dostały popcorn i napój i oswoiły się z myślą, że przez kilka najbliższych godzin będą oglądać coś tak obciachowego jak ludzie i zwierzęta robiący sztuczki. Dwadzieścia minut później siedziały w ciemności i chłoneły wszystko. Od czasu do czasu śmiały się, ale najczęściej wpatrywały się w arenę w skupieniu, błyszczącymi z wrażenia oczami, wprost oczarowane. Wszystkie numery były klasyczne. Linoskoczek, akrobatka na trapezie, czterech mężczyzn tworzących piramidę i kobieta, która została wyrzucona w powietrze z drążka i wylądowała bezpiecznie na ramionach akrobata stojącego na samej górze. Punktem kulminacyjnym był występ mężczyzny, który wykonywał sztuczki z czterema cylindrami. Żonglował nimi, sprawiając, że lądowały na jego głowie i opuszczały ją jeden po drugim, w takt muzyki. Stopień trudności wzrastał wraz z muzyką, która stawała się coraz bardziej skomplikowana, teraz cylindry lądowały rondem na czole i były okracane w powietrzu, zanim osiadły na głowie. Moja najmłodsza córka śmiała się głośno. Ja też się śmiałem, a dwie najstarsze córki patrzyły na mnie zdziwione, ponieważ w ich mniemaniu to był najmniej spektakularny numer ze wszystkich. Dlaczego się z tego śmiałeś, tato? – spytały po przedstawieniu. Odpowiedziałem, że śmiałem się, ponieważ ich siostra śmiała

się tak serdecznie. I dlatego że zrozumiałem, że zongler musiał ćwiczyć tę sztuczkę z cylindrami przez wiele, wiele lat, z równie dużą intensywnością i powagą, z jaką mistrzowie olimpijscy w gimnastyce trenują swoje ćwiczenia. Żeby wykonać mały obrót cylindra w chwili, kiedy rondo dotyka czoła, i podrzucić go w powietrze tak, by wylądował na głowie dokładnie w takt muzyki, i dzięki temu dostarczyć publiczności kilku sekund uciechy. Wszystko w cyrku dotyczy tego, by przekraczać ograniczenia, jakie świat materii narzuca ludzkiemu ciału, poprzez wybranie momentu i powtarzanie go w kółko, zamrożenie chwili i operowanie wewnątrz niej, aż do osiągnięcia perfekcji, dopiero wtedy sztuczkę można zaprezentować publiczności. Prezentacja jest bezsensowna, do niczego nie prowadzi, wywołuje jedynie szmer przechodzący przez publiczność, która się jej przygląda. Otwarte usta, błyszczące oczy, wewnętrzną radość. Łatwo litować się nad mężczyzną zonglującym cylindrami, który poświęcił całe życie, by doprowadzić do perfekcji małe, głupie ruchy, które tak niewiele znaczą, a jednocześnie są wielkim triumfem, ponieważ udaje mu się ukazać smutne piękno życia w sposób, który wszyscy natychmiast rozumieją i rozpoznają: że nie należy oczekiwać od życia więcej niż runda cylindra, które trafia w czoło, okręca się dwa razy w powietrzu i ląduje na głowie, nic więcej nie da się z życia wycisnąć. I to wystarczy, dotarło do mnie, kiedy to zobaczyłem, i dlatego się śmiałem.

## Powtórzenia

Lubię powtórzenia. Lubię robić to samo, w tym samym miejscu, o tej samej porze, dzień w dzień. Lubię to, ponieważ w powtarzaniu coś się dzieje: prędzej czy później wszystkie nagromadzone identyczne elementy zaczynają się prześlizgiwać. I właśnie wtedy zaczyna się pisanie. Widok z mojego okna ciągle przypomina mi o tym powolnym i niewidocznym procesie. Każdego dnia widzę ten sam trawnik, tę samą jabłoń, tę samą wierzbę. Jest zima, kolory blade, drzewa bezlistne, potem przychodzi wiosna i ogród eksploduje zielenią. Choć spoglądam przez okno każdego dnia, nie dostrzegam zmian samych w sobie, jakby miały miejsce w innej skali czasowej, poza zasięgiem oka, trochę tak jak dźwięki o wysokiej częstotliwości są poza zasięgiem ucha. Potem następuje bujne przedłużenie wiosny w kwiatach, owocach, ciepłe, ptakach i intensywnym wzroście, które nazywamy latem, później nadchodzi burza i jabłka leżą na trawie pod drzewem, tworząc okrąg. Płatki śniegu topnieją w tej samej sekundzie, w której dotykają ziemi, liście są brązowe i skóropodobne, gałęzie nagie, ptaki zniknęły; znowu przyszła zima.

Gdy byłem młody, traktowałem wypowiedź Cycerona, że wszystko, czego człowiek potrzebuje, by być szczęśliwym, to ogród i biblioteka, jako wyraz mieszczaństwa, jako prawdę dotyczącą ludzi nudnych i w średnim wieku, tak daleką od tego, kim chciałem zostać, jak to tylko możliwe. Może myślałem tak, ponieważ mój ojciec zdawał się mieć obsesję na punkcie ogrodu, w pewnych okresach życia spędzał tam cały swój wolny czas. Teraz, kiedy sam jestem nudny i w średnim wieku, skapitulowałem i zrezygnowałem. Nie tylko pojąłem oczywistą więź łączącą literaturę z ogrodem – te małe obszary, na których uprawia się coś skądinąd niezdefiniowanego i nieskończonego – ja ją wielbię. Czytam biografię Wernera Heisenberga i wszystko znajduje się właśnie tam, w ogrodzie, atomy, skoki kwantowe, zasada nieoznaczoności. Czytam książkę o genach i DNA, wszystko tam jest. Czytam Biblię i pobrzmiwa w niej głos Pana Boga, który przechadzał się po ogrodzie w porze, kiedy był powiew wiatru<sup>[28]</sup>. Lubię to zdanie – w porze, kiedy był powiew wiatru – te słowa budzą coś we mnie, uczucie głębi w słoneczne letnie dni, mają w sobie coś z wieczności, a potem, po południu, napływają wiatry od morza i cienie się powiększają, a słońce opada na niebie, a potem gdzieś w pobliżu śmieją się dzieci. To właśnie wtedy dzień staje się chłodny, w środku życia, a kiedy ono się skończy, kiedy mnie już tu nie będzie, widok z okna nadal będzie trwał. Jest jeszcze coś, co widzę, kiedy spoglądam przez to okno, i jest w tym jakaś dziwna pociecha, że zwracamy uwagę na świat, kiedy przez niego idziemy, a on na nas nie. Na tym polega jedno z zadań literatury: ma nam przypominać o naszej nieistotności i uświadamiać, że nasza produkcja znaczeń jest jedynie jedną z wielu możliwych w świecie, razem z tymi, których dostarcza

las, równina, góra, morze i niebo. Świat jest nieprzetłumaczalny, ale nie niezrozumiały, jeśli człowiek zna prostą zasadę, że po niczym z tego, co świat wyraża poprzez miriady istnień i stworzeń, nie następuje znak zapytania, lecz wykrzyknik.

## Połów krabów

Połów krabów odbywa się późnym latem i na początku jesieni, kiedy jest ich najwięcej. Do połowu zwykle używa się pułapki, klatki z przynętą w środku, do której kraby mogą wejść, ale nie są w stanie z niej wyjść. Można też stać wieczorem i nocą na brzegu, oświetlać wodę latarką i za pomocą grabi lub innego przydatnego narzędzia zagarniać skorupiaki, które szukają pąkli na skale, kiedy powoli opuszczają dno i wędrują w górę. Gdy byłem mały, kilka razy brałem udział w połowie krabów i wspomnienia tych nocy należą do najwyraźniejszych wspomnień z czasów dzieciństwa, prawdopodobnie dlatego, że czułem się, jakbym był w innej rzeczywistości, na wysepce u ujścia fiordu, nocą, i że wszystko, co otaczało kraby, było obce i pachniało przygodą. Długo sądziłem, że szły za światłem, że przebywając tam w dole, pod wodą, w swoim tajemniczym i niedostępnym świecie, dawały się zwabić sygnałem z naszego świata, światłem, które błyszczało wysoko w górze. Co mogło dla nich znaczyć? Zachowywały się tak, jakby były nim zahipnotyzowane, jakby musiały za nim podążać; pomyślałem, że być może kiedyś na niebie nad naszym krajobrazem zawisną statki kosmiczne, wielkie jak miasta, i że wtedy my rzucimy wszystko i zaczniemy zmierzać w ich stronę, wabieni czymś, czemu trudno się oprzeć, a co wypełni nas do tego stopnia, że nie będzie już miejsca na strach ani wątpliwości, i sprawi, że zignorujemy wszystkie zagrożenia. Poza tym fascynowała mnie ich twardość, skorupa, która była jak kamień i uderzała o skałę, kiedy mój ojciec zagarniał je grabiami. Powolne ruchy szczypiec, kiedy kraby leżały w kadzi jeden na drugim, i małe czarne oczy – co nimi widziały? Co to były za stworzenia? O czym myślały? Kiedy płynęliśmy łodzią w stronę lądu, obijały się o siebie jak szklane kulki, a jeśli było ich dużo, wydawane przez nie dźwięki, odgłosy skorupy uderzającej o skorupę, przypominały tykanie zegara. Ojciec pokazał mi, jak należy je trzymać, od góry, w miejscu, gdzie szczypce nie sięgały. Ale chociaż wiedziałem, że ich odnóża nie dotrą do mojej dłoni, nie miałem odwagi ryzykować, strach przed ostrymi, owłosionymi szczypcami był większy od zdrowego rozsądku, jak to często bywa w dzieciństwie. Do tego dochodził też sposób, w jaki umierały, kiedy przebijając odnóżami, stukając lub macając powoli szczypcami, były wrzucane do wielkiego garnka z gorącą wodą stojącego na kuchence i natychmiast cichły, obracały się dookoła wygięte w pałąk, poza światem, a jednak nadal w nim obecne, ze skorupą i mięsem, nieruchomymi szczypcami i oczami podobnymi do ziaren pieprzu. Kiedy wykładano je potem na półmisek, przypominały małe posągi, pomniki na cześć życia pod wodą. Ale co się stało z ich życiem? Miałem wrażenie, że to czuję, czuję, czym jest śmierć – osmozą. Następnego wieczoru posiłek był prawdziwym świętem, tym bardziej że mój ojciec uwielbiał kraby i cały rytuał związany z ich

jedzeniem, nie wyłączając szczypiec, co wymagało techniki, którą opanował do perfekcji – łamał szczypce w stawach, wykręcał na bok białe, cienkie, płaskie, podobne do skrzydeł owadów powierzchnie chrząstki, wsuwał otwór do ust niczym mały flet i wykonywał jedno mocne, skoncentrowane ssanie przypominające dmuchnięcie w świstulę, tylko do wewnątrz, nie na zewnątrz, gładkie mięso opuszczało twardą powłokę i wpadało mu do ust. Nigdy nie widziałem go tak szczęśliwym jak właśnie wtedy, kiedy rodzina zbierała się wokół stołu z krabami. A ja czułem się tak, jakbym był u niego na praktyce, syn, który pewnego dnia opanuje to wszystko i będzie tak szczęśliwy jak on.

## Biedronki

Biedronka jest chrząszczem, ale zajmuje w naszej świadomości zupełnie inne miejsce niż reszta chrząszczy, które ze swoimi twardymi, lśniącymi pokrywami, często czarnymi, wieloma odnóżami i długimi czułkami zdają się stać nieskończenie daleko od nas, jeśli w ogóle je dostrzegamy. Podobnie jak większość innych owadów, traktujemy je jak pewnego rodzaju żywe przedmioty, którym bliżej do kamieni i gałązek niż do kotów i psów, i ten, kto wzdraga się przed tym, by zgnieść chrząszcza obcasem albo zabić komara gołymi rękami, ma wyjątkowo miękkie serce. Co innego zabić biedronkę, niewielu z nas robi to z lekkim sercem. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że biedronka apeluje do nas swoim wyglądem. Ma okrągły kształt i czerwone pokrywy z czarnymi kropkami, i dlatego uważamy, że jest ładna, a to, co ładne, zawsze nas pociąga. Wyjątkowe natomiast jest to, że biedronka nie jest ładna w majestatyczny sposób, jak orzeł czy rekin, których piękno jest okrutne, a to tworzy pewien rodzaj dystansu, nie jest też ładna w jakiś szczególnie olśniewający sposób, jak motyle, z barwami i wzorami przypominającymi te, które tworzy na wodzie benzyna, co ma w sobie coś lekko odpychającego, a to przecież jedna z cech wyjątkowego piękna. Nie, biedronka jest ładna w dziecinny sposób. Jest urocza. Zarówno jej kształt, to, że jest okrągła i przypomina guzik, jak i kolory pokryw, czerwone w czarne kropki, pozornie przeciwstawiają się funkcjonalności i sprawiają, że biedronka wygląda jak coś, co zostało stworzone ku radości i uciechu, zwłaszcza dzieci, chyba jedynej grupy, która naprawdę docenia te fruujące jaskrawoczerwone guziki. Jeśli uważnie przyjrzymy się pokrywom biedronki, czerwony kolor wydaje się dodany, jakby to czerń kropek była kolorem podstawowym i pojawiła się w niemal taki sam sposób jak niegdyś w pokoju dziecięcym czarne krzesło, które rodzice pomalowali na kolorowo, żeby sprawić przyjemność dzieciom. Z powodu tej cechy biedronki i biedronkowe wzory są tak rozpowszechnione w kulturze dziecięcej. Te małe stworzonka wydają się miłe, sympatyczne, wesołe i zabawne. Ale to nadal są chrząszcze, część mechanistyczno-instynktownego świata owadów, i kiedy występują gromadnie, co w pewnych okolicznościach może się zdarzyć, ukazują się przepaść między nimi a nami, coś głęboko obcego, co mają wszystkie owady. Pewnego dnia pod koniec lata, pięć lat temu, byłem tego świadkiem. Razem z inną rodziną wybraliśmy się autobusem z centrum Malmö na jedną z plaż tuż za miastem. Dopiero co ją odkryliśmy. W pobliżu znajdowało się pole kempingowe i dlatego plaża była wyposażona we wszelkie udogodnienia; rosły tam również drzewa, w których cieniu cudownie się siedziało tego wyjątkowo upalnego lata. Już w drodze z autobusu, z najstarszymi dziećmi biegnącymi przed nami po trawiastej równinie i najmniejszym leżącym w wózku, z torbami termoizolacyjnymi, siatkami



ze strojami kąpielowymi i kocami przewieszonymi przez ramię, zobaczyliśmy, że w powietrzu roi się od owadów, małe czarne kropki były dosłownie wszędzie. Wkrótce zaczęły nam siadać na ubraniach i we włosach; miałem na sobie biały T-shirt, na którym wyraźnie odznaczało się pięć, sześć biedronek. Gdy zbliżaliśmy się do plaży, zaczęło nam chrzęścić pod nogami. W niektórych miejscach ziemia była obsypana biedronkami. Poruszyłem koszulką, żeby je strząsnąć, ale chwilę później znów na niej siedziały, jakieś dziesięć, dwanaście sztuk. Przeczesałem włosy palcami i potrząsnąłem głową, żeby się ich pozbyć, lecz wciąż przylatywały nowe. Było ich zatrzęsienie. Rozłożyliśmy koc na trawiastym zboczu, pod drzewem; niemal natychmiast pokrył się biedronkami. Przenieśliśmy się kawałek dalej, ale tam było to samo, wszędzie – na ziemi i w powietrzu – roiło się od biedronek. Wyglądało na to, że przyleciały znad cieśniny, wysoko nad wodą unosiły się ogromne ciemne roje zmierzające w stronę lądu. Były ich setki tysięcy. Unosiły się również na wodzie. Ten widok sprawił, że poczułem ogromny lęk, ponieważ stojąc na zielonej lśniącej trawie i spoglądając na niebieską, błyszczącą w słońcu cieśninę Sund, nad którą rozciągał się potężny most, zrozumiałem, że kiedyś świat ulegnie zagładzie i stanie się to w równie piękny i zwyczajny dzień jak ten.



## OBRAZY ANSELMA KIEFERA

OKŁADKA *Morgenthau*, 2013. Watercolor on paper, 40,3 × 50,7 cm  
© Anselm Kiefer. Foto: © Georges Poncet

S. 2, 40–41, 214–215, 322–323, 370–371 *Ich bin der ich bin*, 2015.  
Watercolor on plaster on cardboard, 18 pages, 57 × 48 × 6 cm © Anselm Kiefer.  
Foto: © Charles Duprat

S. 4–5 *Blaue Blumen*, 2015. Watercolor and pencil on plaster on cardboard,  
60 × 80 cm © Anselm Kiefer. Foto: © Charles Duprat

S. 76 *Dat Rosa Miel apibus*, 2013. Watercolor on paper, 86 × 75 cm  
© Anselm Kiefer. Foto: © Georges Poncet

S. 119 *Extases féminines – Mechthilde de Hackeborn – Marie des Vallées...*,  
2012. Watercolor on paper, 67 × 52 cm © Anselm Kiefer. Foto: © Charles Duprat

S. 178 *Böse Blumen*, 2015. Watercolor and charcoal on plaster on cardboard,  
152 × 107 cm © Anselm Kiefer. Foto: © Charles Duprat

S. 296 *Les extases féminines*, 2013. Watercolor on paper, 116 × 51 cm ©  
Anselm Kiefer. Foto: © Georges Poncet

S. 440–441 *Le dormeur du val*, 2015. Watercolor and charcoal on plaster on  
cardboard, 50 × 70 cm © Anselm Kiefer. Foto: © Charles Duprat

Cytat na stronach 80–81 pochodzi z *Drömboken* Emanuela Swedenborga,  
zredagowanego i opatrzonego komentarzem przez Pera Erika  
Wahlunda, Wahlström & Widstrand, Sztokholm 1964.

Cytat na stronie 106 pochodzi z *Andlig Dag-bok* Emanuela Swedenborga,  
w przekładzie Erica Hermelina, Ellerströms, Lund 1998.

Cytat na stronie 392 pochodzi z *En röst. Efterlämnade dikter och  
anteckningar* Gunnara Ekelöfa, Bonniers, Sztokholm 1973.

## Przypisy

[1] Trzylatka wołała na kota „*takken*”, ponieważ przekreślała wyraz: *katten*. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Chodzi o ślinika luzytańskiego, należącego do stu najbardziej inwazyjnych gatunków w Europie.

[3] Głodny jak wilk.

[4] Sprzeczność sama w sobie.

[5] *Lilla spöket Laban (Mały duszek Laban)* – film rysunkowy na podstawie książki szwedzkiej pary Inger i Lassego Sandbergów, autorów ponad stu książek dla dzieci.

[6] Emanuel Swedenborg, *Dziennik snów 1743–1744*, przekład, przedmowa i przypisy Mariusz Kalinowski, Poznań 1996, s. 21.

[7] Andlig Dag-bok – *Dziennik duchowy* (łac. *Diarum, ubi memorantur experientiae spirituales*).

[8] Harald Meldal Eia (ur. 1966) – norweski socjolog, komik i dokumentalista.

[9] Kronprinsen (książę koronny) – piąty najwyższy budynek w Szwecji, wzniesiony w 1964 roku. Wieżowiec ma 82 metry wysokości i do 2005 roku był najwyższą budowlą w Malmö.

[10] Zakończenie nauki w szkole średniej.

[11] Nie wykryto klucza.

[12] *Arme riddere* (biedni rycerze) – norweski odpowiednik hiszpańskich *torrijas* i tostów francuskich.

[13] Trollingowanie – metoda połowu ryb drapieżnych polegająca na ciągnięciu wędką przynęty na żyłce lub lince za łodzią. Ruch przynęty imituje ruch ryby i prowokuje drapieżniki do ataku.

[14] Tromøy – największa wyspa w Sørlandet, w gminie Arendal; liczy ok. 6000 mieszkańców, a jej powierzchnia wynosi 28,34 km<sup>2</sup>.

[15] Hardangervidda – największy górski płaskowyż w północnej Europie, o powierzchni ok. 8000 km<sup>2</sup>, leżący w okręgach Buskerud, Telemark i Hordaland, i zarazem największy park narodowy w Norwegii.

[16] Nazwa wody mineralnej czerpanej ze źródła w południowej części Helsingborga, w Szwecji.

[17] Przełożył Józef Paszkowski.

[18] Bulandet – archipelag położony na Morzu Północnym, w okręgu Sogn og Fjordane, składający się z ok. 300 wysp i wysepek i liczący ok. 260 mieszkańców.

[19] Przetrwają tylko najlepiej przystosowani.

[20] Lody za koronę, norweskie *kronéis*, a właściwie Diplom Krone-Is, pojawiły się w Norwegii w 1953 roku pod nazwą Diplomat i kosztowały 75 øre; rok później zmieniono ich nazwę na Krone-Is i aż do 1970 roku kosztowały jedną koronę.

[21] Złoto na patyku; lody powstały w hołdzie dla Freda Antona Maiera (1938–2015), norweskiego łyżwiarza szybkiego, który na Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Grenoble w 1968 roku zdobył złoty medal na dystansie 5000 m.

[22] Wiśnia na patyku.

[23] Lody łódka – waniliowe w wafelku o kształcie łodzi, z dżemem truskawkowym i polewą czekoladową.

[24] Lody o smaku toffi umieszczone między dwoma ciastkami.

[25] Słona wrona.

[26] DBS, Den Beste Sykkel (pol. najlepszy rower) – norweska marka rowerów z Sandnes; w 1932 roku Jonas Øglænd, właściciel fabryki rowerów, ogłosił konkurs na nazwę nowego modelu; autorem zwycięskiej propozycji okazał się dwunastoletni chłopiec. W 1989 roku Øglænd DBS AS została wykupiona przez szwedzką firmę Monark, która w 1996 roku sama stała się częścią koncernu Cycleurope.

[27] Harriet Backer (1845–1932) – norweska malarka tworząca w nurcie realizmu i wczesnego impresjonizmu.

[28] Por. Rdz 3, 8. W norweskim przekładzie Pisma Świętego Bóg przechadzał się po ogrodzie, „kiedy dzień stał się chłodny”.

